

ZESZYT STO CZTERNASTY

**ZESZYTY
HISTORYCZNE**

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1995

ZESZYT STO CZTERNASTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1995

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 491

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0159-2

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Andrzej PACZKOWSKI

APARAT BEZPIECZEŃSTWA W LATACH ODWILŻY: CASUS POLSKI

W początkach 1953 r. aparat bezpieczeństwa w Polsce znajdował się pod względem rozwoju ilościowego w apogeum. W centrali Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (MBP) oraz terenowych – wojewódzkich, powiatowych i miejskich – urzędach bezpieczeństwa publicznego (UBP) zatrudnionych było około 33 tys. osób etatowych oraz ok. 8,2 tys. pracowników kontraktowych. Nieco ponad 1/2 „etatowców” stanowili funkcjonariusze pionów operacyjnych, a dalsze 2 tys. uczyło się w tym czasie w resortowych szkołach. Tak więc na jednego funkcjonariusza operacyjnego przypadało około 1.300 mieszkańców, łącznie z dziećmi i starcami. W kartotekach „elementu podejrzanego” znajdowało się ok. 5,2 mln. nazwisk, tzn. 1/3 dorosłych Polaków¹. Czynna sieć agenturalna liczyła nie mniej niż 70-75 tys. „oczek”. Sam tylko pion zajmujący się „ochroną gospodarki” – i to bez komunikacji, przemysłu ciężkiego oraz zbrojeniowego – posiadał na ewidencji ok. 25 tys. agentów, rezydentów i informatorów². Wedle niepełnych danych w jednym tylko 1952 r. aresztowano co najmniej 21 tys. podejrzanych o

1. Centralne Archiwum MSW (dalej CAMSW), 17/IX/34.

2. CAMSW, 17/IX/38, t.13.

„przestępstwa przeciwko państwu”, a kary odbywało około 35 tys. już skazanych³. W ciągu 1953 r. skontrolowano 16% przesyłek z zagranicy i 1,4% przesyłek krajowych – łącznie w „czarnych gabinetach” przeczytano ok. 16 mln. listów oraz ok. 1,7 mln. egzemplarzy druków nadesłanych z zagranicy⁴. Blisko 1,6 tys. funkcjonariuszy pracowało w wydzielonych komórkach (Referaty Ochrony) w kilkuset fabrykach i przedsiębiorstwach⁵.

W gestii MBP znajdowała się ponadto milicja (MO) i jej paramilitarne przybudówki (ORMO), wojska wewnętrzne (KBW) i pograniczne (WOP), straż więzienna oraz uzbrojone straże przemysłowe – łącznie ponad 200 tys. osób. MO, KBW i WOP posiadały własne sieci agenturalne i własne areszty. Osobno funkcjonowały organy kontrwywiadu wojskowego (Główny Zarząd Informacji – GZI – oraz jednostki terenowe), które wedle stanu na 1 stycznia 1953 r. liczyły ok. 4,1 tys. osób, w tym 1,5 tys. oficerów⁶. Informacja wojskowa dysponowała siecią ok. 18 tys. tajnych informatorów – nieomal 1/3 sieci stanowili oficerowie służby czynnej⁷.

Cała ta potężna machina terroru podporządkowana była osobnym instancjom w kierownictwie partii komunistycznej, a przede wszystkim istniejącej od 1949 r. niejawniej Komisji Biura Politycznego ds. Bezpieczeństwa Publicznego. Na jej czele stał osobiście Bolesław Bierut, „Numer Jeden” w hierarchii partyjnej, który wytrwale i drobiazgowo zajmował się działalnością zarówno aparatu bezpieczeństwa, jak i informacji wojskowej⁸. Od 1951 r. w aparacie Komitetu Centralnego istniał kilkuosobowy Sektor Specjalny zajmujący się wszystkimi sprawami personalnymi MBP, UBP i Informacji Wojskowej. Obsadę wyższych stanowisk w Bezpieczeństwie

3. CAMSW, 17/IX/34.

4. Tamże.

5. CAMSW, 17/IX/112, t.4.

6. Jerzy Poksiński „Tatar-Utnik-Nowicki”, Warszawa 1992, s.63.

7. Zbigniew Pałski „Agentura informacji wojskowej w latach 1945-1956”, Warszawa 1992, s.35.

8. O fascynacji Bieruta sprawami „służb specjalnych” w tym przygotowaniach do procesu Władysława Gomułki, świadczą setki jego osobistych notatek przechowywanych obecnie w Archiwum Akt Nowych (AAN) w zespole pod roboczą nazwą „Materiały B.Bieruta”.

regulowały przepisy o nomenklaturze KC. Problemy związane z funkcjonowaniem „bezpieki” wielokrotnie omawiane były na posiedzeniach najwyższych gremiów partii. Poza wspomnianą Komisją zajmował się nimi w szczególności Sekretariat Biura Organizacyjnego – pięcioosobowa instancja, która od chwili powstania w maju 1950 r. stanowiła właściwe centrum najważniejszych decyzji.

Poprzez ściśle utajnioną instytucję Doradcy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ZSRR przy MBP, który był podporządkowany II Głównemu Zarządowi (*Głównoje Uprawlenie*) (wywiad) sowieckiego MSW, cały ten aparat wchodził w skład imperialnego systemu terroru. W początkach 1953 r. stanowisko doradcy piastował (od marca 1950 r.) płk Michaił S. Bieborodow, mający do dyspozycji 47 wyższych oficerów pełniących funkcje doradców w najważniejszych departamentach operacyjnych MBP oraz przy urzędach wojewódzkich⁹. Sowiecki wywiad posiadał zapewne na terenie Polski własną sieć agenturalną, ale o jej rozmiarach – a nawet istnieniu – niczego nie udało mi się ustalić. Funkcjonowały też – niezależnie od doradcy w Warszawie – służby kontrwywiadowcze Północnej Grupy Wojsk Armii Sowieckiej, której sztab znajdował się koło Wrocławia. Poprzez marsz. Konstantego Rokossowskiego, który był (od listopada 1949 r.) ministrem obrony narodowej, a ponadto członkiem Biura Politycznego i Komisji Biura Politycznego d/s. Wojskowych, moskiewskiej centrali podporządkowany był też kontrwywiad (i wywiad zagraniczny) Wojska Polskiego. Dodać należy, iż zarówno w MBP, KBW i WOP – nie mówiąc już o GZI – pracowało jako etatowi funkcjonariusze co najmniej kilkudziesięciu oficerów (często, ale nie zawsze, pochodzenia polskiego), którzy przeniesieni zostali jeszcze w latach 1944-1945 z NKWD lub Armii Czerwonej.

Wszystko to pozwala stwierdzić, iż polski aparat bezpie-

⁹ W polskich archiwach znalazłem – jak dotąd – bardzo mało informacji o sowieckich doradcach. Przytaczane tu informacje zawdzięczam pomocy Nikity W. Pietrowa, z moskiewskiego „Memoriału”, który prowadzi kwerendę w archiwach b. KGB. O doradcach w Czechosłowacji patrz: Karel Kaplan „Sovetsti poradci w Ceskoslovensku 1949-1956”, Praha 1993, s.17-42.

czeństwa był znacznie silniej i bardziej bezpośrednio związany z imperialnym Centrum niż w jakimkolwiek innym kraju zdominowanym przez Stalina (być może poza NRD).

Śmierć Stalina i fakt, że jedne z pierwszych działań podjętych przez jego spadkobierców (jeszcze zanim wybuchła między nimi walka o władzę) dotyczyły – prawda, że bardzo nieśmiało – amnestii (27 marca) i rehabilitacji lekarzy z kremłowskiego szpitala (4 kwietnia), postawiły na porządku dziennym także w Polsce sprawę – jak to później enigmatycznie nazwano – „łamania praworządności”. W połowie kwietnia 1953 r., podczas odprawy w MBP, min. Stanisław Radkiewicz stwierdził, iż „nie zna faktów, ażeby stosowano presję fizyczną w stosunku do aresztowanych”, zastrzegł się tylko, że „nie wie, czy nie ma nadużycia kar (...) czy konwejer jeszcze dalej pracuje”¹⁰. Jednak już kilka tygodni później, podczas ogólnopolskiej odprawy w Departamencie Śledczym, „z całą ostrością postawiono i przedyskutowano sprawę mnożących się wypadków niesłusznych aresztów (...), stosowania niedozwolonych i zakazanych metod”¹¹. Pierwszym krokiem podjętym przez kierownictwo PZPR było przeprowadzenie kontroli w aresztach śledczych w Warszawie (w tym w Pawilonie „A” centralnego więzienia śledczego, w którym przetrzymywano aresztowanych w związku ze sprawą Gomułki i Spychalskiego) oraz powołanie – w początkach czerwca – specjalnej komisji do skontrolowania niektórych śledztw prowadzonych w resorcie.

Na decyzje podejmowane w Polsce wpływały w tym okresie wydarzenia za granicą: strajki w Czechosłowacji, rewolta robotników wschodnioniemieckich, objęcie stanowiska premiera przez Imre Nagyego, a przede wszystkim komunikat KC KPZS o potępieniu „zbrodniczej, antypartyjnej i antypaństwowej działalności” Berii. W początku lipca Bierut osobiście przeprowadził wielostronne „konsultacje” w Moskwie. Dotyczyły one – poza problemami gospodarczymi i walki z Kościołem katolickim – także spraw aparatu bezpieczeństwa. Z bardzo skrótowych zapisów, które przechowały

10. CAMSW, 17/IX/77, t.10.

11. CAMSW, 17/IX/28, t.4.

się w jego osobistych papierach, wynika, iż uzgodniono podporządkowanie kontrwywiadu wojskowego „cywilnemu” MBP¹². Nastąpiła też zmiana na stanowisku Doradcy: na krótko funkcję tę objął Nikołaj K. Kowalczyk, a od 20 lipca – na ponad rok – Serafin N. Lalin. Zreorganizowano częściowo aparat Doradcy, zmniejszając liczbę urzędów wojewódzkich „obsługiwanych” przez oficerów sowieckich.

Podczas odprawy kierowniczego aparatu bezpieczeństwa, która odbyła się 7 lipca, Prokurator Generalny Stefan Kalinowski mówił już o „niedopuszczalnych metodach śledztwa”, choć podkreślał, że „walka z wypaczeniami” nie może oznaczać „jakiegokolwiek liberalizacji wobec wrogów”. Dalej poszedł minister Radkiewicz, który zwrócił uwagę, iż „łamanie praworządności” obejmowało „szeroką gamę fałszywych i niesłusznych metod naszej pracy”, nie tylko w śledztwach¹³. W połowie lipca, podczas narady z kierownikami wydziałów KC oraz pierwszymi sekretarzami komitetów wojewódzkich PZPR, Bierut podkreślił konieczność zwiększenia kontroli partyjnej nad UB i MO, ale uznał za wskazane przypomnieć, że należy „wszechstronnie podnosić czujność”¹⁴.

Wkrótce pojawiły się pierwsze sygnały niepokojące kierownictwo MBP. W sierpniu, podczas resortowej narady, min. Radkiewicz mówił o „dezorientacji politycznej (...), zataraceni perspektyw, asekuranctwie, bojaźni” wśród funkcjonariuszy. Stwierdził, iż „odczuwa się obniżenie poziomu pracy operacyjnej”, gdyż „starych metod [pracownicy] nie chcą używać, a nowych nie znają”¹⁵. W istocie o żadnych nowych metodach pracy operacyjnej nie było mowy, zaś świeżo wprowadzona (15 sierpnia) instrukcja o pracy z siecią agenturalną nie dezawuowała poprzednich. Trudno było myśleć o poważniejszej analizie istniejącego stanu rzeczy – nie mówiąc już o zmianach – skoro w pełnym biegu była właśnie wielka ofensywa przeciwko Kościołowi katolickiemu, której zwieńczeniem było aresztowanie (26 września) Prymasa Polski, kardya-

12. AAN, KC PZPR, Materiały B. Bieruta, I/192.

13. CAMSW, 17/IX/77, t.10.

14. AAN, KC PZPR, Materiały B. Bieruta, I/197.

15. CAMSW, 17/IX/107, t.1.

nała Stefana Wyszyńskiego. Kontynuowano też przygotowania do procesu Gomułki, nie tylko opracowując kolejne warianty aktu oskarżenia, ale aresztując 14 marca 1953 r. m.in. marsz. Michała Rolę-Żymierskiego, do 1949 r. ministra obrony narodowej.

W istocie zagrzewano raczej aparat do aktywności niż hamowano funkcjonariuszy przed pochopnymi działaniami. Kierownictwo dążyło najwyraźniej do zdyscyplinowania aparatu: na odprawie w MBP, która odbyła się w dniu aresztowania Prymasa, wiceminister Jan Ptasieński nawoływał do zerwania „z biernością i bezczynnością”¹⁶. Walkę o „praworządność ludową” ograniczono do zdjęcia ze stanowiska Komendanta Głównego MO i przyjęcia przez Sekretariat KC uchwały „o wzmocnieniu pracy partyjnej w organach bezpieczeństwa”.

Kolejne przesilenie nastąpiło na przełomie 1953/54 r., zarówno w związku z rozpoczęciem – nader nieśmiałego – „manewru gospodarczego” oraz przygotowań do II Zjazdu PZPR, jak i oficjalnym potwierdzeniem rozstrzelania Berii i jego najbliższych współpracowników. W Moskwie ruszyła pełną parą „walka z beriowszczyzną”, co miało na celu m.in. wskazanie odpowiedzialnych za dziesięciolecia masowego terroru. Siłą rzeczy cały aparat bezpieczeństwa znalazł się na cenzurowanym, choć – przynajmniej w Polsce – przez dłuższy czas nieomal wszystkie te działania starannie ukrywano.

Pierwsze, ale dostrzegalne tylko wewnątrz aparatu, sygnały nadeszły w końcu lutego 1954 r. Najpierw (26 lutego) został zdjęty ze stanowiska wieloletni dyrektor Departamentu Śledczego Józef Różański, następnego dnia wydany został rozkaz ministra o redukcji aparatu terenowego o 10%¹⁷. Wprawdzie redukcję powiązano z „likwidacją przerostów administracyjnych”, która objęła wszystkie urzędy centralne, ale po raz pierwszy od 1947 r. zaczęto zwalniać z UB. W początkach marca podano do wiadomości wyższych funkcjonariuszy w centrali i w terenie informację o zdegradowaniu i wydaleniu ze służby b. szefa WUPB w Katowicach

16. CAMSW, 17/IX/77, t.10.

17. CAMSW, Akta Normatywne, t.31 (rozkaz nr 04/54).

i we Wrocławiu, a w chwili ukarania dyrektora Departamentu Ogólno-Administracyjnego, Eugeniusza Dowkana. Był on odpowiedzialny za utworzenie przez podwładnych „tajnej organizacji”, którą następnie „zdekonspirowano”, a tych, którzy dali się UB wciągnąć w pułapkę, skazano na wysokie wyroki (w tym wyrok śmierci¹⁸). Degradacja ppłk. Dowkana miała niewątpliwie charakter przykładowy, gdyż urząd, którym kierował, nie był jedynym organizatorem tego rodzaju prowokacji. Jeśli dodać, iż w połowie stycznia – po ukaraniu naganą partyjną – zwolniono ze służby dyrektora Departamentu Anatola Fejgina¹⁹, okazuje się, iż w ciągu niespełna dwóch miesięcy usunięto z aparatu trzech dyrektorów departamentów. Charakterystyczne jednak, iż ani w przypadku Różańskiego, ani Fejgina nie podano do wiadomości powodów ich zwolnienia.

Na krótko przed zjazdem PZPR odbyła się w MBP ogólnokrajowa narada (4 marca), podczas której min. Radkiewicz ogłosił „zakaz kategoriyczny stosowania jakiegokolwiek gwałtu i przymusu fizycznego”, aczkolwiek wyraził zgodę na prowadzenie „przesłuchań obostrzonych lub ostrych”²⁰, co oznaczało usankcjonowanie „konwejerów”. Dominantą przemówienia było jednak potępienie „cuchnących teoryjek” o nadrzędności aparatu bezpieczeństwa nad administracją państwową oraz przypomnienie, iż jedynym czynnikiem władczym jest partia. Wszystkie ogniwa resortu winny składać sprawozdania odpowiednim instancjom PZPR, „na bieżąco informować I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego, Miejskiego czy Powiatowego i uzgadniać [z nimi] ważniejsze posunięcia”.

18. Tamże (rozkaz karny nr 06/54).

19. Fejgin został ukarany nie za „łamanie praworządności” – na co przyjdzie czas później – ale za „niedopatrzenie służbowe”, gdyż to właśnie w jego towarzystwie udał się do Berlina Zachodniego wicedyrektor tego samego departamentu, Józef Światło, który „zniknął” 5 grudnia 1953 r. Sądono wówczas, iż został porwany przez amerykańskie służby wywiadowcze.

20. CAMSW, 17/IX/77, t.12; o pracy śledczej traktował rozkaz nr 05/54 wydany z datą 3 marca (obszerne fragmenty patrz: Stanisław Marat, Jacek Snopkiewicz „Ludzie bezpieki”, Warszawa 1990, s.381-385).

Istotniejsza być może niż napominanie podwładnych była zapowiedź zmian organizacyjnych. Najważniejszą była niewątpliwie sprawa likwidacji Departamentu X, którego początki sięgały 1948 r. i pierwszej fazy „walki z odchyleniem nacjonalistyczno-prawicowym”²¹. Departament ten stanowił swego rodzaju „państwo w państwie” – jako jedyny posiadał własną komórkę śledczą i własny areszt (tajny, w willi w podwarszawskim Miedzeszynie). Kontrolę nad nim sprawował osobiście Bierut, który nie tylko studiował protokoły przesłuchań, ale udzielał instrukcji oraz układał tzw. pytajniki dla oficerów śledczych. Likwidacja tej agendy MBP mieściła się w ramach nieopisanego *gentlemen's agreement*, który zawarty został na Kremlu po śmierci Berii i gwarantował elicie partyjnej osobiste bezpieczeństwo. Oznaczała więc odstępienie od jednej z najbardziej charakterystycznych cech „stalinizmu w stanie czystym”: utrzymywania w strachu i pod bezpośrednią kontrolą wszystkich, niezależnie od miejsca zajmowanego w politycznej hierarchii. Likwidacja komórki zajmującej się partią komunistyczną nie oznaczała bynajmniej rehabilitacji „gomułkowszczyzny”, ale wiele osób – w tym niemal wszystkie związane ze „sprawą Fielda” (i jego samego) – zwalniano stopniowo z więzień.

Równocześnie min. Radkiewicz powiadomił o planie „komasacji” kilku innych departamentów: włączenie Departamentu IX (ochrona przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego) do Departamentu IV (ochrona gospodarki narodowej) oraz połączenie Departamentu V (ochrona partii „sojuszniczych” i organizacji społecznych) z Departamentem III (walka z konspiracją zbrojną i polityczną). Przygotowano także wyodrębnienie z dotychczasowego Departamentu IV spraw związanych z wsią²². Odpowiednie rozkazy zostały wydane 9 i 12 czerwca 1954 r.²³, z tym, że „resztki” Departamentu X, ma-

21. Ogólne informacje o tej instancji patrz: Andrzej Paczkowski „Krótki kurs historii Departamentu X”, w: *Krytyka* nr 41-42, 1993, s.130-174; wiele informacji o nim przynoszą też cytowana (przyp. 20) książka Marata i Snopkiewicza (*passim*) oraz relacja Światły (Zbigniew Błażyński „Mówi Józef Światło. Za kulisami bezpieki i partii”, Londyn 1985, *passim*).

22. CAMSW, 17/IX/268, t.1.

23. CAMSW, Akta Normatywne, t.31 (rozkazy nrrn 015/54, 044/org., 045/org., 046/org., 047/org. i 0/53org.).

jące charakter komórki likwidującej wszczęte sprawy i dochodzenia, pozostały w postaci Samodzielnej Grupy Operacyjnej przy Gabinetie Ministra oraz w kilku wojewódzkich UBP. W sierpniu, na ogólnopolskiej odprawie w MBP, min. Radkiewicz poruszył z kolei sprawę racjonalności sieci agenturalnej, zwracając uwagę, iż „nie ma konieczności masowego werbunku agentury”²⁴. Zapowiedział też zmianę zasad prowadzenia ewidencji „elementu podejrzanego”, która – wobec ogromnych rozmiarów kartotek – „zamiast być pomocną dla pracy organów bezpieczeństwa, stała się mało przydatnym dodatkiem”. W istocie była jednym z elementów ułatwiających masowe i ślepe represje, stosowane na szeroką skalę w okresach „wzmóżonej czujności”, m.in. przed świętami państwowymi, w czasie akcji siewnej, żniw czy skupu mięsa lub zboża. Tak więc latem 1954 r. przekształcenia w aparacie bezpieczeństwa weszły w fazę realizacji, ale daleko wciąż było do przekroczenia „punktu krytycznego”.

Nie było takim przekroczeniem, gdyż w rzeczywistości ani nie regulowało podstawowych wewnętrznych zasad funkcjonowania, ani tym bardziej stosowanych technik, uchwalenie (20 lipca) przez Radę Państwa dekretu „o służbie w organach bezpieczeństwa publicznego”²⁵. Miał on charakter czysto formalny i nie dotyczył w istocie problemów „łamania praworządności”.

Wszystkie te zmiany, a przede wszystkim, rozpoczęta jeszcze wiosną, stopniowa redukcja personelu oraz zwolnienia – lub przesunięcia na niższe stanowiska – znanych funkcjonariuszy z pionu śledczego i Departamentu X, spowodowały jednak kolejną od 1953 r. falę niepokoju i niepewności co do dalszych losów. O ich istnieniu wiemy stosunkowo niewiele, ale przynajmniej jeden zarejestrowany sygnał wydaje się być znaczący. Otóż w końcu lipca 1954 r. do KC PZPR wpłynął anonimowy list nadany w Łodzi, którego autor uskarżał się na położenie osób zwolnionych z aparatu. Nikt, pisał, nie zatroszczył się o jego los, ma trudności ze znalezieniem pracy, żyje w trudnych warunkach materialnych. Wyra-

24. CAMSW, 17/IX/107, t.1.

25. *Dziennik Ustaw* nr 34, 1954 r., poz.142.

ził pretensje do partii o porzucenie byłych funkcjonariuszy – „Murzyn zrobił swoje...”, przypominał stare porzekadło. Szedł jednak dalej i niedwuznacznie groził ujawnieniem tajemnic: „niejeden [z nas] brał udział w Referendum Ludowym i wie jak odbywały się wybory i sposób ich przeprowadzenia”²⁶.

Niepokój funkcjonariuszy UB wynikał też z faktu, iż od lata 1953 r. coraz częściej – i śmielej – zgłaszali swoje skargi więźniowie pisząc do różnych instytucji państwowych (m.in. do Rady Państwa). Kierownictwo resortu dążyło do zapewnienia bezkarności osobom winnym stosowania „niedozwolonych metod”. Dobrą, jak sądzę, ilustracją tej tendencji jest opinia min. Radkiewicza, która powstała w związku ze skargą Zygmunta Zaborskiego, działacza PPS, który aresztowany w 1948 r. do chwili napisania listu do Rady Państwa w maju 1954 r. przebywał wciąż w areszcie śledczym. W liście tym obszernie przedstawił tortury i szykany, którym był poddawany. Ustosunkowując się do listu, min. Radkiewicz potwierdził, iż Zaborski był rzeczywiście „parę razy” bity, skazywany na karcer i przechodził w śledztwie „konwejer”, ale – pisał – w stosunku do śledczych „nie należy prowadzić dochodzenia karnego, gdyż jest to wykroczenie przedawnione i zastosowanie sankcji karnej nie dałoby efektu wychowawczego”²⁷.

Jeszcze ważniejsze były ogólne konstatacje ministra: „Stałe i ciągłe prowadzenie dochodzeń w stosunku do funkcjonariuszy Bezpieczeństwa Publicznego za przedawnione wykroczenia na odcinku śledztwa stwarza atmosferę strachu, „asekurantwa”, osłabia ofensywność w pracy aparatu śledczego, a niekiedy powoduje beczynność”. Takie stanowisko kierownictwa MBP, z pewnością podzielane przez Bieruta i ekipę kierowniczą PZPR, blokowało wszelkie próby pociągnięcia do odpowiedzialności winnych, ale nie było w stanie zahamować napływu skarg. Od chwili śmierci Stalina,

26. Odpis listu – CAMSW, Akta Normatywne, t. 34; zarówno Referendum z 30 czerwca 1946 r., jak i wybory z 19 stycznia 1947 r. zostały sfalszowane. O rozmiarach tego pierwszego fałszerstwa patrz: Andrzej Paczkowski „Referendum z 30 czerwca 1946 r. Przebieg i wyniki”, Warszawa 1993, ss.225; o skali fałszerstw w wyborach nie udało się jak dotąd znaleźć danych w skali ogólnokrajowej.

27. AAN, KC PZPR, Materiały B. Bieruta 509/133.

a zwłaszcza od „likwidacji” Berii, mnożyły się wystąpienia więźniów ośmielonych choćby tym, iż za takie skargi nie spotykały ich już dodatkowe szykany.

Faktyczne jednak zmiany – poza likwidacją Departamentu X – były drugorzędne, a zasięg „czystki personalnej” w niczym nie przypominał drastycznych pociągnięć kierownictwa kremłowskiego, które, oddając przez wiele miesięcy pod sąd i stawiając przed plutonami egzekucyjnymi setki wysokich funkcjonariuszy, wypełniało obowiązki „kata katów”. Po Beborodowie i Kowalczuku, we wrześniu 1954 r., zniknął z Warszawy po rocznym urzędowaniu kolejny szef doradców sowieckich Lalin, a na jego miejsce przyszedł Georgij S. Jewdokimienko, który miał pozostać w stolicy Polski aż przez pięć lat. Wydaje się jednak, iż zmiana ta nie była związana z przygotowaniem do bardziej gruntownej reformy polskiego aparatu bezpieczeństwa i zapewne miała rutynowy charakter. Wszystko zdaje się wskazywać, iż po wielomiesięcznym zamieszaniu „bezpieka” wchodziła w okres stabilizacji.

Nagle sprawy przybrały zupełnie nieoczekiwany – a przez kierownictwo zarówno partyjne, jak i MBP wysoce niepożądanym – obrót, kiedy od 28 września 1954 r. Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa zaczęła nadawać audycje „zaginionego” Józefa Światły, który blisko rok wcześniej oddał się w ręce wywiadu amerykańskiego. Wysoki rangą funkcjonariusz, świetnie obeznany z najbardziej tajnymi poczynaniami MBP²⁸, opisywał w szczegółach – z silną domieszką sensacji

28. Osoba Światły jest powszechnie znana, choć wiele fragmentów jego biografii wciąż pozostaje niejasnych. W zakresie tu najbardziej interesującym przypomnę tylko, iż po okresie służby w pionie politycznym wojska polskiego w ZSSR, jesienią 1944 r. skierowany został – jak wielu innych – do aparatu bezpieczeństwa. Od 17 stycznia 1945 r. miał być zastępcą kierownika Grupy Operacyjnej UB w Warszawie, ale stanowiska tego nie objął i skierowany został do dyspozycji gen. Iwana Sierowa, który kierował działalnością wszystkich sowieckich organów bezpieczeństwa na terenie Polski. Po zakończeniu w maju tej misji (w jej trakcie uczestniczył m.in. w aresztowaniu szesnastu przywódców Państwa Podziemnego oraz przywódców chłopskich Witosa i Kiernika) Światło znajdował się „w dyspozycji” MBP a od grudnia tegoż roku pełnił funkcję zastępcy szefa WUBP najpierw w Olsztynie, później w Krakowie. Od 1 października 1948 r. przeszedł do centrali, do „aparatu specjalnego”, który stał się załącznikiem Departamentu X. Światło uchodził

i plotek – polskie elity komunistyczne oraz tajemnice pracy aparatu bezpieczeństwa.

Jakkolwiek słuchanie „imperialistycznych” rozgłośni było zakazane – tysiące ludzi siedziało w więzieniach za zbiorowe słuchanie lub powtarzanie wiadomości zasłyszanych w audycjach RWE, BBC czy Głosu Ameryki – relacje Świątły rozchodziły się stosunkowo szeroko. Po ukazaniu się wewnętrznego komunikatu MBP o audycjach tego „prowokatora i renegata” „poważna część pracowników z różnych jednostek i ich rodzin zaczęła słuchać wrogich audycji i dzielić się wiadomościami”. Jeden z dyrektorów departamentu (!) „po powrocie z odprawy (...) nastawił na BBC, lecz na skutek trzasków w odbiorniku radiowym zrezygnował ze słuchania”²⁹. Na podstawie materiałów operacyjnych Gabinet Ministra od 5 października opracowywał specjalny biuletyn o reakcjach na wypowiedzi Świątły, w tym także funkcjonariuszy UB. Specjalnie powołany zespół gorączkowo sprawdzał zawartość szaf, którymi dysponował Świątło, i starał się odtworzyć zasięg jego wiedzy o siatkach wywiadowczych³⁰. Sam fakt zdrady, aczkolwiek mógł być dotkliwy dla wywiadu, nie stwarzały poczucia zagrożenia, gdyby nie owe audycje, które były coraz powszechniej słuchane.

Nie później niż 14 października w najwyższych instancjach partyjnych zajęto się reakcją na rewelacje Świątły, które bulwersowały opinię i wzmagaly nastroje niepewności – ale także i krytycyzmu – w aparacie bezpieczeństwa. Zdecydowano się nie tylko wyłowić – a raczej po prostu wskazać i na-

za wyjątkowo zręcznego oficera, cieszył się też pełnym zaufaniem Moskwy, toteż używany był do operacji nie leżących w kompetencjach Departamentu X (m.in. kierował aresztowaniami Prymasa Wyszyńskiego i marsz. Żymierskiego). W Departamencie X nadzorował pion śledczy i gromadził „materiały” na członków KC PZPR. W grudniu 1953 r. wyjechał do Berlina w celu zorganizowania – z pomocą wywiadu NRD – siatki mającej kontrolować „polskich trockistów” mieszkających w Zachodniej Europie, a przede wszystkim Wandę Pampuch-Brońską, która przebywała w RFN. Za pikantny można uznać fakt, iż Świątło został formalnie „zwolniony” ze służby z dniem 30 września 1954 r. – a więc nadawanie swoich audycji rozpoczął jako etatowy podpułkownik UB! Informacje o przebiegu służby Świątły: CAMSW, 17/IX/123.

29. AAN, KC PZPR, Materiały B. Bieruta, 509/50.

30. AAN, KC PZPR, Materiały B. Bieruta, I/204.

piętnować – najbardziej odpowiedzialnych za tortury, o których mówił Światło, ale także zreorganizować potężny resort. Decyzje zostały podjęte (i skonsultowane z Moskwą) dosyć szybko. Więcej czasu zabrało przygotowanie do nich zarówno funkcjonariuszy UB, jak i aktywu partyjnego.

Już 18 października członkowie Biura Politycznego debatowali nad reorganizacją resortu, przy czym sięgnięto do projektów przedstawionych już w 1952 r., ale wówczas odłożonych. Postanowiono w każdym razie, iż szefem resortu zostanie Władysław Dworakowski, „stary” komunista i wieloletni funkcjonariusz aparatu partyjnego, zaś dotychczasowy obejmie trzeciorzędne Ministerstwo Państwowych Gospodarstw Rolnych. Zmieniono też częściowo skład Komisji Biura Politycznego d/s. Bezpieczeństwa Publicznego. Następnego dnia Biuro Polityczne powołało trzyosobową komisję do zbadania przypadków „naruszenia praworządności”, w której skład weszli Adam Doliński (wiceprzewodniczący Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej), Franciszek Józwiak (przewodniczący CKKP i minister kontroli państwowej, a do 1949 r. wiceminister bezpieczeństwa państwowego) oraz Franciszek Mazur (sekretarz KC, wiceprzewodniczący Rady Państwa, od 1948 r. jeden z najbliższych współpracowników Bieruta).

Niespełna dwa tygodnie później gotowy był już całościowy projekt reorganizacji, która polegać miała na podzieleniu MBP na dwa odrębne urzędy centralne. 4 listopada Biuro Polityczne zaakceptowało propozycje utworzenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (MSW) i Komitetu Rady Ministrów d/s. Bezpieczeństwa Publicznego (KBP). Do MSW miały przejść: MO (wraz z ORMÓ), KBW (wraz ze Strażą Przemysłową), WOP, więziennictwo, sprawy paszportowe i ewidencji ludności, służby kwatermistrzowskie i inne pionierzy zaplecza (służba zdrowia etc.). MSW podlegać miało ok. 145 tys. osób. W KBP miały się znaleźć: wszystkie pionierzy operacyjne MBP (łącznie z techniką operacyjną i ochroną rządu), aparat łączności specjalnej oraz wydzielone służby zaplecza logistycznego. KBP miało podlegać ok. 24 tys. osób, w tym ok. 10,5 tys. pracowników operacyjnych³¹.

31. CAMSW, 17/IX/112, t.4.

Równocześnie komisja Doliński-Józwiak-Mazur prowadziła intensywne dochodzenie „po linii partyjnej”. Dziesiątki funkcjonariuszy byłego departamentu X i jego wojewódzkich odpowiedników oraz Departamentu Śledczego składało oświadczenia i opisywało stosunki panujące w obu tych agendach MBP. Głównymi obciążonymi stawali się zdymisjonowany już Różański, a zwłaszcza „renegat” Światło (rzadziej podnoszono zarzuty wobec Fejgina). Ostatecznie 5 listopada Różański został aresztowany. Całe to śledztwo wywierało destrukcyjny wpływ na aparat bezpieczeństwa, tym bardziej że nie było wiadomo, w jakim momencie zostanie zakończone i jak głęboko w dół hierarchii sięgną sankcje prokuratorskie, areszty oraz karne zwolnienia z pracy. Funkcjonariusze w centrali resortu byli poważnie zaniepokojeni, a niepokój ten pogłębiały powtarzające się narady i zebrania zarówno partyjne, jak i operacyjne.

Największą z nich była „partyjno-służbowa narada aktywu Ministerstwa”, która odbyła się w dniach 11 i 13 listopada. W dyskusji nad referatem Radkiewicza wzięły udział 32 osoby³². Niektórzy z dyskutantów usprawiedliwiali się, ale większość krytykowała nie tylko siedzącego już w więzieniu Różańskiego, ale także organizację partyjną w MBP i kierownictwo resortu. A nawet komórkę KC PZPR zajmującą się sprawami personalnymi aparatu bezpieczeństwa. Padały nazwiska odpowiedzialnych za „tolerowanie” nadużyć – m.in. wiceministrów Mieczysława Mietkowskiego, Romana Romkowskiego i Konrada Świetlika. „Zagadnienie: kogo można krytykować – powiedziała jedna z zabierających głos – umarło dzisiaj na tej sali”. Radkiewicz, w wystąpieniu końcowym, sparował niektóre wypowiedzi: „Dziś był dzień krytyki kierownictwa. Ale to nie wszystko – trzeba stanąć na płaszczyźnie rzetelnych prób przewyciężenia tych schorzeń. A dzisiaj, jeśli chodzi o samokrytykę dyrektorów [departamentów], to była ona niżej krytyki”. Raz jeszcze jednak zagwarantował, iż wobec funkcjonariuszy nie będą stosowane areszty i środki administracyjne. Za najważniejsze uznał „środki moralno-politycznego uzdrowienia ludzi”. Zakończył też posiedzenie

32. Protokół z narady patrz: AAN, Spuścizna M. Moczara, t.7.

optymistycznie: „stać nas na to, aby (...) dalej być wiernym Partii, ostrym orężem walki o socjalizm w naszym kraju”.

Trudno było się spodziewać, że ktokolwiek poruszy generalne sprawy systemowe. W końcu nieomal wszyscy wyżsi funkcjonariusze „bezpieki” byli komunistami z przedwojennym stażem, przenikniętymi „kominternowską mentalnością”, lojalnymi wobec partii i sowieckiej Ojczyzny Światowego Proletariatu.

Ostrzejsza w tonie i bardziej krytyczna wobec ścisłego kierownictwa PZPR była dwudniowa narada centralnego aktywu partyjnego, która odbyła się w dniach 29-30 listopada³³. Padło na niej wiele zarzutów wobec aparatu bezpieczeństwa, które Radkiewicz odpierał najwyraźniej bez przekonania, ale zebrani nie wyszli poza krytykę „braku kolegalności” w kierownictwie partyjnym. Być może pewnym zaskoczeniem dla Bieruta były pytania o Gomułkę i podstawy trzymania go w więzieniu, skoro potępia się metody pracy „bezpieki”, a zwłaszcza Departamentu X.

W przyspieszonym trybie finalizowano zmiany organizacyjne i 7 grudnia Rada Ministrów uchwaliła dekret „o naczelnym organach administracji państwowej w zakresie spraw wewnętrznych i bezpieczeństwa publicznego”³⁴. Tydzień później zwolniono z więzienia Gomułkę (co zachowano w ścisłej tajemnicy). W dniach 10-11 grudnia odbyła się kolejna, prowadzona już przez nowego przewodniczącego Komitetu, wielka narada „aktywu” aparatu bezpieczeństwa³⁵. Po niezwykle obszernym referacie Dworakowskiego odbyła się długotrwała dyskusja, w której zabierało głos kilkadziesiąt osób. Przeważały akcenty krytyczne wobec kierownictwa MBP i samokrytyczne.

Przewijały się też pretensje o niewłaściwe informowanie funkcjonariuszy w trakcie zmian dokonywanych w ciągu 1954 r. Najdobitniej wyraził je jeden z przedstawicieli aparatu terenowego: „Pozostawiliście nas samych, zajęliście się czort

33. Protokół z narady patrz: AAN, KC PZPR, p. 213, t.119.

34. *Dziennik Ustaw* nr 54, 1954, poz. 269.

35. Protokół z narady patrz: CAMSW, 17/IX/77, t.14.

wie czym, jakąś tam wielką sprawą” – mówił do poprzednich szefów, którzy byli wprawdzie na sali, ale nie znaleźli się już w nowej strukturze resortu. Niektórzy mówcy zwracali też uwagę na nader nieprzychylnie reakcje wobec „ubeków”, obniżenie się ich autorytetu i jawnie okazywaną im niechęć (która stopniowo zastępowała dawny strach przed złowrogim urzędem). Jeden z mówców zrelacjonował bójkę między pracownikiem powiatowego UB a znajomym milicjantem, który wyśmiewał się z kolegi: „skończyło się wam, pójdziesz do PGR”, co było oczywistą aluzją do nowego stanowiska tak groźnego do niedawna Radkiewicza.

Przewodniczący Komitetu wzywał, aby nie dopuścić do demobilizacji, ale znaczna część działaczy partyjnych – różnego szczebla – nalegała na dalsze zmiany i publiczne potępienie „łamania praworządności” przez UB. Tak jak w listopadzie winy MBP zrzucano na barki Różańskiego czy Światły, tak teraz winy samej partii zrzucano na „błędy i wypaczenia” aparatu bezpieczeństwa.

W niektórych środowiskach UB pojawiły się tendencje do zdecydowanego ograniczenia zasięgu działalności resortu oraz „rozpuszczenia” większości sieci agenturalnej. Podczas odpraw wojewódzkich, które odbyły się w dniach 16-21 grudnia, koncentrowano się na krytyce zwierzchników, ale nowe kierownictwo najbardziej zaniepokojone było owymi „tendencjami likwidatorskimi”³⁶. Na Śląsku np. „dominował element szerokiej analizy dnia wczorajszego i nieomal zupełny brak perspektyw na jutro”. Autorzy analizy konkludowali: „dużo, śmiało i krytycznie mówiono o tym co było, ale niedostatecznie jeszcze rozumiano zadania na przyszłość”. Podobne nastroje w aparacie centralnym sygnalizował na jednym z posiedzeń Komitetu sowiecki doradca Jewdokimienko³⁷.

Na nastroje aparatu bezpieczeństwa poważny wpływ miało posiedzenie plenarne KC PZPR (21-24 stycznia 1955),

36. Analiza i ocena tych narad patrz: „Nieznany dokument na temat nastrojów w aparacie bezpieczeństwa publicznego w Polsce w końcu 1954 r.” (oprac. D. Jarosz), w: *Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko narodowi Polskiemu*, t. XXXVI, 1993, ss. 141-153.

37. CAMSW, 17/IX/268, t.1 (protokół z 20 grudnia).

którego uchwała – ogłoszona w prasie i szeroko komentowana – zawierała m.in. zarzuty o „aresztowania niewinnych osób”, „stosowanie zakazanych przez prawo metod w śledztwie”, „karygodne wypaczenia w pracy z agenturą”, co spowodowało „deprawację części odpowiedzialnych pracowników niektórych ogniw bezpieczeństwa”³⁸. Można sądzić, iż wielu czytelników pomijało zastrzeżenia, iż zarzuty ograniczono do „części pracowników niektórych ogniw” i – najzupełniej słusznie – przenosiło je na wszystkich funkcjonariuszy. Rozgoryczenie, zwłaszcza szeregowych „ubeków”, było tym silniejsze, iż 16 lutego Sekretariat KC podjął decyzję o „częściowej redukcji” aparatu bezpieczeństwa³⁹, za czym poszły odpowiednie decyzje Komitetu, który postanowił zwolnić z pracy blisko 11 tys. osób⁴⁰. W istocie do 1 maja zwolniono ok. 6,5 tys. pracowników etatowych oraz ponad 700 kontraktowych, co stanowiło 1/5 efektywów. Zwolnienia najbardziej dotknęły aparat w powiatach, gdzie najtrudniej było znaleźć nową pracę.

Aparat wszedł w okres trwającej kilka miesięcy destabilizacji. Podczas odprawy resortowej, która odbyła się w dniach 24-26 marca, wiceprzewodniczący Komitetu (poprzednio wiceminister w MBP) Jan Ptasieński alarmował, iż były „liczne wypadki eliminacji agentury”, a nawet pojedyncze przypadki „zupełnego wyzbycia się agentury”⁴¹. „Niem mało było takich – ubolewał – którzy przestali być dumni z tego, że pracują w organach bezpieczeństwa, że partia zaufała im, kierując [ich] na pierwszą linię walki”. Najwyższy niepokój mówcy budził fakt, iż „gdzieniegdzie pojawia się swoista teoria wygasania walki klasowej”. Sowiecki doradca Departamentu Śledczego na posiedzeniu Komitetu (18 kwietnia) wyrażał się z dezaprobatą o sytuacji w nadzorowanym przez niego pionie. „Widoczne są – mówił płk Sokołow – wahania, niezdecydowanie i obawy (...) wywiera to wpływ na wytworzenie niewłaściwej atmosfery wśród więźniów śledczych, której wyrazem jest roz-

38. *Trybuna Ludu* z dn. 25 stycznia 1955.

39. AAN, KC PZPR, t.1671.

40. CAMSW, 17/IX/112, t.4.

41. CAMSW, 17/IX/77, t.15.

zuchwalenie się i prowokacyjne wystąpienia”. „Obecnym zadaniem – konkludował – winno być nie wypominanie starych błędów (...), a położenie kresu obecnej niezdrowej atmosferze”⁴².

W „Notatce dotyczącej ujemnych zjawisk w pracy aparatu bezpieczeństwa w trakcie reorganizacji” powatrzano te obawy, zwracając szczególnie uwagę na „nastroje demobilizacji i niepewności u tych pracowników, którzy (...) spodziewali się zwolnienia”. Podkreślano też niepokojące fakty „rozluźnienia dyscypliny służbowej, wyrażające się w próbach podważania autorytetu kierownictwa, złośliwego interpretowania i opieszalego wykonania, a nawet i niewykonania wydanych poleceń”⁴³.

Na podstawie zachowanych dokumentów można sądzić, iż nastroje te stopniowo ustępowały, choć oczywiście daleko było do stanu pełnej gotowości do wykonywania każdego zadania, a przede wszystkim pewności siebie, jaka cechowała aparat przed początkiem „odwilży”. W grudniu 1955 r. autorzy materiału informacyjnego dla Biura Politycznego stwierdzali, iż aparat, po reorganizacji – która „była dla niego poważnym wstrząsem” – „ustabilizował się i, przewyciężając różne szkodliwe nastroje, osiągnął już pewien stopień mobilizacji dla skutecznej walki z wrogiem”⁴⁴. Jednym z elementów stabilizacji była „czystka” przeprowadzona w organach informacji wojskowej, znacznie głębsza niż w „cywilnym” bezpieczeństwie, i formalne podporządkowanie kontrwywiadu wojska Komitetowi Bezpieczeństwa Publicznego. Z dniem 1 września zakończono formalnie reorganizację i rozwiązano komisję nadzorującą redukcje, a więc zahamowane zostały zwolnienia. Dokonany został przegląd zarządzeń wewnętrznych wydanych w latach 1944-1953 (lista zdezaktualizowanych przepisów zawierała 242 pozycje); ograniczono ewidencję „elementów podejrzanych”, co m.in. zmniejszyło ilość pracy przy „sprawdzaniu” *dossiers*; zlikwidowano znaczną część Re-

42. CAMSW, 17/IX/268, t.1.

43. CAMSW, 17/IX/112, t.4.

44. AAN, KC PZPR, p.16, t.62; podobną ocenę dało kierownictwo KBP w sprawozdaniu złożonym w maju 1956 r. dla Biura Politycznego.

feratów Ochrony pracujących w fabrykach; wprowadzono nowe przepisy dotyczące działalności operacyjnej i pracy z agencją. Kierownictwo nie domagało się tak gwałtownie jak uprzednio szybkiego uzyskiwania „pożądanych” wyników przesłuchań. Bicie i „środki przymusu” zniknęły z repertuaru instrumentów śledczych, co dla tych funkcjonariuszy, którzy nie mieli skłonności sadystycznych stanowiło odczuwalną ulgę w wykonywaniu codziennych obowiązków. Nie brakowało wprawdzie napomnień o konieczności „aktywnego rozpracowywania wrogów”, ale kierownictwo nie kładło już nacisku na areszty. Ilość aresztowanych przestawała być głównym miernikiem w ocenie funkcjonariuszy. Ograniczono także kontrolę samych funkcjonariuszy, m.in. uchylając obowiązek uzyskiwania zgody zwierzchników na śluby⁴⁵. Zresztą już organizując Komitet obniżono rangę Biura d/s. Funkcjonariuszy – które było zmartwieniem pracowników resortu – włączając je do Departamentu Kadr i Szkolenia.

Zmieniła się nieco – co było chyba najważniejsze dla samopoczucia „ubeków” – atmosfera w kraju. Wyraźnie zelżała propaganda ostrzegająca przed „imperialistyczną agresją”; opadła fala szpiegomanii; dyrektywy i zalecenia płynące z centrali mniej były nasycone elementami ideologicznymi. Znaczna część napięć politycznych przeniosła się na legalne forum (krytyczne artykuły w czasopiśmie, debaty w różnych gremiach związanych z kulturą), które pozostawało wówczas w polu zainteresowania raczej aparatu partyjnego niż bezpieczeństwa.

Gdy wydawało się, że aparat bezpieczeństwa – wraz z partią komunistyczną – bez wewnętrznych konfliktów i większych kłopotów weźmie „łagodny zakręt” rozpoczęty po śmierci Stalina, nastąpiły wydarzenia, które przyniosły funkcjonariuszom kolejne stresy i destabilizowały pracę organów. Wstrząs spowodowany rewelacjami Chruszczowa na XX Zjeździe KPZS był w Polsce znacznie głębszy niż w innych krajach satelickich. Istotnym powodem tego była decyzja kierownictwa PZPR o przeprowadzeniu zebrań podstawowych organizacji partyjnych poświęconych zapoznaniu zebranych z

45. CAMSW, Akta Normatywne, t.39 (zarządzenie z 3 marca).

tekstem tajnego referatu Chruszczowa, w których z reguły uczestniczyli też bezpartyjni. Wprowadziło to wiele środowisk w stan prawdziwego wrzenia, a dla „ubeków” miało dodatkowy wymiar przez fakt, iż zasadniczym wątkiem referatu były zbrodnie popełniane przez sowiecki aparat bezpieczeństwa⁴⁶. Potępiając NKWD i Berię trudno było podtrzymywać tezę o niewinności „polskich czekistów” – jak chętnie o sobie mówili pracownicy UB – i ich szefa Radkiewicza. Parę lat wcześniej, w 1951 r., uroczyste przecież obchodzono 25 rocznicę śmierci Dzierżyńskiego – „Żelaznego Feliksa” – którego polskie pochodzenie z dumą podkreślano. Innym czynnikiem, o znacznie szerszym zasięgu, była śmierć Bieruta i pojawienie się problemu sukcesji. Nasiliło to konflikty wewnątrz partyjnej elity, a centralny ośrodek decyzyjny przestawał wysyłać jednoznaczne sygnały polityczne.

Już podczas narady z kierownikami wojewódzkich UBP, która odbyła się 17 kwietnia⁴⁷ sygnalizowano, iż „wśród pracowników panuje nastrój dużego przygnębienia wywołany nie tylko powszechną bardzo surową krytyką (...) lecz wypadkami wyolbrzymiania błędów, a nawet szkalowania aparatu bezpieczeństwa i poszczególnych jego funkcjonariuszy”. Za szczególnie mocno oddziaływujące uznano „objawy niechęci” ze strony pracowników aparatu partyjnego i aktywistów PZPR. Przytaczano takie fakty, jak odmowa przydziału mieszkania funkcjonariuszowi UB czy opinię jednego z aktywistów, iż osoby, które widziano w towarzystwie „ubeka” nie powinny być wybierane do władz partyjnych. Złe nastroje pogłębiane były „powszechnymi pogłoskami” o kolejnych redukcjach oraz ograniczeniem liczby etatów oficerskich ze statusem wojskowym, co oznaczało zmniejszenie pensji i utratę części przywilejów. Zebrani zwracali także uwagę na liczne przypadki zwalniania byłych funkcjonariuszy z niedawno znalezionej pracy i stosowania wobec nich różnego rodzaju szykan.

46. O reakcjach na upowszechnianie referatu patrz: Paweł Machcewicz „Polski rok 1956”, Warszawa 1993, s.17-38.

47. Protokół patrz: „UB – nastroje po XX Zjeździe” (opr. A. Paczkowski), w: *Puls*, styczeń-luty 1992, s.71-78.

Osobnym, niepokojącym problemem poruszonym przez uczestników narady były trudności w pracy operacyjnej spowodowane przede wszystkim przez postawę agentury. Mówiono o „bardzo licznych wypadkach odmawiania współpracy”, o prowokacyjnych wypowiedziach dotychczasowych informatorów, którzy powtarzali zarzuty wobec UB formułowane w prasie i zastraszane z zagranicznych rozgłośni. Niektórzy wytrawni nawet agenci wyrażali obawę, iż „dziś bije się w pracowników bezpieczeństwa, a jutro zaczną się bić w ich tajnych współpracowników”. Nowomianowany przewodniczący Komitetu Edmund Pszczółkowski, zachęcał zebranych, aby mobilizowali swych podwładnych zwracając im uwagę, iż organy bezpieczeństwa „są nie mniej, ale więcej potrzebne partii”, gdyż „wróg wewnętrzny wzmoże swoją aktywność” i „nie ma w tej sytuacji mowy o redukcji”.

W drugiej połowie kwietnia miała miejsce seria posunięć politycznych, które raczej wzmocniły złe nastroje niż uspokoiły aparat bezpieczeństwa. Odwołani zostali z funkcji minister sprawiedliwości, prokurator generalny i naczelny prokurator wojskowy. Stracił też swoją posadę rządową Radkiewicz. 23 kwietnia aresztowani zostali Romkowski i Fejgin, a wyrok na Różańskiego – pięć lat więzienia zasądzone w grudniu 1955 r. – został zaskarżony w trybie rewizji nadzwyczajnej jako zbyt niski. 27 kwietnia ogłoszono amnestię, z której skorzystało ponad 9 tys. „przestępców antypaństwowych”, w tym 4,5 tys. natychmiast zwolniono z więzień – coraz częściej mogły więc zdarzać się nieprzyjemne dla „ubeków” spotkania na ulicy ze swymi niedawnymi ofiarami.

W początkach maja Kolegium MSW rozważyło projekt likwidacji Komitetu i utworzenie na jego miejsce dwóch tylko departamentów kontrwywiadowczych w Ministerstwie. Podobne ograniczenie zakresu działania aparatu bezpieczeństwa przewidywano na szczeblu wojewódzkim, a w powiatach miało pozostać tylko „kilka osób”⁴⁸. Komitet starał się bronić swej pozycji, ale sam podjął przygotowania do „zawężenia organizacyjnego niektórych działów” – czyli kolejnej – trzeciej już w ciągu dwóch lat redukcji – oraz postanowiono „nie

48. CAMSW, 17/IX/268, t.5.

stawiać przeszkód pracownikom, którzy pragną zwolnić się na własną prośbę⁴⁹. Kierownictwo partyjne z kolei debatowało nad reorganizacją Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, z którego miały pozostać tylko jednostki ochrony rządu, łączności specjalnej oraz niewielkie siły rezerwowe. Przewidywano, iż wojska wewnętrzne będą mniejsze o ok. 10 tys. osób⁵⁰.

Należy więc sądzić, iż aparat bezpieczeństwa znajdował się w kiepskiej kondycji psychicznej. Gorsze niż kiedykolwiek były też jego możliwości operacyjne. Wedle sprawozdania KBP za okres od maja 1955 r. do kwietnia 1956 r., które przedstawiono Biuru Politycznemu na przełomie maja i czerwca, sieć agenturalna – wciąż liczna, bo wynosząca ok. 36,5 tys. jednostek (plus ok. 12 tys. w sieci informacji wojskowej) – stanowiła zaledwie połowę stanu z 1954 r.⁵¹. Poziom pracy z agenturą był, jak wynika z poprzednio przytaczanych informacji, raczej niski. Funkcjonariusze gubili się też w nowej sytuacji, spowodowanej rozluźnieniem cenzury i gwałtownym wzrostem aktywności publicznej różnych środowisk społecznych. Kierownictwo Komitetu zwracało uwagę na coraz liczniejsze spotkania w środowiskach dawnej opozycji (działacze b. PSL, niezależni socjaliści) oraz akowskich. Szczególnie „uczulano” funkcjonariuszy na działalność osób opuszczających więzienia. Zakazywano jednak ponownych aresztowań, a nawet werbowania wśród nich tajnych współpracowników⁵².

Bardzo silny wpływ na samopoczucie pracowników aparatu bezpieczeństwa wywarły „wydarzenia poznańskie”. Wprawdzie lokalny urząd był dość dobrze poinformowany o rosnących niepokojach wśród robotników dużych zakładów pracy, ale – jak to często bywa – siły bezpieczeństwa okazały się bezradne wobec ruchu, który przybrał masowy charakter. Toteż ani raporty przekazywane przez informatorów, ani dokładna obserwacja przez funkcjonariuszy pierwszej fazy strajku⁵³ nie mogły zapobiec wydarzeniom. Problemem dla „ubeków” nie była jednak – jak sądzę – bezradność wobec powstałej sytuacji,

49. CAMSW, 17/IX/268, t.1.

50. AAN, KC PZPR, t.1674.

51. Tamże.

52. CAMSW, Akta Normatywne, t.40 (zarządzenie z 28 kwietnia).

53. Szczegóły patrz: P. Machcewicz, *op.cit.*, s.80-101.

ale fakt, iż stali się głównym przedmiotem agresji tłumu.

Kulminacyjną fazą strajku, który w tym momencie przybrał cechy narodowej rewolty, stało się oblężenie gmachu wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa. W całym mieście urządzano obławy na „ubeków” i tajnych informatorów. Tłum atakował też budynki, w których mieszkali pracownicy UB (z rodzinami). Po raz pierwszy nazywano ich „gestapowcami” i „esesmanami”. Nawet najstarsi stażem funkcjonariusze nie mieli do czynienia z tego rodzaju wystąpieniami. Manifestacje opozycyjne, które w latach 1945-1946 organizowało PSL, nie przekształcały się w rozruchy. Tylko wiosną 1946 r. doszło do tłumienia siłą manifestacji młodzieżowych z okazji 3 maja⁵⁴. Jednak nigdy – ani w tamtych latach, ani później – akcje strajkowe (liczne zwłaszcza w 1947 r., ale wszczynane także w latach 1950-1951) nie prowokowały ulicznych manifestacji.

Tym bardziej naturalne było więc uznanie strajku i rozruchów za przygotowany z premedytacją atak na państwo. Ze szczególnym naciskiem eksponowało to kierownictwo resortu, starając się dać w ten sposób zadośćuczynienie swoim podwładnym. W specjalnym rozkazie pisano, iż zabici w starciach funkcjonariusze „polegli w walce z wrogiem, broniąc ustroju Polski Ludowej”⁵⁵. W ogólnej ocenie jednak resort nie wypadł dobrze: Biuro Polityczne KC PZPR omawiając wypadki poznańskie stwierdziło m.in., że „demobilizacja aparatu bezpieczeństwa” i „brak czujności” stały się jednym z ważniejszych powodów „zaskoczenia mas przez machinacje wroga”⁵⁶.

Szybko też przystąpiono do wyciągania wniosków organizacyjnych, gdyż dosyć oczywiste było, iż podobne wydarzenia mogą się powtarzać. 3 lipca, wspólnym zarządzeniem KBP i MSW, powołano Wojewódzkie Grupy Koordynacyjne, w skład których wchodził kierownicy UBP, komendanci MO i dowódcy lokalnych oddziałów KBW. Koordynację taką uznano za konieczną, gdyż jednym z zarzutów podnoszonych wobec poznańskich funkcjonariuszy był brak dobrej łączności między tymi trzema pionami. Grupy Koordynacyjne zostały zobowiązane do

54. Największa miała miejsce w Krakowie. Szczegóły patrz: Wojciech Mazowiecki „Wydarzenia 3 Maja 1946”, Paryż 1989.

55. CAMSW, Akta Normatywne, t.40 (rozkaz z 30 czerwca).

56. AAN, KC PZPR, t.1674 (posiedzenie z 3 lipca).

uzgadniania z komitetami wojewódzkimi PZPR „wszelkich ważniejszych wniosków i decyzji”. Zarządzenie określało także zasady i warunki użycia broni⁵⁷. Biuro Polityczne wstrzymało przygotowywaną reorganizację KBW i redukcję jego efektywów⁵⁸. Aż do połowy października nie doszło jednak do żadnych masowych wystąpień. Potężna pielgrzymka do Częstochowy (26 sierpnia) – jedna z największych w dziejach Jasnej Góry – przebiegła bez zakłóceń. Powtarzające się od czasu do czasu „zbiegowiska” nie przybierały poważniejszych rozmiarów, były krótkotrwałe i ściśle zlokalizowane. Zdarzały się, zwłaszcza na Dolnym Śląsku, lokalne zajścia antysemickie, dochodziło do gromadzenia się ludzi w związku z domaganiem się wprowadzenia religii do szkół. Milicja – która zajmowała się tym – reagowała niepewnie nie tylko dlatego, że jej funkcjonariusze nie mieli doświadczenia, ale także z uwagi na fakt, iż – jak podkreślono na posiedzeniu Kolegium MSW – „nie jest autorytatywnie stwierdzone czy manifestacje tzw. pokojowe są dozwolone, czy też należy je rozpraszać”⁵⁹.

Wszystko to jednak miała „na głowie” raczej MO niż UB, także milicjanci częściej – choćby dlatego, że łatwi do odróżnienia – byli obiektem „chuligańskich agresji”⁶⁰. Jak można sądzić z dokumentów, aparat bezpieczeństwa działał rutynowo; ani w kierownictwie Komitetu, ani wśród funkcjonariuszy nie występowały konflikty wewnętrzne tak silne wówczas na szczytach partii. Biuro Polityczne stosunkowo rzadko zajmowało się sprawami Komitetu i UBP. Interesujące, iż jedną z nielicznych inicjatyw z lata 1956 r., które dotyczyły „bezpieki”, była decyzja zwrócenia się do Moskwy o odwołanie doradców zarówno z centrali, jak i z województw⁶¹.

57. CAMSW, Akta Normatywne, t.40.

58. AAN, KC PZPR, t.1674 (posiedzenie z 11 sierpnia).

59. CAMSW, 17/IX/268, t.6 (posiedzenie z 16 października).

60. Wedle zbiorczych danych w I kwartale 1956 r. pobito 32 milicjantów, w II kwartale 42, w trzecim (lipiec-wrzesień) aż 163 – tamże, t.7 (posiedzenie Kolegium MSW z 2 stycznia 1957 r.).

61. AAN, KC PZPR, t.1674 (posiedzenie z 9 września). Na tym samym posiedzeniu postanowiono zwrócić się do ZSSR o porozumienie ws. wyrównania rachunków za węgiel dostarczany przez Polskę (od 1945 r.) po cenach niższych niż światowe. Rozwiązanie obu tych spraw uważane było powszechnie za inicjatywę – i sukces – Gomułki po jego dojściu do władzy.

Kierownictwo Komitetu, starając się o zachowanie sprawności aparatu, niechętnie dostosowywało się do zmieniającej się sytuacji. Podczas ogólnopolskiej odprawy (6 października), której głównym tematem były przygotowania do planowanych na koniec listopada wyborów do Sejmu, Julia Brystygier – od końca 1944 r. jedna z głównych postaci UB – używała języka, który mocno przypominał „dawne czasy”. Stwierdziła m.in. iż niesłusznie uznano, że „bandytyzm polityczny” został już rozbity. „Obecnie – mówiła – na tle wzrostu aktywności politycznej wśród wrogich elementów, wszelki bandytyzm zaczyna nabierać charakteru politycznego”⁶². Dokładnie takie same tezy – o politycznym charakterze każdego przestępstwa wymierzonego w przedstawicieli władzy i własność społeczną – powtarzane były wielokrotnie w latach 1949-1953. Wprawdzie zarzekano się, że inaczej niż w czasie poprzednich wyborów „z dała będziemy od spraw typowania mężów zaufania, członków komisji wyborczych itp.”, ale – jak dodawał referent – „nie możemy zupełnie stać na ubożu”. Do obowiązku należało m.in. sygnalizowanie „jeśli coś wiemy o członkach komisji a nawet kandydatach na posłów”. Rzeczywiście – główny wysiłek aparatu skierowany był wówczas na penetrowanie i inwigilację tych środowisk, które miały ambicje (lub UB sądziło, że mają) podjęcia legalnej działalności i wykorzystania w tym celu kampanii przedwyborczej.

Pogłębiające się rozbieżności w kierownictwie PZPR i ogólna atmosfera polityczna w kraju osłabiały wszelkie możliwości aparatu bezpieczeństwa. Na tejże samej naradzie jeden z przedstawicieli terenu wskazywał, iż „wśród funkcjonariuszy brak aktywności i ofensywności (...), co wynika z dużej dezorientacji co do zadań organów bezpieczeństwa”. Za główne źródło takiego stanu rzeczy uznawał fakt, iż „brak odporu ze strony partii wobec wrogich nieraz wystąpień politycznych”. „Powoduje to – podkreślał – że nasz aparat demoralizuje się”. Sytuacja w resorcie przybierała – wedle jego kierownictwa – niebezpieczny obrót. Przewodniczący Komitetu poczuł się zmuszony do zobowiązania kierowników wojewódzkich UBP, aby stosowali „wszelkie środki mające na celu wyeliminowa-

62. CAMSW, 17/IX/77, t.17.

nie (...) naruszeń dyscypliny”⁶³. Do przejawów owych naruszeń zaliczono m.in. „bezpodstawne kwestionowanie słuszności i celowości wydanego przez przełożonego polecenia”, „brak ofiarności i zapału przy wykonywaniu zadania”, tolerowanie przez zwierzchników „naruszeń dyscypliny i bezpłodnego gadulstwa, co w konsekwencji prowadzi do demoralizacji słabszych ogniw”.

Z natury swych zadań aparat bezpieczeństwa bliższy był tym ośrodkom wewnątrzpartyjnym, które opowiadały się przeciwko liberalizacji i skłaniały do użycia siły dla stłumienia społecznych odruchów. Do środowiska tego (przeciwnicy nazywali je „konserwą”) należał m.in. członek Biura Politycznego Franciszek Józwiak, w latach 1944-1949 Komendant Główny MO, wyraźnie konkurujący wówczas z Radkiewiczem, później przewodniczący Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej, która w pewnych okresach próbowała ogrywać rolę wewnątrzpartyjnego kontrwywiadu. Choć Józwiak od wielu lat znajdował się poza formalnymi strukturami organów bezpieczeństwa, miał jeszcze w nich wpływy, zwłaszcza wśród starszych funkcjonariuszy. Z ramienia Biura Politycznego kontakt z KBP utrzymywał jednak I sekretarz KC Edward Ochab, reprezentujący ostrożną opcję centrową, choć jak wskazują niektóre jego wypowiedzi, był w gruncie rzeczy niechętny zmianom. Podobne stanowisko zajmował, jak się wydaje, przewodniczący Komitetu Pszczółkowski. Jeden z jego zastępców, Antoni Alster, uchodził za zdecydowanego zwolennika liberalizacji. Drugi, Jan Ptasiński, miał z kolei opinię „twardogłowego”.

Tak czy inaczej formalnie kierownictwo partii nie przekazywało do aparatu bezpieczeństwa jednoznacznych poleceń, zresztą w przypadku ewentualnych wystąpień ulicznych rola UB byłaby ograniczona. Ciężar starcia z tłumami spoczywałby na milicji i KBW (oraz wojsku). Dopóki nie podjęto decyzji o działaniach prewencyjnych, np. w postaci aresztowań, informacje operacyjne – raporty agentów, wyniki inwigilacji, podsłuch telefoniczny czy perlustracja korespondencji – gromadzone przez UB i tak pozostawały w szufladach lub łądo-

63. CAMSW, Akta Normatywne, t.42 (pismo z 1 września).

wały w dokumentacji ewidencyjnej. Nic nie wskazuje na to, aby aż do gorących dni VIII Plenum KC PZPR organa bezpieczeństwa ograniczyły swoje działania penetracyjne. Jest raczej pewne, że funkcjonariusze UB wykonaliby bez wahania każdy rozkaz wydany przez zwierzchników. Rozkazów jednak nie było.

Od początku października kierownictwo PZPR oceniało, iż kryzys polityczny zaostrza się, a sytuacja grozi gwałtownym wybuchem na wzór rewolty poznańskiej, tyle że w znacznie szerszej skali. Nie później niż 12 października uznano, iż najlepszym wyjściem będzie powrót na scenę polityczną Władysława Gomułki, o którego przychylność wszystkie grupy w partii zabiegały zresztą od pewnego czasu. Możliwość taką zapowiadał już podczas wspomnianej narady w KBP 6 października wiceprzewodniczący Alster. Jednak to, co działo się w kraju od rozpoczęcia VIII Plenum (19 października), zaskoczyło wszystkich, także wspomnianego Gomułkę. Wyjście z koszar kilku dywizji Armii Radzieckiej i nagłe pojawienie się w Warszawie nieomal całego kierownictwa z Kremla, gwałtownie zaogniły atmosferę. Choć *summa summarum* manewr wykonany przez PZPR i Gomułkę dla opanowania sytuacji można uznać za majstersztyk, pierwsze dni po tryumfalnym powrocie do władzy wieloletniego więźnia UB nie zapowiadały tego.

Cały kraj znalazł się w stanie nieustającego wrzenia: odbywały się setki mitingów, które często przekształcały się w uliczne manifestacje; w fabrykach wywożono na taczkach najbardziej znienawidzonych członków dyrekcji, „personalników”, zdekonspirowanych tajnych współpracowników UB (lub osoby, które za nich uchodziły); gorączkowe zebrania partyjne odbywały się nawet w jednostkach wojskowych. Nowe – a raczej odnowione – kierownictwo PZPR poważnie brało pod uwagę możliwość nasilania się wystąpień ulicznych. Już 24 października Biuro Polityczne „w związku z niepokojącą sytuacją w kraju” postanowiło „zlecić wszystkim Komitetom Wojewódzkim, by zorganizowały milicję robotniczą” jako siłę pomocniczą dla MO⁶⁴. W stanie wzmożonej gotowości

64. AAN, KC PZPR, t.1674.

ci utrzymywano jednostki KBW. Mobilizowano aktywność partyjną.

Minęły blisko dwa tygodnie od zakończenia VIII Plenum zanim przewodniczący KBP wydał pierwsze zasadnicze rozkazy swoim podwładnym. Przekazanie ich wiązało się z opublikowaną 2 listopada, odezwą sygnowaną przez KC PZPR, w której wzywano „całą Partię i społeczeństwo do (...) dania zdecydowanego oporu wszelkim awanturniczym wystąpieniom ze strony reakcji i nieodpowiedzialnych elementów”⁶⁵. Jako podstawowe zadanie aparatu wskazano zapewnienie „stałego dopływu informacji o wszelkich zamierzeniach, próbach i wystąpieniach wrogich, chuligańskich i nieodpowiedzialnych elementów”. Charakterystyczne, iż jako najważniejszego adresata tych informacji wskazano instancje partyjne, co miało im umożliwić „podjęcie na czas odpowiedniego przeciwdziałania i niedopuszczenia do wrogich wystąpień”. Najwyraźniej UB, MO i KBW miały działać „w drugiej linii”, a za najważniejsze uznano polityczne narzędzia opanowania sytuacji.

Dzień później – tj. 3 listopada – wydano następny rozkaz, tym razem bardziej szczegółowy, ale utrzymany w podobnym tonie⁶⁶. Zalecano powstrzymywanie się od wszelkich wystąpień na zewnątrz. Nawet „rozmowy ostrzegawcze” z „nieodpowiedzialnymi i antypaństwowo rozpolitykowanymi elementami” winny być przeprowadzane nie przez funkcjonariuszy UB, ale przez aktywistów partyjnych i kierownictwa zakładów pracy. Dla bezpieczeństwa funkcjonariuszy – i zapewne, aby nie drażnić robotników – nakazano „bezwzględne wycofanie” z zakładów pracy istniejących tam jeszcze placówek, które winny zostać przeniesione w pobliże siedzib wojewódzkich lub powiatowych UBP. Zastrzegano także, iż zbieranie informacji ze środowisk, które cechuje szczególne nasilenie aktywności, nie jest „równoznaczne z ich rozpracowywaniem”. W przypadku „napadów terrorystycznych” nakazywano wprawdzie „reagować z całą energią i zdecydowaniem”, ale tylko „w drodze ustalania sprawców i dokumentowania przestępstw”. Z kontekstu wynika, iż miałyby to dotyczyć nawet „napadów” na funkcjonariuszy UB.

65. CAMSW, Akta Normatywne, t.42 (pismo 1 września).

66. Tamże.

Oczywiste jest, iż aparat bezpieczeństwa nie mógł być immunizowany na wirusa rozliczeń i powszechnej krytyki wszelkiego rodzaju szefów i zwierzchników, choć jak wspominał Franciszek Szlachcic, ówczesny szef wojewódzkiego UBP w Katowicach, „wydawało się, że jakoś przetrwa”⁶⁷. Fala rozliczeń, skanalizowana na przełomie 1954/55 przez „odgórne” wskazanie winnych, dotarła do resortu z niewielkim opóźnieniem w porównaniu z innymi instytucjami państwowymi. Już w cytowanym rozkazie z 3 listopada przewodniczący KBP zwracał uwagę, iż „na odbytych ostatnio zebraniach partyjnych w naszym aparacie wysunięto szereg słusznych postulatów i skarg”. Dodawał wszakże, że „występowały akcenty niesłuszne a nawet demagogiczne, które osłabiają dyscyplinę partyjną i służbową”. „W pewnym momencie wszystko pękło – wspomina Szlachcic. W centrali i we wszystkich województwach odbywały się spontaniczne i organizowane zebrań (...). W poznańskim urzędzie bezpieczeństwa zgłoszono propozycję zniesienia Służby Bezpieczeństwa jako organizacji skompromitowanej i zbędnej w warunkach demokracji”. Ale – jeśli można sądzić po pytaniach, które zadawano na zebraniu partyjnym w warszawskiej centrali⁶⁸ – przeważały tendencje antyliberalne. Przede wszystkim jednak atakowano tych wyższych funkcjonariuszy, którzy ostali się w resorcie po zmianach z 1954 r.

Nie wnikając – co byłoby zapewne i tak niemożliwe – w motywy, którymi kierowały się osoby szczególnie aktywne w inicjowaniu kampanii „rozliczeń”, należy zwrócić uwagę na jej samoobronny charakter. Widoczny jest on dobrze np. w „Sprawozdaniu” opracowanym przez Komisję Partyjną powołaną 19 listopada na podstawie uchwały narady aktywu w KBP. Jako jeden z powodów utworzenia tej komisji podano nieobiektywność prasowej „krytyki błędów i wypaczeń”, która „krzywdziła podstawową część pracowników”⁶⁹. Aparat winien sam dokonać „rozliczeń”, a nie oddawać je w ręce niepowołanych ludzi z zewnątrz. Obrona przed atakami opinii

67. Franciszek Szlachcic „Gorzki smak władzy. Wspomnienia”, Warszawa 1990, s.18.

68. AAN, KC PZPR, Materiały B. Bieruta, 509/58.

69. Tamże, II/94.

publicznej była niewątpliwie autentyczna, ale emocje wzmagały – jak się wydaje – ostro zarysowane podziały polityczne. Istotną rolę zdawał się także odgrywać fakt, iż „rozliczenia” stanowiły narzędzie w swego rodzaju buncie funkcjonariuszy średniego i niższego szczebla przeciwko zwierzchnikom. Autorów cytowanego „Sprawozdania” szczególnie dotknęło, że w toczącej się już reorganizacji organów bezpieczeństwa „chcieli nadal odegrać decydującą rolę ci, którzy w minionym okresie mocno skompromitowali się i dopuścili faktów łamania praworządności”. Im zaś ktoś wyżej stał w hierarchii, tym jego odpowiedzialność była większa.

Przykład zresztą szedł od góry: po VIII Plenum powołano wieloosobową komisję „dla zbadania odpowiedzialności partyjnej za wypaczenia w organach bezpieczeństwa”, która przesłuchania rozpoczęła od b. ministra Radkiewicza. Jakkolwiek w ostatecznych konkluzjach – przedstawionych Biuru Politycznemu dopiero w połowie maja 1957 r. – za głównych winowajców uznano aresztowanych już Romkowskiego, Fejgina i Różańskiego oraz (oczywiście) „renegata” Świątę⁷⁰, sam fakt utworzenia takiej komisji i wzywania przed nią najwyższych funkcjonariuszy b. MBP sprzyjał – być może wbrew intencjom Gomułki – „rozliczaniu od dołu”.

Wrzenie, które objęło także MO, trwało kilka miesięcy, także po reorganizacji resortu. Część członków kierownictwa MSW zwracała uwagę, iż wiele wypowiedzi i żądań personalnych miało wyraźnie antysemicki charakter. Jeszcze w końcu stycznia 1957 r. min. Władysław Wicha zachęcał podczas posiedzenia Kolegium Ministerstwa, aby „zamknąć dotychczasowy okres waśni, zarzutów, podejrzeń itp.”⁷¹. Przeciwnikiem rozniecania sporów i waśni – zarówno w aparacie partyjnym, jak i organach bezpieczeństwa – był także sam Gomułka, który troszczył się, aby „odnowa” była poddana całkowitej kontroli.

Zapewnić ją miała m.in. reorganizacja, a zniknięcie z listy instytucji państwowych nazwy „bezpieczeństwo publiczne”, nieuchronnie kojarzonej z niesławnym MBP i budzącą grozę

70. AAN, KC PZPR, t.1681.

71. CAMSW, 17/IX/268, t.7.

„bezpieką”, zaspokoić miało opinię społeczną, która – nadaremnie – domagała się ukarania winnych za wieloletni, krwawy i masowy terror. Był to wszakże „terror państwowy”, a taki karany jest (poza przykładowymi „kozłami ofiarnymi”) tylko przez rewolucje. Gomułka zaś daleki był od myśli o gwałtownych i daleko idących zmianach.

Postawiono więc na reorganizację, redukcję oraz usunięcie ze służby części wyższych funkcjonariuszy, co jednak odbywało się dyskretnie. Biuro Polityczne już 6 listopada 1956 r. omawiało sytuację w resorcie i podjęło decyzję o połączeniu KBP i MSW. Cztery dni później zatwierdzono – „w zasadzie” – projekt reorganizacji polegającej na włączeniu aparatu bezpieczeństwa w strukturę MSW⁷². W iście ekspresowym tempie, bo już 13 listopada, weszła w życie ustawa „o zmianie organizacji naczelných władz państwowych w zakresie bezpieczeństwa publicznego”⁷³, likwidująca KBP. Tego samego dnia Rada Ministrów, uchwałą nr 781, ustanowiła nowy statut organizacyjny MSW. Przewidywał on wyodrębnienie trzech departamentów operacyjnych MSW w pion Służby Bezpieczeństwa. Tak to „polski październik” przyniósł zmianę: zamiast UB pojawiła się SB.

Andrzej PACZKOWSKI

72. AAN, KC PZPR, t.1674.

73. *Dziennik Ustaw* nr 54, 1956, poz.241.

Grzegorz MAZUR

AGONIA ARMII KRAJOWEJ 1944-1945

Koncepcje dowództwa Armii Krajowej przewidywały, jako finał prowadzonej działalności przeciw okupantowi niemieckiemu, wybuch powstania powszechnego, wspartego operacjami aliantów oraz masowymi zrzutami broni i sprzętu wojskowego. Rozwój sytuacji militarno-politycznej w Europie uświadomił Komendzie Głównej Armii Krajowej, że ziemie polskie zostaną zajęte przez Armię Czerwoną i spowodował zastąpienie planów powstańczych planem „Burza”. W dniu 20 XI 1943 r. zostały wydane wytyczne do „Burzy”. Właśnie „Burza” stała się ostatnim akordem walki AK, swego rodzaju początkiem jej końca¹.

Oprócz planów „Burzy” w drugiej połowie 1943 r. podjęto przygotowania do stworzenia poza strukturami AK ściśle zakonspirowanej organizacji „NIE”, która miała działać po wkroczeniu Armii Czerwonej do Polski. Realizację tego zadania powierzono płk. Augustowi Emilowi Fieldorfowi. W maju 1944 r. istniały już pierwsze komórki organizacji w okręgach Lublin, Wilno, Kraków i obszarze ZWZ-AK Lwów. Niestety, z braku wystarczającej bazy źródłowej, brak jest wielu szczegółów o strukturze organizacyjnej i obsadzie „NIE”.

1. „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”, Londyn 1973-1989, (dalej cyt. „AK”, nr tomu, nr strony), t. III, s. 209-213.

Organizacja ta nie zdołała zresztą rozwinąć później w pełni działalności z jednej strony z powodu aresztowań wśród jej członków, a z drugiej z powodu samolikwidacji².

Zagrozenie na Kresach Wschodnich dla Polaków wpływało z wrogiej postawy partyzantki sowieckiej, z którą toczono zaciekle walki. Już 8 V 1943 r. miał miejsce napad sowieckiej brygady partyzanckiej mjr. Wasilewicza na Naliboki, celem zniszczenia polskiej samoobrony tej miejscowości i zastraszenia samoobrony w innych miejscowościach. Jak wspomina cichociemny A. Pilch, „podczas napadu spłonęła duża część tej miejscowości. Był to również akt zemsty. Otóż w latach 1939-1941 mieszkańcy Nalibok sprzeciwiali się jednomyślnie kolektywizacji, nie chcąc słyszeć o kołchozach. Pamiętali o tym politycy i enkawudyści, którzy obecnie zajmowali eksponowane stanowiska w partyzantce”³. Komitet Centralny WKP(b) Białorusi 22 VI 1943 r. wydał uchwałę nakazującą zwalczanie polskiego podziemia⁴. Podkreślić trzeba, że partyzantka sowiecka była tam wtedy silniejsza od polskiej, 22 XI 1943 r. liczyła 185 oddziałów posiadających 25.835 ludzi oraz w rezerwie 43.000 ludzi. Wszędzie na terytorium Białorusi istniały podziemne obwodowe komitety WKP(b), wydające swoje gazety, planowano dodatkowo przetrzucenie kolejnych oddziałów oraz dużych ilości uzbrojenia celem uruchomienia rezerw. Przewidywano atakowanie polskich oddziałów partyzanckich, a siły własne – jak w notatce adresowej do J. Stalina referował szef Głównego Sztabu Ruchu Partyzanckiego i I sekretarz WKP(b) Białorusi, gen. lejtn. Pantelejmon Ponomarenko – umożliwiły „zburzenie organizacji polskiej Armii Krajowej jako siły bezwarunkowo powołanej przeciwko państwu sowieckiemu”⁵. Działania sowieckie zmierzały też do zniszczenia oddziałów AK przez siły niemieckie: 13 VII 1943 r. miała miejsce obława w Puszczy Nalibockiej,

2. M. Fieldorf, L. Zachuta, „Generał ‘Nil’ – August Emil Fieldorf, Fakty, dokumenty, relacje”, W-wa 1993, s. 113, 121.

3. A. Pilch, „Polacy trzech puszczy”, W-wa 1992, s. 72.

4. M. Juchniewicz, „Partyzanci w radzieckim ruchu podziemnym i partyzanckim 1941-1944”, W-wa 1973, s. 299-300.

5. „Z Archiwów sowieckich”, t. III: „Konflikty polsko-sowieckie 1942-1944”, oprac. W. Roszkowski, W-wa 1993, s. 103.

w trakcie której, mimo wcześniejszej umowy z Sowietami o wspólnej obronie, wycofali się oni zostawiając odsłonięte polskie tyły i skrzydła. Straty AK wyniosły około 120 zabitych i zaginionych oraz około 40 rannych. Wreszcie został rozbrojony 300-osobowy oddział Antoniego Burzyńskiego; rozstrzelano 80 polskich żołnierzy⁶.

W ślad za uchwałą z 22 czerwca wydany został 30 XI 1943 r. rozkaz gen. lejtn. P. Ponomarenki, nakazujący z dniem 1 XII 1943 r. rozbrojenie polskich oddziałów partyzanckich. W dniu tym dowódca sowieckiej Brygady im. Frunzego i Zgrupowania Brygad Strefy Iwienieckiej (jednocześnie sekretarz Podziemnego Rejonowego Komitetu WKP(b) w Lidzie), gen. mjr Grigorij Sidoruk, zaprosił na naradę dowództwo oddziału ze składu 78 pp AK. W rezultacie tej pułapki, według danych sowieckich rozbrojono 230 z 310 żołnierzy polskich, niektórych rozstrzelano. Grupę oficerów: mjr. Wacława Pełkę, por. Miłaszewskiego, cichociemnych ppor. Lecha Rydzewskiego i ppor. Ezechiela Łosia, wywieziono na Łubiankę do Moskwy i potem do łagrów, skąd wrócili dopiero w latach 1947-1948. Przy zabitym wtedy (wg relacji A. Pilcha wziętym do niewoli) komisarzu sowieckim znaleziono rozkaz rozbijania oddziałów polskich⁷. Ponieważ w rezultacie sowieckich ataków zaczęły płonąć polskie osiedla, podjęto decyzje o samoobronie. Dowodzący Zgrupowaniem Nadniemeńskim w Okręgu Nowogródek rtm. Józef Świda pisze o rozkazach otrzymanych od komendanta Obszaru Białystok, płk. Edwarda Godlewskiego: „Pułkownik powierzył mi tworzenie na terenie Nowogródzczyzny oddziałów partyzanckich AK. Zadanie: dywersja i walka z Niemcami, ale poza tym – i to jako zadanie pilne – oczyszczenie okręgu z sowieckich oddziałów partyzanckich”⁸.

6. H. Martinowa, „Dokumenty KGB”, *Zeszyty Historyczne* (Paryż), 1994, z. 108, s. 190-191; J. Prawdzic-Szlaski, „Nowogródzczyzna w walce 1940-1945”, Londyn 1976, s. 204-205; A. Pilch, s. 81-85; J. Erdman, „Droga do Ostrej Bramy”, Londyn 1984, s. 239.

7. J. Świda, „Wyjaśnienie dotyczące okresu 1943/1944 roku”, *Zeszyty Historyczne* (Paryż), 1985, z. 73, s. 76; J. Erdman, s. 242-244; „Z archiwów sowieckich”, s. 107, 191; J. Tucholski, „Cichociemni”, W-wa 1988, s. 363, 406. Dokładny opis rozbrojenia oddziału mjr. W. Pełki podaje A. Pilch, s. 100-108.

8. J. Świda, s. 75.

Autor monografii wileńskiej 6 Brygady AK, W. Borodziejewicz, wylicza przypadki kilku starć stoczonych przez nią z partyzantką sowiecką w okresie grudzień 1943 – marzec 1944 r.⁹. Można sądzić, że było ich więcej, ale nie wszystkie zostały odnotowane. Dowódca Okręgu Nowogródek, płk Janusz Prawdzic-Szlaski, wspomina, że oddziały tego okręgu, stoczyły 83 walki z bolszewikami i 158 walk z Niemcami (dane niepełne). Zgrupowanie Stołpeckie na przykład między listopadem 1943 r. a 29 VI 1944 r. stoczyło 32 potyczki z sowieckimi partyzantami i ani jednej z Niemcami¹⁰. Niestety nie są nam znane szczegóły tych walk; żyjący w Polsce ich uczestnicy obawiając się represji w ogóle o nich nie wspominali.

Następnym posunięciem NKWD w walce z polskim podziemiem było wydanie 25 I 1944 r. przez zastępcę Ławrentija Berii, gen. Borysa Kobułowa, wytycznych do operacji zwalczania podziemia na Kresach Wschodnich, noszącej kryptonim „Sejm”. Skierowane one były do komisarzy ludowych Bezpieczeństwa Państwowego Ukrainńskiej (komisarz bezpieczeństwa państwowego III rangi W. Sauczenko), Białoruskiej (komisarz bezpieczeństwa państwowego III rangi Ławrentij Canawa) i Litewskiej SSR oraz naczelnika Głównego Zarządu Kontrwywiadu Ludowego Komisariatu Obrony „Smiersz”, W. S. Adakumowa. Nakazywały one rozpoczęcie przygotowań do rozpracowania agenturalnego struktur polskiego podziemia na terenie tych trzech republik (oczywiście w granicach sprzed 22 VI 1941 r.). Polecono też odbudowanie łączności z własnym wywiadem pozostającym na terenach

9. W. Borodziejewicz, „Szósta Wileńska Brygada AK”, W-wa 1992, s. 318, 321, 323.

10. J. Prawdzic-Szlaski, s. 137; J. Erdman, s. 242-245, 252; niektóre dokumenty sowieckie, w których jest mowa o tych walkach opublikowano w: „Z archiwów sowieckich”. Dalszą konsekwencją tych walk były nieformalne zawieszenia broni z Niemcami i otrzymywanie od nich broni i amunicji, na ten temat zob. ostatnio opublikowane teksty: M. Foedrowitz, „W poszukiwaniu ‘modus vivendi’”. Kontakty i rozmowy pomiędzy okupantami a okupowanymi dotyczące porozumienia niemiecko-polskiego w czasie II wojny światowej”, *Mars*, 1994, t. 2, s. 165-180; J. Wołkonowski, „Wileńskie rozmowy niemiecko-polskie w lutym 1944 roku”, tamże, s. 181-202.

okupowanych przez Niemców, celem „jego przeniknięcia do nacjonalistycznego podziemia”¹¹.

Represje w stosunku do oficerów AK zaczęły się też na Wołyniu. Ich ofiarami byli m.in. cichociemni kpt. Władysław Kochański, uwięziony przez partyzantkę sowiecką 20 XII 1943r. i drogą lotniczą przerzucony do ZSSR oraz mjr Wacław Kopisto, aresztowany przez NKWD 3 IV 1944 r. Ten ostatni wraz z inspektorem AK w Łucku kpt. Leopoldem Świkłą i kilkoma innymi oficerami – łącznie z 32 żołnierzami AK – został skazany w procesie w Kijowie 18 X 1944 r. Do kraju powrócił, tak jak W. Kochański i L. Świkła, w połowie lat 50-tych¹². Incydenty te nie przeszkodziły jednak w realizowaniu „Burzy” na Wołyniu, uznano bowiem, że nie ma innej możliwości zademonstrowania polskości Kresów Wschodnich i podległości władzom polskim na obczyźnie. W lutym 1944 r. odtworzono tam 27 DP AK, która toczyła zaciekle walki z Niemcami i Ukraińską Powstańczą Armią (UPA), stanowiącą poważne zagrożenie dla tamtejszej ludności polskiej¹³.

Następnie doszło do walk o Wilno w ramach „Burzy” 7-8 VII 1944 r. W dniu 13 VII zakończyły się walki Armii Czerwonej o to miasto, a już następnego dnia weszło tam 19 grup pracowników NKWD i NKGB, którzy 17 VII aresztowali dowodzącego siłami wileńskiej AK ppłk. Aleksandra Krzyżanowskiego, jego oficerów i żołnierzy. Dla pomyślnego przeprowadzenia tej operacji w rejonie Wilna skoncentrowano 12 tys. żołnierzy wojsk NKWD¹⁴. Według raportu, który 20 VII Ł. Beria przesłał na ręce J.W. Stalina, „ogółem w ciągu dwóch dni operacji, według wstępnego podsumowania,

11. G. Mazur, „Operacja ‘Sejm’”, *Zeszyty Historyczne* (Paryż), 1993, z. 104, s. 154-161.

12. J. Tucholski, s. 343, 345; J. Turowski, „Pożoga. Walki 27 Wołyńskiej Dywizji AK”, W-wa 1990, s. 151-152; K. A. Tochman, „Major Wacław Kopisto ps. ‘Kra’”, *Studia Rzeszowskie*, 1995, t. 1, s. 147-149; zob. też W. Kopisto, „Droga cichociemnego do łągrów Kołymy”, W-wa 1990.

13. A. Chmielarz, „Formacje zbrojne organizacji niepodległościowych”, w „Wojsko polskie w II wojnie światowej”, W-wa 1994, s. 117-118.

14. „NKWD i polskoje podpolje 1944-1945 (po „osobym papkam” J.W. Stalina)”, pod red. A.F. Noskovej, Moskwa 1994, s. 29, 34-35; S. Kriwienko, „Raporty z Polski”, *Karta*, 1995, nr 15, s. 38.

rozbrojono ponad 6.000 osób. Wśród nich 650 oficerów i podoficerów. Przy rozbrajananiu odebrano: 5100 karabinów, 350 pistoletów maszynowych, 230 ręcznych i ciężkich karabinów maszynowych, 12 lekkich działek, 27 samochodów, 7 radiostacji, 350 koni i dużą ilość amunicji¹⁵. Oficerowie poprzez różne więzienia, w których byli przetrzymywani, trafiali we wrześniu i październiku 1944 r. do obozów w Charkowie i Riazaniu. Szeregowców próbowano natomiast wcielać do oddziałów gen. Zygmunta Berlinga (miało to też miejsce w innych regionach kraju). Ponad 4 tys. żołnierzy brygad wileńsko-nowogródzkich AK, rozbrojonych w lipcu 1944 r. w Puszczy Rudnickiej, wywieziono 28 VII do Kaługi, gdzie utworzono z nich 361 rezerwowy pułk Armii Czerwonej, dowodzony przez sowieckich oficerów. Po odmowie złożenia przysięgi według rot obowiązującej w Armii Czerwonej zostali przeformowani w bataliony robocze (strojbataliony) i przez ponad rok pracowali przy wyrębie lasów¹⁶. Ogółem według raportu Ł. Berii z 3 VIII 1944 r. rozbrojono 7.924 żołnierzy i oficerów Okręgu AK Wilno; z kolei jak wynika z innego raportu, w okresie od lipca do 20 XII 1944 r. na terenach Litewskiej SSR aresztowano 3.976 osób, członków AK i „Polskiego podziemia nacjonalistycznego”¹⁷.

Później miały miejsce dalsze aresztowania ludzi pozostających jeszcze w konspiracji oraz zwalczanie istniejących oddziałów leśnych. W dniu 21 VIII 1944 r. pod Surkontami miała miejsce słynna walka oddziału ppłk. Macieja Kalenkiwicza z siłami około batalionu NKWD. W jej wyniku zginęło 36 żołnierzy AK. Rozpracowanie pozostałych jeszcze struktur podziemia trwało do wiosny 1945 r. Wiele szczegółów tych wydarzeń do tej pory pozostaje nieznanych. Celem koordynacji działań NKWD i NKGB na Białorusi wysłano tam B. Koblukowa¹⁸.

15. „Z archiwów sowieckich”, s. 180-181; S. Kriwienko, s. 39.

16. I. Caban, „Internowanie żołnierzy Armii Krajowej w obozach na terytorium Związku Sowieckiego”, w: „Armia Krajowa. Dramatyczny epilog”, pod red. K. Komorowskiego, W-wa 1994, s. 155-156.

17. S. Kriwienko, s. 40-41.

18. J. Erdman, s. 412-416; E. Banasikowski, „Na zew ziemi wileńskiej”, Paryż 1988, s. 337-339; S. Kriwienko, s. 44.

Podobny scenariusz miał miejsce po walkach o Lwów, choć z Wilna zostały wysłane już 20 VII 1944 r. depesze do Lwowa, informujące o wydarzeniach na Kresach Północno-Wschodnich. O Lwów, którego opanowanie było głównym celem „Burzy” na tym terenie, walczone 23-27 VII 1944 r., po ich zakończeniu ofierowie a czele z komendantem Obszaru Lwowskiego AK płk. Władysławem Filipkowskim zostali uwięzieni. Wobec rozpoczęcia przez władze sowieckie na Kresach poboru do Armii Czerwonej, przy daniu Polakom możliwości wstępowania do oddziałów Z. Berlinga, gen. T. Komorowski rozkazał 31 VII 1944 r. wykorzystanie tej możliwości. Aresztowania we Lwowie miały miejsce w dalszym ciągu, m.in. w depeszy Komendy Obszaru Lwów z 11 I 1945 wspomniano, że w początkach stycznia w ciągu jednego tygodnia ich ofiarą padło ponad 6 tys. Polaków, w tym 20 profesorów uniwersytetu. Aresztowania, procesy i wywózki żołnierzy AK, pracowników Delegatury Rządu i członków organizacji „NIE” trwały jeszcze długo, przez 1945 i 1946 r. Ostatecznie przystąpiono do samolikwidacji organizacji; w październiku 1945 r. Lwów opuścił ostatni komendant Obszaru Lwów, ppłk Jan Władyka, zaś w grudniu komendant Okręgu Lwów, mjr Anatol Sawicki¹⁹.

Potem działania w ramach „Burzy” przeniosły się na Rzeszowszczyznę, Lubelskie, Podlasie i Białostockie, Okręg Lublin przystąpił do wykonywania „Burzy” mniej więcej 20 VII, samodzielnie lub we współdziałaniu z oddziałami sowieckimi zajmując m.in. Lublin, Łuków, Puławy, Radzyń, Bełżec, Szczebrzeszyn, Lubartów, ale już w dniach 25-29 VII nastąpiło rozbrojenie sił AK przez oddziały sowieckie. W Okręgu Kraków „Burza” realizowana była od 25 VII 1944 r. w dowo-

19. „AK”, III, s. 593-594, V, s. 231-232; Z.S. Siemaszko, „Wileńskono-wogródzkie telegramy. Lato 1944”, *Zeszyty Historyczne* (Paryż), 1985, z. 73, s. 137-138; J. Węgierski, „W lwowskiej Armii Krajowej”, W-wa 1989, s. 240-242; „Z archiwów sowieckich”, s. 14; B. Tomaszewski, J. Węgierski, „Lwowska AK”, W-wa 1987, s. 37; szerzej o aresztowaniach zob.: J. Węgierski, „Członkowie Okręgowej Delegatury Rządu i organizacji „NIE” z Małopolski Wschodniej przed sądami sowieckimi w latach 1944-1946”, *Zeszyty Historyczne* WiN, 1995, nr 6, s. 13-39; tegoż, „Aresztowania członków organizacji „NIE” w Małopolsce Wschodniej”, tamże, 1994, nr 5, s. 5-30.

dzonym przez płk. dypl. Kazimierza Putka Podokręgu Rzeszów, gdzie odtwarzano 22 i 24 DP AK. Wzięły one udział m.in. w walkach o Przemyśl, Jarosław, Rzeszów, Dębicę, Iwonicz, Kolbuszową, wnosząc poważny wkład w wypędzenie Niemców z tych miejscowości²⁰.

Jeszcze przez dłuższy czas, do sierpnia 1945 r., na terenie Podokręgu Rzeszów istniały oddziały sformowane z żołnierzy Obszaru AK Lwów (głównie 14 pułku ułanów AK), dowodzone najpierw przez ppłk. Franciszka Rekuckiego, a potem jugosłowiańskiego oficera, mjr. Dragana Sotirovicia (tzw. zgrupowanie „Warta”). Ich główna baza mieściła się we wsi Borek Stary, 25 km na południe od Rzeszowa. W dalszym ciągu istniały też w konspiracji oddziały rzeszowskiej AK, zaś we wrześniu 1944 r. w dowództwie Podokręgu pojawiły się koncepcje tzw. zbrojnego ujawnienia jednostek AK. Doprowadziłyby to do walk z Armią Czerwoną i zagłady sił AK, statystycznie bowiem na jeden kilometr kwadratowy „Polski lubelskiej” przypadało 35 czerwonoarmistów. Na szczęście KG AK wydała 26 IX 1944 r. komendantowi Podokręgu Rzeszów rozkaz rozformowania oddziałów partyzanckich i rozpuszczenia żołnierzy²¹.

Po aresztowaniu przez gestapo 11 VIII 1944 r. gen. bryg. Stanisława Rostworowskiego, który jako dowódca obszaru powstańczego krakowsko-śląskiego pełnił dodatkowo, od 28 VII, funkcję komendanta Okręgu Kraków, na opróżnione to ostatnie stanowisko powrócił mianowany 24 VII dowódcą Grupy Operacyjnej „Kraków” komendant Okręgu Kraków, płk E. Godlewski. Z kolei po jego aresztowaniu 20 X 1944 r. w okolicach Kielc, dowództwo G.O. objął jako p.o. dotychczasowy szef oddziału operacyjnego G.O., ppłk. Roman Dzierżanowski. W skład tej G.O. wchodziły: 6 DP, 106 DP,

20. A. Chmielarz, „Formacje”, s. 120-122; G. Mazur, „Od Zbrucza do Soły. ‘Burza’ w Obszarze AK Lwów i Okręgu AK Kraków”, w: „Materiały ogólnopolskiego sympozjum nt.: Operacja zbrojna Armii Krajowej kryptonim ‘Burza’ na ziemiach Kresów Płd.-wsch. II-giej Rzeczpospolitej w 1944 r.”, Kraków 1994, s. 41-64.

21. „AK”, IV, s. 398; T. Bór-Komorowski, „Armia podziemna”, Londyn 1979, s. 193; G. Ostasz, „Obwód ZWZ-AK Rzeszów. Konspiracja wojskowa i ‘Burza’”, Rzeszów 1992, s. 89-92; „Dzieje Ułanów Jazłowieckich”, Londyn 1988, s. 219-222.

Krakowska Brygada Kawalerii Zmotoryzowanej (KBKZmot.) i Samodzielny Batalion Partyzancki „Skała”, operujący głównie w Miechowskim, a sformowany na bazie Kedywu Okręgu Kraków, i dowodzony przez mjr. Jana Pańczakiewicza. Stanowisko dowodzenia E. Godlewskiego znajdowało się od dnia utworzenia G.O. 10 VIII przy miejscu postoju dowódcy 106 DP AK, ppłk. Bolesława Michała Nieczui-Ostrowskiego²².

W skład 6 DP AK, dowodzonej przez ppłk. dypl. Wojciecha Wajdę, weszły: 16, 12 i 20 pp AK. Odtwarzane one były w regionie tarnowskim, na południe od Krakowa i w samym mieście. W dniu 25 VII 1944 r. zarządzony został stan czujności do „Burzy” na terenie Okręgu. W inspektoracie Miechów, w skład powstałej tam 106 DP wchodziły: 112, 116 i 120 pp AK, batalion szturmowy, mniejsze jednostki, zaś w skład KBKZmot. AK 5 psk (druga jednostka o tej samej nazwie powstała w obwodzie Dębica) i 8 pułk ułanów AK. Łącznie siły inspektoratu liczyły 15.705 ludzi. Najbardziej znane z dorobku bojowego tych sił jest utworzenie i obrona tzw. „Rzeczypospolitej Kazimiersko-Proszowickiej”. Była to największa z utworzonych w tym czasie „rzeczypospolitych partyzanckich”. Miała ona duże znaczenie dla tworzonego przez wojska sowieckie przyczółka sandomierskiego, odcinając walczące oddziały Wehrmachtu od swego zaplecza. W walkach o jej utrzymanie toczonych pod Skalbmierzem i Jaksicami 5 VIII 1944 r. Niemcy ponieśli straty około 200 zabitych, 400 rannych i zaginionych, zdobyto około 1200 sztuk broni i zdobyto lub zniszczono kilkadziesiąt samochodów.

Na terenie Okręgu Kraków formowana była jeszcze G.O. „Śląsk Cieszyński”, dowodzona przez gen. bryg. Brunona Olbrychta, w skład której weszły 1 psp AK, 3 psp AK i 4 psp AK. W jej skład miały wejść też oddziały tworzonej na terenie Śląska 23 DP AK. Ewentualnej powstańczej współpracy śląs-

22. Archiwum Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Krakowie (AWUSW): Akta inspektoratu Nowy Sącz, t. 2, 3, 4; „AK”, III, s. 573; B. M. Nieczuja-Ostrowski, „Rzeczypospolita partyzancka. Inspektorat 'Maria w walce'”, W-wa 1991, s. 27, 350; Archiwum Akt Nowych (AAN), Oddz. VI: 203/XI-16, k. 24; J.J. Terej, „Na rozstajach dróg. Ze studiów nad obliczem i modelem Armii Krajowej”, W-wa 1980, s. 362.

kich i krakowskich jednostek AK poświęcono dużo uwagi w planach operacyjnych. Zadaniem G.O. „Śląsk Cieszyński” miało być – w myśl rozkazu gen. Olbrychta z 20 VIII 1944 r. – opanowanie Cieszyna i współdziałanie w tej operacji z wojskami sowieckimi, co świadczyło o pewnej niechęci do godzenia się z realiami i rezygnacji z wcześniej opracowanych planów. Zresztą, w wytycznych B. Olbrychta z 4 X 1944 r. dla oddziałów partyzanckich i dywersyjnych, znajdujemy stwierdzenie, iż wkroczą one do akcji bojowej na terenie Śląska Cieszyńskiego²³.

Najbardziej aktywną działalność prowadziły jeszcze oddziały 1 pułku strzelców podhalańskich (psp) AK na Podhalu, aczkolwiek – ściśle biorąc – nie była to już „Burza”. Na dzień 31 X 1944 r. liczył on 1.029 ludzi, dość dobrze uzbrojonych (do tego należy dodać około 6 tys. żołnierzy inspektoratu). W dniu 21 XII dowódca 1 psp AK, mjr Adam Stabrawa, w swoim raporcie adresowanym do Komendy Okręgu Kraków przedstawił rozmiary strat zadanych Niemcom w rezultacie akcji przeprowadzonych od 1 VII do 4 XII 1944 r.: 332 zabitych, 144 rannych, 209 wziętych do niewoli, zdobyto wiele sztuk broni, amunicji i oporządzenia wojskowego. W spisanej tuż po wojnie relacji straty pułku ocenił on na około 25 zabitych i kilkunastu rannych. Niemcy jesienią 1944 r. dokonywali wielu obław i akcji przeciwpartyzanckich, celem oczyszczenia w ten sposób zaplecza swego frontu wschodniego. W ich wyniku miały miejsce większe bitwy: IV batalion 1 psp AK stoczył 18-20 X 1944 r. bitwę pod Ochotnicą z obławą niemiecką, zadając wrogowi straty 73 zabitych i około 120 rannych. Wreszcie jedna z ostatnich bitew partyzanckich AK z Niemcami miała miejsce 12 I 1945 r.: I batalion tego pułku stawił opór

23. AWUSW: t. 3, 5; „Rozkaz szczególny nr 6” gen. S. Rostworowskiego z 31 VII 1944 r., kopia w zbiorach autora; J.J. Terej, s. 362, 368-370; J. Kijewska, A. Sanojca, „Schemat organizacyjny SZP-ZWZ-AK 1939-1945”, *Dzieje Najnowsze*, 1980, nr 3, s. 178-179; W. Ważniewski, „Walki partyzanckie nad Nidą 1939-1945. Z dziejów walki podziemnej na ziemi miechowsko-pińczowskiej”, W-wa 1975, s. 228-234; B. M. Nieczuja-Ostrowski, s. 27, s. 178-179; G. Mazur, „Od Zbrucza do Soły”, s. 54-56. O „Burzy” w Okręgu Śląsk zob. m.in.: Z. Walter-Janke, „W Armii Krajowej na Śląsku, Katowice 1986, oraz inne prace tego autora.

Niemcom w okolicach Szczawy, zginęło 22 Niemców. Z innych stoczonych większych walk z obławami niemieckimi na terenie Okręgu Kraków wymienić należy bitwę stoczoną przez zgrupowanie AK w dniach 10-15 IX 1944 r. w kompleksie lasów Łysina – Kamiennik z Niemcami pacyfikującymi Lipnik i Wiśniową. Większą bitwę stoczył 25 IX 1944 r. I batalion 16 pp AK pod Jamną²⁴.

Podjęto też działania na terenie Okręgu Polesie, gdzie odtwarzano 30 DP AK, liczącą około 1 tys. ludzi. Na terenie Okręgu Białystok powstało zgrupowanie pułkowe liczące również około 1 tys. ludzi, które stoczyło kilkanaście większych walk z Niemcami. W Obszarze Warszawa, w jego Wschodnim Podokręgu odtwarzano 8 DP AK i mazowiecką Brygadę Kawalerii AK, liczące łącznie około 4 tys. żołnierzy. Siły te zdobyły Radzymin, Sokołów, Tłuszcz, Węgrów, Mińsk Mazowiecki. Ale 6 VIII dowódca tego podokręgu, ppłk Hieronim Suszczyński, został aresztowany przez NKWD wraz z towarzyszącymi mu oficerami. Zwalczeniem polskiego podziemia kierował zastępca Ł. Berii, gen. Iwan Sierow. Przybył on do Lublina i objął kierownictwo nad całością prac wymierzonych przeciw niemu. W podpisanym przez rząd sowiecki z PKWN porozumieniu z 26 VII 1944 r. oddawano jurysdykcję nad obywatelami polskimi, poprzez zapewnienie organom sowieckim prawa zabezpieczenia zaplecza frontu. Tekst tego porozumienia nie został nigdy opublikowany w żadnym urzędowym periodyku, nie określało ono ani co należało, w sensie terytorialnym, rozumieć przez zaplecze, ani czasokresu jego obowiązywania. Na Rzeszowszczyźnie ofiarą deportacji padło około 2.500 ludzi, z tego znane są nazwiska około 1.800 deportowanych. Już na dzień 17 VIII 1944 r. w obozach NKWD dla „jeńców wojennych” (oryginalne sformułowanie w dokumencie, świadczące najlepiej o tym, że określenie „internowani” pojawiło się dopiero potem) znajdowało się 3.415 Polaków – w wyniku przeprowadzonego przez NKWD rozeznania 1.400 spośród nich mogło zostać skiero-

24. AWUSW: t. 3; Studium Polski Podziemnej (Londyn); rel. Adama Stabrawy, k. 8, 12; G. Mazur, „Od Zbrucza do Soły”, s. 54-55; tegoż, „Podhalańska epopea. Mjr Adam Stabrawa i jego pułk”, *Polska Zbrojna*, 1994, nr 46.

wanych do Wojska Polskiego. Nie wiemy jednak, czy faktycznie tam trafili²⁵.

Na terenie Okręgu Kielce formowano 2 i 7 DP AK oraz 72 pp AK. Po sąsiedzku z nimi działał 25 pp AK, sformowany na terenie Podokręgu Piotrków (Okręg Łódź). Ten ostatni operując do początków listopada zadał Niemcom straty w wysokości ponad 1000 ludzi. Jednostki te próbowały najpierw, wykonując rozkaz gen. T. Komorowskiego z 14 VIII 1944 r., przyjść z pomocą powstaniu warszawskiemu, a po rezygnacji z tego zamierzenia – dowódca Kieleckiego Korpusu AK, płk Jan Zientarski uznał je za niewykonalne – stoczyły one wiele bitew z obławami niemieckimi. M.in. ze składu 2 DP Leg. oddział kpt. Tadeusza Pytlakowskiego w nocy 26/27 VIII pod Dziebałtowem zaatakował oddział artylerii niemieckiej, niszcząc 1 ciężkie działo i zadając straty w wysokości około 100 ludzi. W dniach 2-3 IX 1944 r. toczono walkę pod Radoszycami, w wyniku której zginęło lub zostało rannych około 70 żołnierzy wroga. W połowie września toczono walki pod Miedzierzą, Trawnnikami i w lasach nadleśnictwa Dyminy; w tych ostatnich zginęło ponad 100 Niemców, a kilkudziesięciu zostało rannych. Wreszcie 26 IX 1944 r. w walkach w rejonie Radków – Krasów znów zginęło ponad 100 Niemców, a 27 IX w boju pod Zakrzowem ponieśli oni straty w wysokości około 100 zabitych i rannych. Wobec tych obław 30 IX 1944 r. płk. J. Zientarski wydał rozkaz rozczłonkowania 2 DP Leg. na pułki i urlopowania części żołnierzy. Także 7 DP przeprowadziła wiele akcji, zadając Niemcom w okresie od 29 VIII do 15 IX 1944 r. straty w wysokości 75 zabitych i 57 rannych w okolicach Przedborza i Radomska. Dowództwo Okręgu traktowało to w dalszym ciągu jako realizowanie „Burzy”. Już jednak 8 X 1944 r. dowódca 7 DP, płk dypl. Gwido Karol Kawiński zarządził urlopowanie żołnierzy. Wymienione powyżej walki kieleckich oddziałów AK nie są oczywiście jedynymi, szcze-

25. „NKWD i polskoje podpolje”, s. 37; T. Żenczykowski, „Polska Lubelska 1944”, Paryż 1987, s. 26-27; S. Rodziewicz, „Ostatnie dni Okulickiego”, *Karta*, 1993, nr 10, s. 115-116; Z.K. Wójcik, A. Zagórski, „Na katorżniczym szlaku”, W-wa 1994, s. 3-8.

gółowo pisze o nich w swojej monografii tego okręgu W. Borzobohaty²⁶.

Oprócz niemieckich akcji przeciwpartyzanckich, prowadzonych celem oczyszczenia w ten sposób zaplecza swego frontu wschodniego, także okres jesieni i zbliżającej się zimy wpływał na ograniczenie działalności partyzanckiej i „Burzy”. Już 11 IX 1944 r. komendant Okręgu Kraków, płk Edward Godlewski wydał rozkaz, w którym nakazywał „dywersję ograniczyć do polowania na broń”. Jeszcze wcześniej, 25 VIII 1944 r. Naczelnny Wódz, gen. K. Sosnkowski, nakazał to gen. T. Komorowskiemu, 4 X 1944 r. dowódca AK powtórzył to w rozkazie do komendantów okręgów, a w rozkazie z 27 XI 1944 r. gen. S. Kopański nakazał gen. Leopoldowi Okulickiemu ograniczenie lub całkowite zaniechanie tej części „Burzy”, która zakładała pomoc wojskom sowieckim. W miarę jednak zbliżania się zimy na całym okupowanym jeszcze przez Niemców terenie demobilizowano żołnierzy AK. Kolejną zapowiedzią nadciągającego zagrożenia była obecność sowieckich oddziałów partyzanckich na ziemiach polskich, których dowódcy byli często oficerami NKWD (np. na Podkarpaciu mjr Iwan Zołotar), stamtąd wywodziła się kadra tych oddziałów, a w dużym stopniu prowadziły one rozpoznawcze wywiadowcze polskiego podziemia. Stwierdzały to komórki kontrwywiadu AK²⁷.

1 VIII 1944 r. rozpoczęło się Powstanie Warszawskie. Była to największa bitwa stoczona przez Armię Krajową, ale jej konsekwencje były straszliwe. Uległa zniszczeniu stolica, poniesiono olbrzymie straty ludzkie i materialne. Dla podziemia był to jeden z największych ciosów. Warszawa była centrum Polskiego Państwa Podziemnego, w niej koncentrowały się wszystkie nici konspiracyjnego życia okupowanego kraju. Klęska spowodowała śmierć lub niewolę tysięcy doś-

26. „AK”, IV, s. 107; W. Borzobohaty, „Jodła’. Okręg Radomsko-Kielecki ZWZ-AK 1939-1945”, W-wa 1988, s. 341-364. O walkach 25 pp AK zob. D. Gołębiowski, „Burza’ nad Czarną. Z dziejów 25 pułku piechoty AK Ziemi Piotrkowskiej”, W-wa 1972; E. Wawrzyniak, „Na rubieży Okręgu AK Łódź. Zarys dziejów Inspektoratu Rejonowego i Podokręgu AK Piotrków Trybunalski”, W-wa 1988.

27. G. Mazur, „Podhalańska”, tegoż, „Od Zbrucza do Soły”, s. 56-57.

wiadczonych żołnierzy i oficerów, przypadek niezbędnego do pracy konspiracyjnej wyposażenia. Nowy dowódca AK, gen. L. Okulicki, i jego KG AK przebywali w Częstochowie, nie posiadając nawet dobrych dokumentów osobistych; brakowało lokali i pieniędzy. Świetnie działające komórki KG AK trzeba było budować od nowa, a na to nie było już czasu. Komendanci okręgów musieli dowodzić na własną rękę. Domagali się instrukcji z Londynu, ale przychodzące depeche często zawierały sprzeczne ze sobą rozkazy. Zabrakło – i to jest chyba najważniejsze – spójnej koncepcji działania politycznego i wojskowego na przyszłość, wobec czego prace AK na terenach okupowanych przez Niemców toczyły się już tylko siłą rozpędu. Już po upadku Powstania miała miejsce demobilizacja wielu żołnierzy konspiracji, zaś wraz z upływem czasu trwał analogiczny proces, jeśli chodzi o oddziały partyzanckie AK. Nie miały one większych możliwości utrzymania się na bezpośrednim zapleczu frontu niemieckiego zarówno wobec ciągłych obław i pacyfikacji niemieckich, jak też pogarszających się wraz z nadejściem zimy warunków bytowania w lesie. Dodatkowo silne były popowstaniowe nastroje pokłeskowe, pełne przygnębienia, i depresje. Coraz bardziej było jasne, że zbliża się koniec okupacji niemieckiej i zarazem koniec walki z niemieckim okupantem²⁸.

Nie wiemy ilu żołnierzy AK wzięło udział w walkach w ramach „Burzy”. Można jedynie oszacować, że było ich – oprócz Powstania Warszawskiego – około 40-50 tys. (dotychczasowe szacunki mówią o kilkunastu tysiącach w samej Małopolsce). Straty poniesione przez AK w jej toku też można tylko oszacować. Autor książki poświęconej „Burzy”, P. Lisiewicz, pisze o ponad 10 tys. poległych w okresie od lipca 1944 r. do lutego 1945 r. Można mieć zastrzeżenia do prawidłowości czasookresu (a zwłaszcza daty końcowej), niemniej jednak szacunek wydaje się dość prawdopodobny. Do tego należy dodać straty korpusu warszawskiego AK: ponad 18 tys. zabitych, 25 tys. rannych i około 180-200 tys. poległych spo-

28. T. Wyrwa, „Powstańcza ‘Burza’ i jej skutki”, *Zeszyty Historyczne*, 1994, z. 109, s. 22-24; J. Garliński, „Politycy i żołnierze”, Londyn 1971, s. 220.

śród ludności cywilnej. Szacunek strat zadanych Niemcom jest o wiele trudniejszy; wiadomo, że w Powstaniu Warszawskim wyniosły one około 17 tys. zabitych i zaginionych i około 9 tys. rannych. W działaniach w ramach „Burzy” straty niemieckie były spore, aczkolwiek nie dokonano jak do tej pory nawet próby ich oszacowania²⁹. Konieczne jest tutaj sięgnięcie do dokumentacji niemieckiej, tym bardziej, że w niektórych dokumentach z tego okresu mamy do czynienia z podawaniem nieprawdziwych danych. Jako przykład podam informacje o stratach zadanych Niemcom w walkach o Kosinę i Głuchów (kilkuset zabitych, zdobyto 3 czołgi, 250 karabinów itp.), zawarte w meldunku płk. K. Putka z 12 X 1944 r.³⁰. Faktycznie, jak w odnalezionym parę lat temu raporcie z 8 VIII 1944 r. napisał kpt. Tadeusz Strugalski – dowódca walczącego tam batalionu – z rąk żołnierzy AK zginęło 18 Niemców, 7 wzięto do niewoli. Okręg Kraków raportował też o udziale AK w walkach o Leżajsk, który Niemcy opuścili bez strzału³¹. Także w spisywanych po wojnie relacjach często uczestnicy wydarzeń zawyżali wielkość niemieckich strat.

Po dezercji 12 X 1944 r. 31 pp LWP w Białce pod Krasnymstawem zaostrożono represje wobec żołnierzy AK. W raporcie I. Sierowa do Ł. Berrii z 16 X 1944 r. stwierdzono, że napływ żołnierzy AK do wojska spowodował wzmożenie w nim wrogiej agitacji oraz dezercję codziennie 40-60 ludzi na przestrzeni dwóch miesięcy; w pierwszej połowie października zdezerterowało około 2 tys. ludzi. Emigracyjny historyk, T. Żencykowski, odnotował silny opór społeczeństwa wobec zarządzonej przez PKWN mobilizacji, której celem było zarówno powiększenie oddziałów 1 i 2 Armii Wojska Polskiego (a przecież w planach było utworzenie i 3 Armii), jak i unie-

29. G. Mazur, „Od Zbrucza do Soły”, s. 57; P. Lisiewicz, „Plan ‘Burza’. Wysiłek zbrojny Armii Krajowej 1944-1945”, W-wa 1990, s. 349-351; A. Chmielarz, „Formacje”, s. 120, 128.

30. „AK”, V, s. 40-41.

31. Akta oddziału „Prokop”, kopie w zbiorach autora; „Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej”, t. III – „Armia Krajowa”, Londyn 1950, s. 641; M. Plis, „Z dziejów ruchu oporu w Łańcuckiem i Leżajskim”, mszps. k. 115-120, kopia w zbiorach autora.

szkodliwienia w ten sposób podziemia. W tym samym raporcie I. Sierowa znajdujemy szereg wzmianek o aktywizowaniu się AK na Lubelszczyźnie. Skierowano więc do kontrwywiadu wojskowego LWP 100 pracowników sowieckiego kontrwywiadu „Smiersz” i do aparatu bezpieczeństwa PKWN 15 pracowników NKWD-NKGB. Aresztowani byli potem wysyłani do obozów w ZSSR, m.in. w Ostaszku, Jegolsku, Borowiczach, Skopinie, Stalinogorsku – łącznie znaleźli się oni w 110 obozach, głównie w europejskiej części Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej, na Ukrainie i Białorusi. Tylko kilka z nich znajdowało się w azjatyckiej części Uralu, w rejonie Nowosybirsk, w Kazachstanie, Gruzji, Łotwie i na Litwie, ale AK-owcy trafiali też na Syberię, np. do Kołomy, jak wspomniany już wcześniej mjr W. Kopisto. Nadmienić trzeba, że wśród żołnierzy AK znalazło się sporo ludności cywilnej, która przypadkowo wpadła w ręce NKWD³².

Od października 1944 r. oficerowie stanowili niewielką grupę spośród wywożonych; w sporym stopniu byli oni przetrzymywani w więzieniach w Polsce, aresztowani pod zarzutem działalności na tyłach frontu i stawiani przed sądami wojskowymi polskimi lub sowieckimi. Do wiosny 1945 r. wydały one około 100 wyroków śmierci³³. W pierwszych tygodniach 1945 r. z Moskwy nadchodziły rozkazy Ł. Berii nakazujące wzmożenie represji. Jak pisze N. Pietrow z rosyjskiego *Memoariatu*, „biorąc pod uwagę rozmiary mających nastąpić aresztowań, nakazywano <zaprzestać wysyłania aresztowanych osób do ZSSR>, zaś <w celu utrzymania aresztowanych na miejscu, pełnomocnikom NKWD ZSSR – zorganizować niezbędną liczbę więzień i obozów>”³⁴. Powstało więc szereg obozów, z których najbardziej ponurą sławą okryły się znajdujące się w Skrobowie, Majdanku i w Rembertowie i więzienia na Zamku w Lublinie i na Zamku w Rzeszowie, zapełnione żołnierzami AK.

32. „NKWD i polskoje podpolje”, s. 38-42; I. Caban, s. 156-159; T. Zenczykowski, „Polska”, s. 118-120; J. Węgiński, „Aresztowania”, s. 30; K.A. Tochman, s. 148; S. Kriwienko, s. 41-42.

33. I. Caban, s. 157.

34. N. Pietrow, „Cień Sierowa”, *Karta*, 1992, nr 9, s. 82.

Oprócz aparatu bezpieczeństwa – NKWD, NKGB i „Smiersza” do walki z polskim podziemiem została zaangażowana już od października 1944 r. kombinowana dywizja wojsk NKWD, licząca 8.850 ludzi, dowodzona przez gen. mjr. Sieriebriakowa. Skoncentrowano ją w Lublinie. Ponadto w październiku 1944 r. w Białostockim skoncentrowano trzy pułki wojsk NKWD liczące łącznie 4.500 żołnierzy, nad którymi dowództwo objął gen. mjr NKWD Kriwenko. 11 I 1945 r. Ł. Beria podpisał rozkaz nr 0016 o oczyszczeniu z wrogich elementów tyłów poszczególnych frontów Armii Czerwonej. Na ziemiach polskich do realizowania tego zadania zostali wyznaczeni pełnomocnicy: 1. Front Białoruski – I. Sierow, jego zastępcami byli: gen. lejtn. Aleksander Wadis, kierujący kontrwywiadem Frontu i gen. mjr. Zimin, dowodzący ochroną tyłów Frontu; 2 Front Białoruski – komisarz bezpieczeństwa państwowego III rangi Ł. Canawa, którego zastępcami byli: gen. lejtn. Jakow Jedunow, kierujący kontrwywiadem Frontu i gen. mjr Rogatin, kierujący ochroną tyłów Frontu; 1 Front Ukraiński – gen. lejtn. Paweł Mieszik, dotychczasowy zastępca naczelnika Głównego Urzędu Kontrwywiadu „Smiersz”, którego zastępcami byli: gen. lejtn. Nikołaj Osietrow, kierujący kontrwywiadem Frontu, i gen. mjr Zubariew, kierujący ochroną tyłów Frontu. Każdy z pełnomocników otrzymał 150 doświadczonych „czekistów” i oddziały wojskowe NKWD: Sierowowi przydzielono 38, 127, 157 i 333 pułki wojsk ochrony pogranicza i 64 Dywizję wojsk NKWD (2, 18 i 98 pułki wojsk ochrony pogranicza i 145 pułk strzelecki NKWD – razem 11.160 żołnierzy)³⁵. Nie wiemy, jakie siły otrzymali inni pełnomocnicy; znany jest fakt, że „na Pomorzu Nadwiślańskim, uznanym za obszar tyłowy 2 Frontu Białoruskiego, działalność pacyfikacyjną prowadziła NKWD o liczebności około 20 tys. funkcjonariuszy (równowartość dwóch dywizji)”³⁶. Z kolei Andrzej Chmielarz

35. „NKWD i polskoje podpolje”, s. 52-53, 57-59, 98-99, 187, 287-288, 291-292; N. Pietrow, s. 81-83; S. Kriwienko, s. 41, 52.

36. K. Komorowski, „Delegatura Sił Zbrojnych na Pomorzu Nadwiślańskim”, w: „Armia Krajowa na Pomorzu. Materiały z sesji naukowej w Toruniu w dniach 14-15 listopada 1992 r.”, pod red. E. Zawackiej i M. Wojciechowskiego, Toruń 1993, s. 244.

ustalił, że „na ziemiach polskich operowało jeszcze kilka innych dywizji: 58, 59, 62, 63, które znajdowały się w gestii Zarządów do spraw Ochrony Tyłów poszczególnych frontów”³⁷. Od 20 II do 25 IV 1945 r. I. Sierow był doradcą przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego; po nim do kwietnia 1946 r. funkcję tę pełnił gen. lejtn. Nikołaj Seliwanowski, a następnie płk Siemon Dawydow, wcześniej zastępcą N. Seliwanowskiego. Natomiast gen. lejtn. P. Mieszik został 5 III 1945 r. doradcą przy Ministerstwie Administracji Publicznej. Jeszcze w maju 1946 r. w Polsce były rozlokowane i brały udział w walkach z oddziałami polskiego podziemia: 64 Dywizja, licząca 4.199 ludzi, zarząd wojsk MWD (Ministerstwa Spraw Wewnętrznych) do ochrony tyłów Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej z dwoma pułkami wojsk pogranicza, liczącymi łącznie 2.897 ludzi, dwie brygady wojsk łączności MWD, ochraniające łączność „WCz” Północnej Grupy Wojsk oraz rządu polskiego. W lipcu tegoż roku podjęto jednak decyzję o wycofaniu wojsk MWD z Polski. Część tych sił wycofano do października tego roku, ale ze względu na „komplikującą się sytuację” B. Bierut prosił o zatrzymanie 64 Dywizji do 1 III 1947 r. O dalece idącym zainteresowaniu kierownictwa ZSSR sytuacją w Polsce, zwłaszcza w zakresie walki z opozycją świadczy fakt, że jeszcze długo zajmowało to wiele miejsca w raportach N. Seliwanowskiego i S. Dawydowa, przesyłanych na ręce ministra spraw wewnętrznych ZSSR S.N. Krugłowa, a następnie kopie tych raportów były przesyłane do J.W. Stalina, Ł. Berii, W. Mołotowa, G. Malenkowa, A. Mikojana, a więc najwyższej postawionych osób w ZSSR³⁸.

Dużą rolę w walkach z podziemiem odegrał szybko rozbudowywany aparat bezpieczeństwa nowych, komunistycznych władz. Resort ten został powołany do życia już 21 VII 1944 r., wraz z powstaniem PKWN. Od tej pory następował jego gwałtowny rozwój liczbowy – w końcu 1944 r. bez funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej, Wojsk Wewnętrznych i więziennictwa liczył on 2,5 tys. ludzi, a w maju 1945 r. stan

37. A. Chmielarz, „Dowód podboju”, *Karta*, 1995, nr 15, s. 55.

38. N. Pietrow, s. 81-83; S. Kriwienko, s. 44-48, 52.

osobowy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przekroczył 11 tys. ludzi. Podstawową kadre stanowili ludzie od dawna związani z ruchem komunistycznym, a zwłaszcza około 200 absolwentów szkoły NKWD w Kujbyszewie. Dodatkowo 24 V 1945 r. uchwałą Rady Ministrów powołano do życia Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, zasilony regularnymi jednostkami wojskowymi, też zresztą wykorzystywanymi w walce z podziemiem. Stosowano w niej masowe aresztowania, rozpracowywanie istniejących jeszcze struktur na drodze agenturalnej, prowokację i skrytobójstwa. Jako przykłady tych ostatnich można wspomnieć zamordowanie przez dwóch funkcjonariuszy MO na krakowskich Plantach 21 IV 1945 r. komendanta Okręgu VI (Małopolska) Batalionów Chłopskich, Narcyza Wiatra. Takich przypadków było więcej. Wiosną 1945 r. w całej Polsce zastosowano akcję terroru prewencyjnego dla zastraszenia ludności, wzięło w niej udział oprócz UB i oddziałów NKWD również MO i wojsko. Dochodziło wtedy do pacyfikowania całych wsi. To wszystko powodowało wzrost szeregów oddziałów leśnych i rosnącą samoobronę³⁹.

W dniu 19 I 1945 r. gen. L. Okulicki wydał rozkaz rozwiązujący Armię Krajową. W praktyce proces likwidacji trwał długo, nie sposób bowiem tak błyskawicznie zlikwidować szeroko rozbudowane struktury konspiracyjne. Rozpoczęła się kolejna fala demobilizacji żołnierzy AK. Wkraczające na nowe tereny w trakcie ofensywy styczniowej siły Armii Czerwonej, a szczególnie posuwające się za nim ekipy sowieckich władz bezpieczeństwa, dokonywały aresztowań oficerów i żołnierzy AK. Na przykład w Krakowie NKWD pojawiło się 21 I 1945 r. i od razu rozpoczęło rozpracowywanie podziemia – w lutym 1945 r. doszło do szeregu aresztowań, 24 III 1945 r.

39. A. Chmielarz, „Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj” w: „Armia Krajowa. Dramatyczny epilog”, s. 59-60; s. 23-25; G. Mazur, „Od Armii Krajowej do Delegatury Sił Zbrojnych w Krakowie”, tamże, s. 61; „Aparat bezpieczeństwa w latach 1944-1956. Taktyka, strategia, metody. Część I. Lata 1945-1947”, oprac. A. Paczkowski, W-wa 1994, s. 11-12; T. Żenczykowski, „Dramatyczny rok 1945”, Londyn 1982, s. 71, podaje też nieco inne liczby na maj 1945 r.: KBW – 32 tys., MO – 50 tys., a aparat bezpieczeństwa 23 tys. ludzi.

aresztowany został komendant krakowskiego okręgu NOW, ppłk Władysław Owoc (po scaleniu z AK oficer do specjalnych poruczeń Komendy Okręgu AK Kraków). Ostatni komendant Okręgu AK Kraków, płk Przemysław Nakoniecznikoff-Klukowski, 20 III wydał rozkaz nakazujący likwidację do 31 III wszystkich komórek dawnej AK (opierał się na głoszącym to samo rozkazie Komendy Głównej AK z 9 III 1945 r.). On sam został aresztowany przez „Smiersz” i NKWD 20 IV 1945 r. i 23 V 1945 r. przewieziony do Moskwy i osadzony na Łubiance. Oprócz żołnierzy AK ofiarą represji padali też liczni pracownicy Delegatury Rządu: 3 VIII 1944 r. aresztowany został delegat rządu na Okręg Lublin Władysław Cholewa, także w początkach sierpnia delegat rządu na Okręg Białystok Józef Przybyszewski, 15 III 1945 r. okręgowy delegat rządu w Krakowie Jan Jakóbiec, 17 IV 1945 r. w lokalu Delegatury przy pl. Matejki 10 w Krakowie cały zespół ludzi: dyrektor Biura delegatury okręgowej i następca J. Jakóbca Tadeusz Seweryn, zastępca J. Jakóbca Stefan Rzeźnik z PPS, dyrektor Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Leopold Rutkowski i inni. Wreszcie 28 VI 1945 r. w Krakowie aresztowany został wraz z żoną Zofią p.o. Delegata Rządu Stefan Korboński⁴⁰.

W dniach 27 i 28 III 1945 r. w Pruszkowie zostało podstępnie aresztowanych szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, wśród których znalazł się dowódca AK, gen. Leopold Okulicki. Na jego polecenie dowództwo nad pozostałościami AK oraz organizacją „NIE” objął 3 IV 1945 r. pł. dypl. Jan Rzepecki. W połowie kwietnia wystąpił on do p.o. Naczelnego Wodza, gen. Władysława Andersa, z propozycją rozwiązania dotychczas istniejących struktur i utworzenia na ich miejsce instytucji Wojskowego Komendanta Kraju. 30 IV 1945 r. W. Anders zatwierdził powołanie do życia Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj (DSZ), na czele której stanął J. Rzepecki. Natomiast, jak powszechnie

40 „NKWD i polskoje podpolje”, s. 167-168, 201; AWUSW: t. 1, 5; „AK”, V, s. 317; T. Biedroń, „Owoc Władysław”, *Zeszyty Historyczne* WiN-u, 1993, nr 3, s. 180-181; G. Mazur, „Od Armii”, s. 58-60; T. Żenczykowski, „Polska”, s. 38, 40; A. Fitowa, „Stanisław Mierzwa ‘Słomka’ na tle swoich czasów”, Wierchosławice 1994, s. 150-152 i nast.

wiadomo, L. Okulicki wraz z innymi aresztowanymi został osadzony w więzieniu na Łubiance w Moskwie, gdzie byli oni przesłuchiwani. Proces L. Okulickiego i jego współtowarzyszy, w którym wyroki zapadły 21 VI 1945 r., doczekał się szerokiej literatury⁴¹.

Wiosną 1945 r. działało – jak się szacuje – około 160 oddziałów partyzanckich, wywodzących się z rozwiązanej AK. Rozrastały się one bardzo szybko, licząc od kilkudziesięciu do kilkuset ludzi. Zaznaczyć trzeba, że akcje oddziałów DSZ skierowane były przede wszystkim na areszty i więzienia, celem uwolnienia żołnierzy AK. Od marca do września 1945 r. było ich kilkadziesiąt. Do najbardziej znanych należały akcje w Białej Podlaskiej (9 III), Miechowie (26 IV), Janowie Lubelskim (27/28 IV), Kocku (1 V), Koźmienicach (5/6 V), Białymstoku (9 V), Ostrołęce (19/20 V), Lublinie (7 VII), Kielcach (4/5 VIII), Radomiu (8/9 IX). Rozbito ponadto obozy, w których NKWD przetrzymywało więźniów: w marcu 1945 r. w Nowinach na Kielecczyźnie, 20/21 V 1945 r. w Rembertowie, 2 VI 1945 r. w Piotrkowie Trybunalskim. Zwłaszcza atak na obóz w Rembertowie stał się szybko znany w całej Polsce: przebywało tam około 1.800 więźniów, z których większość uwolniono, a w walce zginęło 72 żołnierzy NKWD. Atakowane były także placówki MO i innych organów nowej władzy, miał miejsce terror w stosunku do jej przedstawicieli. Zdarzało się nawet, że spore tereny jej nie podlegały – ściągano tam wtedy duże ilości wojska i grup pracowników organów bezpieczeństwa, ale i tak często walki trwały jeszcze przez parę lat. 64 Dywizja brała udział w operacjach przeciw podziemiu jeszcze latem 1946 roku.; dla ty-

41. K. Komorowski, „Wstęp” w: „Dramatyczny epilog”, s. 8-9. Z ważniejszych publikacji o procesie „16-tu” wymienić należy: A. Leinwald, „Przywódca Polski Podziemnej przed sądem moskiewskim”, W-wa 1992; E. Duraczyński, „Generał Iwanow zaprasza. Przywódca podziemnego państwa polskiego przed sądem moskiewskim”, W-wa 1989; A. Przemyski, „Ostatni komendant – generał Leopold Okulicki”, Lublin 1990; J. Kurtyka, „Generał Leopold Okulicki ‘Niedźwiadek’ (1898-1946)”, W-wa 1989. Wiele dokumentów zostało zamieszczonych w tomie: „Sprawa 16-tu. Protokoły przesłuchań gen. Leopolda Okulickiego ‘Niedźwiadka’ i współoskarżonych”, oprac. A. Chmielarz, A.K. Kunert, b.d. i m.w. We wszystkich tych pozycjach dalsza literatura w przypisach i bibliografii.

sięcy Polaków oficjalny koniec wojny 8 V 1945, nie był końcem faktycznym, a cele wojenne Polski nie zostały osiągnięte. Przeciwnikiem nowej władzy często były ugrupowania „dzikie”, nikomu nie podlegające, w szeregach których znalazło się jednak wielu byłych żołnierzy AK (klasycznym przykładem jest zgrupowanie Józefa Kurasia, ps. „Ogień” na Podhalu, walczące z władzą komunistyczną od 11 IV 1945 r.)⁴².

Sama DSZ w swej strukturze nawiązywała do wzorców opracowanych dla potrzeb „NIE”, zresztą większość stanowisk dowódczych obsadzili ludzie z KG AK i dowództw okręgów AK. Kraj podzielono na trzy Obszary: Centralny, w skład którego wchodziły dawne okręgi AK – Białystok, Kielce-Radom, Lublin, Łódź, Warszawa; Południowy – okręgi: Kraków wraz z Podokręgiem Rzeszów, Śląsk wraz z Zagłębiem i nowoutworzony, na bazie ludzi z lwowskiej AK Dolnośląski; Zachodni – okręgi: Pomorze (Bydgoszcz), Poznań i nowoutworzone: Gdańsk, Olsztyn, Szczecin⁴³.

Według polskich szacunków w głąb ZSSR zostało deportowanych ogółem około 50 tys. żołnierzy AK⁴⁴. Natomiast według raportu Ł. Berii do J. Stalina z 17 VI 1945 r., w różnych obozach i więzieniach znajdowało się 25.047 obywateli polskich, w tym i żołnierzy AK, jak również niemieckich szpiegów. Na dzień 20 X 1945 r. liczba ich wynosiła 27.010, przy czym na podstawie decyzji J.W. Stalina do 23 XI zwolniono i przewieziono do Polski 5.108 ludzi, do końca grudnia miano zwolnić 7.181 ludzi, a w obozach NKWD miało pozostać 14.721 ludzi⁴⁵. Zwolnienie ich nastąpiło, jak należy przypuszczać, w wyniku interwencji prezydenta Krajowej Rady Narodowej Bolesława Bieruta, który 8 VI 1945 r. oświadczył sowieckiemu ambasadorowi Lebediewowi, że polskim organom bezpieczeństwa należy przekazać wszystkich Pola-

42. T. Żencykowski, „Dramatyczny”, s. 64-65; Z. Woźniczka, „Zrzeszenie ‘Wolność i Niezawisłość’ 1945-1952”, W-wa 1992, s. 39-40; E. Dmitrów, „Wychodzenie z wojny”, *Polityka*, 1995, nr 18.

43. A. Chmielarz, „Delegatura”, s. 17-18.

44. „AK”, V, s. 231-232; G. Mazur, „Od Armii”, s. 59-60; T. Bór-Komorowski, s. 195; Z.K. Wójcik, A. Zagórski, s. 8.

45. „NKWD i polskoje podpolje”, s. 199-200, 238-239; N.F. Bugaj, „Specjalnateczka Stalina: Deportacje i reemigracja Polaków”, *Zeszyty Historyczne* (Paryż), 1994, z. 107, s. 122.

ków, oprócz „szpiegów i dywersantów działających na tyłach Armii Czerwonej”. Z powyższymi liczbami nieco sprzeczne są inne dane, również z dokumentów sowieckich – mianowicie 14 V 1945 r. Sierow raportował do Moskwy, że w strefie 1 Frontu Białoruskiego aresztowano 63.428 ludzi, w tym 16.148 Polaków. 26 VII 1947 r. Rada Ministrów ZSSR powołała komisję do rozpatrzenia kwestii powrotu do Polski więźniów z ZSSR (nie tylko żołnierzy AK). W jej skład wchodził: I. Sierow, zastępca prokuratora Generalnego ZSSR A. Wawitow, zastępca naczelnika 2 Głównego Zarządu Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego Ł. Rajchman, a po nim naczelnik tego zarządu J. Pitowranow i przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSSR A. Aleksandrow (dyrektor IV Europejskiego Oddziału MSZ). Komisja ta rozpatrzyła sprawę 22.442 osób; w wyniku jej decyzji do Polski przekazano 13.437 ludzi, zaś ostatnich 224 miano przekazać w kwietniu 1949 r.; zakończyła ona właśnie wtedy pracę⁴⁶. Nie wiemy jednak, czy do powyższych liczb wliczono żołnierzy AK z Kresów Wschodnich, których traktowano i osądzano jako obywateli ZSSR. Wiele osób wróciło z łagrów dopiero w latach 50-tych. Do tego trzeba doliczyć tysiące osób (nie wiemy ilu) z konspiracji wojskowej i cywilnej, które spędziły wiele lat po zakończeniu wojny w więzieniach w Polsce, aby uzyskać w ten sposób choć ogólny obraz represji stosowanych przez NKWD i pozostający pod jego kontrolą, świeżo powstały polski aparat bezpieczeństwa.

Koncepcja Polski, o którą walczyła AK musiała przegrać z brutalną siłą sowieckich sił bezpieczeństwa i wojska. Zwłaszcza 1945 r. przyniósł rozrost oddziałów poakowskich i ich walkę z nowym systemem. Ale dla wielu osób, stojących na czele podziemia – a właściwie jego resztek – było jasne, że ten etap walki, etap walki zbrojnej, jest już przegrany. Starali się oni – jak płk J. Rzepecki – „rozładować” lasy i szukali nowych form działalności, bardziej o charakterze politycznym niż wojskowym. Jak relacjonował por. Jerzy Waszczuk, oficer osobistej ochrony J. Rzepeckiego w 1945 r., Delegat Sił

46. „NKWD i polskoje podpolje”, s. 193-194, 294-298; N. Pietrow, s. 82-83.

Zbrojnych mówił mu wtedy: „waszym obowiązkiem jest tylko i wyłącznie trwanie (...) waszym obowiązkiem jest dotrwać... i ukryć ludzi jak najwięcej, melinować na Ziemiach Odzyskanych, a w żadnym wypadku do lasu, bo w lesie was wybiją, raczej do więzień, bo z więzień was wyjdzie dziewięćdziesiąt procent, a w lesie zostaniecie po prostu wybici”⁴⁷. Jak pisze T. Żencykowski: „Delegat Sił Zbrojnych na Kraj stanął wobec zagadnienia, jak w tej sytuacji rozwiązać problem byłych żołnierzy AK. Rozpaczliwa samoobrona zbrojna prześladowanych Akowców prowadziła do utraty wartościowych sił narodu. Należało szukać jakichś generalnych prób ich ratowania”⁴⁸. Wobec zapowiedzi amnestii, przedstawionej na posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej 22 VII 1945 r. przez Romana Zambrowskiego, w depeszy do Londynu z 28 VII J. Rzepecki sygnalizował możliwość zakończenia działalności DSZ. Co prawda samą amnestią poprzedziły liczne aresztowania na przełomie lipca i sierpnia czołowych działaczy DSZ, m.in. płk. Władysława Liniarskiego, płk. Jana Zientarskiego, płk. Jana Mazurkiewicza, kpt. Kazimierza Moczarskiego. W wyniku dekretu amnestyjnego, ogłoszonego 21 VIII 1945 r., do 15 X 1945 r. kiedy to kończyła się możliwość skorzystania z niego, ujawniło się około 40 tys. ludzi.

W dniu 31 VII 1945 r. płk. J. Rzepecki wydał instrukcję, w której omawiał potrzebę „rozładowania lasów” w warunkach umożliwiających ludziom powrót do normalnego życia, a ostatecznie 6 VIII 1945 r. wydał rozkaz, w którym zarządził „likwidację prac i więzi organizacyjnej” DSZ⁴⁹. Jak pisze T. Żencykowski, „dzień 6 sierpnia 1945 r. stał się więc datą definitywnego rozwiązania ostatnich pozostałości organizacyjnych AK”⁵⁰. Likwidacja ich dokonywała się bardzo chaotycznie, nastąpił zamęt, ludzie nie chcieli wykonywać tak brzmiących rozkazów, wiązało się to z ich innymi wyobrażeniami co do końca wojny⁵¹. Trzeba tu podkreślić pozytywną rolę tych

47. H. Sudlitz, „Sprawa pułkownika Rzepeckiego (część I)”, *Głos* 1990, nr 60-61, s. 112.

48. T. Żencykowski, „Dramatyczny”, s. 127.

49. Tamże, s. 129-130, 132-133; Z. Woźniczka, s. 48-49.

50. T. Żencykowski, „Dramatyczny”, s. 131.

51. E. Dmitrów, zob. przypis 42.

dowódców, którzy nakazali swoim podwładnym wyjście z konspiracji i rozpoczęcie nauki i pracy zawodowej, co umożliwiło im zdobycie zawodu, uniknięcie represji i pracę przy odbudowie Polski. Wobec beznadziejności walki zbrojnej podjęto decyzję o prowadzeniu dalszej walki o charakterze bardziej polityczno-ideowym, konieczność dalszego kierowania masami byłych żołnierzy AK zrodziła koncepcję powołania organizacji o charakterze politycznym. W ten sposób 2 IX 1945 r. powstało Zrzeszenie Walki Bez Wojny i Dywersji „Wolność i Niezawisłość” (WiN), kolejna organizacja powstała na bazie dawnej AK. Mimo zakładanego odmiennego jej charakteru nadal często miały miejsce przypadki prowadzenia przez poszczególne jej komórki akcji zbrojnych, zwłaszcza w ramach samoobrony.

Końcowy okres II wojny światowej przyniósł więc dla AK kulminację wysiłku zbrojnego, ale nie mogło to już dać żadnego korzystnego rezultatu politycznego. Toczone były walki dla zaakcentowania polskości Kresów Wschodnich, w tym o tak znaczące w narodowej świadomości miasta jak Wilno i Lwów. Przeszło to bez większego echa w świecie. Wybuchło najtragiczniejsze z polskich powstań narodowych – Powstanie Warszawskie – które zakończyło się straszliwą klęską militarną. Jego celem było zablokowanie dążeń Stalina do rozciągnięcia wpływów na Polskę, ale tego nie osiągnięto. Powtarzana przez niektórych autorów teza, że Powstanie uratowało Polskę przed przekształceniem w kolejną republikę sowiecką wydaje się o tyle trudna do obrony, że nie znane są – jak na razie – dokumenty świadczące o żywieniu przez Stalina takiego zamiaru. Walki toczone w ramach „Burzy” wykazały bohaterstwo żołnierzy AK, ale nie mogły rozwiązać kwestii politycznych. Nie do obrony wydaje się też teza, jakoby „Burza” zakończyła się sukcesem militarnym – był to po prostu szereg pojedynczych walk, których konsekwencją nie był żaden sukces w skali operacyjnej czy strategicznej. „Burza” mogła być jedynie przejawem protestu – podkreślmy: daremnego – wobec narzucenia Polsce zwierzchnictwa przez ZSSR.

Wobec zagrożenia ze strony sowieckiej mamy do czynienia też z samoobroną. Przewaga sowiecka była jednak zbyt miążdżąca, aby walka z tym przeciwnikiem mogła przynieść

sukces. Poniesione wcześniej olbrzymie straty ludnościowe, gospodarcze i materialne narodu w walce z Niemcami, przyniatająca przewaga militarna ZSSR i posiadanie przez Stalina akceptacji Anglosasów do podporządkowania sobie tej części Europy (porozumienia w Teheranie i Jałcie) nie dawały najmniejszych szans. Próby reorganizowania podziemia, tworzenia nowych struktur w postaci „NIE”, Delegatury Sił Zbrojnych, WiN-u itp. nie mogły dać znaczącej zmiany sytuacji. W społeczeństwie do końca dominowały ostre nastroje antyniemieckie; ludzie zmęczeni wojną, zadowoleni z wypędzenia Niemców często nie chcieli angażować się w dalszą działalność podziemną. W tej sytuacji naczelną troską osób kierujących konspiracją było już tylko uchronienie własnych ludzi przed represjami, a jedyną alternatywą była ta najtrudniejsza do zrealizowania: „wzięcie na przeczekanie”, rozpoczęcie długoletniej „pracy organicznej” nad odbudową i rozbudową kraju oraz wyczekiwanie na właściwy, dogodny moment.

Grzegorz MAZUR

Krzysztof TARKA

SPÓR O WILNO. ZE STOSUNKÓW POLSKO-LITEWSKICH W LATACH DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

W wyniku układów niemiecko-sowieckich i działań wojennych po 17 września 1939 r. ziemie wschodnie Rzeczypospolitej znalazły się pod okupacją sowiecką. Jednak na terenach północno-wschodnich sytuacja ta nie trwała zbyt długo. 10 października ludowy komisarz spraw zagranicznych ZSSR, Wiaczesław Mołotow, i minister spraw zagranicznych Litwy, Jozas Urbšys, podpisali w Moskwie układ, na mocy którego ZSSR przekazywał Republice Litewskiej miasto Wilno wraz z przyległym obszarem. Układ miał bardzo istotny wpływ na kształt stosunków polsko-litewskich. W kluczowym pod tym względem artykule pierwszym stwierdzano: „W celu umocnienia przyjaźni między ZSSR i Litwą, Związek Sowiecki przekazuje Republice Litewskiej miasto Wilno wraz z krajem wileńskim z włączeniem ich w skład terytorium państwowego Litwy i ustanowieniem granicy między ZSSR i Republiką Litewską zgodnie z załączoną mapą, przy czym bardziej szczegółowo granica ta będzie opisana w protokole uzupełniającym”¹.

1. Centralne Litewskie Archiwum Państwowe w Wilnie (CLAP), MSZ Litwy 383-7-2157, k.1-2. Układ sporządzono w dwóch oryginałach: rosyjskim i litewskim. Tekst układu opublikowano m.in. w pierwszym po wznowieniu w okresie okupacji litewskiej numerze *Kuriera Wileńskiego* nr 259 z 2 XI 1939, s.1.

Rząd polski na uchodźstwie w Paryżu nie uznał postanowień tego układu. 13 października 1939 r. poseł polski w Kownie, Franciszek Charwat, po uzgodnieniu z rządem RP, złożył w litewskim MSZ notę protestacyjną przeciwko bezprawnemu przyłączeniu do Litwy części terytorium Polski. Poseł podkreślił, iż Litwa przyjęła od ZSSR terytorium, które prawnie ZSSR nie należało się. Sam układ sowiecko-litewski Charwat określił jako sprzeczny z prawem międzynarodowym i ludzką moralnością².

Nazajutrz poseł otrzymał pisemną odpowiedź z litewskiego MSZ, w której stwierdzano, iż Wilno i okręg wileński, na mocy układu zawartego między Litwą i Rosją Sowiecką 12 lipca 1920 r., stanowią integralną część Litwy, znajdującą się od października 1920 r. pod polską okupacją. W oświadczeniu litewskim zaznaczono również, że „akt przemocy” dokonany przez Polskę w 1920 r. (akcja gen. Żeligowskiego), jak i wystosowanie ultimatum do rządu litewskiego 17 marca 1938 r. pozbawiają władze polskie jakichkolwiek podstaw moralnych do formułowania zarzutów wobec Litwy³.

W tej sytuacji poseł Charwat wraz z *attaché* wojskowym, płk. Leonem Mitkiewiczem, 16 października demonstracyjnie opuścił Kowno⁴. Wyjazd Charwata oznaczał faktycznie przerwanie dopiero co nawiązanych stosunków dyplomatycznych między Polską i Litwą.

Przeciw układowi sowiecko-litewskiemu rząd polski protestował również na arenie międzynarodowej. 23 października 1939 r. konsul generalny przy Lidze Narodów w Genewie, Kazimierz Trębicki, złożył protest na ręce sekretarza generalnego tej organizacji, Francuza, Josepha Avenola. Zgodnie z obowiązującą procedurą nazajutrz przekazał on pismo Trębickiego Radzie i członkom Ligi Narodów⁵. Na oficjalną reakcję litewską, o czym dalej, trzeba było czekać aż do wiosny następnego roku.

2. CLAP, MSZ Litwy 383-7-2240, k.67-68, Nota protestacyjna F. Charwata Z 13 X 1939.

3. Tamże, k. 60-60b, Odpowiedź MSZ Litwy z 14 X 1939 na notę F. Charwata.

4. Tamże, k. 58. Zob. też L. Mitkiewicz, „Wspomnienia kowieńskie 1938-1939”, Warszawa 1990, s.345-347.

5. Cyt. za *Kurier Wileński* nr 77 z 7 IV 1940, s.1.

Mimo protestu posła Charwata reakcja rządu polskiego na działania Litwinów była bardzo powściągliwa. (Wyraźna była chęć nie pogarszania wzajemnych relacji.)

31 października (zaledwie w trzy dni od zajęcia Wilna przez Litwę), w Paryżu, nowy minister spraw zagranicznych RP, August Zaleski, spotkał się z posłem litewskim we Francji, Petrasem Klimasem. W nowej sytuacji politycznej (po zajęciu Wilna) władze litewskie nie miały już większych pretensji terytorialnych pod adresem Polski, stąd oferta Klimasa, który w imieniu swego rządu zadeklarował chęć porozumienia z rządem polskim. Emigracyjne władze polskie, kierując się zasadą *restitutio in integrum*, nie mogły zaaprobować faktów dokonanych, jakie zaszły we wzajemnych stosunkach. Rząd daleki był jednak od agresywnego stanowiska względem Litwy. Już wtedy zapewne liczone na ścisłą współpracę polsko-litewską po zakończeniu wojny. Charakterystyczne, że szef polskiej dyplomacji w rozmowie z posłem litewskim nie poruszył kwestii wileńskiej. Zaleski wyraźnie unikał wspomnienia drażliwych dla Litwinów zagadnień. Jedyny postulat, jaki wysunął, sprowadzał się do chęci nawiązania stałej łączności z rządem litewskim⁶.

W początkach grudnia 1939 r. uzgodniono, iż nieoficjalnym przedstawicielem rządu polskiego na Litwie będzie prof. Adam Żółtowski. Jeszcze przed wyjazdem z Paryża do Kowna spotkał się z posłem Klimasem. W trakcie rozmowy na temat bieżącej sytuacji Polski doszło do charakterystycznego incydentu. Klimas zachwalając minimalizm polityczny Litwy zaznaczył, iż nawet obecnie poza jej granicami pozostają tereny zamieszkałe przez Litwinów. W opinii tej kryła się sugestia co do przynależności Wilna do Litwy. W odpowiedzi Żółtowski stwierdził, iż stan ten jest tylko prowizorium. Reakcja Litwina była daleko bardziej emocjonalna i zdecydowana. Poseł podkreślił, że odzyskanie Wilna przez Litwę jest definitywne i w tej sprawie władze litewskie nie pójdą na żaden kompromis oraz nie będą na ten temat nawet dyskutować.

6. Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego (A IPMS), MSZ A.11E 175/396, Notatka z rozmowy A. Zaleskiego z P. Klimasem z 31 X 1939.

Stanowczo zaznaczył: „kto chce żyć z Litwą w dobrych stosunkach ten nie powinien podejmować tej kwestii”⁷.

Mimo coraz liczniejszych wiadomości o restrykcjach wobec Polaków na Wileńszczyźnie, znajdującej się pod okupacją litewską, stanowisko rządu polskiego w rozmowach z Litwinami w dalszym ciągu było pozytywne. Oba rządy nie chciały definitywnie zrywać wzajemnych kontaktów. Niewątpliwie sprzyjała im powściągliwość rządu polskiego. Dawała ona przecież władzom w Kownie poczucie „zalegalizowania” przyłączenia Wilna do Litwy. Pojednawcze stanowisko rządu polskiego znalazło odzwierciedlenie w uchwałach Komitetu Ministrów dla Spraw Kraju z 15 listopada 1939 r. Sugerowano w nich nawet, iż „sprawę Wilna i Wileńszczyzny uznać [należy – K.T.] za otwartą”, choć „praw swych Polska się nie zrzeka”⁸. Początkowo rząd polski przeciwny był również tworzeniu organizacji wojskowej w Wilnie⁹.

Emigracyjne władze polskie zdecydowanie sprzeciwiały się działalności skierowanej przeciwko Litwie. Była to konsekwencja pozytywnej polityki wobec Kowna na arenie międzynarodowej i prób nawiązania kontaktów z rządem litewskim. Uchwały KMdSK z 15 listopada (i następne z 12 grudnia 1939 r.) rozmiękały się jednak z intencjami i działaniami wileńskich Polaków. Gdy dotarły do kraju, w Wilnie utworzono już Komendę Wojewódzką Służby Zwycięstwu Polski (przekształconą później w Związek Walki Zbrojnej)¹⁰.

Zdecydowana większość polskiej ludności Wilna nastawio-

7. CLAP, MSZ Litwy 383-7-2252, k.22-24, Raport P. Klimasa z 6 XII 1939. Prof. Żółtowski wyjechał z Paryża do Kowna 12 XII 1939 r. Nie otrzymał jednak statusu dyplomatycznego. Oficjalnym celem misji była opieka nad uchodźcami polskimi na Litwie (zwł. jej finansowa strona). W Kownie Żółtowski miał możliwość swobodnego poruszania się, był jednak stale inwigilowany przez Litwinów. 30 XII 1939 r. został przyjęty w gmachu litewskiego MSZ przez ministra Urbšysa. Do Paryża powrócił w początkach kwietnia 1940 r. Jego opinie o rządach litewskich na Wileńszczyźnie były zdecydowanie krytyczne.

8. „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”, T.1, Londyn 1970, s.7.

9. Tamże, s.10-21, 26.

10. O konspiracji na Wileńszczyźnie w okresie okupacji litewskiej zob. L. Tomaszewski, „Kronika wileńska 1939-1941”, Warszawa 1989, s. 43-74.

na była do działań litewskich i Litwy nieprzychylnie, a nawet wręcz wrogo. Było to zresztą zrozumiałą konsekwencją zajęcia Wilna i restrykcyjnych posunięć Litwinów. 19 stycznia 1940 r., ówczesny komendant ZWZ, płk Stefan Rowecki, informował komendanta głównego ZWZ, gen. Kazimierza Sosnkowskiego, iż Polacy na Wileńszczyźnie „twierdzą, że za żadną cenę nie pójdą na kompromis zgody – na oddanie Wilna Litwie, chyba po przegranej walce, którą gotowi są stoczyć”¹¹.

Przeciw ewentualnej cesji Wilna na rzecz Litwy osobiście interweniował również ppłk Nikodem Sulik, komendant wileńskiej organizacji ZWZ. W raporcie dla gen. Sosnkowskiego z 17 marca 1940 r. podkreślił, iż „cała ludność wileńska nie dopuszcza możliwości jakiegokolwiek ponownego dyskusowania w sprawie przynależności [do Polski – K.T.] Wilna i Wileńszczyzny”¹². Ta manifestacja jedności opinii kraju stawała się swoistą formą nacisku na rząd polski.

W pierwszych miesiącach wojny widoczne były znaczne (taktyczne) różnice między rządem a dowództwem krajowej konspiracji (szczególnie okręgowej komendy ZWZ w Wilnie). Władze polskie na uchodźstwie we Francji starały się szukać jakiegoś *modus vivendi*, a przynajmniej nie tworzyć sytuacji konfliktowych. To pojednawcze i powściągliwe wobec Litwy stanowisko zostało negatywnie ocenione w kraju.

Jednak każdorazowo, gdy powracała sprawa wileńska, psuła się dotychczasowa harmonia w stosunkach polsko-litewskich. Miało to również swoje reperkusje na arenie międzynarodowej. Najpierw, 29 marca 1940 r., stały delegat Litwy przy Lidze Narodów, Jurgis Savickis, nadesłał oficjalną odpowiedź rządu litewskiego na protest złożony przez Polskę w związku z układem sowiecko-litewskim jeszcze jesienią ubiegłego roku. W nocie litewskiej zdecydowanie odrzucono polską argumentację. Podkreślono, iż Związek Sowiecki „nie przekazał Litwie żadnego terytorium”, gdyż suwerenność Litwy w kraju wileńskim uznał już w umowie z 12 lipca 1920 r. Obecnie „Litwa, która rozpoczęła ponownie pano-

11. „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”, T.1, Londyn 1970, s.82.

12. Tamże, s. 176.

wanie w swej stolicy i w sąsiednich obszarach urzeczywistniła swe stuletnie prawa, które ani na jedną chwilę nie przeszły na stronę Polski¹³. Treść noty świadczyła o znacznej determinacji rządu litewskiego. Ponownie odsłaniała też zasadnicze pole wzajemnego konfliktu.

W gwałtowną „dyskusję” dotyczącą Wilna niebawem włączył się rząd polski. Kwestię tę poruszył w początkach maja 1940 r., w przemówieniu wygłoszonym do kraju, premier rządu i naczelny wódz, gen. Władysław Sikorski. Zdecydowany i ostry ton jego wypowiedzi sprawił, że cenzura francuska próbowała nie dopuścić do ogłoszenia w prasie tej jej części, w której premier mówił o Wileńszczyźnie i powrocie wszystkich ziem do Macierzy. Przyrównywał przy tym okupację Wileńszczyzny przez Litwę do agresji niemieckiej i sowieckiej. Sikorski zareagował na te próby bardzo zdecydowanie, grożąc nawet złożeniem swego urzędu. Ostatecznie konfiskatę cofnięto. Wywołało to z kolei ostry protest posła litewskiego, Klimasa, który domagał się ogłoszenia go w prasie francuskiej. Sprzeciwił się temu gen. Sikorski. Wskutek nacisków polskich na francuskie MSZ oraz oficjalnego stwierdzenia, że „Rząd Polski nie podejmie dyskusji na równej stopie z Litwą na temat Wileńszczyzny”, nie doszło do ogłoszenia żadnego komunikatu litewskiego¹⁴.

Emocjonalne i zdecydowane w treści przemówienie radiowe premiera, a także jego późniejsza reakcja są świadectwem zmian zachodzących w stanowisku rządu polskiego wobec poczynań władz litewskich na Wileńszczyźnie.

4 maja 1940 r. gen. Sosnkowski zapewnił ppłk. Sulika, iż ostatnia enuncjacja premiera powinna rozwiązać wszelkie wątpliwości co do stanowiska rządu w sprawie Wileńszczyzny. Obawy, iż było ono w tej kwestii chwiejne, według gen. Sosnkowskiego, „są całkowicie płonne i wpływają z jakiejś dla nas niezrozumiałej omyłki interpretacyjnej”¹⁵.

13. Cyt. za *Kurier Wileński* nr 77 z 7 IV 1940, s. 1.

14. A IPMS, Prezydium Rady Ministrów (PRM), k. 102, Protokół posiedzenia RM RP z 8 V 1940; Zakład Historii Ruchu Ludowego, Archiwum S. Kota 92, k. 110-112, Raport F. Frankowskiego z 10 V 1940.

15. „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”, T.1, Londyn 1970, s. 227.

Wiosną 1940 r. zaostrzeniu uległy relacje sowiecko-litewskie. W połowie czerwca Litwa została anektowana przez ZSSR (formalnie republiką sowiecką Litwa została 3 sierpnia 1940 r.). Wileńszczyzna tym samym od połowy 1940 r. znalazła się pod okupacją sowiecką¹⁶.

W nowej sytuacji politycznej ppłk Sulik w raporcie z 28 sierpnia 1940 r. ponownie podkreślił, że Wilno i Wileńszczyzna nie mogą być sprawą otwartą, lecz muszą być polskie. Domagał się nowych wytycznych, a przede wszystkim cofnięcia groźby „otwarcia” sprawy wileńskiej¹⁷.

Opowiadając się za utrzymaniem przedwojennej *status quo* w Europie Środkowo-Wschodniej rząd polski sprzeciwił się również aneksji Litwy przez Związek Sowiecki. Takie ustalenia zapadły w trakcie dyskusji nad tezami polskiej polityki zagranicznej na posiedzeniu Komitetu Politycznego Ministrów, 30 lipca 1940 r. Uczestniczący w nim ministrowie: gen. Sosnkowski (przewodniczący Komitetu Politycznego Ministrów), Zaleski (sprawy zagraniczne), Marian Seyda (sprawiedliwość) oraz Stanisław Kot i Stanisław Stroński (ministrowie bez teki) jednomyślnie uznali „konieczność bardzo silnego podkreślenia naszego kategorycznego stanowiska w sprawie niepodległości Litwy i polskości Wileńszczyzny”¹⁸.

W ogólnych wytycznych polskiej polityki zagranicznej, przyjętych 24 sierpnia 1940 r. na posiedzeniu Komitetu Politycznego Ministrów, w części dotyczącej stosunku do Litwy, uzgodniono: „Przyjazne współzycie z Litwą jest stałym celem polityki Polski, dbałość o niepodległy byt Litwy, a również przynależność do Litwy ujścia Niemna w Kłajpedzie, zajętej przez Niemcy, uznana jest w Polsce za słuszną”¹⁹. Starając się skierować zainteresowanie Litwy ku Kłajpedzie niewątpliwie liczone, iż tym sposobem uda się ominąć sprawę Wilna – najbardziej zapalny i drażliwy element we wzajemnych stosun-

16. P. Łossowski, „Tragedia państw bałtyckich 1939-1941”, Warszawa 1990, s.25-30, 32-34, 37-44.

17. „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”, T.1, Londyn 1970, s. 286.

18. A IPMS, PRM, k. 86, Protokół posiedzenia Komitetu Politycznego Ministrów z 30 VII 1940.

19. Tamże, k. 142, Protokół posiedzenia Komitetu Politycznego Ministrów z 24 VIII 1940.

kach. Ewentualne zainteresowanie Litwy Kłajpedą, a w konsekwencji zaostrenie relacji litewsko-niemieckich miało też, w zamyśle władz polskich, skłonić Litwinów do szukania poparcia w Polsce, a tym samym przyczynić się do poprawy polsko-litewskich stosunków. Przy pominięciu sprawy wileńskiej rząd polski gotów był bowiem do najściślejszej współpracy z Litwą.

Polacy starali się również rozbudowywać kontakty z Litwinami na emigracji. Wiosną 1941 r., podczas pobytu gen. Sikorskiego w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, doszło do pierwszych kontaktów na tym terenie między emigracją polską i litewską (USA były niekwestionowanym centrum litewskiej emigracji politycznej). Wyraźnie podekscytowany informacjami o wzajemnych kontaktach w Chicago (największym skupisku emigracji polskiej i litewskiej) premier rządu polskiego w końcu kwietnia 1941 r. przesłał ambasadorowi Janowi Ciechanowskiemu (celem powiadomienia konsula generalnego RP w Chicago, Karola Ripy) swoje uwagi w sprawie współpracy z Litwinami na terenie Stanów Zjednoczonych. Sikorski dostrzegając drażliwość problemów terytorialnych nakazywał: „Ze względów zasadniczych należy wyłączyć wszelkie sprawy graniczne pomiędzy Polską i Litwą”²⁰.

22 czerwca 1941 r. wojska niemieckie rozpoczęły wojnę ze swym dotychczasowym sojusznikiem – Związkiem Sowieckim. Już nazajutrz niemiecka czołówka pancerna znalazła się pod Wilnem, a 24 czerwca miasto zostało zajęte przez wkraczające oddziały niemieckie²¹. Wileńszczyzna tym samym znalazła się już pod czwartą od wybuchu wojny okupacją. Nie wygasły też polsko-litewskie animozje. Wręcz przeciwnie, konflikt nabrał nawet nowego wymiaru.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej wywarł natomiast znaczący wpływ na próby zbliżenia do Polaków podejmowane przez litewskich emigrantów. W nowej sytuacji politycznej, gdy Związek Sowiecki stał się sojusznikiem Wielkiej Brytanii, Litwini obawiali się, że Anglicy mogą zaakceptować wcielenie

20. A IPMS, PRM 56A, k. 9, Wytyczne gen. W. Sikorskiego w sprawie współpracy z Litwinami na terenie USA z 29 IV 1941.

21. L. Tomaszewski, dz.cyt., s. 110-112.

państw bałtyckich do ZSSR. Wobec braku większego zainteresowania władz brytyjskich problemem litewskim kontakty z przedstawicielami rządu polskiego dawały szansę na aktualizację idei niepodległości Litwy na arenie międzynarodowej. Zdecydowało to o modyfikacji postawy emigrantów litewskich wobec władz polskich.

17 lipca 1941 r. do *chargé d'affaires* RP w Bernie, Aleksandra Ładosia, zgłosili się Petras Klimas i Eduardas Turauskas, litewscy dyplomaci związani z byłymi władzami niepodległej Litwy. Zaproponowali nawiązanie rokowań z rządem polskim „co do porozumienia i współpracy na zasadzie suwerenności Państwa Litewskiego, ale związanego z Polską w federację regionalną”²².

Wydawało się, że inicjatywa litewska wychodziła naprzeciw postulatом polskiego MSZ. Trafiła jednak na skomplikowany dla polskiej dyplomacji okres (rokowania polsko-sowieckie, kryzys rządowy). W tych okolicznościach ewentualne rozmowy z Litwinami musiały zejść na dalszy plan. Rząd polski zresztą i tak ustosunkował się do inicjatywy posłów litewskich dosyć chłodno, dopatrując się w niej posunięcia czysto koniunkturalnego. Dodatkowym elementem był spór o Wilno. Polacy uważali, że za cenę deklarowanej federacji Litwini będą chcieli uzyskać Wilno.

W nie podpisanym „Memorandum w sprawie Litwy” z 13 sierpnia 1941 r. zwrócono uwagę, że dla Litwinów rzeczywistym celem rozmów z Polakami jest „wytargowanie od Polski Wilna pod płaszczykiem federacyjnym, które to miasto i terytorium stałoby się terenem konsekwentnej, bezwzględnej i brutalnej akcji lituanizacyjnej”. Zaś „Po uzyskaniu tego, Litwa – o ile byłoby to tylko możliwe – dążyłaby do rozluźnienia, względnie zerwania związków federacyjnych oraz powrotu do niezależności zewnętrzno-politycznej, wyrażającej się w lawirowaniu między Niemcami, Sowietami a Polską. Polska straciłaby wówczas i Wilno i Litwę”. Nieufność co do intencji partnera po obu stronach była znaczna. Deklarowanym w „Memorandum” celem była federacja polsko-litewska

22. A I PMS, MSZ A.11 49/Lt./4, Telegram A. Ładosia z 17 VII 1941.

(wspólna miała być przede wszystkim polityka zagraniczna i wojskowa). Polacy nie brali jednak pod uwagę możliwości istotnej korekty dotychczasowej granicy polsko-litewskiej: „Należy się stanowczo zastrzec – pisano – przeciwko pogładowi, według którego Litwa musi być kupiona do federacji Wilnem. Efekty tego byłyby fatalne. W federacji zainteresowana jest tak samo Polska jak i Litwa”. Pogład ten nie odpowiadał jednak rzeczywistości. Za możliwe uznano jedynie ewentualne scedowanie na rzecz Litwy niewielkich obszarów zamieszkałych przez Litwinów w rejonie Puńska, Marcinkaniec i Świecian w zamian za „przejęcie terytorium językowo polskiego”, leżącego „na szlaku między Wilnem a Kownem”. Liczono, że Litwini, rezygnując z walki o Wilno, zadowolą się jedynie mało znaczącymi gestami ze strony polskiej. Chcąc zjednać sobie opinię litewską, postulowano poczynić „szereg koncesji moralnych”, uwzględniających „głęboki sentyment” Litwinów do Wilna. Przykładowo wymieniono wspólną ochronę zabytków czy „przydzielenie Litwie specjalnych punktów zabytkowych w Wilnie”. W zakreślonym w „Memorandum” maksimum, do jakiego powinni dążyć Polacy w zakresie ustroju federalnego, w punkcie 6. (ostatnim) zaznaczono: „Wolność osiedlenia się po obu stronach jest ściśle ograniczona do wypadków koniecznych, a to dla uniknięcia tarć językowych i narodowościowych”. Uniemożliwienie swobodnego osiedlenia się mieszkańców sfederowanych państw miało zabezpieczać Polaków przed ewentualnym masowym napływem Litwinów do Wilna. Polacy obawiali się zmiany dotychczasowej (korzystnej dla siebie) struktury narodowościowej na Wileńszczyźnie. Po raz wtóry stwierdzono, iż po zakończeniu wojny Litwa powinna otrzymać „kraj kłajpedzki” oraz „odpowiednie obszary w Prusach Wschodnich, gdzie dotąd trwa jeszcze przynajmniej tradycja języka litewskiego”²³. Trudno było oczekiwać entuzjastycznego przyjęcia tych warunków przez Litwinów. W polskich kołach rządowych łudzono się jednak, że będzie to możliwe.

23. A IPMS, PRM 56A, k. 17-19, 21-24, Memorandum w sprawie Litwy z 13 VIII 1941.

Przesilenie, jakie w rządzie polskim spowodowało podpisanie układu Sikorski-Majski, sprawiło, iż decyzja co do podjęcia rozmów z Litwinami na terenie Szwajcarii musiała zostać odłożona. Ze względu na splot kilku czynników (Wilno, ZSSR) kontakty te stały się szczególnie skomplikowane.

15 sierpnia 1941 r. w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji, kierowanym przez Stanisława Strońskiego, opracowano okólnik w sprawach litewskich. Ujęto w nim stan i perspektywy kontaktów polsko-litewskich oraz określono cele na przyszłość. Dość optymistycznie zapatrywano się na relacje z Litwinami: „Wszyscy politycy litewscy – pisano w okólniku – z którymi zetknęli się Polacy (...) stoją obecnie zgodnie na stanowisku, że w nowej Europie powojennej winien powstać blok szeregu sfederowanych ze sobą państw, którego ośrodkiem będzie Polska. Godząc się już na to, chcą jednak za cenę tej zgody urzeczywistnić swój stały program maksymalny, przyłączenie Wileńszczyzny do Litwy. (...) Program ten, jako program maksymalny, wyznaje większość polityków litewskich na emigracji. (...) Jest to oczywiście nie do przyjęcia dla Polski. (...) Punktem wyjścia (...) może i musi być wyłącznie stan rzeczy między Polską i Litwą sprzed 1 września 1939 r.” Postulowano co najwyżej dyskusję o sprawach terytorialnych „jedynie w płaszczyźnie *obustronnych* poprawek granicznych”. (Wzajemna wymiana „takich samych terenów” dotyczyłaby tylko niewielkich przygranicznych obszarów Polski zamieszkałych przez Litwinów i analogicznych obszarów Litwy zamieszkałych przez Polaków.) Jak natomiast podkreślono, „Sprawa przynależności Wilna musi być od razu wykluczona z dyskusji”. Dążąc do odciążenia Litwinów od pretensji do Wilna, deklarowano poparcie „morskich” aspiracji chrześcijańskiej-demokracji, najpoważniejszego – jak oceniano – litewskiego ugrupowania na emigracji. W tym celu postulowano „kierować litewskie apetyty terytorialne w stronę przyległych do Litwy Prus Wschodnich” oraz rozwijać przed Litwinami „perspektywy polsko-litewskiej współpracy politycznej, wojskowej i gospodarczej, zmierzającej do wspólnego opanowania Bałtyku”. Konieczność zasymilowania włączonych po zakończeniu wojny do Litwy Prus Wschodnich i Kłajpedy, jak przy-

puszczano, będzie dla niej „olbrzymim zadaniem” i powinna również wpłynąć ograniczająco na litewskie ambicje terytorialne. Wyrażono również przekonanie, iż przyszła Europa urządzana będzie na zasadach federacyjnych. Jeżeli związek polsko-litewski okazałby się ścisły i trwały, Polacy deklarowali nawet gotowość do ustępstw terytorialnych na rzecz Litwy. Sugerowano więc, iż część „ziem wchodzących przez lat dwadzieścia w skład państwa polskiego” (Wilno?) mogłaby nawet, pod pewnymi warunkami, zostać odstąpiona Litwie: „Akt tego rodzaju dobrowolnej cesji mógłby być dokonany przez Polskę tylko na rzecz dobrego sąsiada – wypróbowanego w latach doli i niedoli. Być może, iż długi okres współpracy w ramach związku federacyjnego z Polską zatrze z czasem całkowicie wspomnienia przeszłości, a samo życie przekreśli granice dzielące Litwę i Polskę”²⁴. Generalnie, stanowisko władz polskich pozostawało w dalszym ciągu niezmiennie.

W ewentualnych rokowaniach z Litwinami strona polska wykluczała dyskusję nad przynależnością państwową Wilna. Równie stanowcze, acz zdecydowanie odmienne, było w tej sprawie stanowisko wszystkich ugrupowań litewskich. Obie strony uważały, iż w żaden sposób nie mogą zrezygnować z przeforsowania swojej wizji rozwiązania kwestii wileńskiej. Istotną przeszkodą był też brak (od czerwca 1940 r.) równorzędnego i jedyne go partnera po stronie litewskiej (rządu) oraz powściągliwość władz polskich, chcących uniknąć pretekstów do zaostrzania przywróconych niedawno stosunków dyplomatycznych z ZSSR.

Dopiero 20 września nowy kierownik MSZ, Edward Raczyński, przesłał instrukcję w sprawach litewskich posłowi Ładosiowi (w odpowiedzi na jego telegram z 17 lipca). Szef polskiej dyplomacji podkreślił, iż punktem wyjścia do rozmów (jedynie o informacyjnym charakterze) powinno być m.in. stwierdzenie, że obie strony obowiązuje stan prawny, jaki we wzajemnych stosunkach istniał przed 1 września 1939 r. Ewentualnie godził się, by Litwini (wzorem układu Sikorski-Majski) uznali za niebyłe umowy sowiecko-litewskie,

24. Tamże, k. 41-45, Okólnik MliD: Sprawy litewskie z 15 VIII 1941.

zawarte po tym terminie. Polakom chodziło przede wszystkim o układ z 10 października 1939 r.²⁵.

Początek 1942 r. przyniósł ożywienie wzajemnych kontaktów. Wpłynęły na to nasilające się informacje o rokowaniach brytyjsko-sowieckich i rosnąca niepewność co do sposobu, w jaki zostanie w nich potraktowana Litwa. Obawy wobec możliwości uznania przez rząd brytyjski inkorporacji państw bałtyckich do ZSSR wysoce niepokoiły również władze polskie²⁶.

12 stycznia 1942 r. doszło do spotkania Ładosia z Turauskasem. Poruszając zagadnienie granicy polsko-litewskiej i Wilna dyplomata litewski nalegał, by rząd polski wydał w tej sprawie „deklarację otwierającą widoki porozumienia”. Nie mówił już co prawda otwarcie o przynależności Wilna do Litwy, ale wyraźnie jego celem było „zmiękczenie” dotychczasowego negatywnego w tej kwestii stanowiska Polaków. Ładoś zaznaczył, iż rząd polski „nie może naruszyć podstaw prawnych granic z 1939 r.”, mimo to prosił MSZ o instrukcje w tej kwestii²⁷.

W kolejnej rozmowie z Ładosiem Litwini (Jurgis Šaulys i Eduardas Turauskas) uchylili się od złożenia wobec aliantów jednostronnego oświadczenia o woli przystąpienia Litwy do związku państwowego z Polską. Zaproponowali natomiast dalsze rozmowy w celu uzgodnienia wspólnej, dwustronnej deklaracji²⁸.

Odpowiadając na pytanie Ładosia w sprawie granicy polsko-litewskiej, Raczyński 16 stycznia zdecydowanie zaznaczył, iż „w stosunku do Litwy nie widzimy możliwości dopuszczenia do dyskusji na temat zmian terytorialnych”, gdyż „jakiegokolwiek odstępstwo od zasady nienaruszalności naszych

25. A IPMS, MSZ A.11 49/Lt./4, Telegram E. Raczyńskiego z 20 IX 1941.

26. Podczas wizyty w Moskwie w drugiej połowie grudnia 1941 r. brytyjski minister spraw zagranicznych trzykrotnie rozmawiał ze Stalinem. Sowiecki dyrektor wystąpił m.in. z projektem uznania przez Wielką Brytanię włączenia państw bałtyckich do ZSSR, zob. J. Karski, „Wielkie mocarstwa wobec Polski 1919-1945. Od Wersalu do Jałty”, Warszawa 1992, s. 366-369.

27. A IPMS, MSZ A.11 49/Lt./4, Telegram A. Ładosia z 12 I 1942.

28. Tamże, Telegram A. Ładosia z 12 I 1942.

granic uczynione w dyskusjach z Litwinami groziłoby osłabieniem naszego stanowiska wobec Sowietów”²⁹.

Zasada *status quo ante bellum* w odniesieniu do granicy wschodniej musiała się stać kanonem polityki rządu polskiego.

22 stycznia Ładoś zapowiedział zakończenie niebawem prac nad przygotowaniem deklaracji polsko-litewskiej. Dyplomata polski informował MSZ, iż Litwini „chcą w tajnym protokole końcowym koniecznie jakiegoś ustępu dotyczącego Wilna, co jedynie jeszcze wstrzymuje prace”. Mimo jednoznacznej przecież instrukcji Raczyńskiego z 16 stycznia ponownie prosił też o wytyczne w sprawie wileńskiej. Po raz wtóry zapytywał, czy rząd polski uważa za możliwe umieszczenie ustępu w tym sensie, że „załatwienie spornej sprawy terytorialnej będzie funkcją ścisłości wzajemnych stosunków”. Mimo iż Raczyński był temu przeciwny, Ładoś wyraźnie nakłaniał szefa MSZ do „transakcji”: Wilno za federację³⁰.

Niebawem rokowania berneńskie przyniosły pierwszy konkretny efekt. 24 stycznia Ładoś przesłał do aprobaty MSZ zapowiadany już projekt dwustronnej deklaracji polsko-litewskiej. Nie regulowała ona podstawowej płaszczyzny sporu, jakim była przynależność państwowa Wilna i kształt granicy polsko-litewskiej, pomijając całkowicie zagadnienia terytorialne. Sygnalizowano natomiast dobrą wolę stron w rozwiązywaniu nawarstwionych problemów. Mimo znacznej ogólności i pominięcia kluczowych we wzajemnych relacjach spraw terytorialnych deklaracja mogłaby być rozwiązaniem w dobrym kierunku. Problem tkwił w tym, że ze strony litewskiej akceptowali ją jedynie Šaulys i Turauskas. Zmuszało to władze polskie do poważnego zastanowienia się nad sensownością i celowością jej podpisywania. Tym bardziej, że posłowie litewscy w rozmowach z Ładosiem ciągle obstawali przy swojej wersji rozwiązania sprawy wileńskiej. Nie było więc pewne, czy uzgodniony w trakcie żmudnych rokowań tekst deklaracji będzie ostateczny, gdyż jak zaznaczył Ładoś: „Litwi-

29. A IPMS, MSZ A.11 49/Lt./4, Telegram E. Raczyńskiego z 16 I 1942.

30. Tamże, Telegram A. Ładosia z 22 I 1942.

ni chcą ponadto uzyskać tajny protokół w sprawie Wilna". Ignorując wcześniejsze, wyraźne dyrektywy ministra Raczyńskiego poseł polski w Bernie obiecał im nawet dać w tej sprawie odpowiedź „po otrzymaniu instrukcji”³¹.

Komplikowała się również sytuacja na arenie międzynarodowej. Stanowisku ZSSR w sprawie państw bałtyckich (w tym Litwy) coraz bliższy był rząd brytyjski. Podczas rozmowy dotychczasowego ambasadora Wielkiej Brytanii w Moskwie, Stafforda Crippsa z gen. Sikorskim 26 stycznia 1942 r. Anglik poinformował polskiego premiera o sowieckich żądaniach (przyłączenie do ZSSR części Finlandii, Besarabii, Bukowiny i państw bałtyckich, linia Curzona jako nowa granica polsko-sowiecka). Sikorski określił te warunki jako zgubne dla Europy, a w szczególności Polski. Upomniał się również o Litwę oraz Wilno. Cripps obstawał przy postulatach sowieckich, twierdząc, że ZSSR wykluczał możliwość rokowań co do Litwy³².

W tydzień po otrzymaniu projektu deklaracji polsko-litewskiej Raczyński zakwestionował proponowaną przez Litwinów procedurę. 31 stycznia poinformował Ładosia, iż deklarację dwustronną musi poprzedzić jednostronne oświadczenie litewskie o gotowości przystąpienia Litwy do związku państwowego z Polską. Powołując się na swój telegram z 16 stycznia szef MSZ jeszcze raz przypomniał posłowi w Bernie, iż rząd polski „nie może w dwustronnej deklaracji przyjąć jawnej czy tajnej klauzuli w sprawie Wilna”. Niezależnie od *meritum* stanowisko takie podyktowane było „koniecznością obstawania przy nienaruszalności granic Państwa [polskiego – K.T.] w toczących się obecnie rozmowach międzynarodowych”³³.

Warunków polskich nie byli z kolei skłonni przyjąć Litwini, o czym 5 lutego Ładoś poinformował Raczyńskiego. Po raz wtóry naciskał też na MSZ w sprawie wileńskiej. Tym

31. Tamże, Telegram A. Ładosia z 24 i 25 I 1942.

32. „Sprawa polska w czasie drugiej wojny światowej na arenie międzynarodowej. Zbiór dokumentów”, Warszawa 1965, s. 262.

33. A IPMS, MSZ A.11 49/Lt./4, Telegram E. Raczyńskiego z 31 I 1942.

razem zaznaczył, iż Litwini „bardzo obstają przy uzyskaniu *czegokolwiek* w sprawie Wilna, choćby sformułowania bardzo luźnego i w oddzielnym tajnym protokóle”. Był przekonany, iż „zupełna odmowa spowodowałaby dużą trudność, a nawet odroczenie całej sprawy”. Dodał też, iż w dotychczasowych rozmowach obaj Litwini „okazali dużo dobrej woli i zrozumienia sytuacji”³⁴. Niedwuznacznie sugerował więc okazanie „dobrej woli” przez rząd polski.

Ładoś, osobiście mocno zaangażowany w pertraktacje z Litwinami, usilnie dążył do przeforsowania swego stanowiska. Uchylił się nawet od ścisłego wykonywania dyrektyw szefa polskiej dyplomacji. Zapewne przyczyniło się to do tego, iż pod nieobecność Raczyńskiego, który wyjechał do USA, 11 lutego telegram do niego podpisał sam premier rządu polskiego. Niewątpliwie świadczyło to również o znacznym zainteresowaniu gen. Sikorskiego uregulowaniem stosunków z Litwinami. Popierając szefa MSZ, premier raz jeszcze przypomniał posłowi w Bernie zasady prowadzenia rozmów i warunki strony polskiej. Uznając drażliwość kwestii wileńskiej, gen. Sikorski wyraził zgodę, aby do jednostronnego oświadczenia Litwini wprowadzili „zdanie o ich głębokim przekonaniu, że federacja z Polską doprowadzi do polubownego uregulowania wszelkich sporów polsko-litewskich. Formuła ta musiałaby być uprzednio uzgodniona z Rządem Polskim”³⁵.

Argumentacja przypomniana przez gen. Sikorskiego stała się kanonem polskiej polityki wobec Litwy. Jej zasadnicze elementy nie uległy już zmianie. Premier, aprobując linię MSZ, skłonny był co prawda do nieznaczących ustępstw, ale nie do rezygnacji z polskich postulatów.

Mimo jednoznacznych instrukcji MSZ, a w końcu osobistej interwencji premiera, 16 lutego Ładoś ponownie naciskał na zmianę stanowiska i wyrażenie zgody na parafowanie deklaracji dwustronnej. Upierając się przy swojej opinii twierdził, iż jest „zupełnie nieprawdopodobne”, aby Litwini zgodzili się na jednostronne oświadczenie, gdyż „nawet parafo-

34. Tamże, Telegram A. Ładosia z 5 II 1942.

35. Tamże, Telegram W. Sikorskiego z 11 II 1942

wanie deklaracji dwustronnej uzależniają od znalezienia i umieszczenia w tajnym protokóle formuły, która by obejmowała sprawę Wilna”. Dopiero teraz Ładoś po raz pierwszy formułował to jako zasadę *sine qua non* podpisania (bądź nawet parafowania) przez posłów litewskich deklaracji dwustronnej. Wcześniej (depesze z 22 i 24 stycznia) sprawę tajnego protokołu odnośnie Wilna przedstawiał w znacznie łagodniejszej formie, jako prośbę, a nie jako warunek ze strony litewskiej³⁶. Stanowisko rządu polskiego nie uległo jednak zmianie.

Jednym z celów drugiej amerykańskiej podróży gen. Sikorskiego w marcu 1942 r. była „pomoc dla bratniej nam Litwy w utrzymaniu jej niezawisłego bytu”. Podczas pobytu w USA 25 marca premier RP polecił płk. Leonowi Mitkiewiczowi (byłemu *attaché* wojskowemu w Kownie) udać się do Nowego Jorku na spotkanie z płk. Kazysiem Griniusem (synem byłego prezydenta Litwy, jednym z przywódców emigracji litewskiej w USA) i płk. Aloizaszem Valiūšisem (byłym *attaché* wojskowym w Warszawie). Mitkiewicz miał zorientować swych rozmówców w powojennych koncepcjach polityki polskiej wobec Litwy. Opowiadając się za niepodległością Litwy, gen. Sikorski godził się na przyznanie jej wschodniej części Prus Wschodnich, zamieszkałej przez Litwinów. W instrukcjach udzielonych Mitkiewiczowi podkreślał: „nie ma natomiast żadnej dyskusji o Wilnie, chyba, że Litwa zgodzi się na federację Wschodnio-Środkowo-Europejską wspólnie z Polską”. Do czasu otrzymania przez rząd polski konkretnych propozycji litewskich dotyczących federacji środkowo-europejskiej, jak podkreślił Sikorski, „w sprawie Wilna nie może być najmniejszej dyskusji z Litwinami”³⁷.

W ocenie Mitkiewicza spotkanie z Griniusem, w którym uczestniczył również gorący rzecznik współpracy polsko-litewskiej, prof. Klemans Jędrzejewski, było wręcz nieudane. Należy jednak zaznaczyć, że „prywatnie” polscy rozmówcy (tak Mitkiewicz, jak i Jędrzejewski) skłonni byli zaakceptować żądania litewskie uważając, iż „chwila obecna nakazywałaby

36. Tamże, Telegram A. Ładosia z 16 II 1942.

37. L. Mitkiewicz, „Z gen. Sikorskim na obczyźnie (fragmenty wspomnień)”, Paryż 1968, s. 244-246.

wystąpienie z zupełnie nową koncepcją polityczną, radykalnie zmienioną, i właśnie z oddaniem Litwie tak ich sercom drogiego Wilna”. O przebiegu rozmowy z Griniusem i zapewne o swych sugestiach Mitkiewicz i Jędrzejewski poinformowali premiera rządu polskiego 30 marca, w trakcie podróży pociągiem z Nowego Jorku do Ottawy³⁸.

Informując członków rządu o rezultatach swej wizyty w Ameryce, 14 kwietnia gen. Sikorski stwierdził, iż „uchylił się od wszelkich rozmów z politykami litewskimi, dał im jednak do zrozumienia, że Polska broni spraw Litwy najlepiej we własnym interesie, oczywiście bez jakiegokolwiek kompromisu w sprawie Wilna”³⁹.

Takie stanowisko, według Litwinów, wszelkie rozmowy czyniło bezprzedmiotowymi. Podejmowana od kilku miesięcy przez rząd polski próba obrony suwerenności Litwy nie wynikała ze względów sentymentalnych. Międzynarodowe uznanie zaboru Litwy przez ZSSR stawiało również pod znakiem zapytania nienaruszalność granicy wschodniej Rzeczypospolitej. Broniąc Litwy, pośrednio broniono także polskości Wilna.

Do złożenia deklaracji jednostronnej 22 kwietnia minister Raczyński (jednocześnie ambasador RP w Londynie) próbował nakłonić posła litewskiego w Wielkiej Brytanii, Broniusa Balutisa. Litwin nie kwapił się jednak, żeby zaakceptować stanowisko władz polskich. Nie zapomniał też o dzielącej oba kraje kwestii wileńskiej. Raczyński niezadowolony takim przebiegiem rozmowy raz jeszcze zaznaczył, że „do tych i innych spraw nie ma co teraz wracać i że potrzebna jest rychła decyzja” (w sprawie deklaracji jednostronnej)⁴⁰.

30 kwietnia o konieczności natychmiastowego złożenia deklaracji jednostronnej posła litewskiego w Waszyngtonie, Povilasa Žadeikisa, przekonywał również ambasador Ciechanowski. Poseł „stałe powracał do sprawy Wilna, wskazując trudności ustosunkowania się Litwy do Polski bez uprzedniego uregulowania tej sprawy, żywej dla niepodległości

38. Tamże, s. 253-254.

39. A IPMS, PRM, k. 102, Protokół posiedzenia RM RP z 14 IV 1942.

40. A IPMS, MSZ A.11 49/Lt./1, Notatka z 23 IV 1942 z rozmowy E. Raczyńskiego z B. Balutisem.

Litwy”. Poirytowany taką postawą Żadeikisa, w depeszy do MSZ, Ciechanowski podkreślił, iż w sytuacji kiedy Polska „walczy o istnienie Litwy na tle zasad podstawowych”, narażając się nawet na konflikt z władzami sowieckimi, Litwini targują się o Wilno⁴¹.

Z optymizmem na możliwość kompromisu patrzył jednak poseł Ładoś. 10 maja 1942 r. zawiadamiał MSZ, iż „grupa posłów litewskich (...) gotowa jest do zawarcia z nami bardzo nawet daleko idącego układu federacyjnego za cenę tylko pewnych obietnic w sprawie wileńskiej”⁴². Niestety była to kolejna depesza, w której poseł w Bernie idealizował stan swoich kontaktów z Litwinami. W sprawie Wilna postulaty litewskie daleko wykraczały przecież poza „pewne obietnice”. Zasadnicze rozbieżności stron w tej kluczowej kwestii powodowały, iż podejmowane w różnych miejscach rozmowy nie przynosiły efektów.

W ostatnich tygodniach rozmowy berneńskie wyraźnie traciły na impecie. Ciągłe rozmawiano o tych samych problemach, a co ważniejsze nie było szans na kompromis. Winą za taki stan każda ze stron obciążała swego partnera, co z pewnością nie wróżyło dobrze na przyszłość. Realna stała się groźba przerwania wzajemnych kontaktów. W tych okolicznościach pewnym zaskoczeniem była chyba treść telegramu Ładosia z 29 maja. Poseł polski informował, że prowadzi intensywne rozmowy z Šaulysiem, Turauskasem i przybyłym z Rzymu Stasysem Lozoraitisem. Już nazajutrz Šaulys wręczył Ładosiowi uzgodniony przez Litwinów projekt noty wraz z odpowiedzią, którą chcieli uzyskać od rządu polskiego. Poseł dodał, iż Lozoraitis, który był autorem dokumentów, w sprawie wileńskiej „zadowoliliby się jednostronnym wyrażeniem nadziei jej załatwienia w formie dodatku przy parafowaniu”⁴³.

W początkach czerwca Raczyński, w dalszym ciągu podkreślając niemożność podpisania deklaracji dwustronnej, zgodził się na proponowaną wymianę not. Za możliwe uznał też, by nota polska zawierała stwierdzenie sympatii rządu RP dla

41. A IPMS, MSZ A.11 49/Lt./4, Telegram J. Ciechanowskiego z 30 IV 1942.

42. Tamże, Telegram A. Ładosia z 11 V 1942.

43. Tamże, Telegram A. Ładosia z 29 V 1942.

narodowych aspiracji litewskich i wyrażenie nadziei, że „przy ostatecznym uregulowaniu stosunków powojennych los Litwy ustalony zostanie zgodnie z wolą Narodu Litewskiego”⁴⁴.

Dość nieoczekiwanie sformułowanie to wywołało zdecydowany sprzeciw Ładosia. 11 czerwca informował on MSZ, iż nie może się zgodzić na wzmiankę o stwierdzeniu sympatii rządu dla narodowych aspiracji litewskich, gdyż „niewątpliwie” obejmowały one Wilno i „zdanie to Litwini rozumieliby i eksploatowali jako naszą koncesję w tej sprawie”. Poseł polski był „zdecydowanym zwolennikiem takiej koncepcji w razie zawarcia daleko idącej federacji”. Za niemożliwe uznał jednak, by „dać ją w dokumencie, który federacji takiej nie stwarza”⁴⁵.

Tak oto Ładoś, który do tej pory zwodził posłów litewskich, łudząc ich możliwością zgody rządu polskiego na deklarację w sprawie wileńskiej – sam zresztą wielokrotnie interweniował w tym kierunku w MSZ – sprzeciwił się bardzo przecież ogólnemu i ostrożnemu sformułowaniu zapropozowanemu przez Raczyńskiego. Czyżby był to dalszy ciąg jego „wojny” z szefem polskiej dyplomacji?

Ostatecznie proponowane przez Raczyńskiego sformułowanie nie znalazło się w nocie polskiej, którą poseł Ładoś wymienił z Litwinami 15 czerwca 1942 r.⁴⁶.

Po wielomiesięcznych targach, gdy wydawało się już, że rokowania w Bernie zakończą się całkowitym fiaskiem, z inicjatywy posłów litewskich doszło do wzajemnej wymiany not. Bardziej wpłynął na to niekorzystny dla Polski i Litwy rozwój sytuacji międzynarodowej (rokowania sowiecko-brytyjskie i obawy, że alianci zaakceptują zmiany terytorialne dokonane przez ZSSR w okresie wojny) niż rzeczywista chęć, a raczej możliwości porozumienia satysfakcjonującego obie strony. Mogłoby się wydawać, że rokowania polsko-litewskie nabiorą teraz bardziej konkretnego kształtu. Tak się jednak nie stało. Przeszkodę na drodze do dalszych rozmów, obok sprawy Wilna, stanowiły coraz liczniejsze informacje napły-

44. Tamże, Telegram E. Raczyńskiego z 8/9 VI 1942.

45. Tamże, Telegram A. Ładosia z 11 VI 1942.

46. Tamże, Telegram A. Ładosia z 15 VI 1942.

wające z okupowanego kraju, mówiące o udziale Litwinów w prześladowaniu obywateli i ludności polskiej na Wileńszczyźnie.

Lozoraitis, który w finale rokowań berneńskich odegrał niepoślednią rolę, po dokonaniu wymiany not powrócił do Rzymu, gdzie w początkach lipca 1942 r. spotkał się z ambasadorem Kazimierzem Papée. Podczas rozmowy dyplomata litewski powołał się na poczynione jakoby w Bernie ustne ustalenie, wedle którego Polacy uznawali sporny charakter sprawy wileńskiej. Lozoraitis mówił nawet o Wilnie w sposób sugerujący oczywistość oddania go Litwie. Ambasador Papée, zgodnie z dyrektywami MSZ, za konieczne uznał sprowadzić sprawę wileńską „do właściwych rozmiarów, to jest do sprawy niespornej, z poszukiwaniem *modus vivendi* pomiędzy Polską a Litwinami”. Wywołało to „silną reakcję” ze strony posła litewskiego. Lozoraitis podkreślił, że „gdyby stanął na tym stanowisku, to byłby na Litwie politycznie wykończony”⁴⁷.

Wspomniane przez Lozoraitisa ustne ustalenia w sprawie Wilna, rzekomo uzgodnione w trakcie rokowań berneńskich, nie były znane polskiemu Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Raczyński uważał, iż była to nadinterpretacja stanowiska rządu polskiego. W instrukcji dla ambasadora przy Stolicy Apostolskiej z 25 lipca 1942 r. zaznaczył, że w tej sytuacji przypisywanie znaczenia rzekomej deklaracji „wykazuje dążenie do spaczenia rzeczywistego stanu rzeczy”⁴⁸.

Szef MSZ dążył jednak do szczegółowego wyjaśnienia kulis rokowań w Bernie. Jeszcze 25 lipca zapytywał posła Ładosia o rzekome ustne oświadczenie posłów litewskich na temat spornego charakteru sprawy wileńskiej⁴⁹. W odpowiedzi, 28 lipca, poseł polski zaznaczył, iż „Litwini oczywiście stale traktują sprawę Wilna jako sporną”⁵⁰.

Mimo niewielkich rezultatów dotychczasowych rozmów na emigracji strona polska w dalszym ciągu za pozytywne uznawała podtrzymywanie kontaktów z Litwinami. Wydarzenia bieżące, przede wszystkim z zakresu relacji polsko-sowiec-

47. Tamże, Telegram K. Papée z 14 VII 1942.

48. Tamże, Telegram E. Raczyńskiego z 25 VII 1942 do K. Papée'go.

49. Tamże, Telegram E. Raczyńskiego z 25 VII 1942 do A. Ładosia.

50. Tamże, Telegram A. Ładosia z 28 VIII 1942

kich zdominowały jednak polską politykę zagraniczną, mimowolnie spychając stosunki z Litwinami na dalszy plan. Rząd stał też przed zasadniczym pytaniem o kształt polityki wschodniej. Do regresu we wzajemnych stosunkach przyczyniła się również śmierć gen. Sikorskiego. Zbiegła się ona z ostatecznym fiaskiem koncepcji federacji państw w Europie Środkowo-Wschodniej, której rząd polski i osobiście premier był gorącym rzecznikiem.

10 września 1943 r. ambasador Ciechanowski, informując Tadeusza Romera (nowego ministra spraw zagranicznych w rządzie Stanisława Mikołajczyka) o zjeździe Litwinów amerykańskich w Pittsburghu, zaznaczył, iż miał on antysowiecki i antyniemiecki charakter. Sprawy sporne między Polską a Litwą miały być pomijane. Poseł Żadeikis miał nawet w nieoficjalnej rozmowie z korespondentem Polskiej Agencji Telegraficznej podkreślić konieczność współpracy polsko-litewskiej z pozostawieniem kwestii spornych na później⁵¹. Wyglądało to bardzo optymistycznie. Jednak już niebawem nadeszły odmienne sygnały.

Mediacji w sporze polsko-litewskim próbowali podjąć się również przedstawiciele partii politycznych. 15 września 194 r. Bronisław Kuśnierz i Stanisław Sopicki, działacze emigracyjnego Stronnictwa Pracy w Wielkiej Brytanii, zwrócili się listownie, w imieniu Zarządu Głównego swej partii, do Wacława Bitnera, dyrektora Katolickiej Agencji Prasowej w Nowym Jorku, z prośbą o nawiązanie kontaktu z przebywającymi w Stanach Zjednoczonych przedstawicielami litewskiej chadecji. Polacy proponowali zawarcie porozumienia między stronnictwami o pokrewnym charakterze ideowym. Według inicjatorów powinno ono pomijać wszelkie akcenty unijne, antysowieckie i sprawę wileńską. Działacze SP wyraźnie nie chcieli zrażać Litwinów, a także drażnić Moskwy. Misją Bitnera zainteresowało się również MSZ. Rozmowy toczące się w styczniu 1944 r. nie przyniosły jednak znacznych rezultatów⁵².

51. Tamże, Telegram J. Ciechanowskiego z 10 IX 1943.

52. Tamże, List ZG SP do W. Bitnera z 15 IX 1943; tamże, Instrukcja T. Romera dla J. Ciechanowskiego z 2 X 1943; tamże, Sprawozdanie konsula A. Moca z 2 II 1944 z rozmów W. Bitnera z Litwinami.

W początkach października 1943 r. wzajemne relacje ponownie uległy zaostreniu. 5 października nadzorujący w MSZ sprawy litewskie Jan Jankowski i Stanisław Westfal wystąpili z wnioskiem o wstrzymanie pomocy finansowej dla Litwinów w Stanach Zjednoczonych (dla płk. Griniusa i prof. Kazysa Pakštasa), udzielanej przez rząd polski. Bezpośrednią przyczyną wniosku stało się użycie przez płk. Griniusa na odbywającym się w początkach września zjeździe Litwinów amerykańskich w Pittsburghu sformułowania o „zagrabieniu” stolicy Litwy, Wilna, przez Polskę w 1920 r⁵³.

Sprawa wileńska kolejny raz wprowadzała dysharmonię we wzajemne stosunki. Okazało się również, że mimo polskiej pomocy finansowej Litwini nie byli skłonni do jakichkolwiek ustępstw w kluczowej dla nich (i Polaków) kwestii. W tej sytuacji 12 października minister Romer poinformował ambasadora Ciechanowskiego o „bezcelowości” kontynuowania pomocy finansowej dla Griniusa i Pakštasa. Przyczyną jej przerwania, jak podkreślił, było „użycie skandalicznego wyrażenia o Wilnie”⁵⁴. *Nota bene* warto przypomnieć, że pierwsze informacje od Ciechanowskiego (z 10 września) na temat zjazdu Litwinów miały zdecydowanie odmienny charakter.

53. Tamże. Notatka dla T. Romera o wstrzymaniu pomocy finansowej dla Litwinów. Z prośbą o jednorazową pożyczkę (100 tys. franków szwajcarskich) rządu polskiego dla litewskich placówek dyplomatycznych w Europie wystąpił Šaulys w rozmowie z Ładosiem 24 IV 1942 r. Sprawą zainteresował się MSZ i jeszcze w kwietniu rozpatrywano ją na Radzie Ministrów RP. W efekcie rząd polski przyznał pierwszą kwartalną ratę pomocy finansowej w wysokości 15 tys. franków szwajcarskich. W połowie września 1942 r., gdy do Londynu dotarły szczegółowe informacje o udziale litewskiej policji w masowych egzekucjach Polaków w okolicy Święcian, zdecydowano o wstrzymaniu pomocy. Po interwencji Ładosia już po miesiącu rząd powrócił do polityki współpracy. Przyznano też wówczas Litwinom w USA (prof. Kazysowi Pakštasiowi, kierującemu Instytutem Kultury Litewskiej w Chicago, i płk Kazysowi Griniusowi, który stał na czele Litewskiej rady narodowej) miesięczny kredyt finansowy w wysokości 400 dolarów USA, gwarantowany przez jeden rok. W zamian oczekiwano powstrzymania się w propagandzie od akcentów antypolskich. Trudności finansowe sprawiły, iż wznowiona ostatecznie dopiero w grudniu 1942 r. pomoc udzielana była nieregularnie (zwl. przez poselstwo w Bernie).

54. Tamże, Telegram T. Romera z 12 X 1943.

Niebawem kolejnej zmianie uległa sytuacja polityczna na Wileńszczyźnie. Walki o Wilno (7-13 lipca 1944 r.) zakończyły się opanowaniem miasta przez wojska 3 Frontu Białoruskiego⁵⁵. Oznaczało to kolejną zmianę władz okupacyjnych. Już po raz trzeci począwszy od wybuchu drugiej wojny światowej do Wilna wkraczały wojska sowieckie. W nowej sytuacji walkę zbrojną z władzami okupacyjnymi prowadzili (choć oddzielnie) Polacy i Litwini. Mimo represji, jakie dotknęły oba narody, nie doszło do współdziałania polsko-litewskiego. Nie wygasły też dawne i niedawne animozje.

Przebywający w Stanach Zjednoczonych prof. Jędrzejewski informował 6 grudnia 1944 r. władze polskie, iż „grupy bałtyckie” w USA z zadowoleniem powitały mianowanie na stanowisko premiera rządu polskiego na uchodźstwie Tomasz Arciszewskiego, lecz mimo ponownej okupacji sowieckiej „działacze litewscy [w USA – K.T.] nie chcą nawet w najbardziej łagodnej formułce stwierdzić, aby Wilno i Wileńszczyzna zostały w granicach Rzeczypospolitej raczej, aniżeli miałyby być oddane Sowiетom. W ich koncepcji Polska nie powinna rezygnować z Wilna na rzecz Sowiетów, lecz oddać je Litwie”⁵⁶.

Coraz bliższy był też koniec wojny i czas ostatecznych rozstrzygnięć w Europie Środkowo-Wschodniej, jak się niebawem okazało niekorzystnych tak dla Polski, a w jeszcze większym stopniu dla Litwy.

Krzysztof TARKA

55. E. Banasikowski, „Na zew Ziemi Wileńskiej”, Paryż 1988, s. 175-413; J. Erdman, „Droga do Ostrej Bramy”, Londyn 1984, s. 312-425.

56. A IPMS, MSZ A.11 3 Bał./1, K. Jędrzejewicz, Sytuacja bałtycka, raport z 6 XII 1944.

Edward KOSSOY

ZIARNO I PLEWY

(PRZYCZYNEK DO DZIAŁALNOŚCI POSELSTWA RP
W BERNIE W LATACH II WOJNY ŚWIATOWEJ)

W kwietniu 1994 w tygodniku *Wprost* (nr 16) ukazał się artykuł pod wiele mówiącym i jeszcze więcej sugerującym tytułem „Lista Ładosia”¹. Pracujący w Archiwum Instytutu Hoovera w Stanford autor Zbigniew Stańczyk twierdzi m.in., że „ambasadorowi R.P. w Bernie Aleksandrowi Ładosiowi udało się jednorazowo uzyskać obietnicę wystawienia dla polskich Żydów ok. 4 tys. paszportów” państw Ameryki Łacińskiej. W dodatku „Przegląd Polski” do nowojorskiego *Nowego Dziennika* ukazał się 25 sierpnia 1994 następny artykuł pod tym samym tytułem i tego samego autora. W tym drugim artykule czytamy, że Ładoś „sam uruchomił drukarnię paszportów umożliwiających tysiącom wydostanie się w r. 1941 poza Europę, głównie do Palestyny”. I dalej: „Poselstwo (w Bernie) zwróciło się w pierwszej połowie 1942 roku do

1. Aluzja do nagrodzonego kilkoma „Oskarami” filmu Spielberga „Lista Schindlera”. Sudecki Niemiec Oskar Schindler uratował 1.200 Żydów krakowskich. W tym 300 kobiet, które udało mu się jak nigdy nikomu wyciągnąć z Auschwitz („Rescue Attempts during the Holocaust”, Yad Vashem, Jerozolima, 1977, ss. 642-645.

szeregu państw Ameryki Łacińskiej o wydanie polskim Żydom paszportów swych krajów. Ich posiadanie chroniło od wywiezienia do obozów śmierci. (...). 4 lipca 1944 Ładoś poinformował Londyn o kolejnych transportach ludzi dowożonych do Oświęcimia i sugerował możliwość zbombardowania obozu". W następstwie rewelacji Stańczyka i w powołaniu się na informacje radcy kulturalnego ambasady RP w Bernie dr. Jana Zielińskiego jeden z najstarszych i najpoważniejszych dzienników europejskich, *Journal de Genève*, opublikował 26 sierpnia 1994 artykuł zatytułowany „Działając z Berna, Polak uratował tysiące ludzi. Podczas gdy Szwajcaria odrzucała uchodźców na swoich granicach, dyplomata polski Aleksander Ładoś fabrykował w Bernie 'prawdziwe fałszywe paszporty' (*sic!*) dla ratowania obywateli żydowskich...". W marcu 1995 dr Zieliński wygłosił w Genewie oparty na dokumentacji Stańczyka, archiwach ambasady RP w Bernie i innych dostępnych mu źródłach odczyt o działalności poselstwa RP w Bernie w czasie II Wojny Światowej. Dobrze udokumentowany referat miał za główny temat trzy odcinki działalności Poselstwa: opiekę nad uchodźcami, akcje paszportowe oraz komunikację. W tym ostatnim dziale – łączność za pomocą stojących do dyspozycji Poselstwa środków przekazu nie tylko z rządem w Londynie i placówkami polskimi, ale także między organizacjami żydowskimi w Szwajcarii a szeregiem innych organizacji w wolnym świecie, przede wszystkim w Anglii i w Ameryce.

Po niemiecko-sowieckiej inwazji Polski na początku II Wojny Światowej pozostały w końcu 1940 roku czynne w Europie (poza Wielką Brytanią) cztery polskie placówki dyplomatyczne: szwajcarskie Berno, portugalska Lizbona, szwedzki Sztokholm i Watykan. Duże znaczenie jako „otwarte na wolny świat okno” miała Lizbona. Pod wieloma względami jeszcze istotniejszą była rola poselstwa RP w Bernie. Poza Ligą Narodów, wiele międzynarodowych organizacji, między innymi Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża², miało już

2. Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża (*ICRC*) w odróżnieniu od Międzynarodowej Ligi Towarzystw Czerwonego Krzyża składa się wyłącznie z obywateli szwajcarskich.

wówczas swoje siedziby w Szwajcarii. W Szwajcarii były także centrale lub reprezentacje wszystkich ważniejszych żydowskich organizacji o zasięgu międzynarodowym: Żydowski Kongres Światowy (*Jewish World Congress – JWC*), Żydowska Agencja dla Palestyny (*Sochnut, Jewish Agency for Palestine – JA*), Amerykański Komitet Pomocy (*American Jewish Joint Distribution Committee – Joint*), *Agudat Israel*, *Ort* i inne, w szczególności założone specjalnie dla pomocy uchodźcom żydowskim, jak np. *Relico*. Podczas gdy Portugalia była oddzielona od okupowanej Europy oficjalnie neutralną Hiszpanią, Szwajcaria była rodzajem wyspy otoczonej ze wszystkich stron krajami w orbicie niemieckiej. Do Portugalii udawało się przedostać, przeważnie na krótki pobyt w tranzycie, nielicznym tylko szczęśliwcom. W Szwajcarii już w 1940 roku było internowanych tysiące żołnierzy polskich 2. dywizji strzelców pieszych i tysiące uchodźców cywilnych, między innymi ogromny odsetek powołujących się na obywatelstwo polskie. Nie było dnia (a przeważnie nocy), aby przez strzeżone granice nie udawało się przedostać do neutralnego kraju nowym uchodźcom. Jeszcze większa ich liczba była na tych granicach zawracana, a często już po przedostaniu się przerzucana z powrotem, co jeżeli chodzi o Żydów, w większości wypadków równało się pewnej śmierci. W wyniku działalności poselstwa RP w Bernie udało się uchronić tysiące ludzi, między innymi Żydów i to nie tylko polskich, od grożących im prześladowań i śmierci. Tym niemniej, a może raczej dlatego, wydaje się wskazanym podjąć próbę oddzielenia ziarna od plewów: udokumentowanych faktów od spekulatywnych domniemań i legend. W związku z tym trzeba już na wstępie zaznaczyć, że poselstwo w Bernie w całej swej działalności wykonywało wytyczne ustalone przez rząd polski w Londynie³. Jednocześnie jednak jasne jest, że

3. Charakterystyczna pod tym względem jest wymiana listów między centralą *Agudat Israel* a polskim MSZ w Londynie. Prezydent *Agudy* H.A. Goodman pisze 31 stycznia 1944 r. do MSZ: „Nasza szwajcarska organizacja wskazywała wielokrotnie na najbardziej pomocne ustosunkowanie się Waszego ministra dr. Ładosia i jego asystenta dr. Kühla. Uważam przeto za mój obowiązek wyrazić nasze najszczerze podziękowania za bezcenną pomoc okazaną przez Waszego Ministra. Był on nam pomocny we wszystkich możliwych kierunkach i bez tej pomocy nie

mianowany w maju 1940 r. ministrem pełnomocnym Aleksander Ładoś (1891-1963) wykorzystywał zakreślone mu przez rząd uprawnienia do granic możliwości, a w poszczególnych wypadkach prawdopodobnie nawet granice te przekraczał. Najbardziej mu pomocnym, w szczególności chyba właśnie w przekraczaniu tych granic, był radca poselstwa (nominalnie do spraw handlu) dr Juliusz Kühnl, Żyd pochodzący z Sanoka, od dawna osiadły w Szwajcarii i zbliżony do żydowskiego środowiska ortodoksyjnego⁴.

Po kapitulacji Francji w czerwcu 1940 r. walcząca na froncie zachodnim i licząca 14.000 żołnierzy 2. Dywizja strzelców, unikając niemieckiej niewoli, przekroczyła szwajcarską granicę i złożyła tu broń. Internowanych zostało 10.500 żołnierzy, z czego wynika, że około 2.500 udało się „rozproszyc w terenie”. Poselstwo zaopiekowało się natychmiast zarówno jednymi jak i drugimi⁵. O ile w tej pierwszej, silnie liczebnej grupie odesetek Żydów był stosunkowo niewielki, o tyle w ciągu następnych miesięcy i lat, w miarę nasilania się prześladowań antyżydowskich w okupowanej przez

można by było zrealizować wielu z podjętych przez nas przedsięwzięć. Cieszymy się, mogąc wyrazić szczególną naszą wdzięczność dr. Kühlowi, żydowskiemu polskiemu obywatelowi, który wykazał zrozumienie dla wielu naszych wysiłków. Pan Sternbuch, członek naszego szwajcarskiego zarządu, znalazł go gotowym do pomocy w każdy sposób, za co jesteśmy bardzo wdzięczni”. Odpowiedź MSZ z 15 lutego 1944 (dr Kraczkiewicz): „Dziękuję za list z 31 stycznia. Bardzo cenię miłe słowa uznania dotyczące okazanej przez naszego Ministra w Bernie dr. Ładosia i dr. Kühla gotowości udzielenia pomocy. Muszę jednak zaznaczyć, że działając w ten sposób, ci panowie tylko postępowali zgodnie z ustalonymi przez nas wytycznymi i mamy nadzieję, że spotkacie się z tą samą gotowością każdego z naszych reprezentantów do udzielenia wszelkiej leżącej w ich możliwości pomocy”.

4. Dr Kühnl okazywał zawsze wielkie zrozumienie dla swoich ortodoksyjnych współwyznawców. Tak np. za jego wstawiennictwem udało się dr. Ładosiowi skłonić władze szwajcarskie do odseparowania internowanych ortodoksów w oddzielne grupy, umożliwiając im przeto zachowanie religijnego trybu życia (Jacques Picard: „Die Schweiz und die Juden”, Zurych, 1994, s. 393).

5. W szczególności wielu „rozproszonych w terenie” trzeba było zaopatrzyć w umożliwiający legalizację paszporty. W depeszy do MSZ w Londynie z 6 lutego 1941 Ładoś przewidywał możliwość „nagłej konieczności wystawienia paszportów dla 12.000 internowanych”.

hitlerowskie Niemcy Europie, obywatele polscy, którym udało się tak czy inaczej przedostać się do Szwajcarii, byli w ogromnej większości Żydami. Z kolei ich większość stanowili tacy, którzy opuścili Polskę gdzieś w latach dwudziestych lub urodzili się już za granicą z rodziców pochodzących z Polski i mówili po polsku z ledwością albo wcale. Zgodnie z londyńskimi wytycznymi, Poselstwo starało się w miarę najlepszych możliwości pomóc im wszystkim zarówno moralnie jak i finansowo⁶. Wynikającemu z tego wielkiemu obciążeniu finansowemu przynosił pewną ulgę wynoszący w niektórych kategoriach uchodźców do 40% współudział w kosztach organizacji żydowskich w Szwajcarii⁷. Wśród tych ostatnich specjalnie bliskie stosunki wytworzyły się od początku między Poselstwem a przedstawicielami ortodoksyjnej *Agudat Israel*. Być może ze względu na bliskie z nimi powiązania osobiste dr. Kühla, ale także z uwagi na tradycje bliskiej współpracy tej organizacji z kołami rządowymi w międzywojennej Polsce.

We wspomnianych artykułach Zbigniew Stańczyk podaje, że według *ICRC* z końca 1940 r. „po kontynencie europejskim tułało się ponad 3 miliony Polaków. Dużą ich część stanowili Żydzi. Dobrze wykształceni, zamożni, reprezentowali mobilną część społeczeństwa polskiego. Posiadali środki umożliwiające im wyjazd z kraju tuż przed wybuchem oraz w pierwszym

6. Jak wynika ze sprawozdania delegata Min. Pracy i Opieki Społecznej, dr. Stanisława Jurkiewicza, z r. 1944, Poselstwo, poza świadczeniami finansowymi, zorganizowało i zaopatrzyło we wszystkich obozach i domach wypoczynkowych biblioteki. „Zaopatrzuje je regularnie w czasopisma, biuletyn Poselstwa i specjalnie redagowany *Goniec Obozowy*. Zorganizowana przez żydowski *Bund*, a finansowana przez Poselstwo grupa teatralna objeżdża wszystkie obozy”.

7. W swoim sprawozdaniu dr Jurkiewicz podaje, że Związek Szwajcarskich Żydowskich Organizacji Pomocy Uchodźcom (*Verband Schweizerischer Jüdischer Flüchtlingshilfen – VSJH*) uczestniczył w 40% w kosztach pobytu w szpitalach lub umieszczonych w domach prywatnych Żydów-obywateli polskich. W obozach pracy, w których pod koniec 1943 r. przebywało około 2.000 osób, z czego conajmniej 1.500 Żydów, i którym wobec zapewnionego utrzymania i pieniędzy na małe wydatki Poselstwo nie wypłacało zapomóg, *VSJH* dostarczał odzież. *VSJH* przejmował także opiekę nad takimi żydowskimi uchodźcami, których polskiego obywatelstwa w braku jakichkolwiek dowodów Poselstwo nie uznawało.

okresie wojny (...). To sformułowanie wypadła określić w najlepszym wypadku jako co najmniej naiwne. Do „ponad 3 milionów uchodźców” Czerwony Krzyż zaliczał oczywiście miliony Polaków, którzy stali się uchodźcami we własnym kraju wobec przymusowego wysiedlenia ich z obszarów polskich włączonych przez Hitlera do jego III Rzeszy i do stworzonego przez niego „Generalnego Gubernatorstwa”. „Tuż przed wybuchem oraz w pierwszym okresie wojny” opuściło Polskę celem „udania się na kontynent europejski” chyba najwyżej parę tysięcy Żydów. Wiele tysięcy Żydów z zachodniej i środkowej Polski schroniło się natomiast przed Niemcami w części wschodniej okupowanej przez Sowiety. Prawie wszyscy zostali stamtąd przez władze sowieckie w r. 1940/41 deportowani na Syberię lub północny Ural, co, jak się okazało, w rezultacie uratowało życie około 250.000 Żydów-obywateli polskich. Natomiast w cytowanym już sprawozdaniu dr. Jurkiewicza czytamy, że udział Żydów, którzy opuścili Polskę krótko przed wojną lub po jej wybuchu, pośród uchodźców żydowskich pod opieką Poselstwa w Bernie nie sięga 10%. Poza wymienionymi w sprawozdaniu 64 studentami żydowskimi, wątpliwe jest, czy pozostali, jak chce Stańczyk, „jako dobrze wykształceni i zamożni reprezentowali mobilną część społeczeństwa polskiego”. W rzeczywistości ogromna większość tych około pięciu tysięcy uchodźców stanowili Żydzi osiedli w Belgii i Francji i pracujący tam chałupniczo jako krawcy, szewcy, rękawicznicy i torebkarze.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje niewątpliwie działalność poselstwa RP w Bernie w zaopatrywaniu uchodźców w paszporty. I to nie tylko w krajach podlegających jurysdykcji Poselstwa (Szwajcarii, Francji, Włoszech), ale i takich, jak np. Litwa. W Kownie i zaanektowanym przez Litwinów Wilnie skoncentrowała się na przełomie 1939/40 r. w stosunkowo znośnych warunkach życia codziennego wielotysięczna masa uchodźców z okupowanej przez Niemcy i Sowiety Polski. Większość z nich stanowili Żydzi. Wśród nich znalazła się zwarta grupa nauczycieli i studentów cieszącego się wielkim uznaniem żydowskich kół ortodoksyjnych *Jeszybotu*⁸ w Mi-

8. *Jeszybot* lub *Jeszywa* – uczelnia rabinacka dla studiów Tory i Talmudu. W Mirze została założona w r. 1815.

rze, której udało się przedostać wraz z rodzinami do Wilna. Tu okazało się, że osoby posiadające ważne wize wjazdowe do jakiegokolwiek kraju mogą udać się tam nie tylko przez neutralną Szwecję, ale także przez Rosję i Japonię, co w ówczesnych warunkach stanowiło trasę znacznie bezpieczniejszą. W szczególności Rosja zezwalała na tranzyt pod warunkiem opłacenia wize i kosztów podróży w dewizach (do Władystoku 160\$!) i uzyskania wize tranzytowej japońskiej. Pewna liczba uchodźców z rzeczywistymi wizami wjazdowymi do USA lub do Palestyny opuściła w ten sposób Litwę stosunkowo wcześnie. Inni postarali się o „grzecznościowe” wize wjazdowe, które wystawiali pomocni konsulowie honorowi Żydzi – Holandii (do Curaçao) i Hondurasu. Za interwencją *Agudat Israel* poseł Ładosz wkrótce po objęciu placówki w Bernie wystąpił dla grupy mirskiego *Jeszybotu* 400 paszportów *in blanco*⁹. Po wpisaniu do tych paszportów personaliów okazicieli i ich rodzin i zaopatrzeniu ich w wize wjazdowe grzecznościowe, konsul japoński w Kownie, Sugihara Chiune, zaopatrywał je z kolei w wize tranzytowe japońskie, a konsul sowiecki za okazaniem opłaconych biletów – w rosyjskie¹⁰. W ten sposób cały mirski *Jeszybot* znalazł się jeszcze w r. 1940 w Kiobe, a następnie do końca wojny w Szanghaju, skąd przeniósł się najpierw do Brooklinu, a ostatecznie do Jerozo-

9. Razem z 400 *in blanco* zostało wysłane „trochę indywidualnie dla Polaków” (Depesza Ładosia do MSZ z 11 czerwca 1940). Ponieważ w tej depeszy Ładosz wyraźnie wymienia wysłane na Litwę „400 paszportów dla organizacji żydowskich”, jasne jest, że wysłane zostały za inicjatywą Berna, ale za wiedzą i zgodą MSZ.

10. Co do szczegółów działalności konsula Sugihara na Litwie: Ewa Pałasz-Rutkowska, i Andrzej Romer: „Współpraca polsko-japońska w czasie II Wojny Światowej” *Zeszyty Historyczne*, nr 110, Paryż, 1994, ss. 3 i nast. oraz Yukiko Sugihara: „Visa pour six mille vies”, Paryż, 1995. Udokumentowany jest przyjazd do Japonii *via* Syberia 2.550 Żydów z Litwy. Prócz tego 1.200 dostało się do Palestyny *via* Odessa i Turcja („Rescue Attempts during the Holocaust”, *Yad Vashem*, Jerozolima, 1977, str. 232). Sugihara poinformował zainteresowanych o tym, że wjazd do Szanghaju jest wolny dla wszystkich i nie wymaga wize. Wystarczyło więc, że proszący o wize tranzytowe japońskie oświadczaali, że jadą do Szanghaju. Sugihara został w r. 1985 pośmiertnie zaliczony przez *Yad Vashem* w poczet „Sprawiedliwych Świata”.

limy¹¹. Liczbę Żydów uratowanych dzięki koncentracji Ładosz-Sugihara ocenia się na przeszło 3.000 osób. Wydaje się, że wyższa liczba jest prawdopodobniejsza, bo Sugihara wystawiał niestrudzenie zbawcze wizy aż do opuszczenia Kowna 31 sierpnia 1940. Niezależnie od tego, dzięki pozostawionym przez niego pieczęciom, kontynuowano potajemnie wystawianie tych wiz także po jego wyjeździe. Jest też więcej niż prawdopodobne, że w ówczesnej atmosferze nie było zahamowań w fałszowaniu paszportów na podstawie wysłanych przez posła Ładosia oryginałów.

Jak wynika z depeszy Ładosia do MSZ w Londynie z 6 lutego 1941, poselstwo w Bernie dysponowało na początku wojny około 1.200 książeczkami paszportowymi. Z tego już w ciągu r. 1940 zużyto około 800, z czego połowę stanowiło 400 wysłanych *in blanco* na Litwę. Prócz tego przy pomocy ambasady Chile w Rzymie wysłano pewną ilość paszportów dla obywateli polskich, głównie Żydów, którym udało się wcześniej przedostać do Włoch¹². Reszta zużyta została w Szwajcarii, w przeważającej liczbie wypadków dla „zalegalizowania” uchodźców przybyłych przez „zieloną granicę”. Niektóre z tych wypadków zasługują na szczególną uwagę.

Jakub Klatzkin (1882-1948) urodził się w Berezie Kartuskiej, ale już jako osiemnastolatek wyemigrował do Niemiec. Po uzyskaniu doktoratu w Bernie w r. 1912, wrócił do Niemiec i rozwinął tam obszerną działalność jako wydawca i przywódca syjonistyczny. Na tym terenie zawiązał dożgonną przyjaźń z późniejszym prezydentem JWC, dr. Nahumem Goldmannem. W r. 1938 Klatzkin schronił się do Szwajcarii, którą w czerwcu 1940 dr Goldmann opuścił, udając się do

11. Rektorzy *Jeszivat Mir*, rabini Abraham Kalmanowicz i Aaron Kotlar, przedostali się wcześniej z Japonii do USA. Stamtąd zorganizowali finansowanie pobytu tej uczelni w Japonii, najpierw bezpośrednio, potem *via* Szwajcaria. Ich inicjatywą było też powstanie Komitetu Ratunkowego Rabinów (*Vaad Hahacal ha-Rabanim*), którego bardzo aktywnym przedstawicielem w Szwajcarii został Icchak Sternbuch (*Encyklopoedia Judaica*=EJ, t. 10, s. 715, 1222).

12. Na przelomie 1939/40 istniała możliwość przez zakup kart okrętowych *Lloyd Triestino* przedostać się z Polski do Włoch. Tą drogą dostał się do Palestyny np. przywódca *Agudy*, cadyk z Góry Kalwarii, rabin Abraham Alter wraz z otoczeniem (EJ, t.7, str. 786).

USA. Na prośbę genewskiego biura *JWC* poselstwo RP wystawiło Klatzkinowi polski paszport, dzięki któremu mógł przy poparciu Goldmanna dostać się do USA¹³.

Jeszcze lepszym przykładem gotowości do pomocy jest sprawa dr. Josefa Burga. Działacz religijnego skrzydła ruchu syjonistycznego (*Mizrachi*) urodził się w r. 1909 w Dreźnie z rodziców pochodzących z Małopolski Wschodniej. Organizując emigrację młodzieży żydowskiej (*Youth Alya*) z Niemiec, opuścił je dopiero w 1939 r., udając się do Palestyny. Jako delegat *Mizrachi* i *Youth Alya* przyjechał w sierpniu 1939 do Genewy na 21. Kongres Syjonistyczny, którego obrady przerwane zostały wybuchem wojny. Za wstawiennictwem *Jewish Agency* Burg otrzymał polski paszport i mógł w r. 1940 przedostać się do Palestyny. W Izraelu Burg był najdłużej urzędującym członkiem kolejnych rządów, głównie jako minister spraw wewnętrznych¹⁴.

Jakkolwiek dostatecznie przekonywające, powyższe dwa przykłady ustępują w cień przed trzecim, dotychczas prawie nieznanym. Dotyczy on późniejszego premiera Francji (i mentora Mitterranda) Pierre Mendès-France (1907-1982). Mendès-France pochodził ze starej rodziny francusko-żydowskiej i w wieku lat 31 został wiceministrem skarbu w drugim gabinecie Leona Bluma. Z wybuchem II Wojny Światowej zmobilizował się jako oficer lotnictwa. Będąc jednocześnie deputowanym do parlamentu, zjawił się w czerwcu 1940 r. na sławetną sesję parlamentu francuskiego w Bordeaux i był jednym z nielicznych głosujących przeciwko udzieleniu nadzwyczajnych pełnomocnictw marszałkowi Pétain. W następstwie tego został aresztowany, postawiony przed sądem doraźnym za... dezercję i skazany 19 maja 1941 na 6 lat twierdzy i 10 lat pozbawienia praw obywatelskich. W miesiąc później udaje mu się uciec z więzienia w Clermont-Ferrand i przedostać do wolnej Genewy. Przez jedną z bliskich znajomych – sekretarkę *WJC* Myrę Becker – zgłasza się do kierownika

13. *EJ*, t. 10, s. 1088-1089 i Nahum Goldmann: „Staatsmann ohne Staat”, Kolonia & Berlin, 1970, s. 27 i nast., 187.

14. *EJ*, t. 4, s. 1510-1511. O wydaniu dr. Burgowi w r. 1940 paszportu polskiego opowiedział autorowi dr Samuel Scheps, jeden z kierowników biura *JA* w Genewie w czasie wojny.

genewskiego biura JWC, dr. Gerharda Riegnera. Ówczesnym współpracownikiem Reignera jest Lwowianin, niegdyś poseł żydowski do polskiego sejmu, dr Alfred Silberschein, założyciel organizacji *Relico*, czynnej w akcjach ratowania uchodźców. Dr Silberschein otrzymuje z poslestwa RP paszport polski wystawiony na Jana Lemberga, zaopatruje go w wizę wjazdową na Kubę (koszt 500\$!) i wizę tranzytową portugalską. Tu następuje tragikomiczna komplikacja: Mendès-France widzi, że jako Jan Lemberg ma 46 lat, jest więc o całe 12 lat starszy niż rzeczywistość. W wybuchu gniewu wylewa na paszport kałamarz atramentu: paszport jest nie do użycia i trzeba wszystko zrobić raz jeszcze od nowa. To trwa dwa drogocenne tygodnie. Nowy paszport Mendès-France przyjmuje bez protestu: w międzyczasie dowiedział się, że na podstawie sekretnej umowy między rządem szwajcarskim a rządem Vichy, Szwajcaria wysyła raz na tydzień bezpośredni wagon kolejowy z obsługą wyłącznie szwajcarską do granicy hiszpańskiej. W tranzycie przez Francję wagon jest zamknięty i nie podlega kontroli. Warunek: z tranzytu są wyłączeni mężczyźni obywatele państw alianckich w wieku między lat 17 i 45. Jan Lemberg *alias* Pierre Mendès-France dociera szczęśliwie przez Hiszpanię do Lizbony, skąd wysłany przez De Gaulle'a hydroplan przywozi go do Londynu¹⁵. W pierwszym rządzie De Gaulle'a Mendès-France jest ministrem skarbu, a w następnych latach premierem.

Nic dziwnego, że przy tego rodzaju liberalnym rozdzielaniu paszportów już od początku niewielki ich zapas w roku 1941 był bliski wyczerpania. W tej sytuacji Ładoś rozejrzał się za możliwościami drukowania książeczek paszportowych nie tak jak przedtem w Drukarni Państwowej w Warszawie, a na miejscu, w Szwajcarii. Otrzymawszy odpowiednią ofertę drukarni szwajcarskiej, wyżej już wspomnianą depeszą szyfrową z 6 lutego 1941 zaproponował MSZ druk nowych książeczek

15. Pierre Mandès-France: „Oeuvres complètes”, vol. I, „S’engager 1922-1943”, Paryż, 1984, t. I, s. 340. Paul Dreyfus: „Histoires extraordinaires de la Résistance”, Paryż, 1977, s. 607 potwierdza przeprawę z Genewy do Londynu z paszportem polskim jako Jan Lemberg. O szczegółach tego zdarzenia opowiedział autorowi w marcu 1995 dr Riegner.

paszportowych według polskiego urzędowego wzoru, na co szybko uzyskał zgodę. Nie był to więc bynajmniej podjęty na własną rękę druk „fałszywych prawdziwych paszportów”, a autoryzowane przez właściwe polskie władze naczelne i całkowicie usprawiedliwione okolicznościami przedsięwzięcie.

Nieco inaczej wygląda sprawa używania paszportów państw Ameryki Łacińskiej. W pierwszym rządzie należy tu przypomnieć, że ułatwione wystawianie dokumentów Ameryki Łacińskiej ma długą tradycję i nie przestało być aktualne nawet obecnie¹⁶. Istotnym jest też, że po wybuchu wojny władze niemieckie, w szczególności ich *Auswärtiges Amt*, zachowując pozory legalności i z uwagi na wzajemność w traktowaniu własnych obywateli w krajach alianckich i neutralnych, poleciły internować cywilów obywateli państw alianckich i nie stosować niemieckich zarządzeń dyskryminacyjnych względem obywateli państw neutralnych, także „niearyjskiego” pochodzenia. Co prawda wytyczne te bynajmniej nie zawsze były przestrzegane, z drugiej strony jednak już wkrótce po wybuchu wojny obozy internowania cywilnych cudzoziemców zostały założone w Niemczech w Liebenau i Tittmoning, a w okupowanej Francji w Vittel. Oficjalna niemiecka nazwa tych obozów „*Austauschlager*” – „obóz wymienny” – wskazywała na możliwość wymiany osób tam internowanych na obywateli niemieckich internowanych poza zasięgiem władzy niemieckiej. Na tym tle zrozumiałym jest, że warunki pobytu w tych obozach były cywilizowane: w szczególności cenzurowana, ale wolna korespondencja ze światem zewnętrznym i regularne wizyty Czerwonego Krzyża. Przed przystąpieniem USA do wojny w obozach tych byli internowani obywatele *British Commonwealth*, następnie także obywatele USA i szeregu państw Ameryki Łacińskiej, w miarę przystępowania tych ostatnich do koalicji alianckiej. Ale już przedtem Żydzi mogący wykazać się obywatelstwem jednego z tych państw zwolnieni byli od noszenia zadekretowanych przez Niemców oznak i zamieszkania w gettach. Zrozumiałe więc jest, że od samego początku i specjalnie w

16. Wystarczy przejrzeć od czasu do czasu drobne ogłoszenia w międzynarodowych pismach, takich jak np. *Time Magazine*.

miarę narastania prześladowań, Żydzi robili usilne starania, aby zaopatrzyć się w dokumenty wyłączające ich od coraz okrutniejszych prześladowań. W szczególności dotyczyło to tych, którzy na skutek pozbawienia ich obywatelstwa zdegradowani zostali do statusu „beźpaństwowców” i stąd wystawieni byli na najbardziej bezpośrednie niebezpieczeństwa. W normalnym biegu rzeczy o odpowiednie dokumenty starali się ich krewni lub przyjaciele zamieszkali w wolnym świecie. W braku takich powiązań uciekano się do wszelkich innych możliwych środków, najczęściej kupna prawdziwych albo też sfalszowanych dokumentów¹⁷.

20 stycznia 1942 na konferencji w Gross-Wannsee Niemcy postanowiły zrealizować „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej w Europie” (osławione „*Endlösung – The*

17. David Wymand: „The Abandonment of Jews”, Nowy Jork, 1985 (polskie wydanie „Opuszczeni przez wszystkich”, Warszawa, 1995), s. 277. Szczególnie zagrożeni poczuli się Żydzi obywatele polscy i rumuńscy zamieszkali za granicą. W następstwie polskiej nowelizacji ustawy o obywatelstwie z marca 1938 r., Niemcy deportowali w końcu października 1938 r. 10.000 zamieszkałych w Niemczech Żydów, których polskie paszporty nie zostały odnowione, w strefę międzygraniczną koło Zbąszynia. Wobec międzynarodowego nacisku i przejęcia odpowiedzialności za koszty przez amerykański *Joint* prawie wszyscy zostali po kilku tygodniach wpuszczeni do Polski (Gerard Reitlinger: „The Final Solution”, Londyn, 1953, s. 9). W Rumunii, dekretem z 22 stycznia 1938 r., zarządzona została „rewizja” praw obywatelskich Żydów. W wyniku tej „rewizji” już w listopadzie 1938 r. około 40% rumuńskich Żydów zostało pozbawionych obywatelstwa (Goldmann, *op.cit.*, s. 184/5). Pewnej ilości nowych „beźpaństwowców” na Zachodzie udało się uzyskać paszporty Ameryki Łacińskiej (Kostaryki, Guatemali, Paragwaju) jeszcze przed wybuchem wojny. Usiłowania w tym kierunku wzmogły się oczywiście wielokrotnie w czasie niemieckiej okupacji. Prawdziwy paszport tej kategorii kosztował w Nowym Jorku 200-300 \$ (Nathan Eck: „Nessionot hacala” („Próby ratowania przy pomocy paszportów i dowodów obywatelstwa krajów Ameryki Łacińskiej”) w „Yad Vashem Koveec mechkarim A”, Zbior badań „A”, Jerozolima, 1957, s. 98). Niektórym udało się taniej: tak np. w Warszawie urzędnik jednego z nieczynnych już konsulatów wyprzedawał pozostawione u niego paszporty po cenach „okazyjnych”. Ich szczęśliwym nabywcom udało się przeżyć wojnę... (*ibidem*, s. 110). Autorowi artykułu znany jest wypadek, kiedy krakowskiej rodzinie żydowskiej udało się jeszcze przed końcem 1939 r. wyostać do Istambułu dzięki paszportowi uzyskanemu przy pomocy woźnego (!) nieczynnej już ambasady tureckiej w Warszawie.

Final Solution")¹⁸. Wkrótce potem rząd polski w Londynie i organizacje żydowskie w Szwajcarii zaalarmowani zostali wiadomościami o zakrojonym na najszerszą skalę wprowadzaniu takiego planu w życie. Po opublikowaniu przez rząd w Londynie w maju 1942 r. raportu żydowskiej organizacji socjalistycznej *Bund* o zrealizowanym już wymordowaniu około miliona Żydów wrócił do Londynu wysłany do okupowanej Polski Jan Karski – naoczny i wiarygodny świadek tych wydarzeń. Szczególną uwagę organizacji żydowskich zwrócił pewien punkt w sprawozdaniu Karskiego: wskazanie na możliwości ratowania Żydów drogą wymiany na internowanych obywateli niemieckich¹⁹.

Tragiczny dla Żydów rozwój sytuacji w okupowanej Europie zdopingował czynniki zajmujące się prokurowaniem „ratowniczych” dokumentów do wzmożonej aktywności. Zdobywaniem tych dokumentów zajęli się w szczególności w Szwajcarii miejscowi działacze *Agudat Israel*, małżeństwo Icchak i Recha Sternbuch, Jekutiel Stern oraz wspomniany już dr Alfred Silberschein („*Relico*”)²⁰. Nie ulega wątpliwości, że korzystali oni przytym z pomocy dr. Kühla, którego łączyły specjalnie bliskie stosunki z konsulem Paragwaju²¹, a w wielu wypadkach przykładał także prawdopodobnie pomocną rękę sam minister Ładoś. Ale od tego do sugestii Stańczyka i twierdzenia *Journal de Genève*, że tysiące (około 7.000!) Żydów-obywateli polskich przez zaopatrzenie ich w

18. Reitlinger, *op.cit.*, s. 95 i następane.

19. Jan Karski: „*Story of a Secret State*”, Boston, 1944, s. 327. W sprawozdaniu Karskiego znalazła się nawet wyraźna wzmianka o dokumentach łacińsko-amerykańskich.

20. Najbardziej pożądane i też najdroższe były paszporty. Ale najpopularniejszą formą były tzw. *promessy* – imienie adresowane listy konsulatu, zaopatrzone urzędową pieczętą, komunikujące, że adresat i jego najbliższa rodzina, dzięki staraniom ich krewnych, otrzymali obywatelstwo danego kraju i, po nadesłaniu fotografii i osobistych danych, wysłane im będą paszporty. Jasne jest, że przy odpowiednim nastawieniu możliwości konsula w dziedzinie *promess* były praktycznie nieograniczone. Według Ecka *promessy* były „wynałazkiem” dr. Silberscheina (*op.cit.*, s. 106).

21. Picard, *op.cit.*, s. 392.

łacińsko-amerykańskie paszporty zawdzięcza Ładosiowi życie – jest bardzo daleko...

W rzeczywistości jedynie zaprzyjaźniony z dr. Kühlem konsul Paragwaju udzielał pomocy tylko za jego rekomendacją względnie wstawiennictwem. „Relico” dr. Silberscheina udało się już dość wcześnie nawiązać bezpośrednie stosunki z konsulatami Boliwii, Chile, Haiti i Hondurasu. Niezależnie od tego otrzymywano zupełnie „grzecznościowo” dokumenty z przedstawicielstwa dyplomatycznego San Salvadoru, w którym decydującą pozycję zajmował Żyd pochodzenia węgierskiego, George Mantello, urodzony jako Mandel. I oczywiście wszędzie tam, gdzie trzeba było mniej, a przeważnie więcej płacić, płacili albo sami petenci, albo ich krewni lub przyjaciele, a w braku takich – żydowskie organizacje ratownicze. Poselstwo RP nie dysponowało i nie mogło dysponować jakimikolwiek funduszami przeznaczonymi na tego rodzaju cele²².

W Warszawie przed wielką „akcją przesiedleńczą” do obozu zagłady w Treblince, rozpoczętą 22 lipca 1942, Gestapo wężwało w kwietniu obywateli amerykańskich, a w czerwcu krewnych Żydów zamieszkałych w Palestynie do rejestracji dla rzekomej wymiany na internowanych przez Aliantów Niemców. Ci, którzy zgłosili się, zostali umieszczeni na Pawiaku. Tam nastąpiła weryfikacja, w wyniku której dwie niewielkie grupy wysłano rzeczywiście do obozów w Liebenau, Tittmonig i Vittel, wszystkich jednak innych do Treblinki. Przez ICRC i swe reprezentacje w Szwajcarii organizacje żydowskie dowiedziały się o ulokowaniu tych dwu grup we względnie cywilizowanych warunkach, co oczywiście wpłynęło na wzmożenie wysiłków uzyskania alianckich dokumentów. I rzeczywiście do wiosny 1943 r. udało się uzyskać w Szwajcarii przeszło 3.000 dokumentów świadczących o prawie do opieki jednego z państw Ameryki Łacińskiej. Dokumenty wystawione zostały na osoby polecane przez organizacje żydowskie albo przez krewnych lub przyjaciół,

22. (Eck, *op.cit.*, ss. 101-102, 106). Głównym źródłem finansowania był *Joint*, rozmaite gałęzie *Agudat Israel* i *Bund*. Przedstawiciele dwóch wpraw wymienionych otrzymywali także na dużą skalę od współwyznawców, nawet w krajach okupowanych, pieniądze do depozytu i zwrotu po skończonej wojnie.

którzy za ich uzyskanie odpowiednio płacili. Dokumenty wysyłano w zasadzie pocztą na wskazane indywidualne adresy, w ogromnej większości do okupowanej Polski. W międzyczasie w Polsce postępowano, z jednym wyjątkiem Łodzi, likwidacja gett, praktycznie prawie równoznaczna z wytępieniem ich żydowskiej ludności. Niedobitki zostawały zamknięte w obozach koncentracyjnych, pracy przymusowej albo szukały ratunku w ukryciu. W tych warunkach dokumenty wysłane na nieaktualne już adresy wyłapywane były z poczty i cenzury przez Gestapo. Zrzędzeniem losu podjęta – ze Szwajcarii – próba ratowania natrafiła w zasięgu władzy niemieckiej na dwie jednocześnie, chociaż wręcz ze sobą sprzeczne inicjatywy: z jednej strony *Auswärtiges Amt* postanowił ponowić na wielką skalę akcję wymiany internowanych w krajach alianckich Niemców na ludzi znajdujących się w niemieckim zasięgu władzy i uprawnionych do opieki państw alianckich i to bez względu na ich przynależność rasową, a więc także Żydów²³, z drugiej strony Gestapo w ścisłej współpracy z wykonawcami *Endlösung* uważało tę akcję za doskonałą okazję do wywabienia z kryjówek niedobitków żydowskich celem ostatecznego ich wytracenia²⁴.

W lipcu 1943 r. Gestapo otwiera w okupowanej Europie szereg biur urzędowo uprawnionych do rejestracji Żydów mających prawa do emigracji. Dla ułatwienia kontaktów Gestapo obsadza te biura Żydami dotychczas jeszcze oszczędzonymi od zniszczenia w zamian za oddane Gestapo usługi. Niebawem okazuje się, że spośród tych, dla których przeznaczono są imienne dokumenty, jeszcze tylko małej garstce udało się utrzymać dotychczas przy życiu. Ale wszem i wobec zostaje ogłoszone, że za zapłatą w dewizach lub kosztownościach można „podszyć się” pod personalia nieżyjących adresatów i otrzymać przeznaczone dla nich życiodajne dokumenty. Napływ kandydatów w Warszawie jest tak wielki, że po krótkim

23. Reitlinger, *op. cit.*, ss. 258-259, 338-341; Wyman, *op. cit.*, s. 276-277.

24. Np. w Holandii generał SS Hans Rauter (skazany po wojnie na śmierć i stracony w 1948 r.), na wiadomość w 1943 r. o akcji wymiany, stwierdził z zadowoleniem, że ogłoszenia o wymianie mogą wywabić z ukrycia 20.000 Żydów (*Relinger, op.cit.*, s. 339).

czasie trzeba przenieść „biuro rejestracji” z niewielkiego Hotelu Royal przy ulicy Chmielnej do dysponującego wielkim podwórzem Hotelu Polskiego przy ulicy Długiej. Wielki napływ petentów tłumaczy się tym, że po ostatecznej likwidacji gett wielu Żydów szukało w tym samym czasie schronienia „po aryjskiej stronie”, utrudnionego przez wprowadzoną przez Niemców i szeroko afiszowaną karę śmierci za ukrywanie Żydów i nagrodami za ich denuncjowanie. Na tym tle wzmogły się także szantaże „szmalcowników”. „Tonący brzytwy się chwyta”: wielu bezlitośnie tropionych Żydów uchwyciło się nadziei wymiany jako ostatniej deski ratunku.

Zarówno podziemie polskie jak i żydowskie odniosło się do tej akcji od samego jej początku zdecydowanie negatywnie, widząc w niej jeszcze jedną z licznych i już doświadczonych pułapek Gestapo i ostrzegając przed nią swych podopiecznych. Tak np. dr Adolf Berman, prezes podziemnego Żydowskiego Komitetu Narodowego (ŻKN). Odmienne stanowisko zajął przedstawiciel *Jointu*, Daniel Guzik. Na podstawie wiadomości z Vittel i Szwajcarii uważał on, że istnieje konkretna, chociaż ograniczona możliwość ratowania. W tym przekonaniu finansował ze stojących mu do dyspozycji funduszy kupno dokumentów pozbawionym własnych środków, dotychczas ocalonym członkom elity intelektualnej żydowskiej oraz członkom własnej rodziny. Oczywiście, że nastawienie Guzika przyczyniło się walcnie do licznego zgłaszania się i niesłuchania przestróg²⁵.

25. Bernard Goldstein: „The Stars Bear Witness”, Nowy Jork, 1949, s. 203. Wśród tych, których łacińsko-amerykańskie dokumenty Guzik finansował, znaleźli się wraz z rodzinami literaci Icchak Kacnelson, Malkiel Lusternik, Jehoszua Perle, lekarze dr Chorążycki, dr Przedborski, dr Wajntal; działacze społeczni Natan Buksbaum, Elizer Geler, Izrael Kanel, Gała Leszczyńska i inni. Abraham (Adolf) Berman: „Bimei machtret” – „Z dni podziemia”, Tel-Awiv, 1971, s. 139-140, Józef Gitler-Barski: „Aufenthalslager Bergen-Belsen” w: Biuletyn ŻIH w Warszawie, nr 3(95), 1975, s. 63, Eck, *op.cit.*, s. 102-106. Stańczyk o akcji wymiany: „Z punktu widzenia prawa międzynarodowego całe przedsięwzięcie miało pogmatwany charakter (!). Niemcy poczuli się bezradni wobec tłumów machających im przed oczyma paszportami krajów, o których istnieniu mało kto z nich słyszał...” Ci rzekomo wobec (żydowskich) tłumów (w 1943 r. w okupowanej Polsce!) bezradni Niemcy, to prawdziwa groteska...

Prędko okazuje się, że droga do Hotelu Polskiego i podobnych mu placówek jest jednokierunkowa: wejść może każdy, ale wolnego powrotu nie ma. Ci, którzy w taki lub inny sposób otrzymali dokumenty albo zapłacili za wpis jako członkowie rodziny do grupujących co najmniej pięć, a często ponad 10 osób „*promess*”, wysłani zostali w dwu transportach w wagonach osobowych i pod raczej dyskretną eskortą do Vittel i do świeżo otworzonego, rzekomego nowego obozu wymiennego Bergen-Belsen w pobliżu Hanoweru²⁶. W ten sposób wyczerpany został widocznie z góry zaplanowany na Warszawę kontyngent około 3.000 Żydów. Ci, którzy pozostali w Hotelu Polskim, znaleźli się już następnego dnia na Pawiaku. Z małymi wyjątkami zostali rozstrzelani w otaczających Pawiak ruinach getta.

Już w tym stadium Gestapo i kierujący *Endlösung* Adolf Eichmann i jego prawa ręka Alois Brunner mieli wszelkie powody do zadowolenia: „materiał” do ewentualnej wymiany był przygotowany do dyspozycji, a przy tej okazji wielokrotnie większa liczba ukrywających się Żydów wywabiona i „zlikwidowana”, przy czym i jedni i drudzy wzbogacili kasy Gestapo i gestapowców zawsze przydatnymi dewizami i kosztownościami. Ponieważ rejestracja do rzekomej wymiany odbywała się pod ścisłym nadzorem, Gestapo wiedziało dokładnie, kto otrzymał dokumenty rzeczywiście dla niego przeznaczone, a kto je kupił. W dalszym więc ciągu starannie planowanej akcji, wkrótce przeprowadzono w obozach kontrolę i weryfikację dokumentów, w wyniku której sporządzono po-

26. *Auswärtiges Amt* przewidywał możliwość wymiany około 30.000 osób. W Vittel internowanych rozmieszczono w opróżnionych hotelach; nie ograniczano możliwości korespondencji i tolerowano wizyty Czerwonego Krzyża. Natomiast w Bergen-Belsen za pomieszczenia służyły dawne stajnie kawalerii i baraki po obozach jeńców z I Wojny Światowej. Komendantem obozu został przeniesiony z Auschwitz Hoess, który dbał o to, aby o tym, co się tam dzieje, nie przedostawały się na zewnątrz żadne wiadomości. Obóz rzadko tylko był wymieniany jako *Austauschlager*, a zwykle jako „*Aufenthaltslager*” – „obóz pobytu”, co wskazywało na jego tymczasowy i prowizoryczny charakter. Większość – 2.533, w tym 2.039 z Warszawy, Żydów z Polski została przewieziona do Bergen-Belsen między 7 lipca a 21 października 1943 (Reitlinger, *op.cit.*, ss. 259, 339-340, Gitler-Barski, *op.cit.*, s. 64).

dzielone na kilka kategorii listy²⁷. W tym samym czasie okazało się, że wobec radykalnie zmienionej sytuacji wojennej, jest jeszcze tylko niewielu internowanych w krajach alianckich Niemców chętnych do powrotu do intensywnie bombardowanej ojczyzny. Eichmann nastawał więc na drastyczne zmniejszenie z jego punktu widzenia bezużytecznie internowanych Żydów. Na dobitek, na skutek interwencji ambasadora hiszpańskiego w Berlinie i cofnięcia przez rząd szwajcarski pod zarzutem handlu paszportami *exequatur* konsulowi Paragwaju w Bernie, rządy państw Ameryki Łacińskiej odmówiły uznania wystawionych w Bernie dokumentów²⁸. W rezultacie podjęte zostały transporty – oficjalnie na wymianę – w rzeczywistości prosto do komór gazowych

27. Niespodzianką okazało się uprzywilejowane traktowanie tzw. listy palestyńskiej, na którą wpisano w Polsce około 400 rzeczywistych lub rzekomych najbliższych krewnych Żydów stale zamieszkających w pozostającej wówczas pod brytyjskim mandatem Palestynie. Najprawdopodobniejszym powodem było to, że Niemcy mieli już pozytywne doświadczenia z tą kategorią kandydatów do wymiany: w trzech wymianach w latach 1942 i 1943 wymienionych zostało na internowanych w Afryce Południowej, Australii i Palestynie Niemców przeszło 1.000 Żydów („Rescue”, *op.cit.*, s. 108). Przez długi czas internowani w Bergen-Belsen z „listy palestyńskiej” patrzeli z zazdrością na posiadaczy kosztownych papierów łaćcińsko-amerykańskich. Śpiewano ułożone przez młodą dziewczynkę kuplety:

„Chciałabym mieć paszport Paragwaju, ach jaki to piękny kraj!

Jak przyjemnie być poddanym kraju, co się zwie Paragwaj...”

(Gitler-Barski, *op.cit.*, s. 81, Eck, *op.cit.*, ss. 103-104).

28. Polityka hiszpańska w tym czasie była dość dwuznaczna. Podczas gdy ambasada w Berlinie spełniała życzenia niemieckie, rząd w Madrycie tolerował tranzyt uchodźców żydowskich przez Hiszpanię, a kiedy nie było już wątpliwości co do wyniku wojny, brał niektórych Żydów pochodzenia hiszpańskiego (Sefardów) pod bezpośrednią opiekę. Szerzone po wojnie przez propagandę hiszpańską opowieści o rzekomym masowym ratowaniu Sefardów są grubą przesadą. Z samych tylko greckich Salonik Eichmann wywiózł do Auschwitz w 1943 r. 50.000 Sefardów. Według miarodajnych źródeł łączna liczba Żydów, którzy w taki lub w inny sposób zawdzięczają swój ratunek Hiszpanii, nie przekracza 11.535 osób: w tym 7.500 uchodźców, którym zezwolono na wjazd do Hiszpanii, 3.235, nad którymi rozciągnięto oficjalnie opiekę dyplomatyczną, i 800 repatriowanych jako obywatele hiszpańscy (Chaim Avni: „Spain, the Jews and Franco”, Philadelphia, 1982, s. 186).

w Auschwitz²⁹. Wersji Stańczyka – według której „w grudniu między Polakami a Niemcami wywiązała się cicha wojna. Berlin starał się naciskać na kraje Ameryki Południowej, by wycofały swą ofertę. Polacy zaklinali je o jej utrzymanie. Ładoś stawał na głowie, aby nie doszło do unieważnienia dokumentów... Zwrócono się do bardziej znaczących organizacji żydowskich w USA i Wielkiej Brytanii, poproszono o interwencję Watykan. Ostatecznie Paragwaj zlecił uznanie paszportów około 20 stycznia 1942 r.” (w dacie widocznie omyłka w druku: powinno być „1944”) – nie można traktować poważnie. Rzeczywisty przebieg wydarzeń jest dobrze udokumentowany. Na skutek opublikowania na Zachodzie informacji Karskiego, Riegnera i Sternbucha, potwierdzonych w całej rozciągłości przez rząd polski w Londynie, i wynikającego stąd nacisku miarodajnych organizacji żydowskich, nie-żydowskich, całego szeregu reprezentacyjnych działaczy politycznych i pras, Roosevelt powołał 22 stycznia 1944 r. do życia *War Refugee Board* – *WRB*, wyposażony w szerokie kompetencje, a co najważniejsze, niezależny od Departamentu Stanu. Na skutek skoncentrowanej interwencji *WRB* i rządów alianckich, między innymi także polskiego, unieważnienie dokumentów łacińsko-amerykańskich zostało w końcu cofnięte. Jak się jednak okazało, za późno dla większości ostatniej grupy Żydów polskich internowanych w Vittel, posiadaczy tego rodzaju dokumentów, sprokurowanych w większości dzięki wstawiennictwu i pomocy Guzika.

29. Brak niemieckich kandydatów do wymiany, a nie to, że „w sierpniu 1944 tracący skrupuły (*sic!*) Niemcy podjęli decyzję o wywożeniu w nieznanym kierunku” (wersja Stańczyka) umożliwił interwencję Eichmanna. W październiku 1943 1.800 posiadaczy dokumentów łacińsko-amerykańskich, między innymi wszystkich żydowskich konfidentów Gestapo, wysłano z Bergen-Belsen rzekomo „na wymianę do Bergau koło Drezna”, w rzeczywistości prosto na rampę komór gazowych w Auschwitz. Tu nastąpił znany, ale często mylnie przypisywany epizod: pomawiana w Warszawie o bliskie kontakty z Gestapo piękna tancerka Franciszka Man (prawdziwe nazwisko Manheimer) zdołała wyrwać jednemu z SS zbirów rewolwer i otworzyła ogień, zabijając jednego SS *Raportenföhra* i raniąc kilku innych, zanim sama została zabita. Po tym incydencie nie wysłano już z Bergen-Belsen tak dużego transportu (Reitlinger, *op.cit.*, s. 259, Gitler-Barski, *op.cit.*, s. 65, Goldstein, *op.cit.*, s. 203).

Zanim oficjalne zawiadomienie o utrzymaniu ważności dokumentów poprzez działające bez pośpiechu tryby maszyny biurokratycznej dotarło do Vittel, Eichmannowi udało się wysłać 214 Żydów polskich, między innymi wspomnianych wyżej członków elity intelektualnej warszawskiej, na zagładę do Auschwitz³⁰. Kiedy na przełomie 1944/45 roku przychodzi do skutku wymiana Żydów, częściowo na internowanych Niemców (w Istambule), częściowo za pieniądze lub inne świadczenia, Żydów polskich już między nimi prawie nie ma, a kiedy Niemcy kapitulują, w Vittel i Bergen-Belsen jest razem zaledwie kilkadziesiąt Żydów polskich z tzw. listy palestyńskiej i jeszcze mniejsza grupa posiadaczy dokumentów łaćnińsko-amerykańskich wystawionych na ich prawdziwe dane osobiste. Jak, z tego, niestety, wynika, rezultaty podjętej z wielkim nakładem pracy, pieniędzy i pomysłowości akcji ratowniczej opartej o dokumenty łaćnińsko-amerykańskie okazały się, przynajmniej jeżeli chodzi o Żydów polskich, bardzo dalekie od zamierzonych celów: za cenę uratowania małej garstki szczęśliwców, wiele tysięcy skłoniono do zmiany dających przynajmniej szansę przeżycia kryjówek na śmiertelne pułapki *Endlösung* Eichmana³¹.

30. Reitlinger, *op.cit.*, s. 409; Wyman, *op.cit.*, s. 209 i nast., 277 i nast. Natan Eck, który jako pierwszy z 20 Żydów w Będzinie otrzymał w marcu 1943 r. od dr. Sibersteina pocztą paszport paragwajski dla siebie, żony i dziecka (*op.cit.*, s. 106) i poprzez Tittmoning trafił do Vittel, został stamtąd przeniesiony w grupie 60 Żydów, posiadaczy dokumentów łaćnińsko-amerykańskich, do osławionego *Durgangslager* Drancy. Przekonanemu, że przeniesienie to oznacza deportację do Auschwitz, udaje się w towarzystwie jeszcze jednej osoby ucieczka do Paryża (*ibidem*). Grupa 60 opuszcza Drancy 31 maja 1944. Niespodziewany i zdumiewający obrót rzeczy: zamiast do Auschwitz, ta grupa zostaje dołączona w Wiedniu do transportu 283 Żydów z Holandii, który w 11 nowoczesnych wagonach, w towarzystwie dwu siostr Czerwonego Krzyża, urzędników *Auswärtiges Amt* i delegata szwajcarskiego, przez Budapeszt, Belgrad i Sofię dociera do Istambułu. Tam następuje 30 czerwca 1944 wymiana na Niemców, a Żydzi 10 lipca 1944 ładują w Haifie – 6 tygodni przed wyzwoleniem Paryża, do którego uciekł Eck (Simon H. Hermann: „Austauschlager Bergen-Belsen”, Tel-Awiv, 1949, s. 88-93, Marcel Ruby: „Le Livre de la déportation”, Paryż, 1995, s. 258).

31. Z internowanych w „polskiej części” obozu Bergen-Belsen przeżyło wojnę 267 Żydów z tzw. listy palestyńskiej, 34 z papierami USA i 77 z dokumentami łaćnińsko-amerykańskimi. Co do szans przeżycia w

Niezaprzeczalne i bardzo istotne są zasługi poselstwa RP w Bernie w dziedzinie komunikacji: wymianie i przekazywaniu wiadomości i postulatów między przedstawicielami światowych organizacji żydowskich w Szwajcarii i ich biurami w wolnym świecie. Oczywiście i tu działało się to w pierwszym rzędzie w wyniku bardzo wyraźnych instrukcji rządu londyńskiego. Jednak Aleksander Ładoś i jego berneńska ekipa, w jaskrawym odróżnieniu od wielu miarodajnych czynników dyplomatycznych, nadawali tym instrukcjom możliwie najdalej sięgającą interpretację³². W codziennej praktyce oznaczało to, że akredytowani przedstawiciele organizacji żydowskich w Szwajcarii mieli wolny dostęp do stojących do dyspozycji Poselstwa środków przekazu, włączając pocztę kurierską, a przede wszystkim szyfr radiowy³³.

ukryciu, należy zaznaczyć, że wielu z tych, których Niemcom udało się wywabić i wytracić, mogło zużyć posiadane środki materialne, zamiast na kupno rzekomo zbawczych dokumentów, na opłacanie kosztów ukrywania się. Daniel Guzik, który przy likwidacji przez Niemców Hotelu Polskiego znalazł się wraz z wieloma innymi na Pawiaku, zdołał jednak wykupić się i przeżył wojnę, aby wkrótce potem zginąć w katastrofie samolotowej (Berman, *op.cit.*, s. 140).

32. Dr Reigner opowiedział autorowi, że w 1944 r. w konsulacie USA żądano od niego wysokiej opłaty w dolarach, (w konkretnym wypadku wówczas ogromną sumę 600\$!) za depezę ze względu na jej rzekomo „prywatny charakter”, a w rzeczywistości po prostu w nadziei, że zrezygnuje z wysyłki. Dr Reigner podaje, że poza poselstwem RP także poselstwo czechosłowackie stawiało do jego dyspozycji swoje środki komunikacyjne. Kiedy chodziło o utrzymanie ważności dokumentów łańskoo-amerykańskich, pierwszy sekretarz ambasady USA, George Tai, usiłował przekonać swoich przełożonych w Waszyngtonie, że nie należy w ogóle interweniować, ponieważ „uzyskane zostały przez niewłaściwych ludzi niewłaściwymi środkami”. Podobnie negatywnie odniósł się do tej sprawy ówczesny rząd federalny szwajcarski: przez cofnięcie *exequatur* konsulowi Paragwaju i odmowę interwencji, mimo nalegania WRB (Wyman, *op.cit.*, s. 278, Eck, *op.cit.*, s. 110). Oczywiście w tym czasie Ładoś kontynuował wysyłanie depeż ze i do źródeł żydowskich między innymi takimi, które ubiegały o interwencję rządu londyńskiego.

33. W szczególności dotyczy to stosunków z *Agudat Israel*. Z czterech wymienionych na wstępie światowych organizacji żydowskich: JA, JWC, Joint i Aguda, pierwsze dwie czynne były głównie na polu politycznym i dlatego przez długi czas nie sprzeciwiały się głoszonym przez aliantów tezom, wedle których tylko ostateczne zwycięstwo nad Hitlerem może przynieść wyzwolenie uciemżonym, i wobec tego jakiegokolwiek działania, które mogą przynieść korzyść Niemcom i przez to

Klasycznym przykładem są dzieje sławnej depeszy sekretarza JWC w Genewie dr. Gerharda Riegnera. W końcu lipca 1942 przemysłowiec niemiecki Eduard Schulte wykorzystuje pobyt w Szwajcarii, aby przekazać tu dokładne informacje dotyczące będącej już w toku realizacji *Endlösung*. Riegner alarmuje niezwłocznie konsulaty USA i Wielkiej Brytanii, prosząc o przekazanie tych informacji rządowi i prezydium JWC w USA i Anglii. W USA ówczesny Podsekretarz Stanu Sumner Wells odmawia wręcz dalszego przekazania; w Anglii przekazanie następuje tylko po dłuższej zwłoce i z wielką uwagą, że niewątpliwie chodzi tu o niesprawdzone „dziki pogłoski kolportowane przez wystraszonych Żydów”. W podobny sposób reaguje także Watykan³⁴. Jeżeli raportu

opóźnić dzień zwycięstwa, są niedopuszczalne bez względu na motywy. To samo było w zasadzie obowiązujące dla *Joint*'u jako instytucji amerykańskiej. Jedyne *Aguda* nastawiona była praktycznie wyłącznie na ratowanie Żydów wszelkimi rozporządzalnymi środkami. Kiedy bardzo szybko przekonano się, że zarówno Gestapo jak i SS dają się przekupywać na prawie wszystkich szczeblach, nie wahano się uciekać do łapownictwa wszędzie tam, gdzie mogło to ratować życia ludzkie. Takimi sposobami np. cadyk z Bełża rabin Aaron Rokeach, którego całą liczną rodzinę wymordowano w Przemyślu, został w 1942 r. wysmuglowany do Koszyc, a stamtąd do Budapesztu. W 1944 r. uzbrojony w przysłany ze Szwajcarii polski paszport mógł wyjechać do Istanbuhu i stamtąd do Palestyny (*EJ*, t. 4, s. 453 i Picard, *op.cit.*, s. 392).

34. Przychylnie Niemcom nastawienie Piusa XII cechowało politykę Watykanu co najmniej do początku 1944 roku. Pius XII uchylił się od postulowanego przez Anglię i Francję potępienia agresji niemieckiej przeciwko Polsce, ograniczając się do wyrażonego narodowi polskiemu współczucia w opublikowanej 20 października 1939 encyklice *Summi Pontificatus*. Jeszcze jaskrawszym stało się nastawienie w reakcji, a raczej braku reakcji na masowe uwięzienia w obozach koncentracyjnych i mordy katolickich polskich księży (Saul Friedländer: „Pius XII und das Dritte Reich”, Hamburg, 1965, s. 37, 54 i nast.). Nic dziwnego, że w stosunku do Żydów Pius XII okazał jeszcze dalej idącą wstrzeźliwość do potępienia Niemców i ich *Führera*. I mimo tego, że przez niektórych ze swoich nuncjuszów (w pierwszym rządzie Filippo Bernardini w Bernie i Angelo Roncalli – późniejszy Jan XXIII – w Istanbule) Pius XII był od początku dobrze poinformowany o odnośnych wydarzeniach. Z podjętej w lipcu 1942 inicjatywy zakonu Jezuitów i ambasadora Brazylii przy Watykanie Hildebrando P. Accioly przedstawiciele państw alianckich, włączając Polskę, wnieśli w Watykanie we wrześniu 1942 prawie jednoczesne i prawie jednobrzmiące noty sugerujące wobec potwierdzonych wiadomości o *Endlösung* odpowiednią interwencję pa-

Riegnera nie udało się jednak długo utrzymać w tajemnicy, to stało się to głównie dlatego, że w parę dni później wspomniany już Icchak Strenbuch próbował przez konsulat amerykański wysłać depeszę zawierającą szczegóły o będącej właśnie w toku likwidacji getta w Warszawie i potwierdzającą wcześniejsze informacje Karskiego i Riegnera. Tyle tylko, że Strenbuch był ostrożniejszy od Riegnera: postarał się o to, aby ta sama depesza wysłana została przez poselstwo RP w Bernie do Londynu i Nowego Jorku. Dzięki tej równoczesnej depeszy, 3 września 1942 prezydent *Agudat Israel* Jacob Rosenheim mógł uderzyć w Nowym Jorku na alarm³⁵. Podobnie miała się sprawa w blisko dwa lata później, kiedy Eichmann rozpoczął masowe deportacje Żydów ze Słowacji i Węgier do Auschwitz. Strenbuch jako przedstawiciel ortodoksyjnej *Vaadat Hahacala* został zaalarmowany 17 maja 1944 szyfrowaną depeszą z konkretnie sformułowaniem żądaniem bombardowania komór gazowych w Auschwitz i prowadzących do nich wskazanych połączeń kolejowych, jako jedynym praktycznym środkiem zapobieżenia dalszym deportacjom... Strenbuch skomunikował się niezwłocznie z *attaché* wojskowym ambasady USA w Bernie, prosząc o przekazanie treści depeszy do Waszyngtonu. W ciągu następnych dni nadchodziły dalsze, jeszcze bardziej naglące depesze i Strenbuch przekazywał je, tak jak pierwszą *attaché*. Mimo to do 22

pieską. 17 grudnia 1942 ogłoszona została deklaracja Zjednoczonych Narodów oficjalnie potępiająca mordowanie Żydów i zapowiadająca pociągnięcie winnych do kary. Mimo to Pius XII wciąż jeszcze nie dawał się przekonać do potępienia Niemiec: w 26 stron liczącym posłannictwie do wiernych z okazji Bożego Narodzenia 1942 poświęcił całe cztery linijki „setkom tysięcy tych (anonimowych!), którzy osobiście niewinni tylko ze względu na ich narodowość lub pochodzenie są skazani na śmierć lub postępujące zubożenie”. Ani niemieccy kaci ani ich żydowskie ofiary nie zostały nazewnie wymienione! (*ibidem*, s. 86 i nast.). Jednak Pius XII uważał, że spełnił swoje duszpasterskie posłannictwo... Jednak Konstantin v. Bayern w swojej biografii Piusa XII pisze, że po niemieckiej okupacji Rzymu papież postawił do dyspozycji organizacji, która przerzucała „rasowo przesładowanych” poza linie alianckie środki finansowe, dzięki którym zaopatrywano ich w wystawione w Watykanie paszporty Brazylii, Ekwadoru i Nikaragui („Der Papst, Ein Lebensbericht”, s. 285). Co prawda był to już rok 1944...

35. Wyman, *op.cit.*, s. 42 i nast.

czerwca 1944 nie otrzymał nie tylko jakiegokolwiek reakcji na te wiadomości i propozycje, ale nawet żadnego potwierdzenia odbioru. Jasne było, że komunikacja zablokowana została w Waszyngtonie, a może nawet już w Bernie. Szczęśliwie i tym razem Sternbuch na podstawie poprzednich doświadczeń nie zaniedbał równoległej (i wypróbowanej pewnej!) drogi przez poselstwo RP. Dzięki temu udało się raz jeszcze ominąć amerykańską cenzurę. 18 czerwca 1944 Jacob Rosenheim zwrócił się w USA z nowymi informacjami i żądaniem bombardowania do miarodajnych czynników, alarmując jednocześnie opinię publiczną³⁶.

Jak wynika z dostępnych źródeł archiwalnych, aktywna pomoc ministra Ładosia dla organizacji żydowskich nie ograniczała się do liberalnej polityki paszportowej i stawiania do dyspozycji środków komunikacyjnych poselstwa. Gdziekolwiek było to możliwe, starał się o ułatwienie kontaktów między przedstawicielstwami tych organizacji a innymi wpływowymi czynnikami³⁷. Udokumentowany jest między innymi jego osobisty udział w jednym takim spotkaniu: 22 marca 1942 w poselstwie RP w Bernie przedstawiciela *Joint*'u w Szwajcarii i prezydenta gminy żydowskiej w St. Gallen, Sally Mayera z nuncjuszem papieskim w Pradze *monsignore* Ritterem. Mayer wręczył nuncjuszowi do przekazania w Waty-

36. Szczegółowa propozycja bombardowania Auschwitz i prowadzących tam połączeń kolejowych została sformułowana w liście z 16 maja 1944 przez zblizonego do *Agudy* rabina Michaela D.B. Weissmandla z Bratysławy. Treść tego listu szyfrowaną depeszą wysłana została do biur *JA* w Genewie i Istambule oraz do Sternbucha jako przedstawiciela *Agudy* i *Vaad Hahacala*, który przez poselstwo RP w Bernie wysłał ją niezwłocznie dalej, oczywiście podpisaną jak zwykle przez Ładosia („Rescue”, *op.cit.*, s. 427, 462, także Wyman, *op.cit.*, s. 288 i nast.). To że Ładoś był tym, który sugerował bombardowanie Auschwitz, jest jednym więcej dowodem naiwności Stańczyka.

37. Szczególnie cennym okazał się kontakt z nuncjuszem papieskim w Bernie Filippo Bernardini. Z kolei przez niego nawiązany został w 1944 r. kontakt ze znanym z zażyłych stosunków z hitlerowskimi Niemcami byłym ministrem szwajcarskiego rządu federalnego Jean-Marie Musy. Musy z ramienia *Vaadat Hahacala* (!) spotkał się dwukrotnie na przełomie 1944/45 z Himmlerem. Tym spotkaniem przypisuje się przybycie 7 lutego 1945 do Kreuzlingen w Szwajcarii 1.200 Żydów uwięzionych w Theresienstadt (Picard, *op.cit.*, ss. 455-456).

kanie opracowane przez Lichtheima z JA i Reignera z WJC memorandum o katastrofalnej sytuacji Żydów w okupowanej Europie³⁸.

Oddzielając w miarę możliwości ziarno od plewów, stwierdzić należy, że zawsze pozostaje aż nadto dostateczna ilość czystego ziarna, aby uważać Aleksandra Ładosia na tle ówczesnej epoki za wyjątkową osobistość humanitarną. W szczególności dotyczy to jego działalności w ratowaniu Żydów, i to nie tylko polskich, ofiar prześladowań nazistowskich. W tym sensie zasługuje na uwagę działalność Aleksandra Ładosia na rzecz Żydów słowackich i węgierskich, w szczególności w ostatnich latach wojny.

Znane jest powiedzenie z żydowskiego Talmudu, według którego ten, który ratuje choćby jedno istnienie ludzkie, ratuje całą ludzkość. Z przytoczonych wyżej trzech przykładów indywidualnego zaopatrywania Żydów polskich, pół-polskich i nie polskich w zbawcze paszporty z Białym Orłem – a pewne jest, że takich przykładów musiało być o wiele więcej – widoczny jest wyjątkowo humanitarny i tolerancyjny charakter działalności ministra Ładosia. Tyle, jeżeli chodzi o pomoc indywidualną.

Niezbitym faktem jest, że dzięki wysłaniu w 1940 r. na Litwę czterystu *blanco* paszportów (jedna trzecia całego ówczesnego stanu posiadania w Poselstwie!), udało się kilku tysiącom Żydów polskich wydostać na wolność, unikając w ówczesnie zwykłym biegu rzeczy dostania się w nieubłagalne tryby niemieckiej maszyny śmiercionośnej, a w najlepszym nawet wypadku, długoletniej deportacji do stalinowskich obozów na Syberii lub północnym Uralu.

Niektóre źródła³⁹ uwypuklają w prożydowskiej działalności poselstwa RP w Bernie w czasie II Wojny Światowej rolę żydowskiego radcy poselstwa dr. Juliusza Kühla. Pewne jest niewątpliwie, że już z racji swojego pochodzenia i stosunków z kołami żydowskimi w Szwajcarii i poza nią dr Kühl

38. Picard, *op.cit.*, s. 411.

39. *Ibidem*, s. 392. Natomiast dr Silberschein odnosił się krytycznie do rzekomych zapędów dr. Kühla wykorzystywania swych stosunków z konsulem Paragwaju do zmonopolizowania jego świadczeń (Eck, *op.cit.*, s. 105).

był inicjatorem wielu takich poczynań. Ale należy też zdawać sobie sprawę z tego, że odpowiedzialnym kierownikiem placówki był Aleksander Ładoś. Cokolwiek więc podejmowano, robiono za jego zgodą i wszystko wskazuje na to, że w ciągu pięciu lat swojej działalności Ładoś był i w pełni świadomy swej odpowiedzialności, i gotowy ponosić jej następstwa.

Wprawdzie „Listę Ładosia” zaliczyć należy do imaginacji, ale Aleksandrowi Ładosiowi słusznie przysługuje zaszczytne miejsce w poczcie osób zasłużonych w ratowaniu ofiar prześladowań, w szczególności Żydów⁴⁰.

Edward KOSSOY

40. Według kryteriów jerozolimskiej *Yad Vashem* w poczet „Sprawiedliwych tego świata” zaliczani zostają ci, którzy ratując Żydów od grożącej im zagłady, działali z własnej inicjatywy, nie dla korzyści materialnej i z narażeniem własnej egzystencji.

Andrzej MISIUK

SOJUSZE WYWIADOWCZE II RZECZYPOSPOLITEJ W LATACH 1918-1939

Kierunek współpracy polskiego wywiadu wojskowego ze służbami specjalnymi innych państw był uzależniony od zasad polskiej polityki zagranicznej. Podział na sojuszników i wrogów polskiego państwa miał pełne odbicie w działaniach na arenie międzynarodowej Oddziału II Sztabu Głównego WP. Z Rumunią, Francją i krajami nadbałtyckimi starano się stworzyć podstawy do stałej współpracy, natomiast Rosja sowiecka, Niemcy i Litwa stanowiły przedmiot ofensywnych zainteresowań naszego Oddziału II. Polski wywiad ponadto nawiązywał kontakty z dość egzotycznymi partnerami, takimi jak Japonia, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej itp.

Najbardziej rozwinięte współdziałanie miało miejsce pomiędzy służbami wywiadowczymi Polski i Rumunii. Od początku polska strona dążyła usilnie do stworzenia szerokiej platformy współpracy w zakresie wymiany informacji wywiadowczych, szczególnie dotyczących Rosji sowieckiej. Jeszcze w

1. Centralne Archiwum MSW, Oddział II Szt. Głównego WP. Referat Wschód, sygn. 262/W-192/3, materiały nie uporządkowane. W 1990 r. zespół Oddziału II przekazano do CAW, jednakże do dnia dzisiejszego nie został on opracowany i udostępniony historykom, dlatego podaję sygnatury z CA MSW.

trakcie trwania wojny polsko-sowieckiej, a więc na długo przed zawarciem traktatu sojuszniczego, Naczelnemu Dowództwu WP udało się stworzyć za zgodą rumuńskiego Sztabu Generalnego stałą placówkę wywiadowczą na terenie Besarabii¹. Polski wywiad miał wówczas poważne trudności z „operacyjnym opanowaniem” południowej Rosji, dlatego też rumuńska placówka była cennym źródłem informacji np. o charkowskim okręgu wojskowym. Zresztą posiadanie stałej rezydentury na terenie Rumunii przez prawie cały okres międzywojenny było jedną z niewielu konkretnych korzyści wynikających ze współpracy polsko-rumuńskiej. Stałym przedstawicielem polskiego Oddziału II w Bukareszcie był *attaché* wojskowy w ambasadzie RP. Do niego należało kierowanie pracą polskich placówek wywiadowczych, stały kontakt z rumuńskim wywiadem wojskowym oraz reprezentowanie polskich interesów na tym terenie². W 1922 r. zawieszono działalność polskiej placówki w Kiszyniowie, odwołano jej kierownika por. Lechwickiego-Czechowicza oraz cały personel. Jedynie w celu podtrzymania współpracy z agentami działającymi na terenie Ukrainy sowieckiej przybył do Kiszyniowa oficer Oddziału II kpt. E. Piotrowski. Jednakże na początku 1923 r. szef Wydziału Wywiadowczego ppłk W. Ścierzyński zwrócił się do nowego *attaché* wojskowego w Bukareszcie kpt. J. Wielogłowskiego o odtworzenie placówki wywiadowczej w Besarabii, która działałaby nie tylko w kierunku sowieckim³. Z tego powodu w 1923 r. doszło do pierwszego kontaktu osobistego wysokich przedstawicieli wywiadu wojskowego obu sojuszniczych państw. Do Bukaresztu przybył wspomniany już szef Wydziału Wywiadowczego ppłk W. Ścierzyński. Wówczas to ustalono przydział kilku oficerów polskiego wywiadu do pracy w Oddziale II rumuńskiego Sztabu Generalnego. Nadto powstanie pewnej niekorzystnej dla Polski konfiguracji

2. Rola *attaché* wojskowego nie była ściśle określona przez polski Sztab Generalny. W niektórych wypadkach *attaché* wojskowy był integralnie związany z działalnością polskiego wywiadu na danym terenie (pełnił funkcję rezydenta). W innych przypadkach ograniczał się do aktywności dyplomatycznej.

3. CA MSW, Oddział II Szt. Gł. (dalej O.II). Referat Wschód sygn.262/W-192/3, k.237.

politycznej w tym rejonie Europy zmusiło do aktywności szefa Wydziału Wywiadowczego. Niepokój wzbudziły sugestie Wydziału Ewidencyjnego Oddziału II dotyczące faktu bardziej samodzielnej polityki zagranicznej rumuńskiego sojusznika. Dlatego też sugerowano w kręgach Oddziału II wysłanie do Rumunii pracownika wywiadu jako np. przedstawiciela firmy handlowej, tak aby utrudnić rozpoznanie jego prawdziwej roli nawet przez rumuńskie służby kontrwywiadowcze⁴. Na efekty aktywności polskich kół wojskowych długo nie oczekiwano. Nowy minister spraw zagranicznych R. Dmowski podjął próbę powiązania izolowanych sojuszków z Rumunią i Francją w jeden system przymierza polityczno-wojskowego⁵. Szczególnie na niwie wywiadowczej strona polska wykazała dużą aktywność mającą na celu stworzenie podwalin pod trójstronne współdziałanie polskiego, francuskiego i rumuńskiego Oddziału II. W dniach 13-21 lutego 1924 r. przebywał w Bukareszcie mjr Wacław Jędrzejewicz, szef Wydziału Ewidencyjnego Oddziału II Sztabu Gen. WP. Prowadził on rozmowy na temat zawarcia formalnego porozumienia polsko-rumuńskiego dotyczącego współpracy wywiadowczej. Jednocześnie korzystając z okazji polski *attaché* wojskowy w Bukareszcie mjr W. Morawski wystąpił z propozycją zaproszenia do rozmów przedstawiciela francuskiego wywiadu kpt. Bergera. Rumuni stanowczo sprzeciwili się tej inicjatywie. Fiasko prowadzonej od kilku miesięcy przez polski Sztab Generalny gry wynikało z jednej strony z przesłanek politycznych – występujących wówczas pewnych nieporozumień między Rumunią i Francją – a z drugiej miało źródło w pewnych kompleksach i uprzedzeniach szefów rumuńskiego Sztabu Generalnego. Obawiali się oni sytuacji, w której bliższa współpraca z Francją obnaży wszystkie słabości rumuńskiego wywiadu⁶.

4. Tamże.

5. „Przyjaźnie i antagonizmy...”, s. 317; H. Bułhak, „Próby przekształcenia sojuszu wojskowego z Rumunią w trójstronne przymierze polsko-francusko-rumuńskie w latach 1923-1924”, (w): *Przegląd Historyczny*, t. 64, 1973, z.3, s.520.

6. H. Bułhak, „Konferencja wojskowa polsko-rumuńsko-francuska w Warszawie (7-8.IV.1924r.). Geneza, przebieg, rezultaty”, (w): *Studia z Dziejów ZSRR i Europy Środkowej*, t. XXV, 1989, s.115.

W kwietniu 1924 r. w Warszawie odbyła się polsko-francusko-rumuńska konferencja przedstawicieli sztabów generalnych. Nie przyniosła ona jednak postępu w rozmowach. Pomimo to przedstawiciele władz wojskowych obydwu sojuszników Polski wysoko oceniali wysiłek strony polskiej w trakcie pertraktacji. Istotnie, 19 lutego 1924 r. udało się podpisać protokół polsko-rumuńskiego porozumienia w zakresie współpracy wywiadowczej. Następnie do Warszawy przybył płk Ion B. Florescu – szef Oddziału Operacyjno-Wywiadowczego rumuńskiego Sztabu Generalnego. Zatwierdził on podpisany 19 lutego protokół, w którym m.in. przewidywano stworzenie wspólnej sieci agenturalnej w Rosji, przygotowanie planu wspólnej pracy wywiadowczej w trakcie hipotetycznego konfliktu zbrojnego oraz rozwinięcie współdziałania między Oddziałem II rumuńskiej 8 Dywizji Piechoty w Czerniowcach a Ekspozyturą nr 5 we Lwowie⁷. W trakcie rozmów polska strona uświadomiła sobie poziom słabości organizacyjnej oraz zawodowej rumuńskiego wywiadu wojskowego. Okazało się, że Rumuni nie posiadają rozpoznania operacyjnego terenu Rosji sowieckiej i nie zamierzają tam aktywniej angażować się, pozostawiając cały ciężar organizacji pracy operacyjnej stronie polskiej. Ponadto dysponowali oni bardzo skromnym budżetem, dlatego też jedynie dzięki zdolnościom W. Jędrzejewicza udało się podpisać dość korzystne porozumienie. W tym samym roku, tj. 1924, we wrześniu odbyła się w Bukareszcie polsko-rumuńska konferencja w sprawie zwalczania ruchu komunistycznego. Doszło na niej do zawarcia kolejnego porozumienia między polską policją polityczną a rumuńską służbą bezpieczeństwa „Siguranza”⁸.

W 1927 r. odbyła się kolejna wspólna konferencja, na której płk Radulescu zaproponował stworzenie i wyposażenie przez polski Oddział II stacji radiometrycznej w Konstancy. Pomimo to wywiad polski odnotował podejmowane przez władze rumuńskie próby nawiązania kontaktów politycznych,

7. CA MSW, O.II Referat Wschód, sygn.262/W-192/3, materiały nie uporządkowane.

8. Tamże, O.II Akta zasadnicze, sygn. 292/Z-1/30, k. 196-197.

handlowych oraz wojskowych z Rosją sowiecką, a w latach trzydziestych z Niemcami – dwoma państwami stanowiącymi potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa zewnętrznego państwa polskiego. We wrześniu 1926 r. kierownik placówki w Kiszyniowie informował, że w sierpniu tegoż roku szef rumuńskiej policji politycznej Christescu oraz kilku wyższych urzędników MSZ w sposób zakonspirowany przeprawili się przez Dniestr, kierując się do Odessy, gdzie odbyli w budynku GPU spotkanie z przedstawicielami władz centralnych Rosji sowieckiej⁹. Niezadowolenie polskiego Szefa Sztabu Generalnego powodowały również mało wartościowe komunikaty informacyjne o Rosji przekazywane polskiej stronie przez wywiad rumuński. Na początku lat trzydziestych w polityce zagranicznej Rumunii zaczęły dominować poglądy i koncepcje ministra Titulescu. Uważał on, że słaba Rumunia musi opierać swe bezpieczeństwo na sojuszach z potężnymi mocarstwami, a nie krajami jej mniej więcej równorzędnymi, jak np. Polska. Dlatego też Rumuni starali się ułożyć stosunki z Rosją sowiecką oraz szukać porozumienia z rodzącą się potęgą europejską – Niemcami hitlerowskimi. Miało to wpływ na sojusznicze kontakty polsko-rumuńskie. W listopadzie 1936 r. szef Oddziału II płk T. Pełczyński określił „zasady i metody współpracy informacyjnej polsko-rumuńskiej na przyszłość”¹⁰. Odbiegały one od atmosfery współdziałania z pierwszej połowy lat dwudziestych.



Podstawowe znaczenie dla bezpieczeństwa zewnętrznego Polski w okresie międzywojennym miał sojusz z Francją, uważaną za głównego gwaranta Traktatu Wersalskiego. Dlatego też koła decydenckie II RP przywiązywały zawsze dużą wagę do stosunków z Francją. Jednakże ta wiara i przekonanie co do potrzeby istnienia sojuszu polsko-francuskiego nie

9. Tamże, sygn 262/-192/2. Raport szefa Wydziału Wywiadowczego Oddziału II Szt.Gł. z 4.09.1926 r.

10. Tamże, O.II Akta zasadnicze, sygn. 292/Z-1/30, k. 243.

zawsze były silne u obydwu partnerów. Miało to odzwierciedlenie w kontaktach dyplomatycznych, na płaszczyźnie politycznej, gospodarczej czy też wojskowej. Dlatego też można wyróżnić pewne momenty przełomowe we wzajemnych stosunkach służb specjalnych obydwu państw, które wyznaczają następujące okresy: a) 1918-1926; b) 1926-1931/32; c) 1932-1939.

Truizmem byłoby stwierdzenie, że zasadnicze wydarzenia we współpracy wywiadowczej miały ścisły związek z decyzjami politycznymi kolejnych ekip rządzących we Francji i w Polsce. Jednakże specyficzny charakter współdziałania na niwie wywiadowczej powodował, że zadrażnienia i okresy oziębienia dyplomatycznych i politycznych stosunków nie zawsze miały swój rezonans w relacjach służb specjalnych. L. Gondek pisze, że od 1921 r. kontakty odbywały się cyklicznie co 6 miesięcy. Strony obradowały na przemian w Paryżu i Warszawie¹¹. W rzeczywistości nie tylko kontakty ale współpraca została nawiązana już w 1919 r. w związku z przybyciem do Polski francuskiej misji wojskowej. W jej składzie znalazło się trzech oficerów, których delegowano do polskiego Oddziału II¹². Obok współpracy i pomocy przy organizowaniu polskich wojskowych służb specjalnych przedstawiciele misji prowadzili samodzielną działalność wywiadowczą. Francuzi rozpoczęli wówczas ofensywę na terenie Europy środkowo-wschodniej, przede wszystkim Rosji sowieckiej, w celu odbudowania swoich wpływów sprzed I wojny światowej w tym regionie kontynentu. M.in. organizatorem tej akcji na obszarze Polski był członek misji Noulensa-Niessela, mjr Soyet¹³. Powodowało to, że wielokrotnie dochodziło wówczas do rywalizacji wywiadu polskiego z francuskim.

W celu zdobycia wpływów w wojsku polskim w Oddziale II sztabu misji francuskiej w 1920 r. opracowano plan

11. L. Gondek, „Antyhitlerowska współpraca Oddziału II Sztabu Głównego WP z wywiadami innych państw”, (w): *Przegląd Zachodni*, R.31, t. 1, 1975, nr 1, s. 68.

12. Archiwum Akt Nowych (AAN), Protokoły posiedzeń Rady Ministrów, t. 6, k.160-162.

13. T. Schramm, „Francuskie misje wojskowe w Europie Środkowej”, Poznań 1987, s. 29.

działalności propagandowej i wywiadowczej, zakładającej oddziaływanie na kadrę oficerską WP. Drugi kierunek aktywności dotyczył infiltracji środowisk polityków endeckich, tradycyjnie pozytywnie nastawionych do Francji. Po zakończeniu wojny polsko-sowieckiej, nowy szef misji gen. Niessel zdecydował się na zaktywizowanie własnej działalności wywiadowczej na terenie Polski. Usiłowano rozbudować kontakty z emigracją rosyjską i ukraińską. Jednocześnie w piśmie z 7 lutego 1921 r. gen. Niessel zaproponował polskiemu ministrowi spraw wojskowych gen. K. Sosnkowskiemu koordynację akcji szpiegowskich prowadzonych w Rosji sowieckiej¹⁴. W tym samym czasie Oddział II francuskiej misji składał się już z siedmioosobowego zespołu oficerów oraz dysponował delegaturą wywiadowczą w Wolnym Mieście Gdańsku¹⁵. Dopiero jednak w 1925 r. rozpoczęto rozmowy na temat zawarcia specjalnej umowy między organami wywiadu wojskowego Francji i Polski. W tym celu do Paryża przybył płk L. Bociański, który wraz z *attaché* wojskowym płk. J. Kleebergiem prowadził trudne rozmowy z płk. Laineyem, szefem *Deuxième Bureau*. Okazało się, iż Francuzi nie chcą zgodzić się na założenie polskiej placówki wywiadowczej na terenie Francji jako rekompensaty działania francuskiej Misji Wojskowej w Polsce. Obie strony traktowały ten punkt rozmów dość pryncypialnie. Płk Lainey tłumaczył, że „...polskim władzom wojskowym łatwiej jest umieścić francuskie placówki wywiadowcze w Polsce, aniżeli francuskim we Francji, albowiem mają one większe prawa w kraju – zresztą o ile Sztab Generalny polski by na to nalegał, to mógłby on swoich oficerów odwołać”¹⁶. Z kolei płk J. Kleeberg próbował zaproponować gen. Bineau zainstalowanie placówki na obszarze okupacji nadreńskiej, co spowodowało jednoznaczny protest tego ostatniego, gdyż mogło to stanowić zarzewie

14. „Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich”, t.3, Warszawa 1962, s. 549.

15. Centralne Archiwum Wojskowe (CAW), Gabinet Ministra Spraw Wojskowych, sygn. I 300.1.394.

16. CA MSW, O.II Akta zasadnicze, sygn. 292/Z-1/30, k. 289; Raport *attaché* wojskowego RP w Paryżu z dn. 9.07.1927 r.

poważnych komplikacji międzynarodowych¹⁷. Ostatecznie w 1926 r. zawarto umowę, która zawierała m.in. następujące ustalenia:

– stosownie do warunków geograficznych i związanych z tym łatwiejszych możliwości pracy dzielą Sztaby Generalne francuski i polski pod względem wywiadowczym terytorium Niemiec na część zachodnią i wschodnią, przy czym wywiad francuski będzie dążyć do opracowania w pierwszej linii terenu zachodniego, wywiad polski do opanowania terenu wschodniego,

– zebranie przedstawicieli Drugich Oddziałów sztabu polskiego i francuskiego ma w zasadzie odbywać się co sześć miesięcy, ażeby porównać i ustalić ich wzajemny punkt widzenia na wojskową sytuację Niemiec i Rosji¹⁸.

Skutkiem tej umowy była decyzja o likwidacji francuskiej Misji Wojskowej w Polsce oraz stworzenie w Belgradzie punktu wymiany informacji wojskowych między obydwoma krajami na wypadek wojny. Zawarte w 1926 r. porozumienie okazało się jedynie deklaracją chęci współpracy, która nie doczekała się realizacji. Lata 1926-1932 to okres, w którym nie licząc sporadycznej wymiany informacji miał miejsce całkowity regres polsko-francuskiego współdziałania wywiadowczego. Szczytowy moment ochłodzenia kontaktów przypadł na przyjazd do Warszawy w styczniu 1932 r. nowego szefa Oddziału II francuskiego Sztabu Generalnego. Stanowiło to pochodną zmian w polityce zagranicznej Józefa Piłsudskiego. Jego nieufność do prawdziwych intencji polityki francuskiej przeniosła się na kierownictwo armii polskiej, w tym także organów wywiadu wojskowego (nowy szef Oddziału II płk T. Furgalski). Nie można zgodzić się z opinią J. Ciałowicza, który cytując G. Castellana¹⁹ uważa, że posiadając bardzo ściśle dane o zbrojeniach niemieckich, wywiad francuski stał

17. Tamże, k.182; Pismo polskiego *attaché* wojskowego w Paryżu z dn. 17.07.1925 r.

18. T. Wyrwa, „Wywiad i polityka w stosunkach polsko-francuskich przed 1939 r.,” (w): *Zeszyty Historyczne*, z. 67, 1984, s. 204; CA MSW, O.II Akta zasadnicze, sygn. 292/Z-1/30, k. 183.

19. G. Castellana, „Le Réarmement clandestin du Reich 1930-1935, Paryż 1954.

się samowystarczalny²⁰. Wielokrotnie wywiad polski zaskakiwał swego sojusznika szczegółowymi i kompletnymi analizami na temat potencjału militarnego armii niemieckiej. Świadczy o tym znamienna notatka płk. T. Furgalskiego z rozmowy z gen. d'Arbeneau z 24 października 1933 r.: „Pozwalam sobie jednak na powątpiewanie, czy Koeltz będzie miał to, o co nam chodzi. Jeżeli ten uzupełni wiadomości nasze o uzbrojeniu Niemiec, jak dał te wiadomości Rüstarholzowi, to zbyt dużo wiedzieć nie będziemy”²¹.

W tym czasie nastąpił również przełom w bilateralnych stosunkach Polski z Francją. Prawdopodobnie pod wpływem faktu opuszczenia przez Niemcy Ligi Narodów i Komisji Rozbrojeniowej J. Piłsudski zdecydował się na zmianę kursu polityki zagranicznej Warszawy wobec Paryża. Szczególnie w relacjach przedstawicieli wojska nastąpiły bardzo szybko pozytywne zmiany. W okresie 1933-1934 miało miejsce kilka spotkań przedstawicieli kierownictwa służb specjalnych obydwu państw. Na uwagę zasługuje też fakt wzmożonej w tym czasie wymiany wartościowych materiałów wywiadowczych dotyczących Niemiec. W lutym 1934 r. do Polski przybył kpt. G. Nawarre, kierownik sekcji niemieckiej we francuskiej centrali wywiadowczej. W tym samym czasie reaktywowała swoją działalność polska placówka wywiadowcza krypt. „Lecomte” w Paryżu, która miała spełniać funkcję łącznikową, ułatwiając współdziałanie²². Szefem placówki został rtm. Michał Baliński. Jak wspomina T. Szumowski została ona bardzo dobrze wyposażona i otrzymała wyjątkowo wysoki budżet²³. Obok częstych kontaktów osobistych pracowników wywiadu różnych szczebli obydwu państw w 1931 r. miało miejsce wydarzenie o kapitalnym znaczeniu, którego konsekwencje wykraczały daleko poza dwustronne stosunki

20. J. Ciałowicz, „Polsko-francuski sojusz wojskowy 1921-1939”, Warszawa 1970, s. 173.

21. CA MSW, O.II Akta zasadnicze, sygn.292/Z-1/30; dokumenty w sprawie przyjazdu polskiej delegacji Oddziału II do Paryża, k. 62.

22. T. Szumowski, „Formacje polskie na Zachodzie. Berno-Paryż-Angers”, (w): Wojskowy Instytut Historyczny, Materiały i dokumenty (WIH MiD), sygn. V/21/70, s. 29.

23. Tamże, s. 30.

polsko-francuskie. Francuzi otrzymali od jednego z najlepszych swoich agentów H.T. Schmidta ps. „Asche” materiały dotyczące systemu szyfrowania informacji tajnych w jednostkach i urzędach Reichswehry, tzw. Enigmy. G. Bertrand, kierownik sekcji D w *Deuxième Bureau*, zajmującej się zdobywaniem informacji o kodach i szyfrach państw obcych, po fiasku prób rozpracowania Enigmy przez francuskich i angielskich specjalistów zdecydował się nawiązać współpracę z polskim Biurem Szyfrów Oddziału II²⁴. W taki sposób miała swój początek jedna z najchlubniejszych kart udziału polskiego wywiadu w walce z Niemcami hitlerowskimi na tzw. tajnym froncie – rozszyfrowanie niemieckiego szyfru wojskowego Enigmy. W 1935 r. nadal kontynuowano ożywioną współpracę. W maju tegoż roku do Paryża przybyła polska delegacja na czele z płk. J. Englichtem, ppłk. S. Mayerem i mjr. A. Sobocińskim²⁵. Z kolei w listopadzie 1935 r. do Polski przyjechała delegacja francuskiego Oddziału II wraz z jej szefem płk. M. Gauche. Francuscy goście, obok spotkań w centrali, odwiedzili Ekspozyturę nr 3 w Bydgoszczy i nr 4 w Krakowie, które prowadziły wywiad płytki na terenie Niemiec. Duże znaczenie posiadały dwie wizyty (w 1936 i 1937 r.) we Francji nowego szefa Oddziału II Sztabu Głównego WP płk. Tadeusza Pełczyńskiego. Jego rozmowy z płk. M. Gauche nie dotyczyły jedynie spraw wywiadowczych, ale miały wymiar polityczny. Stanowiło to dowód wzrastającej roli wojska w życiu politycznym II Rzeczypospolitej. Płk T. Pełczyński, przedstawiając opinię o ogólnej sytuacji polityczno-militarnej w Europie, wskazał na Rosję sowiecką jako główne zagrożenie dla pokoju i stabilizacji na kontynencie, a przede wszystkim dla Polski. „Niebezpieczeństwo rosyjskie jest najgroźniejsze i najbardziej natarczywe. Rosja skorzysta z pierwszej nadarżającej się okazji, żeby wtargnąć do Polski i pozostać w niej; armia czerwona jest groźnym narzędziem i bezustannie się wzmacnia. Czerwone dowództwo trzyma nieustannie skoncentrowane na naszej granicy 10 do 15 dywizji. To czego chce Rosja, to zupełne zniknięcie państwa

24. P. Paillole, „Nasz szpieg u Hitlera”, Warszawa 1993, s. 27.

25. CA MSW, O.II Akta zasadnicze, sygn. 292/Z-1/30, k. 2.

polskiego; czerwoni zostawiliby nam może nazwę Polska i nasz język, ale z punktu widzenia duchowego bylibyśmy całkowicie wchłonięci”²⁶. Jednocześnie płk T. Pełczyński nie wierzył w „możliwość zbliżenia niemiecko-sowieckiego teraz, przede wszystkim Hitler jest temu zaciekle przeciwny”. Przyznawał on wszakże, że „takie wydarzenie byłoby bardzo niebezpieczne, gdyż pierwszym aktem tajnego porozumienia niemiecko-sowieckiego byłby nowy rozbiór Polski”²⁷. Wymiana poglądów ukazała poważne rozbieżności stanowisk obu sojuszników. Skrajna wrogość wobec Rosji sowieckiej, niechęć do Czechosłowacji oraz sympatie dla Węgrów i próby współpracy wywiadowczej z Japonią wzbudziły zaniepokojenie francuskich kół rządzących. Należy zwrócić uwagę na fakt, że szefa polskiego wywiadu wojskowego traktowano jako polityka reprezentującego koła rządowe najbardziej miarodajne: „... pułkownik jest ważną osobistością głównego sztabu polskiego. Był on wiernym towarzyszem Marszałka Piłsudskiego i obecnie związany jest z losem marszałka Rydz-Śmigłego. W obecnym ustroju Polski, gdzie nie ma miejsca na opinię publiczną, wypowiedź tego oficera posiada zatem istotne znaczenie; to jest dużo więcej niż wypowiedź osobistych myśli, jest to co najmniej odbicie opinii wyrażanych powszechnie w głównym sztabie polskim”²⁸. Pomijając wyjątkowe współdziałanie polskich i francuskich specjalistów od „łamania” niemieckich szyfrów, to rozwijająca się w latach 1934-1938 współpraca nie przyniosła wymiernych efektów poza zbliżeniem osobistym kierownictwa służb wywiadowczych obydwu sojusznicznych państw. Strona polska stale odczuwała, że Francuzi wykazują dużą wstrzeźliwość w wymianie wartościowych informacji na temat Niemiec. Dopiero wskutek zaostrej się sytuacji międzynarodowej w Europie współpraca stała się efektywniejsza. Przedstawiciele wywiadu wojskowego brali udział we wszystkich rozmowach politycznych i wojskowych prowadzonych przez rządy Francji i Polski w okresie poprzedzającym wybuch II wojny światowej.

26. T. Wyrwa, „Wywiad i polityka...”, s. 212.

27. Tamże, s. 213.

28. Tamże.

Szczególony charakter miała współpraca z państwami nadbałtyckimi (Estonią, Łotwą i Finlandią). Położenie geopolityczne powstałych po I wojnie światowej państw nad Bałtykiem posiadało ogromne znaczenie dla bezpieczeństwa państwa polskiego. Dostanie się tych państw pod wpływ Rosji sowieckiej lub Niemiec mogło stanowić bezpośrednie zagrożenie dla niepodległości II RP. Dlatego też już w trakcie wojny polsko-sowieckiej w 1919 r. wysłano w tajnej misji na Łotwę kpt. A. Myszkowskiego, szefa sekcji „Wschód” Oddziału II ND WP oraz ppor. T. Wardejna-Zagórskiego²⁹. Zadaniem kpt. A. Myszkowskiego była nie tylko penetracja wywiadowcza tego obszaru, ale przede wszystkim realizacja celów politycznych – szukania porozumienia z rządem łotewskim. W tym samym czasie do Łotwy przybył Aleksander Lutze-Birk – wysłannik kpt. W. Sławka – szefa Oddziału II Frontu Litewsko-Białoruskiego. Z kolei do Estonii skierowano rtm. St. Prusa-Bogusławskiego, oficera łącznikowego Naczelnego Dowództwa WP. W efekcie tych działań w latach 1919-1920 zawarto z władzami wojskowymi poszczególnych krajów stosowne umowy. Szczególnie w okresie tworzenia koncepcji Związku Bałtyckiego dużą rolę odgrywali w rokowaniach przedstawiciele Oddziału II Sztabu Generalnego WP. W październiku 1920 r. na Łotwę przybył płk J. Matuszewski, szef Oddziału II, w celu zbudowania podstaw wywiadu na Rosję sowiecką. Jednakże jego aktywność wykraczała poza sprawy wywiadowcze. Brał czynny udział w rozmowach politycznych na temat konwencji wojskowej oraz sposobów utrudniania działań dyplomacji sowieckiej na tym terenie³⁰. Po fiasku koncepcji Związku Bałtyckiego w 1925 r. polska dyplomacja przestała liczyć na sojusznicze przymierze z krajami nadbałtyckimi, wołała raczej widzieć te państwa jako naturalnie przyjazne niż militarnie zaangażowane³¹. Natomiast polska aktywność wywiadowcza na tym terenie

29. A. Skrzypek, „Zagadnienie polsko-łotewskiej konwencji wojskowej 1919-1925”, (w): „Z dziejów stosunków polsko-radzieckich”, t. 6, 1970, s. 218.

30. Tenże, „Związek Bałtycki. Litwa, Łotwa, Estonia i Finlandia w polityce Polski i ZSRR w latach 1919-1925”, Warszawa 1972, s. 71.

31. Tenże, „Zagadnienie polsko-łotewskiej konwencji...”, s. 230.

coraz bardziej wznosiła się. Polski wywiad zmuszony był konkurować z wpływami sowieckimi oraz niemieckimi (przede wszystkim w Finlandii). W styczniu 1925 r. zorganizowano w Helsinkach konferencję przedstawicieli służb specjalnych Polski, Finlandii, Estonii i Łotwy w sprawie form i metod zwalczania wpływów komunistycznych³². Oddział II Sztabu Generalnego prowadził w następnych latach stałe konsultacje z organami wywiadu wojskowego wymienionych państw. Jednakże główny wysiłek skupiono na utrzymywaniu placówek wywiadowczych działających w tych krajach. Najtrudniej układała się współpraca z Finami, gdyż wzrastały wówczas w fińskim sztabie generalnym wpływy niemieckie. Mimo to kpt. M. Chodacki *attaché* wojskowy w Helsinkach, w 1930 r. przygotował projekt umowy polsko-fińskiego współdziałania wywiadowczego³³. Zakładał on, że dwukrotnie w roku odbywać się będą konferencje oficerów wywiadu obu stron. Współpraca miała dotyczyć przede wszystkim Rosji sowieckiej. Kpt. M. Chodacki zwracał uwagę na znaczenie efektywności wymiany informacji. „Wychodząc z założenia ugruntowanego kilkuletnim doświadczeniem, że wymiana tzw. surowych materiałów informacyjnych o ZSSR daje tylko połowiczne i niedostatecznie zaspokajające potrzeby rezultaty stwierdzają strony konieczność przeprowadzenia rewizji stosowanej dotychczas metody współpracy”³⁴.



W literaturze przedmiotu dotyczącej polityki zagranicznej II Rzeczypospolitej rozwój współpracy polsko-węgierskiej rozpoczyna się w r. 1933. M. Koźmiński uważa, iż w latach 1920-1933 miał miejsce całkowity zastój we wzajemnych kontaktach³⁵. W rzeczywistości w okresie 1920-1922 mieliśmy do czynienia z kilkoma ciekawymi inicjatywami dotyczą-

32. H. Arumae, „Za kulisami ‘Bałtyjskowo Sojuza’”, Tallin 1966, s. 242-243.

33. CA MSW, O. II Akta zasadnicze, sygn. 292/Z-1/30, k.227.

34. Tamże, k. 228.

35. M. Koźmiński, „Polska i Węgry przed II wojną światową (10.1938-09.1939)”, Wrocław 1970, s. 31.

cymi współdziałania służb wywiadowczych obydwu państw. Szczególnie w okresie wojny polsko-sowieckiej rozwijała się wymiana informacji na temat Rosji sowieckiej. Zwłaszcza Ekspozytura Oddziału II Naczelnego Dowództwa WP w Krakowie wspólnie z placówką węgierskiego wywiadu w Miszkolcu prowadziła wywiad na terenie czeskim i rosyjskim. Poprawa stosunków polsko-czeskich w 1921 r. spowodowała chwilowe zerwanie współpracy. W celu jej przywrócenia w marcu 1922 r. wysłano w specjalnej misji na Węgry por. Alfreda Birkenmayera – pracownika Ekspozytury nr 4 w Krakowie. A. Birkenmayer w rozmowie z szefem wywiadu węgierskiego ppłk. Stojakowitsem zaproponował nieoficjalnie w imieniu szefa Sztabu Generalnego WP nawiązanie szeroko pojętej współpracy wywiadowczej szczególnie na odcinku rosyjskim³⁶. Odpowiedź Węgrów była następująca: „Węgierski Sztab Generalny przyjmuje do wiadomości propozycję ze strony polskiego Sztabu Generalnego co do wzajemnej współpracy na polu informacyjnym i oświadcza ze swej strony, że zasadniczo gotów jest do podjęcia tejże oraz do omówienia obopólnych warunków przez wysłanie specjalnego wysłannika do Warszawy³⁷. Pomimo tej deklaracji wyniki rozmów nie napawały optymizmem polskiego wysłannika. Węgierski Sztab Generalny, w tym także służba wywiadowcza, był całkowicie zdominowany przez koła germanofilskie, co nie rokowało dobrej przyszłości dla współpracy.



Interesujący charakter miały kontakty służb wywiadowczych Polski i Czechosłowacji. Od momentu powstania obydwu państw w 1918 r. stale dochodziło do konfliktów między nimi. Obok nie rozstrzygniętego sporu terytorialnego kręgi rządowe w obydwu krajach miały odmienny pogląd na sytuację międzynarodową w Europie. Mimo to w pewnych okresach wywiad II Rzeczypospolitej podejmował współpracę z czeskimi służbami specjalnymi. Faktem dość zaskakującym

36. CA MSW, O. II Akta zasadnicze, sygn. 292/Z-1/30, k. 206.

37. Tamże, k. 217.

jest to, że współdziałanie najowocniej rozwijało się wówczas, gdy stosunki dyplomatyczne pogarszały się, a więc w okresie obozu piłsudczykowskiego, po zamachu majowym.

Jeszcze w październiku 1923 r. szef Wydziału Ewidencyjnego Oddziału II W. Jędrzejewicz w piśmie do szefa polskiego wywiadu z całym przekonaniem utrzymywał, że należy wzmocnić działalność wywiadowczą przeciwko Czechosłowacji, gdyż jest to kraj nieprzyjazny wobec Polski. Jednakże już po dwóch miesiącach, prawdopodobnie pod wpływem Francji, nowy szef Oddziału II płk Michał Bajer radykalnie zmienił stosunek do południowego sąsiada. Polski *attaché* wojskowy w Pradze ppłk Antoni Durski-Trzasko otrzymał zadanie poufnego wysondowania stanowiska Czechów w sprawie stałej wymiany informacji o Niemczech i zbliżenia na polu wywiadu przeciwniemieckiego³⁸. Początkowo polskie sugestie spotkały się z obojętnością strony czeskiej. Dopiero w maju 1924 r. miała miejsce pierwsza wymiana materiałów wywiadowczych dotyczących potencjału wojskowego Niemiec. Nie zadowolona ona żadnej ze stron. Nadal widoczna była duża rezerwa we wzajemnych stosunkach. Pewien przełom nastąpił w r. 1925. Czeski *attaché* wojskowy w Warszawie gen. Holly w rozmowie z płk. M. Bajerem przedstawił propozycję stałych kontaktów między sztabami oraz możliwość przyjazdu czeskich oficerów na staż do Polski³⁹. Odmienne przedstawiała się sytuacja w stosunkach politycznych pomiędzy Polską i Czechosłowacją. Wizyta ministra Skrzyńskiego w Pradze w kwietniu 1925 r. oprócz podpisania konwencji handlowej nie przyniosła wymiernego postępu we wzajemnych stosunkach. Tymczasem koła wojskowe (przede wszystkim służby specjalne) obydwu krajów dążyły usilnie do zbliżenia stanowisk i podjęcia współpracy, m.in. w zakresie służby wywiadowczej. Do pierwszego spotkania przedstawicieli wojska doszło w dniach 26-29 kwietnia 1927 r. W jego trakcie szczególnie Czesi kładli duży nacisk na wzajemne staże i współpracę Oddziałów II⁴⁰.

38. CAW, Attachat Wojskowy RP w Pradze, t. 24, dok. 10.

39. H. Bułhak, „Z dziejów stosunków polsko-czechosłowackich w latach 1924-1927”, (w): „Studia z dziejów ZSRR i Europy Środkowej”, t. V, 1969, s. 130.

40. Tamże, s. 141.

Już w kolejnej konferencji, która miała miejsce w październiku 1927 r. w Pradze, wzięli udział przedstawiciele kierownictwa Oddziałów II obydwu państw. Stronę polską reprezentował mjr A. Studencki i mjr K. Glabisz, czechosłowacką – płk V. Chalupa, szef Oddziału II, i kpt. V. Majzl, kierownik referatu niemieckiego. Można przyjąć, że od 1928 r. zapoczątkowana została polsko-czeska współpraca wywiadowcza dotycząca przede wszystkim problematyki niemieckiej, w mniejszym zakresie rosyjskiej i ukraińskiej. W tym czasie, za wiedzą gospodarzy, polski Oddział II zorganizował w Pradze placówkę wywiadowczą, która miała za zadanie stałe utrzymywanie kontaktu z czeskim Sztabem Generalnym⁴¹. Odbywały się wówczas częste konferencje międzyoddziałowe, na których wymieniano informacje o Niemczech. We wrześniu 1928 r. w Zakopanem odbyła się tzw. I konferencja ewidencyjna z udziałem mjr. K. Glabisza i kpt. Majzla. Następne spotkanie miało miejsce w Pradze w lipcu 1929 r. z udziałem kierownika Samodzielnego Referatu „Niemcy” mjr. Antoniego Rosnera, a ze strony czeskiej znanego już dobrze kpt. Majzla. W trakcie rozmów poruszono przede wszystkim sprawy wywiadowcze, mniej problematykę studyjną (ewidencyjną). Pod koniec tego roku, w wyniku wspólnych uzgodnień, do Pragi przybył mjr Jerzy Krzymowski, oficer wywiadu d/s ukraińskich⁴². II konferencja ewidencyjna odbyła się w Warszawie na początku sierpnia 1931 r. Różniła się od poprzedniej tym, że po raz pierwszy udział w rozmowach wzięł szef Oddziału II Sztabu Gł. WP ppłk T. Pełczyński oraz szef czeskiego Wydziału Wywiadowczego płk Soukup. Szczególnie w latach 1932-1933, gdy osobą odpowiedzialną w czeskim Sztapie Generalnym za sprawy wywiadu został gen. Prchala – zwolennik sojuszu z Polską – stosunki układały się znakomicie. Zawarto wówczas, tj. 3 lutego 1933 r. tajny układ polsko-czeski dotyczący organizacji radiowywiadu oraz działalności kurierskiej⁴³. W 1934 r. współpraca

41. CA MSW, O. II Akta zasadnicze, sygn. 292/Z-1/30, k. 238; Pismo szefa Oddziału II Sztabu Gł. płk. T. Pełczyńskiego do *attaché* wojskowego RP w Pradze z dn. 20.01.1936 r.

42. W. Żeleński, „Zabójstwo ministra Pierackiego”, (w): *Zeszyty Historyczne*, z. 25, 1973, s. 31.

43. CA MSW, O. II Akta zasadnicze, sygn. 292/Z-1/30, k. 68.

zaczęła się pogarszać, płk J. Englicht odwołał swoją wizytę w Czechosłowacji. Wreszcie dwa lata później Czesi zażądali likwidacji polskiej placówki w Pradze oraz rewizji zasad dotychczasowej współpracy. L. Gondek stwierdza, że strona czeska pod wpływem ówczesnej ewolucji politycznej swojego rządu zmuszona była zerwać współpracę wywiadowczą z polskim Oddziałem II, nie zachowując jej nawet w odniesieniu do problemu niemieckiego⁴⁴. W rzeczywistości wówczas Czechosłowacja zaczęła się dostawać pod wpływem Rosji sowieckiej. Dlatego też płk Drgacz i płk Moravec nie widzieli sensu dalszej antysowieckiej współpracy z polskim wywiadem. Natomiast w odpowiedzi na polskie „Pro memoria” z 20 stycznia 1936 r. nadal zamierzali współdziałać na kierunku niemieckim. Reakcja płk. T. Pełczyńskiego, szefa Oddziału II, była bardzo gwałtowna: „Traktujemy oświadczenie płk. Moravca i płk. Drgacza jako odmowę kolaboracji na odcinku wywiadowczym... Całkowita odpowiedzialność za zerwanie dotychczasowego kontaktu wywiadowczego spada na stronę czeską”⁴⁵. Na przełomie lat 1937/38 czeski Sztab Generalny ponownie wyszedł z propozycją podjęcia współpracy wojskowych służb specjalnych. Można domniemywać, iż za tą ofertą stała chęć nawiązania poważnych rozmów politycznych. W tym duchu czescy *attachés* wojskowi w Moskwie (płk Dastich) oraz w Bukareszcie (ppłk Buda) przeprowadzili sondażowe rozmowy z przedstawicielami polskiego wywiadu w tych dwóch stolicach. W obydwu przypadkach polscy rezydenci wywiadu (ppłk T. Zakrzewski i mjr Maleciński) odnieśli się pozytywnie do zgłoszonych propozycji. Jednakże podobnie jak w 1936 r. szef Oddziału II płk T. Pełczyński rozkazał przerwaniu prowadzonych z Czechami pertraktacji. Dopiero w marcu 1939 r., gdy Niemcy przeprowadziły aneksję Czech i Moraw, wzrosło zainteresowanie Oddziału II sprawą czechosłowacką. W drugiej połowie marca 1939 r. przybył do Polski mjr Bartik, szef kontrwywiadu czeskiego Sztabu Generalnego, który właśnie został

44. L. Gondek, „Polski wywiad w III Rzeszy 1933-1939, Warszawa 1987, s. 211.

45. CA MSW, O. II Akta zasadnicze, sygn. 292/Z-1/30, k. 238-239.

ewakuowany do Anglii. Przedstawił szereg propozycji antyniemieckiej współpracy wywiadowczej. Bardzo szybko zmieniająca się sytuacja międzynarodowa spowodowała, iż nie udało się rozwinąć tej współpracy.



L. Gondek w monografii poświęconej polskiej działalności wywiadowczej w Niemczech wspomina o polsko-angielskiej współpracy na kierunku niemieckim, którą zapoczątkowano w 1939 r.⁴⁶ Po wizycie w Warszawie gen. Clayтона ppłk Shelley, radca ambasady angielskiej w Polsce, w rzeczywistości pracownik *Secret Intelligence Service*, wystąpił z inicjatywą współpracy zarówno w dziedzinie informacyjnej jak i radiowywiadowczej. Już na wiosnę 1939 r. w ośrodku radiowywiadowczym Oddziału II w lesie pyrskim doszło przy współudziale Francuzów do spotkania angielskich i polskich specjalistów. Natomiast w zakresie współpracy informacyjnej pokłosiem czerwcowej konferencji płk. Shelleya z szefem polskiego Oddziału II płk. Smoleńskim było ustalenie zasad wymiany materiałów wywiadowczych na temat Niemiec hitlerowskich. Według T. Szumowskiego, uczestnika wydarzeń, nie osiągnięto na tym polu większych sukcesów: „Informacje brytyjskie były nader skąpe i ogólnikowe, ogólnie biorąc o małej wartości”⁴⁷. Tymczasem kontakty polsko-angielskie dotyczące rozpracowania terenu Rosji sowieckiej były o wiele wcześniejsze i bardziej zaawansowane. Zresztą w tej dziedzinie polski wywiad był równoprawnym partnerem. Dowodem tego m.in. było zapytanie angielskiego wywiadu w sierpniu 1938 r. na temat możliwości zbliżenia niemiecko-sowieckiego⁴⁸. Jednakże geneza współpracy miała miejsce cztery lata wcześniej: 3.09.1934 r. odbyła się w Londynie (w Hotelu Grosvenor) ściśle zakonspirowana konferencja przedstawicieli

46. L. Gondek, „Polski wywiad...”, s. 208.

47. Sprawozdanie mjr.dypl. T. Szumowskiego, Szefa Samodzielnego Referatu Zachód Oddziału II za okres 19.03.-27.08.1939 (w): WIH MiD, sygn. I/3/94, s. 11.

48. CA MSW, O.II Samodzielnny Referat Rosja, sygn. 615/232, materiały nie uporządkowane.

Oddziału II Sztabu Generalnego WP (por. J. Niezbrzycki i Oscar Sander) oraz angielskiego *Secret Intelligence Service* (płk Mensiess – zastępca szefa *Secret Intelligence Service*, mjr Shaly – szef centrali Bliskiego Wschodu w Jerozolimie oraz mjr R.H. Plawden). Jej przedmiotem było udzielenie pomocy przez Anglików przy tworzeniu polskiej placówki wywiadowczej w Persji, skierowanej przeciwko Rosji sowieckiej⁴⁹. Działalność jej miała mieć charakter długofalowy, szczególnie w wypadku polsko-sowieckiego konfliktu zbrojnego. Pomoc angielska miała polegać na umożliwieniu łączności placówki z centralą, wymianie informacji wywiadowczych dotyczących Persji oraz ułatwieniu „zamaskowania” pracy kierownika tej placówki O. Sandera⁵⁰. W zamian por. Niezbrzycki obiecał szczegółowe studium informacji na temat polityki wewnętrznej i możliwości mobilizacyjnych przemysłu Rosji sowieckiej.

Po przeszło rocznej działalności placówki w Persji o kryptonimie „Radamenes” jej kierownik nie odniósł żadnych sukcesów, a stale napotykał trudności w swojej pracy wywiadowczej. Na odprawie w centrali w listopadzie 1935 r. O. Sander – kierownik placówki „Radamenes” – obarczył winą za dotychczasowe niepowodzenia angielski wywiad. Ten epizod polsko-angielskiej współpracy wywiadowczej stanowił znakomity przykład reakcji angielskiego *Secret Service* na próbę energicznej ekspansji obcego wywiadu na obszarze wpływów angielskich. Polskie sukcesy na polu wywiadu w okresie międzywojennym spowodowały, iż hegemoni w tej dziedzinie – Francja i Anglia – z pewnym niepokojem obserwowali kolejne próby ekspansji polskiego Oddziału II Sztabu Generalnego m.in. na terenie Dalekiego Wschodu. W 1925 r. polski Sztab Generalny wysłał do Japonii mjr. W. Jędrzejewicza w specjalnej misji wywiadowczej. Oficjalnie miał on objąć stanowisko *attaché* wojskowego w polskiej ambasadzie w Tokio, w rzeczywistości głównym jego celem miało być stworzenie siatki wywiadowczej na obszarze

49. Tamże, O.II Referat Wschód, sygn. 262/97, dokument nr 28.

50. Tamże.

51. Tamże, sygn.262/W-193. Instrukcja dla kierownika placówki wywiadowczej w Tokio z marca 1925 r.

wschodniej Syberii⁵¹. W tym celu planowano nawiązanie bliższej współpracy z japońskim wywiadem wojskowym. W ciągu kilku miesięcy przeprowadzono kilkanaście konferencji z kierownikami japońskiego wywiadu, których tematem było wypracowanie formuły współpracy wywiadowczej przeciwko Rosji sowieckiej. Okazało się, że Japończycy prowadzą dość zachowawczą i jednostronną pracę wywiadowczą na terenie sowieckim. Uzyskiwane informacje przeważnie pochodziły ze źródeł zewnętrznych: z ambasad wojskowych w Berlinie, Warszawie i państwach bałtyckich oraz misji wojskowej w Charbinie. Mjr W. Jędrzejewicz zaproponował skierowanie wspólnych sił początkowo do penetracji wywiadowczej wschodniej Syberii, a w przyszłości na zachód od Bajkału⁵².

Aby obraz międzynarodowej współpracy wywiadowczej, w której angażował się polski wywiad, był możliwie pełny, nie można pominąć faktu nawiązania współpracy z wywiadem duńskim. Rtm. Gilewicz, były kierownik placówki wywiadowczej „Bombaj” w Szczecinie, nawiązał osobisty kontakt z szefem wywiadu duńskiego, który niebawem przybył do Warszawy i zawarł z Oddziałem II umowę o współpracy obu wywiadów⁵³.

Andrzej MISIUK

52. Tamże, Referat W. Jędrzejewicza z 16.10.1925 r. pt. „Możliwości służby wywiadowczej na Syberii”.

53. Sprawozdanie mjr.dypl. T. Szumowskiego..., s. 6.

DOKUMENTY

Jan SZYMAŃSKI

WOJENNE LOSY INTELIGENCJI POLSKIEJ

„Macie się, panowie, uważać za aresztowanych. Będziecie przewiezieni do obozu, gdzie pouczą was o waszej sytuacji... Wszelkie pytania są zbędne! Odtransportowanie zacznie się natychmiast. Sądzę, że rektor zechce rozpocząć pochód”.

Te cyniczne i pogardliwe słowa wypowiedział do zebranych w sali 66 Collegium Novum szef Gestapo na Dystrykt Krakowski *Obersturmbannführer* Müller, kierujący *Sonderaktion Krakau*. 6 listopada 1939 r. o godz. 12.00 miał wygłosić odczyt dla grona profesorskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego pod znamionym tytułem „Stosunek Rzeszy Niemieckiej i narodowego socjalizmu do spraw nauki i uniwersytetów”. Odczytu nie było, ale stosunek hitleryzmu do kultury i nauki polskiej grono 183 najwybitniejszych przedstawicieli poznało dokładnie i okrutnie. Ich męczeńska droga wiodła przez więzienie krakowskie Montelupich, b. koszary 20. pp. na Łobzowie, więzienie we Wrocławiu, a potem niemieckie obozy zagłady w Sachsenhausen i Dachau.

Ziemie polskie, na skutek przegranej wojny we wrześniu 1939 r., znalazły się pod okupacją Trzeciej Rzeszy Niemieckiej i Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich.

Część, będąca we władaniu Niemiec, podzielona została tak, że jedną trzecią obszaru inkorporowano bezprawną decyzją Hitlera do Rzeszy niemieckiej, a na pozostałych dwóch trzecich powołano 26 października 1939 r. tzw. Generalne Gubernatorstwo dla Okupowanych Obszarów Polskich (od lipca 1940 r., nazywane skrótowo Generalne Gubernatorstwo – GG). Do Niemiec wcielone zostały: Pomorze, Poznańskie, część województwa łódzkiego z Łodzią, Górny Śląsk, Zagłębie Dąbrowskie, zachodnie powiaty województwa krakowskiego, północna część województwa warszawskiego (okręg ciechanowski), Suwalszczyzna, a także (już od 1.09.1939 r. na mocy ustawy Reichstagu) Wolne Miasto Gdańsk. Generalne Gubernatorstwo objęło ziemie Polski środkowej, dzieląc je na cztery dystrykty (okręgi administracyjne) z siedzibami gubernatorów w Krakowie, Warszawie, Radomiu i Lublinie. Twór ten został w sierpniu 1941 r. po rozpoczęciu przez Niemcy wojny z ZSSR powiększony o piąty dystrykt – Galicję, z siedzibą gubernatora we Lwowie.

Założenia (i ich realizacja) w zakresie niemieckiej polityki w okupowanej Polsce różniły się pod wieloma względami. Inne były na obszarach inkorporowanych do Rzeszy, inne na terenach Generalnego Gubernatorstwa. Wobec ziemi wcielonych bezwzględnie realizowano program polityki antypolskiej, w tym i polityki kulturalnej, bazujący na koncepcjach wypracowanych w Urzędzie do Spraw Polityki Rasowej NSDAP i w sekcji prawa narodowościowego Niemieckiej Akademii Prawa, według których „...problem polski i traktowanie ludności (...) polskiego terytorium państwowego jest problemem zarówno rasowo-politycznym, jak i narodowo-politycznym...”.

„Rasowo-polityczne” koncepcje stały się podstawą wytycznych dotyczących traktowania m.in. spraw kultury, a generalnie – całej niemieckiej polityki eksterminacyjnej. Zakładały całkowitą likwidację polskiego szkolnictwa przy jednoczesnym usunięciu inteligencji, tj. nauczycieli (włącznie z profesorami szkół wyższych), duchownych, lekarzy, dentystów, weterynarzy, oficerów, wyższych urzędników, słowem wszystkich osób mających wyższe lub średnie wykształcenie. Podkreślone zostało, iż dla „...prymitywnych polskich warstw

robotników rolnych”, których „należy utrzymać na możliwie najniższym poziomie kulturalnym”, można by uruchomić naukę języka niemieckiego, tj. dla dzieci do 10 roku życia. Polskie szkoły wyższe, uniwersytety, szkoły średnie i zawodowe „były zawsze ośrodkami wychowywania w duchu polskim i szowinistycznym i stąd też należy je stanowczo zamknąć...”. Tak więc na ziemiach wcielonych obowiązywał program pełnej natychmiastowej germanizacji.

W Generalnym Gubernatorstwie, mimo zdecydowanie ostrych dyrektyw samego Hitlera (z 17.10.1939 r.), w których stwierdzał m.in. „Zadaniem administracji nie jest uczyńnienie z Polski wzorowej prowincji, ani też wzorowego państwa, opartego na niemieckim porządku, ani też gospodarcze i finansowe uzdrowienie kraju. Należy zapobiec temu, aby inteligencja polska stała się warstwą kierowniczą. W kraju powinna pozostać niska stopa życiowa; stamtąd chcemy czerpać siłę roboczą (...). Przeprowadzenie tego oznacza twardą walkę narodowościową, która nie pozwala na jakiegokolwiek krępowanie się ustawami (...). Generalny Gubernator powinien dać narodowi polskiemu tylko nieznaczne możliwości życia i utrzymać podstawę dla bezpieczeństwa wojskowego...” – sytuacja przedstawiała się odmiennie. W myśl założeń przyjętych przez NSDAP i oceny *Riechsführera* SS Hienricha Himmlera likwidacja polskośći nastąpić miała w ciągu najdalej 10 lat. Zakładano przy tym ograniczenie wpływów inteligencji polskiej, aby uniemożliwić spełnianie przez nią roli kierowniczej wobec społeczeństwa, a następnie jej likwidację.

Unicestwienie fizyczne elity umysłowej, aresztowanie i wywożenie do obozów koncentracyjnych – to metody zniszczenia kultury polskiej w ogóle i wprowadzenie na jej miejsce kultury niemieckiej, hitlerowskiej.

Zaznaczyć tu należy, iż w ramach wypracowywania przez doktrynę do 1939 r. ogólnego programu polityki antypolskiej w samych Niemczech – wobec środowisk kultury polskiej na Śląsku, Ziemi Lubuskiej, Warmii i Mazurach oraz w Westfalii – sprawdzona została ona w całej swej bezwzględności.

W ramach walki z rasowo obcą kulturą masowo usuwane były polskie nazwy miejscowości, likwidowane polskie szkoły,

a w oparciu o liczne akty normatywne, m.in. o ochronie granic Rzeszy i o środkach odwetowych, likwidowane polskie instytucje kulturalne i i gospodarcze oraz polski stan posiadania. Tylko w trakcie obowiązywania deklaracji o niestosowaniu przemocy w 1934 r. na Śląsku Opolskim w miesiącu kwietniu 1935 r. aż 605 polskich miejscowości otrzymało nazwy niemieckie, a na mocy rozporządzenia nadprezydenta prowincji z 12.02.1936 r. wszystkim pozostałym miejscowościom – w powiecie toszecko-gliwickim – o nazwach polskich zmieniono nazwy na niemieckie (a na marginesie – to ciekawe, które to nazwy są obecnie przywracane na Śląsku Opolskim – te polskie sprzed 1935 r. czy też te niemieckie).

6 września 1939 r. do Krakowa około godziny 6.00 rano wkroczyły pierwsze oddziały niemieckie z korpusów 8. i 17. gen. piech. Ernsta Buscha i gen. piech. Wernera Kienitza, wchodzących w skład 14. armii gen. płk. Wilhelma Lista.

Za czołówką Wehrmachtu wkroczył Sztab I. Grupy Operacyjnej Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa (*I Einsatzgruppe Sipo und SD*) wraz z dowódcą *SS-Brigadeführerem* Bruno Streckenbachem, której celem było tzw. „polityczne opanowanie terenu...”. Bezpośrednio po zajęciu miasta nastąpiły pierwsze akty terroru; zastrzelono 11 osób (głównie spośród ludności żydowskiej), zatrzymano w gmachu Rady Miejskiej jako zakładników 25 przedstawicieli władz municypalnych i świata nauki, mających być gwarantami bezpiecznego przemarszu wojsk niemieckich.

Dwa dni później władza, na już zajętych ziemiach polskich, powierzona została naczelnemu dowódcy Wehrmachtu na wschodzie, gen. Gerdowi von Rundstedt, z tytułem „gubernatora wojskowego” oraz przydzielono mu odrębny sztab administracji cywilnej z dr. Hansem Frankiem jako „naczelnym szefem administracji”. Równocześnie zaś dowódca I. Grupy Operacyjnej Sipo i SD gen. B. Streckenbach zarządził oznakowanie żydowskich przedsiębiorstw, sklepów i restauracji gwiazdą Dawida, a dowódca 14 armii gen. płk List złożył wieniec na sarkofagu marszałka Józefa Piłsudskiego w kaplicy Srebrnych dzwonów Katedry na Wawelu.

Tegoż samego dnia w sali posiedzeń Uniwersytetu Ja-

giellońskiego odbyła się narada dyrektorów i nauczycieli szkół krakowskich, na której powołano do życia Tymczasową Komisję Szkolną z rektorem Tadeuszem Lehrem-Spławińskim na czele. Zadaniem jej było uruchomienie szkolnictwa w mieście.

Mimo pozornego spokoju Kraków żył w napięciu. Każdego dnia odbywały się egzekucje, np. 12 września w odwecie za rzekome ostrzelanie posterunków wojskowych i policyjnych na terenie więzienia Św. Michała rozstrzelano 32 osoby, w tym 25 pochodzenia żydowskiego. Dodatkowo celem zwiększenia bezpieczeństwa Niemców przybył do miasta 2. Oddział Operacyjny (2 *Einsatzkomando*), wchodzący w skład I. Grupy Operacyjnej Sipo i SD. Dowodził nim *SS-Sturmbannführer* dr Bruno Müller (były szef Gestapo w Wilhelmshaven), ustanawiając Komendę Gestapo na późniejszy Dystrykt Krakowski).

Dyslokowanie w Krakowie tak znacznych sił wojskowych, a zwłaszcza policji specjalnej spacyfikowało nastroje mieszkańców, pozwoliło na rozpoczęcie urzędowania – pod nadzorem niemieckim – administracji miasta, wznowienie działalności przez przedsiębiorstwa handlowe, przemysłowe i rękodzielnicze. Również senat Uniwersytetu Jagiellońskiego, nieświadom dyrektyw Hitlera (z 17.10.1939 r.) w sprawie realizacji polityki w stosunku do kultury i nauki, w dniu 19 października powziął decyzję rozpoczęcia roku akademickiego 1939/1940. Termin wpisów ustalono na okres od 23 października do 4 listopada, inaugurację nowego roku na 4 listopada, zaś rozpoczęcie wykładów na 6 listopada 1939 r.

Wyznaczona data okazała się tragiczna dla wielu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczej, bowiem senat uczelni nie cofnął swoich decyzji, mimo iż 31 października generalny gubernator Hans Frank wydał rozporządzenie pozwalające podjąć naukę tylko w szkołach powszechnych i zawodowych. A było ono praktyczną realizacją dyrektywy w odniesieniu do problematyki nauki i oświaty, a szerzej traktując kultury w okupowanej Polsce, sformułowanej na konferencji w Łodzi w obecności ministrów Rzeszy: Goebelsa i Seys-Inquarta, gdzie stwierdzono „Polakom należy pozostawić tylko takie możliwości

kształcenia, które okażą im beznadziejność ich położenia narodowego”.

W Collegium Novum w sali nr 66 zebrali się profesoria Uniwersytetu Jagiellońskiego, aby wysłuchać zapowiedzianego na ten dzień wykładu *SS-Obersturmbannführera* Bruno Müllera o stosunku Niemiec do kultury. Na zebranie przybyli niemal wszyscy profesorowie, aby nie narazić na przykrości ówczesnego rektora Uniwersytetu, odpowiedzialnego za jego organizację oraz aby nie utrudniać dalszej pracy uczelni. Przybyli, znając postanowienia międzynarodowej konwencji haskiej, podpisanej również przez Niemcy, sądzili, że praca ta będzie kontynuowana. Gdy sala 66 zapełniła się uczonymi, gmach został otoczony kordonem SS, Gestapo i policji, a zapowiadany wykładowca, po wejściu w otoczeniu swoich oficerów – nie zdejmując z głowy hełmu – oznajmił, że wszystkich obecnych uważa za aresztowanych. Aresztowanych zostało 183 profesorów, docentów i asystentów Uniwersytetu Jagiellońskiego, a także drugiej wyższej uczelni krakowskiej, Akademii Górniczej, którzy w tym dniu, w jednej z sal budynku, odbywali zebranie, ponieważ ich macierzysta uczelnia została zaraz po wkroczeniu Niemców do miasta zajęta przez okupanta.

Tak zaczął się pierwszy akt największego w historii nauki całego świata zbiorowego bezprawia. Uczni zostali zapędzeni do policyjnych samochodów i przewiezieni do więzienia. Ich droga wiodła przez b. koszary 20 pp. na Łobzowie, więzienie we Wrocławiu do obozów zagłady w Sachsenhausen i Dachau. Uwięzieni uczeni cierpieli głód, znęcanie się SS-manów, przeraźliwe zimno. Zachowywali się jednak godnie, z honorem znosili te nieludzkie upokorzenia. Jak podają współwięźniowie, w grudniu 1939 r., na krótko przed swoją śmiercią, prof. Stanisław Estreicher – były rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, współautor „Bibliografii Polskiej” – oświadczył kilku najbliższym kolegom: „Krakowska Alma Mater zapisuje chlubną kartę swych dziejów; od was wszystkich tu uwięzionych zależy, jak się ten okres zakończy. Cały świat cywilizowany patrzy na was. Wam ugiąć się nie wolno pod żadnym pozorem”. Równie wspaniałą, godną najwyższej czci postawę reprezentowali inni uwięzieni profesorowie,

m.in. dr Kazimierz Stołyhwa – znakomity antropolog. „Na drugi dzień po umieszczeniu nas w koszarach na Łobzowie zjawił się dr Arlt (niemiecki antropolog, wysoki urzędnik władz okupacyjnych – przyp. aut.) (...) w asyście jakiegoś oficera Gestapo. Wyraził mi ubolewanie z powodu niemiłej przygody jaka mnie spotkała (...). Dr Arlt oświadczył, że jestem wolny i mogę niezwłocznie opuścić więzienie. Zapytałem: – Czy koledzy moi są również wolni? Otrzymałem odpowiedź, że nie. Podziękowałem (...) i oświadczyłem, że nie mogę przyjąć zwolnienia mnie z więzienia, gdyż moim obowiązkiem jest pozostać wraz z kolegami (...). Dr Arlt zaczerwienił się wówczas bardzo (...). Przyznać muszę, że było mi bardzo ciężko powziąć decyzję pozostania dobrowolnego w więzieniu. Przeważała jednak na szczęście myśl, że w tak ciężkiej chwili dziejowej powinienem spełnić przede wszystkim swój obowiązek w stosunku do Uniwersytetu Jagiellońskiego i kolegów, bez względu na konsekwencje (...)”.

Wspaniały hart ducha nie był jednakże w stanie zapobiec fizycznym słabościom wycieńczonych organizmów. Wśród uwiezionych byli ludzie starzy, którzy dawno przekroczyli siedemdziesiątkę, niekiedy schorowani. I wystarczyło parę tygodni, by śmierć zaczęła zbierać żniwo. Jako jeden z pierwszych zmarł dnia 28 grudnia 1939 r. 70-letni profesor historii prawa, wybitny znawca historii prawa zachodnioeuropejskiego – Stanisław Estreicher. Z upływem tygodni śmierć wrywała z grupy coraz to nowe ofiary.

W Sachsenhausen ponieśli śmierć m.in. profesorowie:

– Antoni Meyer – dr praw, inż. górn., profesor Akademii Górniczej. Umarł 24.12.1939 r.

– Stefan Bednarski – lat 71, lektor języka rosyjskiego na UJ. Umarł 1.01.1940 r.

– Jerzy Smoleński – lat 61, profesor geografii na UJ. Umarł 5.01.1940 r.

– Tadeusz Grabowski – lat 70 przyrodnik i filozof, profesor UJ. Umarł 8.01.1940 r.

– Michał Siedlecki – lat 66, zoolog, słynny badacz mórz, profesor UJ, były rektor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Umarł 11.01.1940 r.

– Kazimierz Kostanecki – lat 76, były rektor Uniwersyte-

tu Jagiellońskiego, były prezes Polskiej Akademii Umiejętności, profesor honorowy anatomii na UJ. Umarł 11.01.1940 r.

– Feliks Rogoziński – lat 60, profesor fizjologii UJ, członek Polskiej Akademii Umiejętności. Umarł 11.01.1940 r.

– Adam Różański – lat 60, profesor inżynierii rolniczej na UJ. Umarł 11.01.1940 r.

– Ignacy Chrzanowski – lat 75, historyk literatury, profesor honorowy UJ. Umarł 11.01.1940 r.

– Władysław Takliński – były rektor Akademii Górniczej, profesor mechaniki teoretycznej.

– Antonii Hoborowski – były rektor Akademii Górniczej, profesor matematyki. Umarł 9.02.1940 r.

W następnych dniach i tygodniach zmarli: prof. Leon Sternbach – znakomity filolog klasyczny, doc. Wiktor Ormicki – geograf, doc. Jochim Metallman, a wkrótce po zwolnieniu z obozu, z nabytych tam chorób: Antonii Wilk – astronom, Stefan Kołaczkowski – historyk literatury, Jan Nowak – geolog, Jan Włodek – profesor uprawy roli, Franciszek Bossowski – prawnik.

Ten bezprzykładny akt terroru wobec grona profesorskiego jednego z najstarszych uniwersytetów europejskich poruszył i wzburzył opinię publiczną nie tylko w okupowanej Polsce, lecz także w wielu krajach zachodnioeuropejskich. Jak dziś wiadomo, pod naciskiem opinii cywilizowanego świata, Niemcy – usiłujący zachować jeszcze pewne pozory – zwolnili w lutym 1940 r. profesorów mających powyżej 40 lat, pozostałych zaś kilkudziesięciu młodych więźniów wywieźli do Dachau, skąd ci, którzy przeżyli, wrócili do Krakowa w 1941 roku. Pamiętać tu bowiem należy, iż przełom lat 1939/40 to był dopiero początek wojny i w Berlinie wcale nie miano tak całkowitej pewności, jak potoczy się jej dalszy przebieg. Wtedy jeszcze liczone się, choć w niewielkim stopniu, z opinią krajów neutralnych i nie chciano jej za bardzo nastawiać przeciw Niemcom. A przecież faktu niespotykanego w dziejach gwałtu, zadanego jednej z najstarszych uczelni europejskich, nie można było ukryć. Jednak 15 luminarzy nauki polskiej z Krakowa straciło życie w obozach na skutek nieludzkich warunków bytowania lub też zostało tam zamordowanych, a 16 innych zmarło niebawem po zwolnie-

niu z obozu. Nie mogło być inaczej, bo jak podaje w swej relacji wspomniany wcześniej prof. dr Kazimierz Stołyhwa „...Baraki były drewniane, kryte dachem bez sufitów, a więc uległy one łatwo wyziębieniu. Zresztą opalana była cokolwiek przez piec żelazny tylko świetlica, w której spożywalimy posiłki (...). Pozostałe lokale baraku tj. sypialnia, łazienka i wychodek były zupełnie nieopalone. Zimno więc dawało się nam dotkliwie we znaki, tym bardziej że do sypialni – wg regulaminu – można było iść tylko w koszuli i w kalesonach (...). W dnie mroźne koce sztywniały i pokrywały się szronem (...). Pamiętam noc, podczas której umierał śp. prof. Rogoziński (...). Nie mogłem zasnąć wówczas z powodu jego jęków i czkawki podczas agonii. Pomimo tak ciężkiego stanu musiał śp. prof. Rogoziński pójść, podczas swojej agonii, razem z nami na apel poranny, a następnie odprowadzony został do szpitala, gdzie zmarł tegoż dnia przed południem (...). A w samym szpitalu nie było lepiej (...). Aby dostać się do ambulatorium, trzeba było stać w ogonku około dwóch godzin, by wejść do korytarza (...). Czasami SS-mani znęcali się nad szeregami więźniów (...), każąc im np. rolować po śniegu lub błocie (...). Podczas mojej choroby na tyfus brzuszny (...) otrzymałem porcję jakiegoś białego kłajstru i pół szklanki odwaru kory dębowej (...). Po powrocie do Krakowa przekonałem się, że straciłem 30 kilogramów w stosunku do mej wagi przedwojennej, wynoszącej 83 kg...”

Słowa tej relacji nie wymagają dodatkowych komentarzy. Dodać tylko należy, iż okrutny reżim obozowy, zimno, głód, zniewagi, bicie nie złamały więźniów-profesorów. Profesor Gwiazdomorski napisał w swych wspomnieniach, że „nikt nie powinien czuć się z powodu tego bicia dotknięty w swej godności osobistej, tak jak nie jest dla człowieka upokorzeniem kopnięcie przez osła lub konia”. W istocie *Sonderaktion Krakau* była manifestacją hitlerowskiego zezwierzęcenia, wyzwaniem rzuconym demonstracyjnie wartościom uznawanym powszechnie przez ludzi. Była także złowieszczą zapowiedzią.

Aresztowanie i uwięzienie profesorów krakowskich nie było aktem jednostkowym, mającym zastraszyć świat kultury i spowodować ustanie działalności twórczej i odtwórczej

wyższych uczelni i całego grona naukowców i i nauczycieli. Takich bezprzykładnych aktów gwałtu i przemocy doświadczyły i inne polskie ośrodki akademickie, jak Poznań, Lublin i Lwów, a także czeska Praga. Było to w ramach tzw. *Ausserordentliche Befriedungsaktion* (nazwanej też nadzwyczajną akcją pacyfikacyjną, akcją A-B), realizowaną wiosną 1940 r., a stanowiącą fragment planu zniszczenia inteligencji polskiej. Konfrontując czas, w jakim została przeprowadzona przez hitlerowców Akcja A-B z terrorystyczną akcją NKWD przeprowadzoną w tym samym czasie wobec polskiej inteligencji – na jeńcach Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska – rodzi się myśl, czy akcje te nie były zsynchronizowane, na co wskazują odbyte w końcu 1939 r. i na początku 1940 r. trzy kolejne spotkania (2 w Krakowie i 1 w Zakopenem) wysokich urzędników Gestapo i NKWD, które poświęcone były polityce eksterminacyjnej wobec narodu polskiego.

Poznań doświadczył jej okrucieństw już w połowie września 1939 r. Po wycofaniu się wojsk polskich oddziały armii niemieckiej zajęły miasto w dniu 10 września 1939 r. Już od następnego dnia rozpoczęły się aresztowania wykładowców Uniwersytetu Poznańskiego. Większość z nich straciła życie. I tak zmordowani wtedy zostali m.in. wybitny fizyk prof. Stanisław Kalandyk, dziekan Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego, znany w całej Europie geograf, prof. Stanisław Pawłowski, prof. Edward Klich z Wydziału Humanistycznego, prof. Romuald Paczkowski z Wydziału Prawno-Ekonomicznego, dr Ludwik Posadzy – znawca zagadnień wychowania przedszkolnego, dr Tadeusz Kuczma – st. asystent Seminarium Prawa Karnego. Po nim poszły dalsze ofiary tak, że ogólna liczba profesorów i docentów Uniwersytetu Poznańskiego – zamordowanych, poległych, zmarłych w obozach i więzieniach oraz w wyniku przeżyć wojennych – osiągnęła 39 osób, a innych pracowników dydaktycznych – 26 osób (bez wliczenia pracowników administracyjnych). Dopełnieniem tragedii było przesiedlenia zimą 1939/40 r. pozostałych uczonych z Poznania na teren Polski centralnej. W czasie okrutnych warunków podróży (nieogrzewane wagony towarowe) zmarło jeszcze wielu innych, m.in. prof. Michał Sobeski – wybitny

filozof, jeden z założycieli Uniwersytetu Poznańskiego. Równocześnie okupanci przystąpili do dewastacji gmachu Uniwersytetu. Biblioteka uczelni została zamknięta i opieczętowana przez Gestapo, Collegium Medicum zajęła policja niemiecka. Ci nowi użytkownicy palili książkami w piecach, niszczyli aparaturę i zbiory. 20 kwietnia 1941 r. – w dniu urodzin Hitlera – ogłoszony został akt fundacji *Reischuniversität Posen*. Rektorem jego został dr Peter Johannes Carsten, *Sturmbannführer SS*, zasłużony w akcji przymusowego wysiedlenia Polaków i Żydów, pracownik Sztabu Osiedleńczego, podległego Głównemu Urzędowi Rasy i Osadnictwa z Berlina. Kadre tej przepoczwarzonej uczelni stanowili nowo mianowani profesorowie, w większości gestapcowy i SS-mani.

Podobną, choć na mniejszą skalę zakrojoną, akcję eksterminacyjną przeprowadzili Niemcy w Lublinie wobec profesorów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Uniwersytet ten, na mocy uchwały Senatu, rozpoczął normalne zajęcia już 6 października 1939 r. Przez pierwsze dni po zajęciu miasta niemieckie władze okupacyjne nie przeszkadzały w ich prowadzeniu. Jednak 9 listopada 1939 r., a więc po wykrystalizowaniu się hitlerowskich założeń wobec kultury polskiej, aresztowano rektora tej uczelni ks. Antoniego Szymańskiego oraz 14 profesorów i wykładowców. Wszyscy oni zostali osadzeni w więzieniu na Zamku. Po kilku miesiącach zwolniono 10 spośród nich. Jednak część z nich została zamordowana. W dniu 23 grudnia 1939 r. wraz z grupą inteligencji lubelskiej zamordowani zostali profesorowie: filozof prawa Czesław Martyniak i teolog ks. Michał Niechaj, a prof. Władysław Kuraskiewicz – wybitny językoznawca – przebywał aż do 1945 r. w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Budynek uniwersytetu zostały zabrane przez Niemców na koszary wojskowe, później zaś na szpital wojskowy, biblioteka uczelniana uległa w znacznej mierze zniszczeniu.

Aresztowanych Profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki Lwowskiej i Akademii Weterynaryjnej, zaraz po wkroczeniu wojsk hitlerowskich po prostu rozstrzelano. Z trzeciego na czwarte go lipca 1941 r., nad ranem na Wzgó-

rzach Wuleckich we Lwowie, hitlerowcy zamordowali 42 osoby: 22 profesorów wyższych uczelni wraz z członkami rodzin i współlokatorami oraz jednego asystenta i jednego studenta.

Zginęli wtedy: profesorowie medycyny:

– Antoni Cieszyński – kierownik Kliniki Stomatologicznej Uniwersytetu;

– Władysław Dobrzaniecki – ordynator Oddziału Chirurgicznego Szpitala Powszechnego;

– Tadeusz Tapkowski – doktor praw;

– Jan Grek – profesor w Klinice Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu, jego żona Maria Grekowa;

– Tadeusz Żeleński-Boy – lekarz, pisarz, tłumacz i profesor literatury francuskiej na Uniwersytecie;

– Jerzy Grzędzielski – docent w Klinice Okulistycznej Uniwersytetu;

– Henryk Hilarowicz – profesor w Klinice Chirurgicznej Uniwersytetu;

– Edward Hamerski – profesor Akademii Medycyny Weterynarii;

– Stanisław Dobrowolski – student piątego roku weterynarii;

– Standiczenko – asystent z Akademii Medycyny Weterynarii;

– Stanisław Mączewski – ordynator Oddziału Ginekologiczno-Położniczego Szpitala Powszechnego;

– Witold Nowicki – kierownik Katedry Anatomii Patologicznej Uniwersytetu oraz jego syn Jerzy;

– Tadeusz Ostrowski – kierownik Kliniki Chirurgicznej Uniwersytetu oraz jego żona i mieszkający z nimi: chirurg Stanisław Ruff z żoną Anną i synem Adamem, ksiądz Stanisław Homornicki, pielęgniarka Maria Reymanowa i Katarzyna Demko – nauczycielka angielskiego;

– Stanisław Progulski – docent w Klinice Pediatrycznej Uniwersytetu oraz jego syn Andrzej;

– Roman Rencki – kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu;

– Adam Sołowij – emerytowany ordynator Oddziału Ginekologiczno-Położniczego Szpitala Powszechnego oraz jego wnuk Adam Mięśowicz;

- Włodzimierz Sieradzki – kierownik Katedry Medycyny Sądowej Uniwersytetu i jego sublokator o nazwisku Walisch. Profesorowie Politechniki i Uniwersytetu;
- Włodzimierz Kurkowski – kierownik Katedry Pomiarów Elektrycznych Politechniki i zarazem jej rektor;
- Antoni Łomnicki – kierownik Katedry Matematyki Politechniki;
- Roman Longchamps de Bérier – kierownik Katedry Prawa Cywilnego Uniwersytetu i zarazem jego rektor oraz trzech jego synów: Bronisław, Zygmunt i Kazimierz;
- Stanisław Piłat – kierownik Katedry Technologii Nafty i Gazów Ziemnych Politechniki;
- Włodzimierz Stożek – kierownik Katedry Matematyki Politechniki oraz jego dwaj synowie: Emanuel i Eustachy;
- Kasper Weigel – kierownik Katedry Miernictwa Politechniki oraz jego syn Józef;
- Kazimierz Vetulani – kierownik Katedry Mechaniki Politechniki;
- Roman Witkiewicz – kierownik Katedry Pomiarów Maszyn Politechniki.

Aresztowany był również Franciszek Groër, który ocalał, a życie zawdzięczał swemu niemieckiemu pochodzeniu. Jego to właśnie relacji zawdzięczamy ostatnie godziny aresztowanych profesorów. Oto fragment relacji prof. Franciszka Groëra, zamieszczony w artykule Andrzeja Gassa pt. „Walter Kutschmann – akt oskarżenia”, *Morze i Ziemia* 1-7.01 1986 r., Szczecin: „Samochód wjechał na podwórze (do tzw. Bursy Abramowiczów – przyp. aut.), brutalnie popychając wtłoczono nas do budynku i ustawiono w korytarzu twarzą do ściany (...). Głowy kazali nam opuścić w dół. Jeżeli ktoś się poruszył, uderzali go kolbą, albo pięścią w głowę. Była może 12.30 w nocy, a stałem tak nieruchomo mniej więcej do godziny drugiej (...). Co kilka minut wywoływano nazwisko któregoś z profesorów i wzywano pojedynczo do pokoju na lewo. Pamiętam dobrze, że wywołano profesora Ostrowskiego, a po nim wezwano mnie (...). Znalazłem się w pokoju, gdzie było dwóch oficerów: jeden młodszy i drugi – wyższy stopniem, olbrzymiego wzrostu i postawy. Ten drugi od razu wrzasnął na mnie: „Ty psie, jesteś Niemcem, a zdradziłeś ojczyznę!”...

Po długich wyjaśnieniach profesor Groër został wyrzucony za drzwi. A w dalszym ciągu relacji: „...Była może czwarta rano, kiedy z budynku wyprowadzono grupę piętnastu-dwudziestu profesorów. Na czele pochodu czterech niosło krwawiącego trupa młodego Ruffa. Nieśli go profesorowie: Nowicki, Pilat, Ostrowski i zdaje się, Stożek (...). Gdy ten pochód wyszedł przez bramę na ulicę (...), gestapowcy zmusili panią Ostrowską, a może Grekową i Ruffową, by myły krew ze schodów. Minęło może około dwadzieścia minut, kiedy usłyszałem strzały dochodzące gdzieś od Wzgórz Wuleckich...”.

Tego bestialskiego mordu dokonali, podobnie jak we wcześniej omawianych przypadkach, członkowie *Einsatzgruppen* – grup operacyjnych Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa. W czasie działań wojennych za armiami Wehrmachtu posuwały się właśnie te grupy specjalne.

W toku procesu hitlerowskich zbrodniarzy przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości w Norymberdze ustalone zostało, że *Einsatzgruppen* wymordowały około dwóch milionów mężczyzn, kobiet i dzieci.

To brutalne i bestialskie postępowanie wobec profesorów i wykładowców w najważniejszych miastach uniwersyteckich było częścią składową planu zniszczenia inteligencji polskiej, a szerzej biorąc, całej polskiej kultury. W istocie, w niemieckich planach zawojowania Polski i Polaków szeroko rozumiana kultura zajmowała ważne miejsce i dlatego do jej zniszczenia przystąpiono tak szybko i bezwzględnie.

Żadne jednak akty przemocy i bezprawia nie były w stanie zastraszyć grona ocalałych profesorów polskich uczelni. Pozbawieni środków do życia i warsztatów pracy, zagrożeni fizycznym unicestwieniem, uważając jednak za swój obowiązek – wobec nauki polskiej i europejskiej i wobec własnego społeczeństwa – pracę z młodzieżą akademicką, zdecydowali się kontynuować konspiracyjnie pracę naukowo-wychowawczą.

Przypomnieć tu się godzi, iż w chwili wybuchu wojny istniało w Polsce 28 wyższych uczelni, w których studiowało około 50 tysięcy studentów, wykładało zaś 824 profesorów i docentów oraz 1836 asystentów, lektorów i innych pracowników nauki. Rokrocznie wydawanych było prawie 6.200

dyplomów ukończenia studiów akademickich. W 850 szkołach średnich i zakładach kształcenia nauczycieli uczyło się ponad 200 tysięcy uczniów i uczennic. Wszystkie te uczelnie i szkoły zostały przez Niemców zamknięte, a prywatne nauczanie zakazane. W szkołach podstawowych, przeznaczonych dla dzieci do lat 14 zabroniono nauki literatury, historii i geografii Polski jako „ważnych z narodowego punktu widzenia przedmiotów”, a uczono tylko „prostego liczenia najwyżej do 500, napisania własnego nazwiska, wiedzy, iż boskim przykazaniem jest być posłusznym Niemcom, być uczciwym, pracowitym i rzetelnym”. W tej sytuacji nakazem chwili było rozpoczęcie nauki z młodzieżą. Mimo tak terrorystycznego i represyjnego działania władz hitlerowskich wobec nauki polskiej i jej ludzi naukowcy polscy nie pozostali bezczynni, z narażeniem się na utratę życia organizowali i prowadzili na wszystkich szczeblach tajne nauczanie przez całą okupację.

Niektórzy profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego podjęli już w listopadzie 1939 r. w swych prywatnych mieszkaniach zajęcia z przedwojennymi słuchaczami kończącymi studia. Na początku 1940 r. uczyło się konspiracyjnie kilkudziesięciu studentów z różnych wydziałów.

Niemal równolegle z rozwojem działalności tajnego Uniwersytetu Warszawskiego tworzyły się na terenie okupowanej Warszawy niektóre wydziały Uniwersytetu Poznańskiego. Tajny komitet organizacyjny tej uczelni, składający się z ks. Maksymiliana Radego (ówczesny kierownik Biura Oświatowo-Szkolnego Delegatury Rządu Polskiego dla Ziem Zachodnich), prof. Romana Pollaka, prof. Ludwika Jaxa-Bykowskiego, doc. Władysława Kowalenki i doc. Witolda Sawickiego podjął decyzję w jesieni 1940 r. o jak najszybszym rozpoczęciu nauki. Przyjął także nazwę dla tej konspiracyjnej uczelni, tj. Uniwersytet Ziem Zachodnich. Rektorem był najpierw prof. Ludwik Jaxa-Bykowski, a następnie prof. Roman Pollak. Uczelnia skupiała profesorów i pracowników naukowych, wysiedlonych z Wielkopolski oraz młodzież z Pomorza, Wielkopolski, i Śląska. Ogółem pod koniec okupacji około 200 słuchaczy studiowało filologię polską, romańską, historię, filozofię, psychologię, pedagogikę i socjologię.

Na tajnych studiach lekarskich skupionych, było pod kierunkiem prof. Adama Wrzaska ponad 600 słuchaczy.

W 1942 r. powołany został Instytut Morski, który na specjalnych trzyletnich studiach ekonomiczno-morskich miał przygotować młodzież do powojennej pracy administracyjnej na wybrzeżu Bałtyku.

Konspiracyjny Uniwersytet Warszawski, na jednym tylko Wydziale Prawa, skupiał blisko 600 słuchaczy. Pod koniec okupacji zmuszoną i tajną pracą uwieńczyły 54 konspiracyjne egzaminy magisterskie i jedna promocja doktorska.

Wydział Lekarski uniwersytetu, dzięki umiejętności doc. Jana Zaorskiego, działał prawie legalnie. Wiosną 1941 r. działając w porozumieniu z konspiracyjną Radą Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, uzyskał zezwolenie administracji niemieckiej na otwarcie dwuletniej Prywatnej Szkoły Zawodowej dla Pomocniczego personelu Sanitarnego. Pod kierownictwem naukowym prof. Franciszka Czubałskiego, wielokrotnego dziekana Wydziału Lekarskiego i byłego prorektora Uniwersytetu Warszawskiego, około 2 tysięcy młodzieży, pod przykrywką szkolenia felczerów i laborantów, studiowało w latach 1941-1944 r. medycynę. Znaczna jej część ukończyła te studia po wojnie.

Na podobnych zasadach zorganizowanych zostało kilka innych szkół zawodowych (technicznych, handlowych, ogrodniczych), w których prowadzone były faktycznie wykłady akademickie, według normalnych programów uczelni. I tak dyplom ukończenia Politechniki Warszawskiej uzyskało 186 osób, tytuły doktorskie obroniło 18 osób, a 14 osób przeprowadziło przewody habilitacyjne. W Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego zostało wydanych 27 dyplomów inżynierskich.

W Krakowie akcja tajnego nauczania została podjęta z opóźnieniem. Wprawdzie starano się dotrzymać kroku Warszawie i już w drugiej połowie grudnia 1939 r. rozpoczęło pracę tajne seminarium nauk pomocniczych historii pod kierownictwem doc. dr Zofii Kozłowskiej-Budkowej, w jej mieszkaniu przy ulicy Bandurskiego oraz w innych prywatnych mieszkaniach. Jednak z powodu szykan wobec profesora Władysława Semkowicza, który po powrocie z obozu

18.11.1940 r. objął kierownictwo tego seminarium, w grudniu tegoż roku zostało ono przerwane. Dodatkowo szczupłość kadr naukowców, spowodowana aresztowaniem i wywiezieniem do obozu znacznej części profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczej spowodowała, że dopiero na wiosnę 1942 r. (w maju) prof. Mieczysław Małecki podjął próbę zorganizowania tajnego nauczania. Do końca okupacji to konspiracyjne kształcenie objęło 130 wykładowców i przeszło 800 studentów na wydziałach prawa, teologii, lekarskim, rolniczym i filozoficznym.

Inne miasta akademickie położone w przedwojennych granicach państwa polskiego – Lwów i Wilno – okupowane zostały przez Niemców w lecie 1941 r. Tajne nauczanie na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie i na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie organizowały od 1942 r. grupy pozostających tam jeszcze polskich uczonych. Mimo znacznego ubytku inteligencji polskiej w tych ośrodkach, spowodowanego tak przez Niemców (głównie we Lwowie), jak również przez Rosjan (we Lwowie, a przede wszystkim w Wilnie), wiosną 1944 r. studiowało już konspiracyjnie we Lwowie około 150 osób, a w Wilnie około 260 osób.

Liczbę ogółu studiujących przez czas dłuższy lub okresowo na polskich tajnych wyższych uczelniach pod okupacją niemiecką ocenia się na około 7-9 tysięcy osób. Ta wielostronna akcja początkowo prowadzona była samorzutnie przez grona profesorów i wykładowców w poszczególnych ośrodkach akademickich. W 1942 r. w konspiracyjnym Departamencie Nauki Szkolnictwa Wyższego Delegatury Rządu Polskiego na Kraj utworzony został Wydział Nauki i on rozpoczął kierowanie i koordynowanie tajnym akademickim nauczaniem. Wydziałem kierował wybitny uczony, fizyk – prof. Stefan Pieńkowski, były rektor Uniwersytetu Warszawskiego. Pod jego przewodnictwem Wydział nie tylko na bieżąco kierował procesem tajnego nauczania, ale uznając, iż stan wojny i okupacji jest przejściowy, planował i uzgadniał z uczonymi przygotowanie podręczników dla szkół na okres powojenny. Uczeń ci – ze wszystkich polskich ośrodków uniwersyteckich – zdołali opracować w tym trudnym okresie około 470 podręczników i dzieł monograficznych z różnych

dziedzin wiedzy. I tak na przykład prof. Józef Kostrzewski opracował swoje najważniejsze dzieło „Kultura prapolska”, prof. Zygmunt Wojciechowski, oprócz przygotowania programu powojennych badań historycznych, napisał (i zostało to wydane w podziemiu) książkę „Polska – Niemcy”, prof. Stanisław Kasznica – nowy podręcznik polskiego prawa administracyjnego, prof. Julian Krzyżanowski – dalsze części „Historii literatury polskiej” i „Słownik literacki”, prof. Władysław Tatarkiewicz dzieło „O szczęściu”, prof. Wacław Sierpiński wykonał 40 prac matematycznych, prof. Stefan Pieńkowski – 15 prac badawczych z fizyki. W Krakowie, pod kierownictwem ówczesnego prezesa prof. Stanisława Kutrzeby działały konspiracyjnie niektóre agendy Polskiej Akademii Umiejętności. Tej instytucji i jej członkom zawdzięczać należy ukrycie i ocalenie materiałów do „Bibliografii Polskiej” Estreichera, „Polskiego Słownika Biograficznego”, do „Słownika staropolskiego”, do „Słownika łaciny średniowiecznej w Polsce”, materiały Komisji Orientalistycznej Akademii i wiele innych bezcennych zbiorów.

To tylko niektóre wybrane przykłady z największych polskich miast akademickich dobitnie świadczące o tym, iż kultura mimo poddania jej systematycznemu procesowi unicestwiania poprzez fizyczną likwidację inteligencji, uniemożliwienie jej tworzenia, niszczenie i grabienie jej dóbr nie tylko przetrwała, a nawet zachowała tendencję rozwojową. Było to efektem wyjątkowej prężności środowisk twórców kultury, pobudzanej poczuciem społecznej potrzeby odbioru jej dóbr.

Wszystko to spowodowało, iż 5-letni okres okupacji – mimo krwawych, ogromnych ofiar i dotkliwych strat materialnych – nie stanowił takiej luki w ciągłości kultury polskiej, jaka mogła powstać w wyniku realizacji założeń hitlerowskiego okupanta. Po prostu stara łacińska maksyma *Inter arma silent Musae* w przypadku Polski się nie potwierdziła. Muzy, mimo grzmotu dział, nie zamilkły.

W 1964 r. Uniwersytet Jagielloński w Krakowie obchodził jubileusz 600-lecia swego istnienia. Prawie sto delegacji zagranicznych przybyło złożyć gratulacje i życzenia. Wśród nich nie było jednak przedstawicieli Niemiec. Symbo-

licznie jednak władze uczelni wystawiły fotel i dla niej. Miejsce to było w dniu jubileuszu, 12 maja – puste. Otóż bowiem zabrakło woli politycznej do potępienia hitlerowskiego aktu gwałtu, popełnionego w jesieni 1939 r. wobec jednego z najstarszych uniwersytetów europejskich – Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Natomiast, w tym symbolicznym miejscu w 1995 r. już dwukrotnie zasiadali najwyżsi przedstawiciele z Niemiec: 27 stycznia prezydent Niemiec Roman Herzog w czasie inauguracji uroczystych obchodów 50 rocznicy wyzwolenia hitlerowskiego obozu zagłady w Oświęcimiu i 8 lipca kanclerz Helmut Kohl w czasie spotkania z młodzieżą akademicką Krakowa w trakcie swojej oficjalnej wizyty w Polsce.

Kraków, sierpień 1995 r.

dr Jan SZYMAŃSKI

ZJEDNOCZONA ORGANIZACJA PARTYZANCKA W WILNIE (Z.P.O.)

Wilno, miasto wojew. W 1921 r. w Wilnie nie przeprowadzono spisu ludności. Według spisu ludności 1931 r. w Wilnie było 55.006 Żydów.

W Wilnie, w jednym z najżywoźniejszych ośrodków żydowskiej kultury, tzw. Litewskim Jeruzalem, już w pierwszych miesiącach okupacji zaczął organizować się ruch oporu.

Organizatorowie ruchu, przywódcy organizacji młodzieżowych, zdawali sobie sprawę z psychicznego stanu młodzieży, żyjącej w nowych warunkach i z tego, że młodzież ta nie była przysposobiona do walki z bronią w rękę. Organizacja podziemna uważała za konieczne hartowanie ducha młodzieży i przeprowadzanie ćwiczeń z bronią.

Przywódcy organizacji bojowej musieli dbać o to, by bojowiec „nie przeląkł się własnego szafu” (patrz regulamin Z.P.O.).

Regulamin Z.P.O. i komentarz do niego dokładnie określają charakter i cele tej organizacji.

Po „akcji” żółtych scheinów, która odbyła się 24.XI. 1941 r., jasnym się stało, że Ponary to nie trzecie ghetto, jak Niemcy twierdzili, a miejsce kaźni. Stały się jasne zamiary Niemców wobec Żydów.

Na początku zimy 1942 r. polityczne partie doszły do wniosku, że należy organizować samoobronę, toteż doszło do porozumienia i utworzono sztab, w skład którego weszli przedstawiciele wszystkich ugrupowań politycznych.

Z ramienia Ligi Pracującej Palestyny – Kowner, z ramienia komunistów – Wittenberg, rewizjonistów – Glassman, ogólnych syjonistów – Reznik, Bundu – Chwojnik. Komendantem sztabu został wybrany Icchok Wittenberg.

Organizacja nosiła nazwę: „Zjednoczona Partyzancka Organizacja” Z.P.O., po żydowsku „*Ferajnigte Partizanen Organizacje*” (F.P.O.).

Członkami Z.P.O. byli członkowie wyżej wymienionych organizacji, których sztab obdarzał zaufaniem. Pierwszym zadaniem Z.P.O. było zdobycie broni. Broń kupowano w mieście, wykradano Niemcom.

W zdobywaniu broni z niemieckich składów amunicji wyróżnili się: Zalmen Tiktin, Boruch Goldstein, Liza Magun i inni. W kupowaniu: Kapliński, Kaczergiński. Broń do getta przeważnie szmuglowano w następujący sposób: wkładano ją do kanałowego otworu poza ghettem, z getta kanałem podchodzono po nią.

Członków Z.P.O. podzielono na piątki. Na czele piątki stał komendant grupy. Instruktorzy, przeważnie ludzie którzy służyli w wojsku, po nocach uczyli członków organizacji posługiwać się bronią, urządzano próbne nocne alarmy. Z członków Z.P.O., pracujących u Niemców zorganizowano wywiad.

Latem 1942 r. dwie członkinie Z.P.O., Sonię Madejskier i Cesię (nazwiska tej ostatniej zeznający nie pamiętają) wysłano do Moskwy. Miały one przedrzeć się przez linię frontu i w Moskwie spełnić dwojakie zadanie:

1) Nawiązać kontakt z odpowiednimi czynnikami, w celu zorganizowania ruchu partyzanckiego.

2) Opowiedzieć światu o tym co się dzieje z Żydami pod niemiecką okupacją.

Dziewczęta te w drodze do Wielkich Łuków zostały zatrzymane pod zarzutem szpiegostwa. Udało im się jednak zbiec z rąk zbirów.

W tym samym czasie Z.P.O. rozesłało łączników do Warszawy, Lwowa i Białegostoku. Zadaniem tych ludzi było uświadomienie braci, co do zamiaru Niemców wobec narodu żydowskiego i nawoływanie do oporu.

Już latem 1942 r. członkowie Z.P.O. przeprowadzali akcje sabotażowe i dywersyjne.

Witka Kempner i Izia Mackiewicz podłożyły minę pod szyny kolejowe koło stacji Nowa Wilejka.

Grupa członków Z.P.O. z Tewią Galperin na czele, pracując w urzędzie poczty wojskowej, systematycznie niszczyła tajne pakiety wysyłane na front i z frontu.

Jesienią 1942 r. z inicjatywy Z.P.O. wznowiła swoją działalność komunistyczna partia Wilna. Sonia Madejskier skomunikowała się z komunistami nie-Żydami, z Przewalskim i Jankiem (nazwisko nieznane). Pierwsze organizacyjne zebranie partii, na którym uchwalono wznowić konspiracyjną pracę partii w mieście, odbyło się w ghetcie. Ponieważ w owym czasie już krążyły pogłoski o istnieniu sowieckich partyzantów, komunistyczna partia miała nawiązać z nimi kontakt.

Uchwalono założyć podziemną drukarnię poza ghettem. Icek Kowalski, zecer który pracował w drukarni Spindulis, wykradł przy pomocy kolegi Polaka Wasilewskiego czcionki. Kowalski przyniósł również rotator.

Drukowano odezwy do nieżydowskiej ludności, by przeciwstawiła się Niemcom. Podawano komunikaty z frontu.

Podziemną prasę szmuglowano do ghetta, a stamtąd członkowie Z.P.O., idąc do pracy, rozrzucali ją po mieście i na placówkach pracy.

Z czasem zaczęto wydawać regularne czasopisma jak *Sztandar Wolności* w języku polskim i *Kowa (Walka)* w języku litewskim.

Jesienią 1942 r. grupa rewizjonistów z Esterą Jaffe i Ringem na czele zorganizowała samodzielną podziemną organizację.

Grupa ta zwana „grupą Estery” wychodziła z założenia, że interesy nieżydowskiego ruchu podziemnego mogą być często sprzeczne ze specyficznymi interesami ghetta i dlatego byli zdania, że powinna istnieć wyłącznie narodowa podziemna organizacja.

Grupa Estery nawiązała kontakt z litewskimi partyzantami, którzy dostarczali do ghetta broni.

Latem 1943 r. obie podziemne organizacje żydowskie koordynowały swoją działalność.

Tego lata gestapo aresztowało pochwyconego w ghetcie Polaka Kozłowskiego, łącznika partii komunistycznej.

Kilka dni po straceniu Kozłowskiego, gestapo zażądało wydania Icchoka Wittenberga. Cały tydzień pertraktowano o niego. Gens (żyd. komendant ghetta) w lęku przed represjami ze strony Niemców nakłaniał do wydania Wittenberga, obiecując nie szczędzić później złota na jego wykup¹. Podczas spotkania członków sztabu Z.P.O. z Gensem 16.VII.43 r. do mieszkania weszli litewscy gestapowcy w cywilu i aresztowali Wittenberga.

Nim członkowie sztabu weszli do Gensa, dla bezpieczeństwa obstawiono niektóre punkty swoimi patrolami. Przy bramie ghetta również patrolowali członkowie Z.P.O.

Patrole widząc prowadzonego Wittenberga, odbiły go z rąk policjantów, raniąc jednego z nich.

Tej samej nocy Gens i Desler zorganizowali szumowiny ghetta, które zaczęły występować przeciwko Z.P.O. Chodzili oni od bramy do bramy i mówili Żydom, że Z.P.O. chce doprowadzić do tego, żeby przez jednego człowieka zlikwidowali ghetto.

Po długich naradach (w porozumieniu z Wittenbergiem) sztab Z.P.O. uznał, że stawienie się Wittenberga w gestapo jest konieczne ze względu na grożące ghettu walki wewnętrzne.

Wittenberg stawiał się na gestapo i po pierwszym przesłuchaniu zażył truciznę, w którą zaopatrzyli go przyjaciele.

Członków organizacji zaczęto grupkami wysyłać do lasu. Pomagał Gens, zostawiając na noc bramy ghetta otwarte. Członkowie organizacji wychodzili również w kolumnach idących do pracy, w odpowiednim miejscu odłączali się od nich.

Podczas „akcji” estońskiej, która zaczęła się 1.IX.1943 r., pozostali jeszcze w ghetcie członkowie Z.P.O. zrozumieli, że to „akcja” likwidacyjna ghetta. Postanowili stawić opór. W tym celu zabarykadowano się w niektórych punktach miasta. Gdy Niemcy zbliżyli się do gmachu na ul. Straszuna 12, posypał się na nich grad kul. Cofnęli się i zaczęli ostrzeliwać „twierdzę” z karabinów maszynowych. Zginęli wtedy: Izia

1. Ruch podziemny w ghettach i obozach (mat. i dokumenty). Opracowała Betty Aizensztain. W-wa-Łódź-Kraków 1946.

Szejnbojm, komendant znajdującej się tam grupy Chaim Napoleon i inni. Cały ten blok, razem z 50-60 Żydami wysadzono dynamitem. Do dalszych twierdz Niemcy nie doszli.

Ci członkowie Z.P.O., którym udało się dostać do lasu, utworzyli żydowskie partyzanckie oddziały jak: „Mściciele” (*Nykomy Nemer*), „Za ojczyznę” (*Far den faterland*), „Kampf” (Walka).

(Abram Krzyżanowski, Leon Szefetel „Z.P.O. w Wilnie”, Arch. C.Ż.K.H. prot. nr 1251).

REGULAMIN ORGANIZACJI Z.P.O.*

Część ogólna

1. Walka do której się przygotowujemy, będzie najwyższym probierzem moralnej i fizycznej wartości członka Z.P.O., zdolności przetrwania i wytrzymałości każdego bojowca.

2. Wypadnie nam walczyć po ciężkim napięciu nerwowym w atmosferze paniki po ciężkich stratach, które Z.P.O. poniesie w przededniu walki.

3. Bojowcy Z.P.O. nie powinni w ciężkich warunkach walki utracić jasności umysłu, każde ich posunięcie powinno być obliczone, pewne. Powinni być rozumni i jednocześnie nieustraszeni.

4. Każdy komendant oddziału i każdy bojowiec powinien się przygotować do walki przez życie się z sytuacją, która byłaby maksymalnie zbliżona do walki mającej nastąpić, by nie zostać zaskoczonym i zdruzgotanym, by ten, kto nigdy nie strzelał – nie przeląkł się własnego strzału.

5. Powinno to być osiągnięte drogą ćwiczeń i ciągłej kontemplacji, która by w wyobraźni bojowca wywołała obraz sytuacji, w której każdy może się znaleźć w chwili walki.

* Tłumaczenie z oryginału żyd. (Uw. Red.).

Organizacja bojowa

6. Z.P.O. dzieli się na dwa bataliony.
7. Każdy batalion powinien się składać z 6-8 oddziałów.
8. Każdy oddział z 3 grup.
9. Grupa składa się z 5 bojowców.
10. Grupą dowodzi komendant grupy.
11. Oddziałem dowodzi komendant oddziału.
12. Batalionem dowodzi komendant batalionu – członek sztabu.
13. Każdy batalion ma oddział rezerwowy do dyspozycji sztabu.
14. Każdy komendant ma do dyspozycji łącznika, którego wykorzysta w razie potrzeby.
15. Najwyższym rozkazem jest rozkaz komendanta Z.P.O.
16. Łącznicy rezerwowi powinni być zakonspirowani i wykorzystani tylko wtedy, gdyby zwykły łącznik sztabowy zginął.
17. Zadaniem ich jest znać wszystkich komendantów batalionu i cały mechanizm łączników oddziałów i grup. Powinni również być poinformowani o zadaniach i funkcjach, jak również i o oddziałach, z których batalion się składał.

Mobilizacja

18. Mobilizacja jest przesłanką walki.
19. Mobilizacja Z.P.O. może nastąpić a) na skutek rozkazu sztabu, b) automatycznie.
20. Mobilizację przeprowadza się po wypowiedzeniu hasła (hasło mobilizacyjne).
21. Hasło: „*Liza ruft*” (Liza woła).
22. Gdy komendantowi podają hasło, jest on obowiązany natychmiast zmobilizować swoją grupę i stawić się pierwszy na punkcie mobilizacyjnym.
23. Każdy żołnierz po otrzymaniu hasła, niezależnie od tego, kto je poda, ma się natychmiast stawić na punkcie mobilizacyjnym.
24. Punkt mobilizacyjny ul. Niemiecka 31.
25. Jeżeli wraz z podaniem hasła nie będzie podane inne miejsce stawienia się, pozostaje w mocy punkt mob. Niemiecka 31.
26. Na punkcie mobilizacyjnym należy się stawić niez-

leżnie od trudności, używając wszelkich przejść kombinowanych. W razie napotkania oporu należy użyć broni i utoro-
wać sobie drogę.

27. Na punkt mobilizacyjny należy się stawić za wszelką cenę.

28. Po przybyciu na punkt mobilizacyjny każdy bojowiec powinien odszukać swego komendanta, a nie na odwrót.

29. Jeżeli nie może znaleźć komendanta swojej grupy powinien się zameldować do komendanta oddziału lub powinien się połączyć z inną grupą swego oddziału.

Projekt 2 batalionów

30. I Batalion

Komendant Abram (Józef Glassman).

I Oddział Komendant Szmulke (Kapliński).

Grupa 7 Kantorowicz.

17 Genber. 8 Szmulke.

II Oddział. Komendant Ajzyk.

Grupa 5 Chaim.

Grupa 19 Goldman.

Grupa 6 Ajzyk.

III Oddział. Komendant Boruch (Goldsztejn).

Grupa 3 Abram.

Grupa 19 Witka.

Grupa 2 Boruch.

IV Oddział. Komendant Gordon Lew.

Grupa 10 Boruch (Boruch Szejder).

Grupa 22 Gordon Hirsz.

31. II Batalion.

Komendant Uri (Abe Kowner).

VI Oddział. Komendant Izmail (Zew Wackiewicz).

Grupa 20 Wirszup.

Grupa 23 Widucki.

Grupa 24 Izmail.

VII Oddział. Komendant Raf (Jaszka Raf).

Grupa 13 Ichok Ragolin.

Grupa 14 Wolf Rewski.

Grupa 9 Icchok Raf.

VIII Oddział. Komendant Hersz.

Grupa 11 Fune.

Grupa 12 Hersz.
Grupa 10 Cepelewicz.

Mobilizacja automatyczna

32. W wypadku, gdy działalność sztabu zostaje na skutek nieprzewidzianych przyczyn sparaliżowana, następuje automatyczna mobilizacja Z.P.O.

33. Sytuacja, kiedy następuje mobilizacja automatyczna:

Ghetto staje w obliczu nagłego niebezpieczeństwa, ludność zostaje ogarnięta paniką, ucieka do kryjówek. Taką sytuację nazwiemy „stanem wyjątkowym”.

34. W takiej sytuacji obowiązkiem każdego bojowca jest, nie czekając na rozkaz sztabu, nie czekając na hasło mobilizacyjne, stawić się na punkcie mobilizacyjnym.

35. W tym również wypadku należy przewyciężając wszelkie trudności dostać się na punkt mobilizacyjny, działać zdecydowanie według powyżej podanej instrukcji nr nr 26, 27, 28, 29, 30 i 31, inne zachowanie się, jak np. poddanie się panice, ucieczka z rodziną do kryjówki jest zdradą.

36. Ucieczka bojowca do kryjówki przy jakichkolwiek bądź warunkach i sytuacji jest tym samym, co ucieczka z placu boju podczas bitwy i jest zdradą.

37. Po przybyciu na punkt mobilizacyjny w wyniku automatycznej mobilizacji należy w wypadku nieznalesienia komendanta nałożyć znak Z.P.O. i samodzielnie się zorganizować.

Działanie samodzielne

38. Każdy oddział, każdy komendant i każdy bojowiec może się znaleźć w takich okolicznościach, że zostanie oderwany od centrum bez połączenia, bez możliwości otrzymania bezpośredniego rozkazu.

39. Wysłłek grup komendantów poszczególnych członków powinien iść w kierunku usamodzielnienia działań w walce i wykazania własnej inicjatywy operacyjnej.

40. Każdy powinien wszelkimi środkami starać się być w łączności z centrum. Bojowiec z grupą, grupa z oddziałem, oddział z batalionem.

41. Każdy oddział szuka za wszelką cenę sztabu i połączenia z nim.

42. Jeżeli się okaże, że sztab jest aresztowany, wówczas na czele Z.P.O. staje sztab zastępczy, który działa w/g z góry powziętych instrukcji.

43. Sztab zastępczy jest z góry mianowany.

44. Hasło sztabu zastępczego brzmi „Leon jest w szpitalu”, odpowiedź członka organizacji: „Jestem jego bratem”.

45. Zostawszy oderwanym w walce od centrum prowadzi komendant oddziału swój oddział samodzielnie do walki.

46. Zostawszy oderwanym od oddziału każdy komendant grupy prowadzi swoją grupę do walki.

47. Zostawszy oderwanym od grupy każdy bojowiec walczy samodzielnie.

48. Każdy komendant widząc, że grupy lub poszczególni bojownicy zostali bez połączenia, rozproszeni, obowiązany jest z własnej inicjatywy zebrać ich i stając na czele możliwie większej grupy, poprowadzić ich pod swoją komendą do walki.

49. Każdy poszczególny bojowiec, pozostawszy sam, powinien zaktywizować i nawoływać do walki (nawet zmusić) grupę ludzi i stając na czele jako komendant poprowadzić ich samodzielnie do walki.

50. Prowadzić walkę przy najmniejszej nawet ilości ludzi niezależnie od broni jaką się posiada.

51. Walczyć nawet wtedy, gdy się nie będzie posiadało broni palnej – bić zimną bronią.

52. Walczyć siekierami, łopatami, pałkami, drągami, kamieniami, materiałami palnymi itp.

53. Walczyć nawet bez broni.

54. Z chwilą rozpoczęcia walki zejście z placu boju jest zdradą.

55. Opuścić miejsce walki można tylko po otrzymaniu rozkazu.

56. Pozostając sam każdy bojowiec Z.P.O. powinien w pozycji walczącej dotrzeć do walczącego kolektywu.

57. Każdy członek Z.P.O. ma w sytuacji napiętej służyć przykładem odwagi i bohaterstwa, swoimi czynami i nawoływaniem do walki powinien porwać za sobą jak najwięcej ludzi.

58. Sygnałem do rozpoczęcia walki ma być:

a) rozkaz sztabu,

b) bezpośrednie niebezpieczeństwo grożące zniszczeniem.

59. Jeżeli komendant oddziału ubywa z szeregu powinien go natychmiast zastąpić jeden z komendantów grupowych.

60. Jeżeli ubywa z szeregu komendant grupy wówczas każdy żołnierz powinien być gotów do objęcia komendy nad grupą.

61. Brak rozkazu wyższej jednostki nie uprawnia komendanta do trwania w bezczynności podczas walki.

62. W walce należy zawsze być przygotowanym do niesienia pomocy wszystkimi możliwymi środkami walczącym towarzyszom przez podawanie im ognia, granatu, toporu i łopaty.

63. Broń automatyczna pochłania wiele naboji, strata których nie może być wyrównana podczas walki. Dlatego też bojowiec powinien być oszczędnym, kierować ogień celnie, powściągliwie, oddając strzał należy wykorzystać najdogodniejszy moment i strzelać spokojnie.

64. Ani jedna kula nie powinna być zmarnowana.

65. Żołnierz Z.P.O. powinien zadanie bojowe przeprowadzić z inicjatywą, przebiegłością żołnierską, powinien oszukać wroga.

66. Żołnierz Z.P.O. powinien umieć decydować w odpowiednim momencie i odważnie, bez wahania przeprowadzić powziętą decyzję.

67. W walce znajduje się komendant grupy przed grupą; w obronie, w natarciu i w ogniu walki.

68. Komendant oddziału znajduje się podczas walk obronnych i natarcia tuż poza oddziałem. W ogniu walki stoi na czele oddziału.

69. Komendant batalionu znajduje się podczas obrony i natarcia na specjalnej pozycji poza linią ognia.

70. Rozkazy komendanta powinny być jasne, krótkie, podane bez komentarzy, by ten kto otrzyma rozkaz, dobrze zrozumiał swoje zadanie. Rozkaz powinien być konsekwentnie pomyślany.

71. Dla uniknięcia nieporozumień komendant powinien bezwarunkowo żądać powtórzenia rozkazu przez tego, komu rozkaz został wydany.

Uzbrojenie

72. Uzbrojenie oddziałów jest zależne od zadania i możliwości.

73. Każdy batalion będzie miał rezerwową grupę Z.P.O., grupę miotaczy granatów i grupę posiadającą broń automatyczną.

74. Już w początkach walki należy starać się trafić jak najwięcej uzbrojonych żołnierzy i zabierać ich broń i amunicję.

75. Ci, dla których nie starczy broni palnej, powinni natychmiast przystąpić do zdobycia: toporów, drągów, żelaznych sztab, noży, rydli itd.

76. Wysadzić takie instytucje jak magazyn ghetta, warsztaty i kursy i zabrać wszystko, co może służyć jako broń zimna.

77. Każdy z walczących ranny i niezdolny do dalszej walki powinien natychmiast oddać broń i amunicję drugiemu.

78. Gdy towarzysz zostaje zabity – należy natychmiast zabrać jego broń i amunicję.

Sztab zastępczy

80. Sztab zastępczy ma być wtajemniczony we wszystkie najważniejsze sprawy sztabu.

81. Powinien znać wszystkich komendantów.

82. W chwili gdy praca sztabu zostaje sparaliżowana, powinien sztab zastępczy nawiązać kontakt z łącznikiem, ewentualnie z dwoma łącznikami rezerwowymi.

83. Jeżeli sztab zostaje aresztowany z przyczyn niezależnych od sytuacji w ghetcie, sztab zastępczy powinien przejąć kierownictwo Z.P.O. i kontynuować działalność.

84. Pierwszym jego zadaniem jest nawiązać kontakt z aresztowanym sztabem.

85. Jeżeli sztab zostaje aresztowany w sytuacji wyjątkowej w przededniu walki, wówczas sztab zastępczy powinien zmobilizować organizację, wydzielić oddział do zadań specjalnych.

86. Jeżeli sztab zostaje przekazany gestapo i nie uda się go wyratować, należy się zdecydować i samodzielnie poprowadzić do walki.

Marzec, 1943 r. Wilno w ghetcie.

*Leon (Izak Wittenberg), Komendant;
Abram (Józef Glassman)
Uri (Aba Kowner)
Mojsze (Abrasza Chwojnik)
Chaim (Nisan Reznik), członkowie sztabu.*

KOMENTARZ DO REGULAMINU

Po ogłoszeniu regulaminu, który przez członków organizacji został przyjęty z całą powagą, w różnych grupach wyłoniły się zagadnienia o charakterze zasadniczym. Nie dla wszystkich są one jasne, co wynika ze słabości i niezupełnej gotowości przyjęcia bezpośredniej walki.

Niezależnie od tego przez jakie grupy powyższe zagadnienia zostały wysunięte, sztab uważa za stosowne dać na nie odpowiedź.

Zagadnienia:

- a) Jak postąpi Z.P.O. przy częściowej likwidacji ghetta?
- b) Jak ma postąpić członek Z.P.O. gdy zostanie w walce samotny, w beznadziejnym położeniu, bez możliwości prowadzenia dalszej walki?
- c) Czy nie należałoby pójść do lasu? (całej organizacji).
- d) Czy istnieje konieczność chowania się w schronach?

Odpowiedź:

- a) Jak postąpi Z.P.O. przy częściowej likwidacji ghetta?
 - 1) Z.P.O. przystąpi do walki wtedy, gdy zostanie naruszona egzystencja całego ghetta.
 - 2) Możliwe są różne formy znęcania się, zabójstw, „akcyj” o lokalnym charakterze, różne represje ze strony gestapo, które będą kosztowały życie pojedynczych, dziesiątek lub setek Żydów.
 - 3) Stoimy na stanowisku, że życie każdego Żyda jest warte obrony, że nie powinno być oddane bandytom bez sprzeciwu.
 - 4) Ponieważ Z.P.O. nie przedstawia wielkiej siły militarnej, która by była w stanie przyjąć nierówną walkę z wrogiem, nie może występować w obronie życia każdego Żyda.
 - 5) Z.P.O. jako awangarda pozostałego żydowskiego skupienia (nie tylko wileńskiego) może przedwczesnym wystąpieniem doprowadzić do przedwczesnej zagłady Z.P.O. i tym samym zostawić ghetto bez samoobrony.

6) Taka taktyka byłaby donkiszoterią, samobójczą dla Z.P.O.

7) Zostalibyśmy uznani przez Żydów za prowokatorów i musielibyśmy walczyć z własnymi braćmi.

Przedwczesne wystąpienie byłoby lekkomyślne, za późne – przestępstwem.

8) Z.P.O. wystąpi w takiej „akcji”, która zostanie oceniona jako początek końca niezależnie od ilości Żydów objętych przez nas.

9) O momencie wystąpienia zadecyduje sztab, który oceni sytuację na podstawie informacji otrzymanych z pewnych źródeł.

10) Słabe uzbrojenie usprawiedliwia to, że Z.P.O. nie może wystąpić w każdej chwili, ale słabe uzbrojenie nie może usprawiedliwić ominięcia walki wtedy, gdy zostanie naruszona ogólna egzystencja ghetta. Kiedy będzie chodziło o całkowite zniszczenie nas, wystąpimy, nawet jeżeli będziemy całkowicie bezbronni.

b) Jak ma postąpić poszczególny bojowiec, gdy zostanie sam, po wykorzystaniu wszystkich możliwości walki, nie mając związku z grupą i możliwości prowadzenia dalszej walki z przeważającą siłą przeciwnika?

11) Bojowiec znajdujący się w wyżej wspomnianych okolicznościach w rezultacie walki, powinien ustąpić.

12) Jeśli istnieją jeszcze walczące grupy, samotny bojowiec za wszelką cenę powinien się do nich dołączyć w bojowej gotowości.

13) Jeśli takich grup już nie ma, wolno ratować się jak się uda.

14) Celem Z.P.O. jest paść na ostatniej placówce w ghetcie, a nie być gotowym ulec.

15) Celem Z.P.O. nie jest skuteczna obrona ghetta, ale samoobrona dla siebie.

16) Celem Z.P.O. jest stawianie oporu, beznadziejna walka.

17) Tego ostatniego nie należy rozumieć w ten sposób, że widząc przeważające siły wroga należy zrezygnować z walki.

18) Unikanie walki z jakichkolwiek powodów (słabe uzbrojenie, świadomość beznadziejności sytuacji itp.) jest zdradą.

c) Czy nie należałoby od razu pójść do lasu?

19) Nie. Chęć pójścia do lasu oznacza niezrozumienie idei Z.P.O.

20) Zjednoczona Partyzancka Organizacja jest „narodowo-

wo-społeczną organizacją". Celem jej jest walka, obrona życia i honoru Żydów.

21) Pójście teraz do lasu oznacza szukanie osobistego bezpieczeństwa i ratowanie swego życia i jest identyczne z chowaniem się w kryjówce.

22) Do lasu pójdziemy po walce. Po spełnieniu obowiązku porwiemy za sobą masy i jako część składowa partyzantki będziemy kontynuować walkę z bestialskim okupantem.

23) Tylko w walce powstałej dzięki naszemu oporowi istnieją szanse zostania przy życiu i ratowania szerokiej masy żydowskiej. Na tym są wyczerpane odpowiedzi na 3 pytanie.

d) Czy istnieje potrzeba chowania się w schronach?

24) Nie. To zagadnienie jest postawione w regulaminie jasno i w każdej okoliczności oznacza zdradę.

4 kwietnia 1943 r. Wilno. Ghetto

KOMENDANT

WSPOMNIENIA

Camilla MONDRAL

... ZŁEGO POCZĄTKI

– Tak czy owak, ja do Polski nie wracam. To jasne. Moja Polska to Lwów. Ani w Krakowie, ani w Warszawie nie mam nikogo, chyba jakiś tam znajomych... – mówi Ludwik.

Jest lipiec roku 1945. Od dwóch godzin naradzamy się, albo raczej dyskutujemy. Odnaleźliśmy się w Budapeszcie i wojna niby się skończyła. Dotarłam tu spod Wiednia, gdzie toczyły się jeszcze walki, front się zatrzymał, a mnie, wraz z setkami i tysiącami arbeiterów różnych nacji, więźniów obozów koncentracyjnych i jenieckich, Armia Czerwona odesłała na tyły.

Pierwszy etap: około stu kilometrów na piechotę do granicy Węgierskiej. Noclegi jak popadło, ostatni na stadionie sportowym pod pięknym barokowym miastem Sopron. Stąd już pociągiem... to znaczy wagonami towarowymi dalej na wschód.

Urwałam się z transportu, kiedy się okazało, że „wszyscy cudzoziemcy” – a więc Francuzi, Anglicy i inni – są skierowani na Odessę, a stamtąd statkami do swoich krajów. Oczywiście jak się wojna skończy, a była dopiero połowa kwietnia.

Transport utykał po drodze, nieraz staliśmy godzinami i nawet całymi dniami na małych stacyjkach, a w odwrotnym

kierunku sunęły wagony pełne żołnierzy, platformy z działami i czołgami, inne załadowane skrzyniami. Wykorzystałam taki postój, żeby się przesiąść do innego pociągu towarowego, gdzie wzięli mnie pod opiekę Polacy, na własną rękę zmierzający ku Polsce.

Budapeszt. Tu byłam już „w domu”, choć i ten przybrany dom nurzał się w gruzach i w nurcie Dunaju: wszystkie mosty wysadzone w powietrze, z Pesztu do Budy przechodziło się po prowizorycznych kładkach, wspartych o kikuty przęsł.

Od razu znaleźli się znajomi, już zaczepieni o placówki alianckie. Wreszcie poznałam osobiście Ludwika Angerera, o którego wypytywał „mój” gestapowiec podczas kilku przesłuchań, i wypytywały współwięźniarki aresztowane kilka tygodni wcześniej: „Czy wiesz coś o Ludwiku?” Nie wiedziałam, nie znałam, nigdy o nim nie słyszałam.

I odnalazł się Zygmunt Rosiński, który też wpadł w łapy gestapo. Tym razem siedział jako Aleksander Szeruda, przypadkiem o dwa piętra niżej, ale wprost pod moją celą. Nie znaliśmy się, ale prowadziliśmy „sznurkową” korespondencję, czasem w formie artykułów spożywczych, których dostawałam trochę więcej, a konsumowałam mniej.

Siedzimy i radzimy. Panowie są nastawieni na zachód, ja na Polskę: doszła do mnie wiadomość, że rodzice żyją i powrócili do Poznania.

– Do Poznania? – dziwi się Zygmunt. – Ja mam matkę w Poznaniu. Daj mi ich adres, może tam wpadnę.

Brzmi to całkiem zwyczajnie w jego ustach. Podczas tej wojny w pięciu krajach siedział w siedmiu więzieniach i siedem razy uciekł. Ostatni raz w 1944 roku z transportu Budapeszt-Mauthausen. Z transportu, który prosto z wagonów trafił do pieca. Zdążył uciec przy pierwszej okazji, kiedy pociąg stanął w polu z powodu lotniczego bombardowania następnej stacji.

I tak po niemal sześciu latach wojny, z których cztery i pół spędziłam na Węgrzech, sześć miesięcy w Dalmacji, a ostatni rok w gestapowskim więzieniu i na robotach w Austrii – powróciłam do Polski. No cóż, kraj rodzinny to najpotężniejszy magnes, a Polskę trzeba odbudować.

W połowie września 1945 znalazłam się w Krakowie, i

tu los wskazał mi dalszą drogę. Spotkałam na ulicy przyjaciela, Jerzego Waldorffa, i wzajemnie zadaliśmy sobie inteligentne pytanie: „Żyjesz?” Okazało się, że tak. I natychmast padł rozkaz: „Daję ci dwa tygodnie na odwiedzenie rodziców w Poznaniu, a potem wal do Warszawy!” „Jak to do Warszawy? Przecież Warszawa leży w gruzach”. „Tak, ale wszyscy Warszawiacy muszą się stawić w stolicy, żeby zmusić władze do odbudowania jej, a nie do przeniesienia stolicy gdzie indziej”. „I co, stanę na gruzach i powiem, że jestem. Co dalej?” „Zajedziesz do mnie, mam już mieszkanie, a potem się rozeczysz”.

Tak się stało. Zamieszkałam u Jerzego w Alei Waszyngtona i stamtąd przez pontonowy most ganiałam codziennie do lewobrzeżnej Warszawy, od połowy października do zimy, kiedy most został rozebrany.

Z pracą nie było kłopotu. Tu ktoś znajomy, tam jakiś kolega ze studiów albo z bieźni. Trafiłam do bardzo ciekawego biura. Stanowiło część Ministerstwa Przemysłu, nazywało się Biuro Organizacji Dostaw. Było czymś w rodzaju pogotowia ratunkowego ministra. Dopiero krystalizowały się struktury urzędów centralnych. Ministrem przemysłu był Hilary Minc, który niezależnie od swoich przekonań politycznych był człowiekiem rozumnym i ekonomistą z prawdziwego zdarzenia. Mieliśmy wspólny język na bazie analogicznych studiów: on warszawskie SGH, ja poznańskie WSH i dyplom z naukowej organizacji pracy u profesora Edwarda Taylora.

Nie znałam się na polityce, w okresie międzywojennym, poza pracę w gabinecie ministra spraw wojskowych, interesowałam się sztuką – malarstwem i muzyką – a także sportem. Na politykę nie było w moim życiu miejsca. A teraz Polskę trzeba odbudować, przyda się każda głowa, tak mało zostało inteligencji. W szybkim tempie awansowałam. W ciągu jednego roku z kierownika sekretariatu na kierownika referatu, naczelnika wydziału i zastępcę dyrektora. A po dwóch latach przeszłam do handlu jako dyrektor administracyjny Państwowej Centrali Handlowej.

Z Mincem często dyskutowaliśmy o właściwej dla Polski strukturze gospodarczej. Trzecim uczestnikiem tych rozmów

był mgr Karol Rojek, absolwent SGH, który zamierzał napisać tezę doktorską na temat „Trójsektorowa struktura przemysłowa Polski”. To był właśnie „konik” Minca, i kto wie, czy jego koncepcja nie byłaby jakimś rozwiązaniem pośrednim między kapitalizmem i komunizmem.

Minc rozumował tak: nasz kraj leży między dwoma ustrojami, musimy być elastyczni, żeby zachować powiązania na obie strony. Ciężki przemysł i górnictwo będą w gestii państwa, przemysłem średnim niech zawiaduje spółdzielczość, a drobny i rzemiosło to strefa prywatnych właścicieli. Dyskusje były bardzo rzeczowe, Minc był głęboko przekonany o słuszności swojej tezy. Pierwszym krokiem było ogłoszenie zasad zakładania i prowadzenia małych zakładów wytwórczych, zatrudniających do 50-ciu pracowników. Wydawano zezwolenia na taką działalność, co potocznie nazywano „listami żelaznymi Szyra”. Bo właśnie Eugeniusz Szyr, wówczas dyrektor departamentu ekonomicznego ministerstwa przemysłu, realizował tę koncepcję. Co mu nie przeszkodziło, cztery lata później, odebrać nowopowstałe przedsiębiorstwa za symboliczne odszkodowanie. Jeśli oczywiście właściciel „dobrowolnie” oddał swój zakład. Jeśli jednak się upierał, że otrzymał od władz zapewnienie, nawet jeśli załoga stawiała w jego obronie, władze zawsze znajdowały jakiś pretekst do wstrzymania produkcji, aresztowania właściciela i narzucenia „komisarycznego zarządu”. Tak się skończyła koncepcja „trójsektorowości”, a sam Minc został wezwany do Moskwy i starannie przeszkolony. Po powrocie, a było to chyba w 49 roku, już się publicznie na ten temat nie wypowiadał. Wkrótce zapadł na ciężką chorobę nerek i definitywnie zniknął z horyzontu.

Ku swemu zdumieniu, już jesienią 45 roku, na konferencji u Minca spotkałam dawnego znajomego, Stefana Askansa. Kiedy w latach trzydziestych jako członek zarządu Polskiego Związku Lekkoatletycznego brałam udział w organizowaniu mistrzostw krajowych lub zawodów międzynarodowych, naszym partnerem z ramienia zarządu stadionu Legii był podoficer w randze sierżanta, odpowiedzialny za przygotowania bieżni, sprzętu i personelu do obsługi szatni i trybun. Był to właśnie Stefan Askanas. Teraz zasiadał na fo-

telu dyrektorskim w Centralnym Urzędzie Planowania, jako dyrektor departamentu transportu.

W pierwszych dniach każdego miesiąca zbierała się „wielka trójka węglowa”: Szyr, Askanas i ja. Szyr zawiadamiał o stanie wydobywania i dzieliliśmy urobek: na eksport, na przemysł i na kraj.

Askanas rządził transportem na eksport, ja dostawami dla przemysłu, a węgiel dla ludności (miasta, wieś i drobny przemysł) rozprawdzał katowicki oddział Biura Organizacji Dostaw.

Te spotkania nie były żadnymi naradami. Szyr informował, jakie jest wydobywanie, i od razu podawał cyfrę eksportową. Ja starałam się zdobyć jak najwięcej dla przemysłu, miałam sygnały z terenu, że muszą zmniejszyć produkcję, że grozi wygaszenie wapienników, że elektrownia może stanąć... a do tego nie można dopuścić! To klęska i kompromitacja. Za te dostawy ja byłam odpowiedzialna, a transporty węgla dostarczano „na styk”.

Moja praca była ciekawa, bo nie było żadnych schematów. Przy omawianiu nasuwających się problemów, wyłaniało się zadanie i trzeba je było wykonać. Zupełnie samodzielnie, bez dyrektyw. Ocena zależała od wyniku. Zadanie było „od Sasa do lasa”, chociaż mój zakres pracy i całego Biura Organizacji Dostaw dotyczył transportu. To nie było łatwe. Oto kilka przykładów:

1. Początek 1946 roku – odebrać w NRD 160 tysięcy ton soli potasowych. Tysiąc ton to cały pociąg! Trzeba było posyłać składy wagonów, których połowa ginęła „rekwirowana” przez wojska sowieckie, a nasi kolejarze odnajdywali je z przemalowanymi numerami, załadowane innymi towarami i kierowane na wschód. Pilnowali, żeby je na granicy wschodniej, w Brześciu czy Medyce, znowu przemalować. Kłopotów było co niemiara.

Inne zadanie: odbierać na granicy zachodniej transporty UNRRA, także rewindykacje polskie z Niemiec Zachodnich, i – na początku – trochę transportów w ramach odszkodowań. Dopóki Związek Sowiecki wspierałomyślnie z nich nie zrezygnował, w naszym imieniu, na rzecz NRD. Co chwila wyłaniały się niespodzianki. Najczęściej dotyczące punktu

granicznego, przez który transport miał wjechać do Polski. Zorganizowałam kilka punktów odbioru na granicy niemieckiej: Szczecin, Kostrzyń nad Odrą, Gubin i Zgorzelec. Nasza ekspozytura w Berlinie informowała telefonicznie, jaki transport wychodzi i na jaki punkt graniczny zostaje skierowany. Byłoby wszystko dobrze, gdyby „ktoś-gdzieś” nie zmieniał trasy, i transport objawiał się nie tam, gdzie go oczekiwano. Po kilku takich niespodziankach musiałem „na wszelki wypadek” zawiadamiać dwa lub trzy punkty graniczne o możliwości nadejścia transportu.

3. Jak już wspomniałam, byłam odpowiedzialna za dostawę węgla dla ciężkiego przemysłu. Niejednokrotnie trzeba było „w locie” przeadresowywać całe pociągi, żeby elektrownia nie stanęła. Dysponowałam telefonem na sieć kolejową i hasłem, upoważniającym do zmieniania trasy pociągu.

4. Na naradach i konferencjach u ministra, średnio dwa razy w tygodniu, ale bywało i częściej, zabierałam głos w różnych sprawach. Dowodziłam na przykład, że nie można budować huty tam, gdzie nie ma żadnego surowca: ani rudy, ani węgla. Chodziło o hutę Warszawa. Taka huta musi być deficytowa. „To się pokryje deficyty z innych zysków”. „A jak będzie za dużo deficytów, to co?” Spotykałam się zawsze z tym samym, jedynym argumentem: „Koleżanka nie jest marksistą, dlatego nie rozumie”. Mówiono do mnie „koleżanko”, co zainicjował Minc, jako że nikomu nie „towarzyszyłam”.

Oczywiście namawiano mnie do wstąpienia do partii. Podczas jednej takiej rozmowy powiedziałam Mincowi: „Nie mogę, bo już należę do partii”. „Do jakiej?” Wyjaśniłam: „do B.B.W.R., to znaczy do Bezpartyjnego Bloku Wołów Robotnych, to mi wystarcza.

Chyba na przełomie 46 i 47 roku szeptem kolportowano wiadomość, że kto się nie zapisze do partii, ten nie będzie mógł zajmować wyższego stanowiska, a może w ogóle nie dostanie pracy w żadnym centralnym urzędzie. Ludzie wpadali w panikę i zapisywali się do Stronnictwa Demokratycznego albo do PPS... a potem automatycznie zostali włączeni do owej jedynej zjednoczonej. Nie dałam się zwariować i nie zapisywałam się nigdzie. Lubię czuć się niezależną.

5. W stosunkach ze Związkiem Sowieckim było wiele

zagadnień spornych, a największym problemem był przeładunek na szerokie tory na granicy wschodniej. Koleje sowieckie nie mogły nadążyć, u nas niezliczone składy pociągów stały w całym kraju na węzłowych stacjach i na różnych bocznicach, bydło zdychało w wagonach, a strona sowiecka liczyła nam kary za nie dotrzymanie terminów. Minc zorganizował konferencję z odpowiedzialnymi za transport oficerami sowieckimi, przewodniczącym ich delegacji był jakiś generał. Z naszej strony fachowcy z ministerstwa komunikacji i ludzie odpowiedzialni za przemysł przez trzy godziny przedstawiali sytuację i proponowali różne rozwiązania, wyliczali aktualny stan wyczekujących transportów, proponowali między innymi odbiór w miejscu załadunku itd. Kiedy skończyliśmy, wstał generał sowiecki i powiedział: „Bo wy, Polacy, źle podchodzicie do kolejarzy. Trzeba maszyniście dawać premię za oszczędzanie węgla, i wszystko będzie dobrze”. Skończył, wstał i wyszedł, a za nim cały jego sztab.

Była czwarta rano. W ścisłym gronie pozostaliśmy u Minca, który przy kawie wyrzucił z siebie: „Dobrze, że się oparłem przebudowie naszych kolei na szerokie tory. To my mielibyśmy te kłopoty na granicy zachodniej!”.

Wreszcie skończą się kłopoty, ma być podpisana umowa handlowa ze Związkiem sowieckim. Jako przewodnicząca komisji transportu przygotowałam się starannie, nasi delegaci walczyli jak lwy. Po dwóch dniach, jako zwycięscy, złożyliśmy w sekretariacie protokół podpisany przez całą komisję. Odbyło się uroczyste podpisanie umowy, a po kilku dniach otrzymałem jej pełny tekst. W dziale TRANSPORT figurowało tylko to, czego żądała delegacja sowiecka. A więc cały wysiłek na nic. Oczywiście w innych dziedzinach było tak samo.

6. Wracam jeszcze do owych soli potasowych, z takim trudem przywożonych z NRD. Ładowane były luzem, nie było żadnych worków i powinno się je składować w suchych magazynach. A magazynów nie było. Jeździłam po Ziemiach Zachodnich w poszukiwaniu odpowiednich budynków, możliwie blisko granicy. Ziemie te były niemal bezludne. Już nie było Niemców, a jeszcze nie przesiedlono Polaków z przyłączonych do ZSSR ziem wschodnich. Tu i ówdzie w dużych wsiach kilka zamieszkałych domostw, a przy szosach wielkie

plakaty z wizerunkiem stonki ziemniaczanej i pouczenie w języku niemieckim, jak ją zwalczać. Jak to możliwe? Polska prasa oburzała się, że stonkę zrzucają samoloty amerykańskie... czyżby razem z niemieckimi plakatami?

Kiedyś nawaliła nam opona, kierowca zajął się zmianą koła, ja z towarzyszącym mi kolegą poszliśmy w kierunku jakichś dużych budynków – ni to fabryka, ni to magazyny. Może coś dla nas? Była to ogromna cegielnia, a wewnątrz setki olbrzymich skrzyń, niektóre już rozprute przez szabrowników: same silniki i części samolotowe!

Nie dojeżdżając do Kostrzyna nad Odrą, chyba w Lubomierzycach, trafiliśmy na bocznice kolejową. Prowadziła paręset metrów w las. Dalej ogrodzona przestrzeń, kilkadziesiąt baraków załadowanych najróżniejszym sprzętem: tysiące par nart, nawet fińskich, odebranych osobom prywatnym, aparaty radiowe, apteczki wojskowe w torbach na ramię, jakieś puшки z farbami i chemikaliami... Zorganizowałam wywiezienie tych rzeczy, a magazyny przeznaczyłam na sole potasowe.

Ale to nie był koniec kłopotów z tymi solami. Według wskazań profesorów z SGGW chodziło o to, żeby jeszcze tej wiosny trafiły do ziemi. Jak je rozprowadzić? Decydował o tym p. Szyr: ma być zamiana na zboże! Protestowałam: przecież w ostatnich latach dwa razy przewalał się przez Polskę front. Wycofujący się Niemcy zabierali, co się da, a wkraczające wojska sowieckie rekwirowały resztę. „Koleżanka nie zna polskich chłopów – dowodził p. Szyr – oni zawsze mają zboże”. „Może któremuś udało się uratować tyle, ile potrzebuje na zasiewy – odparłam – ale na sole potasowe nie wystarczy”. Oczywiście chłopci się nie kwapili, a sole potasowe, zrzucane często na ziemię, w najlepszym razie do zrujnowanych magazynów, zostały zmarnowane. Po dwóch miesiącach, kiedy dawno było po zasiewach, ministerstwo postanowiło sprzedać sole potasowe „za skrypty dłużne”, czyli zapłata jesienią, po żniwach. Niestety nikt ich nie potrzebował, nawet ziemniaki były już w ziemi...

7. Jako dyrektor administracyjny Państwowej Centrali Handlowej brałam udział w konferencjach BOS-u (Biuro Odbudowy Stolicy), gdyż nasza firma była zainteresowana projektami odbudowy Warszawy. Byłam świadkiem decyzji o

pozostawieniu „wąskiego gardła” na ulicy Marszałkowskiej, między Placem Konstytucji i Placem Zbawiciela, oraz dalej na Placu Unii Lubelskiej. Argument: pośrodku ulicy nie może się panoszyć kościół! Dwa projekty uwzględniały pozostawienie Kościoła Zbawiciela na wyspie, podobnie jak to uczyniono z Pałacem Radziwiłłów na trasie W-Z. Efektem, po kilku latach, była konieczność wyburzenia już odbudowanych kamienic, żeby otworzyć objazd z Placu Konstytucji do Placu Unii Lubelskiej...

8. Protestowałam przeciwko zbudowaniu pierwszego Domu Towarowego na trójkącie między Alejami Jerozolimskimi, Kruczą i Bracką. Motywowałam trudnościami z dostawą towarów, brakiem miejsca na parkowanie ciężarówek i wyładunek. Ktoś mądry twierdził, że „zbudujemy bocznice z tunelu kolejowego biegnącego pod Alejami Jerozolimskimi”. Oczywiście Ministerstwo Komunikacji nie zgodziło się, i po zbudowaniu Pedetu (Powszechny Dom Towarowy) widać było sznury ciężarówek czekających całymi nocami na rozładunek. A przecież miejsca było dosyć, same grzyzy.

Kiedyś, na konferencji w BOS-ie, rzuciłam myśl, że niezależnie od tego, kiedy metro będzie budowane, trzeba je z grubsza zaplanować, chociażby ze względu na instalacje podziemne: woda, kanalizacja, przewody telefoniczne i tak dalej. Wyjaśniono „odgórnie”, że w Warszawie nigdy żadne metro nie będzie potrzebne, gdyż Warszawa nie będzie się rozrastać. Właśnie wydano zakaz meldowania nowych przybyszów, wystarczą tramwaje i autobusy.

Na innej takiej konferencji zapytałam, gdzie są przewidziane parkingi i garaże, serwisy samochodowe... Ktoś ważny roześmiał się na głos: „A kto w Polsce będzie miał samochód? Z naszymi damy sobie radę!”

9. Zostałam delegowana na posiedzenie „komisji cen” Ministerstwa Handlu. Do Gdyni przyplłynął pierwszy transport cytryn, trzeba było ustalić rozdzielnik na cały kraj i wyznaczyć cenę detaliczną. Zapytałam o kalkulację i wspomniałam, że przed wojną ceny owoców cytrusowych były ustalone tak, że nawet w niezamożnej rodzinie można było dziecku dawać pomarańcze w okresie, kiedy brak świeżych witamin. To wzbudziło wesołość. I wyjaśniono, że przy kursie dolara po

cztery złote, kilogram pomarańczy powinien kosztować 1 złoty. A to byłoby śmieszne, bo, jabłka kosztują 15 i 20 złotych. Nie można wyznaczać niskiej ceny, bo po godzinie nie byłoby ani jednej cytryny w sklepach. Panowie decydenci doszli do wniosku, że cytryny mają kosztować 60 złotych.

Wspominam też momenty niemal humorystyczne. Kiedy z nominacji „Ministra i” (tak nazywano z przekąsem ministerstwo przemysłu i handlu, jako że ani przemysłu, ani handlu nie było) zaczęłam funkcjonować jako dyrektor administracyjnej Państwowej Centrali Handlowej, któregoś dnia kierownik mego sekretariatu zawiadomił, że naczelny dyrektor zaprasza na godzinę 15-tą na zebranie partyjne. Kazałam zapytać, czy to mnie dotyczy, gdyż nie jestem członkiem partii. Po chwili doniósł, że wobec tego dykcja rezygnuje z mojego udziału. Nazajutrz ten sam młody człowiek, którego zaufanie zdołałam już zdobyć, przyszedł z samego rana, starannie zamknął drzwi i przykazał sekretarce, żeby nikogo nie wpuszczała i nie łączyła telefonów. Niemal szeptem zreferował mi przebieg wczorajszego zebrania partyjnego. Przez dobrą godzinę dyrektor naczelny, dyrektor finansowy, handlowy i ekonomiczny oraz pomniejsi towarzysze łamali sobie głowę, jakim cudem zostałam dyrektorem nie należąc do partii. Jak do tego doszło? Kto za mną stoi? Wreszcie ktoś genialnie zasugerował: ona ma na pewno powiązania z NKWD! Nikt nie wpadł na pomysł, że po prostu dobrze pracuję. Takie wyjaśnienie nie wchodziło w rachubę.

Próbowano mnie wciągać w jakieś lewe interesy, ale zorientowałam się. Mój poprzednik na stanowisku dyrektora administracyjnego siedział w więzieniu, a jego poprzednik popełnił samobójstwo po aresztowaniu; ja codziennie z dyrektorem finansowym podpisywałam czeki na ogromne sumy, jako że w mojej gestii był cały transport przedsiębiorstwa – 800 samochodów ciężarowych i 250 osobowych w całym kraju – wszystkie budowy i remonty około tysiąca magazynów i sklepów w całym kraju, dalej ubezpieczenie wewnętrzne towarów podczas transportu i w magazynach. Jednym słowem „okazji” było co niemiara. Oto próbka: pod koniec urzędowania nagły telefon od naczelnego dyrektora. „Przyjechali towarzysze z Krakowa, sprawa pilna, musi być dzisiaj

załatwiona, już do pani idą”. Zjawia się dwóch panów. Sprawa: od pewnego czasu oddział krakowski zabiegał o przejęcie dużego sklepu w centrum miasta, gdzie ma powstać „sklep wzorcowy”, coś w rodzaju późniejszych „delikatesów”. Ale właściciel poczynił duże inwestycje. W ostatnim roku wymienił całą podłogę, wstawił specjalnie zaprojektowane szafy i regały, urządzenia chłodnicze na zapleczu... Zgodnie z przepisami, w takim wypadku należy mu się odszkodowanie. Te inwestycje zostały wycenione przez ekspertów na... (suma była bardzo wysoka). Niech pani dyrektor podpisze zgodę na wypłatę, proszę, oto gotowe pismo, tylko podpis i pieczęć.

Ten pośpiech bardzo mi się nie podobał. Odmówiłam. Za chwilę ponownie zadzwonił naczelny. „To musi być dzisiaj podpisane”. Odpowiedziałam, że jeśli pan dyrektor uważa to za słuszne, to niech sam podpisze. „Ale to jest pani resort, administracji!” Znalazłam rozwiązanie. Inżynier z działu budowlanego, do którego miałam absolutne zaufanie, dostał ode mnie papier firmowy podpisany *in blanco* i zaopatrzony w pieczęć. Pojechał do Krakowa i nazajutrz wrócił. „Ale pani dyrektor miała nosa! Żadnych nowych urządzeń ani regałów nie było, a przez spróchniałą podłogę widać dno piwnicy!”

11. Uniknęłam także innej pułapki. W katowickim oddziale mego poprzedniego biura toczyło się dochodzenie prokuratorskie w stosunku do kilku pracowników. Chodziło o rozproszanie „węgla dla ludności”. Z tą sekcją nie miałam nic wspólnego, a były tam kuszące możliwości: w dużym stopniu od naszych ludzi zależało, kiedy i ile węgla pójdzie do danego miasta, a w mieście do których hurtowników. Widocznie trudno było się oprzeć pokusom. No i wpadka. Zjawia się u mnie urzędniczka z Katowic i z tajemniczą miną oznajmia, że przyjechała mnie ostrzec. Toczy się śledztwo, dwie osoby już siedzą, najlepiej zrobię, jeśli zniknę z horyzontu. Roześmiałam się. Nie mam czapki niewidki, a przede wszystkim nie mam powodu zniknąć, bo nie mam z tą sprawą nic wspólnego. Odprawiłam „życzliwą” panienkę, i... nic się nie stało.

Nawet po paru latach spotkała mnie nagroda. Kiedy w ramach kolejnej reorganizacji udało mi się uniknąć następnego stołka dyrektorskiego (brak było tylko mego podpisu na

nominalnej do Betonstalu, na dyrektora administracyjnego), uciekłam do literatury. Jako skromny redaktor i spec od literatury węgierskiej znalazłam się w wydawnictwie „Czytelnik”. Chyba już rok lub dwa tam pracowałam, kiedy w jakiejś sprawie poszłam do działu umów. Kierownik zawołał do sąsiedniego pokoju: „Proszę przynieść teczkę umów pani Camilli Mondral!” Po chwili weszła urzędniczka, a za nią jakiś młody człowiek. „Czy pani była dyrektorem w Państwowej Centrali Handlowej?” Potwierdziłam. „Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać!” Byłam zdumiona. „Jestem inspektorem Najwyższej Izby Kontroli, teraz prowadzimy kontrolę Czytelnika, a przedtem dobre pół roku sprawdzaliśmy dokumentację likwidacyjną Państwowej Centrali Handlowej. Prędko się przekonaaliśmy, że każdy dokument, na którym widnieje pani podpis, jest w absolutnym porządku. Ani razu nie było potrzeby pani wzywać, czego nie mogę powiedzieć o innych dyrektorach...”

Było mi przyjemnie i spotkanie utwierdziło mnie w przekonaniu, że czyste sumienie jest jednak coś warte.

12. W roku 1970 w charakterze tłumacza towarzyszyłam delegacji Sejmu podczas trzytygodniowej wizyty na Węgrzech. Cały czas była mowa o turystyce, Węgrzy się chwalili, jakie to przynosi zyski dewizowe. Pokazywali autostradę z Budapesztu nad Balaton, przy niej stacje benzynowe światowych firm, hotele i motele, co prawda efektowne, ale tandetnie budowane. Np. w nowym hotelu w Siófoku marszałkowi Wycechowi klamka została w ręku, a w moim pokoju kinkiet przy łóżku w ogóle nie był podłączony do sieci.

W Warszawie, zaraz po powrocie, znalazłam się na otwarciu nowej ekspozycji w Muzeum Sportu. Uroczyście otwierali ją najwyżsi dygnitarze Głównego Komitetu W.F. i Turystyki. Przy lampce wina opowiedziałam o turystyce na Węgrzech, panowie słuchali z zainteresowaniem, zakończyłam mówiąc: „Jeżeli chcemy zarabiać na turystyce, jeżeli chcemy przyciągnąć zagranicznych gości...”. Tu jeden z dygnitarzy wtrącił: „A kto pani powiedział, że chcemy?”... *causa finita!*

13. Dawkowanie groźnych w skutkach zamachów na prawa człowieka i na gospodarkę kraju było prowadzone umiejętnie. Zawsze je wspierano hasłem „dla dobra ludu pracującego”. Nieraz władze ulegały presji opinii publicznej,

ale jednocześnie wyciągały korzyści dla siebie i realizowały własne cele. Chcecie szybkiej odbudowy Warszawy? Trzeba najpierw uprzątnąć gruzy. Urzędy, szkoły, organizacje społeczne gromadnie wybierały cegły i kawałki cegieł z gruzów getta. Ołtarz Wita Stwosza się rozpada? Dobrze, niech konserwatorzy go ratują, my za to postawimy pod Krakowem Nową Hutę.

Nie znałam się na polityce, nie studiowałam ani marksizmu ani leninizmu, wymigałam się od wszelkiego szkolenia ideologicznego, ale powoli zaczynałam rozumieć, że dzieje się coś groźnego: niszczone całą strukturę gospodarczą, i to bez względu na koszty. Oburzał mnie sposób podejmowania decyzji, sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Nie mogłam świadomie współdziałać w tym procesie, uciekłam z kręgu decydentów, z krzepnącej „nomenklatury”.

Wiele osób tłumaczy się ze swojej działalności i z przynależności do partii tym, że „nie można było nic zrobić bez podpisania rewersu na własną duszę”. Nieprawda. Robiło to różnicę tylko od strony zarobków. Poza tym była to kwestia wolnego wyboru. Przymusu nie było, póki się nie powiedziało „A”, bo zaraz potem trzeba było powiedzieć „B”, a wtedy już się należało do mafii i ciągnęło zyski ze swojej wierności.

Dopiero teraz mogę się wypowiedzieć o tym pierwszym okresie powstawania Peerelu. To są moje osobiste doświadczenia i odczucia; zdaję sobie sprawę, że w oparciu o dokumentację i statystyki można ukazać dokładniejszy obraz i mechanizm tamtych działań. Chociaż ze statystyką też trzeba ostrożnie.

Na jednej z narad u Minca podano z triumfem najnowsze osiągnięcie: wydobycie węgla dorównało wydobywaniu z 1938 roku! Trzeba dać natychmiast komunikat do prasy... a ja naiwnie rzuciłam uwagę: „No tak, ale teraz mamy 70 kopalń więcej!” Minc się roześmiał: „Kto poza fachowcami zdaje sobie z tego sprawę? Dla nas najważniejsze to tony węgla!”

Właśnie dlatego nie lubię polityki i z rezerwą odnoszę się do wypowiedzi polityków.

Camila MONDRAL

WINIETKI OKUPACYJNE

Prawie cały okres okupacji niemieckiej mieszkałem w Nałęczowie, uzdrowisku pod Lublinem. Przed wojną spędzaliśmy tam letnie wakacje w willi przy pięknej alei Lipowej, którą w końcu XIX wieku wybudowali moi dziadkowie, Adam i Walentyna Nagórscy. W czasie wojny stale mieszkała w Nałęczowie babcia Walentyna i moja matka, Walentyna Rudzka, ze mną i moim młodszym bratem, Adamem. Wuj Adam Nagórski dzielił czas między Nałęczowem a Warszawą. Wiosną 1942 roku nasza willa zajęta została przez Niemców. Mieszkaliśmy później w nieistniejącej już dziś willi „Zacisze”. Kiedy dokonywała się większość opisywanych tu wydarzeń miałem zaledwie 13 lat, ale w czasie wojny młodzież dojrzewała szybko.

Egzekucja

W dniu 24 października 1942 Niemcy rozstrzelali w Nałęczowie 13 przypadkowo aresztowanych mężczyzn. Była to represja za zabicie, poprzedniego dnia, dwóch żołnierzy niemieckich, a zaraz potem, na stacji kolejowej, żandarma stacyjnego i polskiego policjanta. Pamiętam ten dzień doskonale. Oddział SS przybył rano z Puław lub Lublina. Zajęli pozycje na Postoju, jedynym placu w Nałęczowie, i zgarniali mężczyzn z okolicznych zabudowań i sklepów. Wśród rozstrzelanych znalazł się młodziutki fryzjer z zakładu przy ulicy Pocztovej. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, wuj Adam był tego dnia w Warszawie. Punktualnie o godzinie 12 w południe usłyszałem salwę. Brzmiała jak jeden głośny wystrzał – w rzeczywistości zaś każdy skazaniec zastrzelony był indywidualnym strzałem w tył głowy w pozycji leżącej. Oddział niemiecki wkrótce odjechał, nakazując pozostawienie zwłok na widoku publicznym przez kilka godzin.

Dopiero pod wieczór, choć jeszcze przy świetle dziennym, rozstrzelani mężczyźni załadowani zostali na dwie furmanki, które ulicą Pocztową i aleją Lipową jechały do kościoła. Kiedy przejeżdżały koło „Zacisza” powiedziałem matce, że wyjdę, bo muszę, muszę „dla historii”. Matka była historykiem i specjalizowała się w okresie powstań XIX wieku, znałem więc te dzieje dobrze i rozumiałem, że przeżywamy podobne wydarzenia. Mama, nie chcąc mnie puścić samego, poszła ze mną. Furmanki wjechały pod sam kościół. Tam, obok ówczesnej zakrystii, wyładowywano zwłoki i składano ja w istniejącej do dziś kapliczce-kostnicy przy bramie cementarnej. Pojawił się ksiądz Garstecki, wysiedleńca z poznańskiego, który przez lata wojenne był zastępcą proboszcza, księdza Kargola. Stał z krzyżem, biały jak ściana. Zebrała się mała grupka ludzi, głównie rodziny rozstrzelanych, dzieci. Pamiętam moment, kiedy podniesiono jednego z zamordowanych z okrwawioną, przestrzeloną twarzą. Mały chłopczyk zaczął wołać: „To tata, to tata!”.

Kilka dni później ofiary egzekucji złożono do wspólnego grobu, który znajduje się w dolnej części starego cmentarza. Na pogrzebie nie byłem. Wobec obaw jakiejś manifestacji i dalszych represji matka stanowczo zabroniła mi pójść. Wuj Adam wrócił tydzień później. Odnotował w swoim dzienniku, że w gminie odbył długą rozmowę z burmistrzem Nałęczowa, Janem Janickim. Zaraz potem opowiedział nam o dramatycznych wypadkach jakie poprzedziły egzekucje. Janicki wezwany został przez niemieckiego komendanta jako świadek. Starał się uratować życie kilku młodym skazańcom, przedstawiając różne argumenty (np. że jeden jest jedynym szewcem czy krawcem w mieście, że inny pracuje przy wojskowym szpitalu) i przekonał komendanta by ich wypuścił. Wkrótce jednak Niemiec znecierpliwiał się i oświadczył, że ma rozkaz rozstrzelać pewną ilość mężczyzn (zdaje się że wymienił 15), ale jest mu zupełnie obojętne kogo rozstrzela, może więc Janicki wskazać innych kandydatów. Burmistrz odpowiedział, że jednego kandydata już ma, mianowicie siebie. Komendant roześmiał się na tą propozycję, stwierdzając że nie przyszło mu do głowy pozbywać się kogoś, kto zna niemiecki, z kim może się porozumieć na nałęczowskim terenie. Wtedy Janicki

zdecydował się na krok o którym opowiadał wujowi z wielkim zdenerwowaniem, szukając aprobaty; zapewne do końca życia nie był pewien, czy miał moralne prawo tak postąpić. Wskazał mianowicie przytułek dla starców, który mieścił się przy rogu ulicy Kościuszki i Prusa. Panowały tam bardzo złe warunki, była wysoka śmiertelność. Niemcy wyprowadzili z przytułku jedną czy dwie osoby. Wreszcie, Janicki wymienił żydowski obóz pracy (zapewne ten, który znajdował się w pobliskim majątku Antopol, gdzie wszyscy więźniowie zostali w jakiś czas później zamordowani). Stąd na liście rozstrzelanych znalazł się jeden Żyd. W rezultacie, kilku młodych ludzi zwolnionych zostało przed samą egzekucją.

Osobę Jana Janickiego pamiętają jeszcze starzy nałęczowianie. Był burmistrzem do 1 lutego 1943. Tego dnia, jak zanotował Adam Zagórski w dzienniku, został „zatrzymany na śledztwie” w Puławach. Nowym burmistrzem mianowano kilka dni później Władysława Wolskiego¹. Janicki pozostawał w areszcie przynajmniej do końca marca. Nie wiem, o co Niemcy go oskarżali. Przebywał potem w Warszawie, a żona z dwojgiem dzieci mieszkała nadal w Nałęczowie. Mój brat i ja bawiliśmy się z młodym Januszem Janickim. W drugiej połowie grudnia 1943 nastąpiła nigdy nie wyjaśniona tragedia. Zaginęła pani Janicka: poszła na wieś po mleko i nigdy nie wróciła. Mimo ogromnych poszukiwań na żaden jej ślad nie natrafiono. Rodzina przypuszczała, że była to przypadkowa zbrodnia albo indywidualna zemsta. Postać burmistrza Janickiego uważam za pozytywną. W bardzo trudnych czasach i warunkach robił co było w jego mocy by chronić Nałęczów i nałęczowian.

Deportacje Żydów

Żydzi nałęczowscy usunięci zostali z terenu gminy w marcu 1942 i przesiedleni do Opola Lubelskiego. Zapewne

1. Michał Tarka, „Dzieje Nałęczowa”, Nałęczów 1989, s. 151, podaje błędne daty urzędowania burmistrzów Nałęczowa w czasie okupacji. Wynikałoby z nich, że Janicki nie był już burmistrzem w dniu egzekucji, a to był najdramatyczniejszy dzień jego urzędowania. Najlepszym źródłem informacji jest szczegółowy, na bieżąco pisany, dziennik Adama Nagórskiego, który jest w posiadaniu autora.

znajdowali się wśród nich dwaj, których pamiętam. Mordka, właściciel jatki przy ulicy Pocztowej, i Majorek, starszy, dystyngowany i mądry pan z długą brodą, zawsze nienagannie ubrany, w czarnym chałacie i czapce z małym daszkiem. Przed wojną odwiedzał czasem babcię Nagórską i odbywał z nią długie rozmowy na tarasie naszej willi.

Wiosną 1943 roku Niemcy transportowali przez Nałęczów grupy Żydów z okolicznych miasteczek, na furmankach lub pieszo, do nałęczowskiej stacji kolejowej. Tam ładowano ich na pociągi i wywożono do któregoś z obozów zagłady. Pociągi nie zawsze podstawiane były na czas. W kolonii Strzelce, przy szosie do stacji, znajdował się przejściowy obóz, w którym okresami więziono jeńców sowieckich. Niemcy wykorzystywali ten obóz dla chwilowego przetrzymywania transportowanych Żydów. Dantejskie sceny, które się tam rozgrywały, widziałem na własne oczy.

Wiadomości o tym co dzieje się wzdłuż wąskiej drogi prowadzącej do stacji szybko rozeszły się po Nałęczowie. Znowu zdawałem sobie sprawę, że są to wydarzenia o historycznym znaczeniu i chciałem stać się ich naocznym świadkiem. Pewnego popołudnia, nie mówiąc nic w domu, wyruszyliśmy tą drogą z moim rówieśnikiem i ówczesnym przyjacielem, Wiktorem Eysymonttem. Pierwsza część naszego spaceru przy śpiewie skowronków, wśród pól z pięknymi widokami Nałęczowa, nie wskazywała na to, co mieliśmy wkrótce ujrzeć. Pamiętam, że ta idylliczna atmosfera wzmagiała zdenerwowanie i napięcie. Jeszcze jeden zakręt, jeden pagórek i znaleźliśmy się w dolinie w kolonii Strzelce. Po prawej stronie drogi był rów wypełniony wrzuconymi w nieładzie trupami Żydów, mężczyzn, kobiet i dzieci w obszarpanych ubraniach. Zapamiętałem młodą kobietę; widać było tylko jej siną twarz, a na ustach jakby zamarły uśmiech. Po drugiej stronie rowu siedziało kilku żołnierzy w mundurach koloru khaki. Nie byli to więc Niemcy, a zapewne Łotysze lub Ukraińcy, których używano do takich zadań. Palili papierosy i pili wódkę, śmieli się. Jeden, ku uciesze pozostałych, wbijał bagnet w stos trupów. Staraliśmy się nie iść za wolno i nie za szybko, nie okazać zainteresowania, nie zwracać na siebie uwagi. Przejście wzdłuż tego rowu to był tylko moment.

Do tej chwili widzieliśmy ofiary już pomordowane. Wkrótce mieliśmy zobaczyć sam proces torturowania i mordowania. Po lewej stronie drogi, w miejscu w którym obecnie znajduje się pamiątkowa tablica, ukazały się druty kolczaste, a za nimi drewniany barak. Zbliżał się wieczór i zgromadzeni za drutami Żydzi mieli zapewne pozostać w obozie przez noc. Niemcy spędzali ich do baraku i usiłovali zaryglować szerokie drzwi. Barak nie mógł wszystkich pomieścić i drzwi nie dawały się zamknąć. Niskiego wzrostu strażnik w zielonym mundurze stał przed niedomkniętymi drzwiami z rewolwerem w ręku. Oddał kilka strzałów przez deski baraku. Po każdym strzale dochodziły z wewnątrz straszne krzyki. Drzwi udało się strażnikom zatrzasnąć. Można przypuszczać, że następnego poranka ów rów po drugiej stronie drogi wypełniał się dalej.

Po chwili już były znów tylko pola, kwitły bławatki. Należało wracać, ale obaj wiedzieliśmy, że tą samą drogą nie wrócimy. Przemykaliśmy się miedzami, zagajnikami, a potem ogrodami do domu. Zapadał zmierzch. Staliśmy się świadkami Holocaustu.

Opowiadał mi kolega, że podczas transportu Żydów przez Nałęczów, Gestapowiec z Puław czy Kazimierza, nazwiskiem Goede², zabawiał się strzelając z myśliwskiej broni do furmanek. Czarny, skórzany gestapowski płaszcz spryskany miał krwią. Incydentu tego nie widziałem, ale wiosną 1942 zetknąłem się z Goedem osobiście. Pojawił się w naszej willi w towarzystwie burmistrza Janickiego, który występował jako tłumacz. Przyszedł by zawiadomić nas, że w ciągu paru dni opuścić mamy willę, która zajęta będzie przez Niemców. Poza mną w domu była tylko moja babcia, Walentyna Nagórska, która leżała chora. Goede stał nade przed nią, w tym czarnym płaszczu, z pejczem w ręku. Dla podkreślenia tego co mówi, bił pejczem w mahoniowe oparcie wiktoriańskiego łóżka babci. Janicki tłumaczył, a babcia, wychowana na tradycjach powstańczych, kiedyś przyjaciółka Prusa i Żeromskiego, któ-

2. Lech Pietrzak, „Kazimierskie fakty i legendy”, Lublin 1991, s. 113, wymienia Goedego (używając pisowni Ghede) przy opisie deportacji kazimierskich Żydów. Nazywa go „arcykatem”.

rzy bywali w tym samym pokoju, zachowała lodowaty spokój. W tydzień później opuściliśmy naszą willę na okres ponad dwóch lat. Według pogłosek, które później krążyły po Nałęczowie, Goede został rozstrzelany przez samych Niemców za popełnione nadużycia.

Skoczek rosyjski

W lecie 1943 dowiedziałem się w wielkiej tajemnicy od jednego z kolegów, że w grotach na Łysogórach spotkać można sowieckich skoczków spadochronowych. Łysogóry to pasmo wzgórz porośniętych lasem, położone wzdłuż łąki i rzeczki Bystrej o kilometr lub dwa od Nałęczowa. Lubiałem chodzić tam na spacery i odwiedzać grotty, w których znaleźć było można zwapniałe muszle i inne geologiczne ciekawostki. W atmosferze okupacji szansa spotkania autentycznego skoczka była niezwykle atrakcyjna. Opowiedziałem o moich zamiarach matce i razem poszliśmy na spacer do Łysogór. Grotty znałem dobrze, wiedziałem która jest największa i od niej postanowiłem zacząć poszukiwania. Mama została na dole, a ja wspiałem się do grotty. W ostatniej chwili przypomniałem sobie o zamiłowaniu Rosjan do zegarków. Miałem na ręku zegarek, który dostałem od ojca przed wojną na urodziny. Schowałem go do kieszeni.

W grocie leżał na sianie młody, przystojny mężczyzna, obok niego dwa karabiny. Nie ulegało wątpliwości kim jest. Stałem jak wryty, nie przypuszczałem, że to będzie takie łatwe, i nie byłem pewien, czym się to może skończyć. Mężczyzna nie zdziwił się wcale moim widokiem, uśmiechnął się i jakby zaprosił. Usiadłem koło niego. Mówił trochę po polsku, ja jeszcze mniej po rosyjsku, ale jakoś nie mieliśmy trudności w porozumiewaniu się. Powiedział, że jest porucznikiem sowieckim zrzuconym na spadochronie, że jest ich dwóch, towarzysza na obserwacji na szczycie góry, a on odpoczywa. Ostrzegłem go, że w pobliskim Nałęczowie są Niemcy, że jest wojskowy szpital, że ma tam letnią rezydencję lubelski gubernator. Mój rozmówca nie przejął się tymi informacjami, ani nie zaprotestował gdy wziąłem do ręki

karabin. W pewnym momencie pokazał mi swój zegarek, zachwalał jaki dobry. Zapominając o ostrożności pokazałem mu mój. Rosjnin szczyrym otworzył go z tyłu i wykrzyknął: „Dwadzieścia jeden kamieni! Szwajcarski! To jest wspaniały zegarek”. Ja zaś pomyślałem, że pewno ostatni raz go widzę. Tak się jednak nie stało. Mój nowy znajomy zamknął zegarek i oddał mi. Mam go do dziś. Na pożegnanie zapytałem, czy on i jego towarzysz czegoś nie potrzebują, mogę przynieść chleb, mleko, jedzenie. Mój ojciec był w tym czasie w wojsku w Anglii i miałem poczucie, że też mógłby być skoczkiem, też potrzebować pomocy. Rosjanin zapewnił mnie, że wszystko mają, a wkrótce zmienią miejsce postoju.

Wybiegłem podniecony, na drodze spacerowała mama. Zdyszany opowiedziałem o tym wspaniałym spotkaniu i namawiałem ją by koniecznie poszła ze mną do groty. Mama trochę inne miała podejście i z propozycji nie skorzystała. Wróciliśmy do domu. Zdawaliśmy sobie sprawę, że absolutnie nikomu o spotkaniu tym nie można powiedzieć, ze względu na ryzyko, większe pewno dla nas niż dla rosyjskiego oficera. Następnego dnia poszedłem do groty ponownie. Nikogo już w niej nie było, a o dalszych losach Łysogórskiego skoczka nic już się potem nie dowiedziałem.

Mała matura i wielki fortel

W Nałęczowie chodziłem na tajne komplety na których przerabiałem w trochę przyśpieszonym tempie kurs drugiej, trzeciej i czwartej klasy gimnazjalnej. W Warszawie zdawać trzeba było małą maturę, by mieć formalnie zaliczone ukończenie gimnazjum. Zdawałem te egzaminy na dwie raty, jeżdżąc w tym celu z matką do Warszawy w połowie września 1943 i na ostatnie dziesięć dni maja 1944. Zatrzymywaliśmy się w mieszkaniu mego wuja Adama Nagórskiego, przy ulicy Lwowskiej 17. W przeciwieństwie do względnie spokojnego Nałęczowa, Warszawa była w tym czasie miastem na wulkanie, każde wyjście na ulice groziło niebezpieczeństwem. Trwała likwidacja zniszczonego, getta, częste zamachy na Niemców powodowały ostre represje i uliczne egzekucje.

Terminy egzaminów z poszczególnych przedmiotów i adresy, na jakie miałem się zgłaszać, otrzymywałem przez telefon w odpowiednio zakonspirowanej rozmowie. Moją legitymacją był bilet wizytowy. Pożółkły i zgnieciony, znajduje się obecnie w moich zbiorach. Widnieje na nim nazwisko Adam Markowski, a na odwrocie wypisane piórem: „Proszę przychylnie załatwić sprawę Marka Rudzkiego. W-wa 13-9-43 AM”. Pojawiałem się o określonej godzinie we wskazanym miejscu. Byłem oczekiwany, a mój bilet stanowił identyfikację. Najczęściej egzamin odbywał się w mieszkaniu profesora, w formie prywatnej, przyjaznej rozmowy. Inaczej było, kiedy zgłosiłem się na egzamin z historii w mieszkaniu na wysokim piętrze kamienicy przy alejach Jerozolimskich. Kiedy zbliżyłem się do drzwi wejściowych usłyszałem szum licznych głosów. Zadzwoiłem i zapadło milczenie. Ktoś uchylił drzwi, pokazałem bilet. Znalazłem się w dużym pokoju w którym odbywała się lekcja historii. Profesor wyjaśnił uczniom cel mego przybycia i zaczął mnie egzaminować. Szło mi nieźle, więc wkrótce zwrócił się do klasy i zapytał: „Czy zdał?” „Zdał!” odpowiedzieli chórem uczniowie. Wyniki egzaminów przekazywane były bezpośrednio do podziemnego Kuratorium. Na moim bileciku znajduje się tylko jedna, ołówkiem zrobiona notatka: „Religia b. dobrze – Jaworski”.

Nie odczuwałem podczas tych egzaminów zwykłego w takich wypadkach zdenerwowania. Zdenerwowanie pozostawiałem ze sobą, na mieście, gdzie było czym się denerwować. I ja i egzaminujący mnie profesor rozumieliśmy, że dokonujemy aktu oporu, że podejmujemy ryzyko w imię wspólnej sprawy – ja będąc tajnym uczniem, a on tajnym nauczycielem. Nie było więc atmosfery „konfliktu” między egzaminującym a egzaminowanym. Nie było tej atmosfery z wyjątkiem jednego wypadku – egzaminu z fizyki. Był to ostatni przedmiot, jaki przyszło mi zdawać, w końcu maja 1944. Otrzymałem adres przy ulicy Królewskiej. Kamienica sprawiała wrażenie ruiny, od zewnątrz wypalona. Wszedłem do bramy – zatrzymał mnie jakiś młody człowiek, sprawdził mój bilecik, skierował na klatkę schodową. Okazało się, że za wypaloną fasadą budynek funkcjonuje jak normalne gimnazjum. Korytarze, klasy, tablice. Nie spodziewałem się tego w

centrum Warszawy. Profesor zaprosił mnie do pustej klasy, ustawił przy tablicy i nastąpiła kompetna kłęska. Fizyka była moim najłabszym przedmiotem, a z napięciem i natężeniem elektryczności pozostałem na bakier do dzisiaj. Mój egzaminator był w bardzo złym humorze, krytykował niski poziom prowincjonalnego nauczania i wręcz dawał do zrozumienia, że jestem osioł. Fizykę oblałem z kretesem. Ostatecznym wynikiem moich wysiłków było zaliczenie małej matury, z poprawką z fizyki, którą w ciągu roku miałem zdać. Zyskałem jednak prawo do rozpoczęcia studiów licealnych.

Groźniejsza niż egzamin z fizyki była przygoda jaka spotkała mnie na samym końcu pobytu w Warszawie, w ostatnich dniach maja. Wracaliśmy z moim o dwa lata starszym przyjacielem, Stanisławem Nehringiem, do domu przy Lwowskiej, spiesząc się by zdążyć przed godziną policyjną. Przy rogu Marszałkowskiej i Chmielnej padły serie strzałów gdzieś za nami. Staś, który mieszkał stale w Warszawie i miał doświadczenie w takich sytuacjach, zarządził: „Uciekamy!”. Biegiem puściliśmy się na Chmielną, aż do ulicy Zgoda, gdzie stanęliśmy by złapać oddech i zorientować się w sytuacji. Strzelanina skończyła się, a nie dosyć zostało czasu by iść okólną drogą przez Kruczą. Zdecydowaliśmy wrócić do Marszałkowskiej. Za późno było się cofnąć, gdy na rogu spostrzegliśmy żandarma, w jasnozielonym mundurze. Czekał na nas. „*Warum haben Sie gelaufen?*” zapytał. Czemu uciekaliśmy? Nic nie odpowiedziałem, zdając sobie jednocześnie sprawę, że cała odpowiedzialność spadła teraz na mnie, bo Staś nie mówił ani słowa po niemiecku. Żandarm zarządził papierów. podałem moją nową Kennkartę, wyrobioną przed samym wyjazdem z Nałęczowa, choć do wymaganych 15 lat życia brakowało mi jeszcze dwóch miesięcy. „*Haben Sie Waffen?*” Czy mamy broń? Pamiętam, jak śmiesznym wydało mi się to pytanie. Gdybyśmy mieli broń, za co była kara śmierci, nie byłoby innego wyjścia niż spróbować jej użyć. Niemiec pomacał nas po kieszeniach i rozkazał: „*Kommen Sie mit!*”, wskazując na przeciwległy róg Marszałkowskiej. Stała tam tak zwana buda, czyli ciężarówka używana do przewożenia więźniów. Ładowano do niej aresztantów. Wiedziałem czym to grozi. W najlepszym razie Pawiak, w najgorszym, jeśli zabi-

to jakiś Niemców w okolicy, egzekucja uliczna. Nie ruszyliśmy się z miejsca, upłynął moment i żandarm zapytał ponownie czemu uciekaliśmy. Zrozumiałem, że może nas wypuści, jeśli dam mu przekonującą odpowiedź na to pytanie, i że mam najwyżej 15 sekund by coś wymyślić, jakiś fortel, jak pan Zagłoba...

Nagle przyszło olśnienie. Tego dnia Niemcy rozlepili nowe propagandowe plakaty. Ostrzegali, że bandy komunistyczne mordują ludność polską w Warszawie, wzywali do udzielania pomocy policji. Zazwyczaj nikt na takie obwieszczenia nie zwracał uwagi, ale szczęśliwym trafem plakat ten rano przeczytałem. Powiedziałem Niemcowi, że usłyszeliśmy strzały i myśląc, że to komuniści strzelają do Polaków, zaczęliśmy uciekać. Kiedy zobaczyliśmy jego, niemieckiego żandarma, stojącego na rogu ulicy, poczuliśmy się bezpieczni i wróciliśmy z powrotem. Fortel podziałał. Żandarm uśmiechnął się, poklepał mnie po ramieniu, powiedział: „*Haben Sie kein Angst*”, proszę się nie bać. Oddał nam papiery. Ruszyliśmy, najpierw powoli, a potem znowu coraz szybciej, choć nogi wydawały się trochę jak z ołowiu. Do domu dotarliśmy w ostatniej chwili przed policyjną godziną. Dopiero potem uprzytomniłem sobie, że miałem w kieszeni bilet p. Markowskiego. Gdyby przy rewizji zapytano, kim on jest, kto ma mi „przychylnie załatwić sprawę” i jaka to jest sprawa to nawet za wstawiennictwem pana Zagłoby nie zdołałbym wymyśleć skutecznego fortelu.

Marek RUDZKI

RECENZJE

Mieczysław PRUSZYŃSKI

BOHDAN SKARADZIŃSKI O WOJNIE 1920

Ogromną żywotność ma polski mit – czytamy w jednym z pierwszych rozdziałów tej książki¹ – według którego „garstka” naszych zмага się z „krociami” wrogów. Często zwycięsko, a jeśli nie, to głównie z powodu niedołęstwa wodzów, domagając się od każdego z nich „znamion geniuszu albo i jeszcze więcej”. Przed wojną Olgierd Górka zakwestionował te „garstki” i te „krocie”. Rok 1919 był idealną pożywką dla tego mitu polskiego. Na zachodzie wystarczyła garść Poznańców, aby pobić Niemców, pod Lwowem dzieci – „Orlęta” pokonały Ukraińców, a na wschodzie Polacy spychali bolszewików dokąd chcieli, za Wilno, Mińsk i Kijów. „I stąd myślowa bezradność, gdy raptownie mieniły się wojenne losy (chyba zdrada?)”, a później, gdy losy wojenne zmieniły się na naszą korzyść – próbowano to tłumaczyć boską interwencją. „A co najciekawsze, manierę tę przyjęła nasza historiografia – międzywojenna i emigracyjna; dane rzeczowe i nieodzowne w każdej wojnie rachunki sił, to w niej zupełna rzadkość,

1. Bohdan Skaradziński, „Polskie lata 1919-1920”, Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 1993.

możliwe głęboko ukryta w literaturze fachowej, najczęściej w formie dwuznacznej i bałatmutnej. Społeczeństwu serwowało się obrazki wyłącznie budujące oraz patriotyczne frazesy”.

Po tym budującym wstępie czyta się z przyjemnością książkę Bohdana Skaradzińskiego o wojnie 1920 r., która po dziesiątkach lat bałwochwalczych zachwyty lub wieszania psów na Piłsudskim daje obiektywny i rzeczowy obraz tej wojny.

Przede wszystkim imponująca jest ilość zawartych w tej książce informacji na temat tła wojny i najrozmaitszych związanych z nią szczegółów. I tak dowiadujemy się, że w roku 1919/1920 był w Polsce wielki nieurodzaj, rolnikom wyznaczano kontyngenty produkcji i dostaw, dla egzekwowania ich wysyłano wojskowe ekspedycje karne, co wywoływało niezadowolenie żołnierzy w nich uczestniczących. Na przednówku na Białorusi wprost głód panował. To prawda, że ludność ukraińska pozostała raczej obojętna na apele Petlury w 1920 r., aby organizować armię i państwo ukraińskie, ale z drugiej strony autor podkreśla, że również pozostała neutralną, gdy wojska rosyjskie wkroczyły do Galicji wschodniej, a w szczególności nie organizowała partyzantki na polskich tyłach. Wiele uwagi poświęcił autor ochotnikom i sformułował następujące wnioski. Utworzyli oni trzon młodych sił zbrojnych, nim można było sięgnąć po pobór obowiązkowy i zasilić armię również ochotnikami – z Francji i Włoch, a także z Odessy, Murmańska i Syberii. Autor szacuje, że do wiosny 1920 r. włącznie przeszło przez szeregi armii do 300 (!) tysięcy tego rodzaju wojaków, z których około 250 tysięcy pozostawało w wojsku nadal. Trzecia część wojska polskiego! Odgrywająca z pewnością rolę jeszcze większą aniżeli sugeruje to statystyka. Dominowali w sztabach jednostek elitarnych – lotnictwa, kawalerii i artylerii konnej, żandarmerii, wojsk technicznych. Tworzyli cały czas kręgosłupy kadrowe liniowych oddziałów piechoty i artylerii, decydujące o ich bitności. Wolno chyba przypuszczać, kontynuuje autor, iż „w polu” a zwłaszcza w pierwszej linii zaangażowanie ochotników było jeszcze większe, nie zdziwiłby się więc precyzyjnym obliczeniom, że na froncie ochotnikiem był zgoła co drugi żołnierz. I przypomina opinię Marszałka

Piłsudskiego: „Śmiałem się zawsze, że nie możemy zatracić charakteru armii ochotniczej, gdyż bije się u nas ten tylko, kto chce, lub wreszcie ten, co jest głupi”.

Autor zwrócił uwagę na dwa doniosłe dokonania ówczesnych najwyższych władz państwowych, które 1 lipca 1920 r., tj. już kilka dni przed rozpoczęciem ofensywy rosyjskiej na Warszawę powołały do życia Radę Ochrony Państwa, a kilka dni później Armię Ochotniczą, dzięki czemu zdążyliśmy przygotować obronę Polski i Warszawy. Warto młodszym czytelnikom przypomnieć, że Rada Obrony Państwa stała się wówczas najwyższą władzą, reprezentującą zarówno Sejm jak i Rząd, i została wyposażona w nieograniczoną, dyktatorską władzę, dzięki czemu „od następnego dnia” mogła sprawnie pracować. Wydała zaraz Odezwę do Obywateli Rzeczypospolitej, w której po raz pierwszy, jasno i po męsku określiła sytuację w kraju: „Ojczyzna w potrzebie!”

Mianowany premierem Wincenty Witos energicznie zaczął wypełniać zadanie, dla którego Piłsudski wysunął go na ten wysoki urząd; skłonić chłopów do walki. Niełatwe to było zadanie w lecie 1920 r. Przede wszystkim był to szczyt robót rolnych. Znany jest epizod, jak belwederski adiutant zjawiwszy się w Wierchosławicach z wezwaniem do Witosza, aby stanął na czele rządu, zastał go przy wywózce gnoju na pole. A po wtóre sąsiad za miedzą, ten z którym należało walczyć, rozdawał ziemię chłopom. Ziemię, o której marzyli od stuleci. Pokusa była wielka. Nic dziwnego, że – jak informuje Skaradziński – Witos opublikował zaraz powieloną w kilku milionach egzemplarzy odezwę:

„Bracia włościanie na wszystkich ziemiach polskich”. Zaczynała się ona od zagrania na wiejskich ambicjach: chłop premierem, bo ratunek państwu dać może tylko lud. Wszyscy mamy dosyć wojny, chcemy pokoju, „Ale nie hańbiącego, nie pokuju za wszelką cenę. Nie wolno nam się hańbić, ani naszej niepodległości zatracić, ani przyszłych pokoleń zaprząć do niewolniczej pracy dla innych (...) Dlatego w tej przełomowej dla państwa, a więc dla ludu polskiego, chwili odzywam się do Was, Bracia, na wszystkich ziemiach polskich, odzywam się nie z prośbą, ale wezwaniem: Niech każdy z Was spełni swój obowiązek!”

Zwrócił się również premier z gorącym apelem do kobiet „Siostry Włościanki! (...) Pędźcie precz ze wsi i zagród swoich tych, co z wojska uciekli (...), gdy Wam grozi zhańbienie i zniszczenie, siedzą w domu i od służby wojskowej się uchylają”. Wreszcie – „każdy wójt, każdy sołtys ma pilnować, aby w żadnej wsi nie było ani jednego dezercera, aby z każdej wsi zdolni do noszenia broni poszli do armii”.

Dezercje w czasie wojny 1920 r. to była prawdziwa plaga. Jak pisze Skaradziński, ich rozmiary stanowiły „bodaj najpilniej strzeżoną polską tajemnicę wojskową”. Nigdzie bowiem nie udało mu się natrafić na jako tako kompetentne dane. (Zauważmy, że w statystykach załączonych do opracowania Władysława Sikorskiego „Nad Wisłą i Wkrą” przy ubytkach żołnierzy występuje pozycja „bez diagn” obejmująca zapewne również dezercerów. Przytoczonym przez autora zdaniem Witosa, liczba dezercerów sięgała kilkudziesięciu tysięcy ludzi, którzy tworzyli bandy, rabowali i nawet mordowali oraz szerzyli nieprawdopodobne wieści o klęskach i niepowodzeniach. A *propos* złoczyńców, to miłą niespodzianką stanowili kryminaliści z więzienia w Grudziądzu, zorganizowani w „ochotniczej kompanii szturmowej”, którym dowództwo wystawiło później opinię: „bardzo dobry pod względem bojowym element żołnierski”).

Jako przewodnik mitów a zwolennik realiów Skaradziński z przyjemnością zanotował, że w związku z organizacją armii ochotniczej Rada Obrony Państwa zarządziła daninę w naturze w postaci 300.000 par butów z cholewami, 300.000 par spodni, 600.000 kompletów bielizny, 300.000 koców wełnianych lub kołder ciepłych, które gminy miejskie i wiejskie miały ściągnąć od mieszkańców. Zarządzenie ze wszech miar słuszne, ale nie dało oczekiwanych rezultatów, skoro tysiące naszych żołnierzy maszerowało i walczyło boso, niekiedy nawet bez spodni (w tym ostatnim wypadku troskliwie władze fasowały im płaszcze).

Skaradziński przedstawia ogromny wysiłek organizacyjny związany z utworzeniem blisko milionowej armii. Piechocie zabrakło butów, kawalerii koni, artylerii armat. W maju 1920 r. w armii służyły 73.323 konie; kosztem ogromnego wysiłku liczbę ich powiększono do 181 tysięcy. Tylko do

grudnia 1919 r. Polska zakupiła i sprowadziła z Francji 1130 dział, poza tym zakupiła pewne ilości armat we Włoszech i w Anglii. Na lotniskach po zaborcach przejęliśmy około 200 samolotów, ale przeznaczonych do natychmiastowego użytku było zaledwie 12. Kilkaset maszyn sprowadzono z Francji, Anglii, Włoch, Austrii i Niemiec – a z każdego kraju odmiennych typów, co powodowało duże trudności w ich obsłudze i zapewnieniu części zamiennych. Król Jerzy V sprezentował Polsce 32 samoloty Havilland i Delfin. W oryginalny sposób dokonano zakupów samolotów w Niemczech. Mianowicie omawiano interes w Berlinie, z kim trzeba, następnie niemieccy piloci „błądzili” nad Poznań, gdzie wyplącano im uzgodnioną gotówkę, a samoloty „internowano”.

Stosunkowo najszybciej zorganizowano piechotę a następnie kawalerię. Największe trudności przedstawiało zapewnienie dział oraz wyszkolenie artylerii. Toteż zdobyło sobie w wojsku popularność inauguracyjne przemówienie generalskie do kandydatów do artylerii: „Piechur cały rozum powinien mieć w nogach. Ułan trochę, ale nie zanadto, wyżej... Wy natomiast, jeżeli nie będziecie mieć go w głowie, to możecie pozabijać towarzyszy albo i siebie samych, nie ruszając się nawet poza plac ćwiczeń”.

Wśród niezliczonej ilości informacji o wojnie 1920 r. znajdujemy w książce Skaradzińskiego również jedną na temat nadawania orderów *Virtuti Militari*. I tak gen. Rydz-Śmigły został upoważniony do przedstawienia 30 wniosków za kampanię łotewską, gen. Sikorski 30 wniosków za zdobycie Mozyrza i Kalenkowicz, największy przydział odznaczeń zarezerwował Marszałek dla operacji, którymi dowodził osobiście (120 dla kontrofensywy z nad Wieprza i 100 za bitwę nad Niemnem). Autor nie przypuszcza, że na takim rozłożeniu propozycji zawążyły presonalne względy Naczelnego Wodza.

Znane ogólnie informacje o mordowaniu jeńców, zwłaszcza przez kawalerie rosyjską, uzupełnia autor relacją podważającą mniemanie ogółu historyków polskich, że Polacy – a w szczególności na wojnie – to naród o anielskiej łagodności. Mianowicie porucznik Józef Szostak (później pułkownik z Komendy Głównej AK) napisał, iż w 7. pułku ułanów dowódca rtm. Zygmunt Piasecki (późniejszy generał) wydał

właśnie rozkaz, aby ...nie przyprowadzać żadnych jeńców. Rotmistrz miał być wściekły za śmierć podporuczników Pohoskiego i Bielińskiego, „zarąbanych” w nieznanych okolicznościach. Nasz autor prowadził patrol. „Dojeżdżając do jakiejś wsi – czytamy – zobaczyłem kryjącego się pod przydrożnym krzyżem, oberwanego i nędznego bolszewika, który podnosząc ręce do góry (...) jęczał: ‘pan, nie ubiawaj!’” Nie miałem sumienia mordować bezbronnego i kazałem zabrać go (...). Na końcu złapaliśmy grupkę ubranych w skórzane kurtki bolszewików. Poddali się (...). Był to oddział łączności artyleryjskiej grupy uderzeniowej. Zabrałem i ich, za co dostałem wymówkę od rtm. Piaseckiego. Na drugi dzień kazał ich wszystkich rozstrzelać. Bardzo mi się to nie podobało. Wojna wojną, ale to było morderstwo niegodne prawdziwych rycerzy.”

Autor cytuje rozkaz dowódcy 5. Armii, gen. Sikorskiego, w którym znajduje się taki, bezprecedensowy w W.P. passus:

„Jako represję za wymordowanie 150 wziętych do niewoli żołnierzy polskich oraz za gwałty (...) przy ataku na Płock nakazuję nie brać jeńców z przedzierającej się kolumny nieprzyjacielskiej, odnosić to specjalnie do Kozaków kubańskich, którzy właśnie spowodowali mord”. Późniejszy rozkaz z tegoż dnia zawiera jednak wskazówkę: „Jeńców należy kierować do Modlina”. W meldunku sytuacyjnym 5. Armii z dnia następnego, 24 VIII, godz. 24.00, znajdują się natomiast informacje następujące: „W odwecie za 92 szeregowych i 7 oficerów, pomordowanych w okrutny sposób przez 3. korpus kaw. sow. rozstrzelano w dniu dzisiejszym na miejscu egzekucji własnych żołnierzy 200 wziętych do niewoli kozaków. Rozstrzelania dokonali żołnierze 49 pp., do którego należeli pomordowani”.

Wśród niezliczonej ilości informacji dotyczących wojny 1920 r. znalazły się również o przygotowaniach szpitali do bitwy warszawskiej. I tak dowiadujemy się, że w dniach od 8 do 10 sierpnia wywakuowano 6 pociągami sanitarnymi z górą 2.500 rannych i chorych. W wyniku tych przygotowań w przededniu bitwy miano do dyspozycji 8.000 łóżek w szpitalach warszawskich. Ponadto połowe szpitale zorganizowano w pobliżu pola bitwy w Markach, Jabłonie, Zegrzu, Pustel-

niku, Wawrze, a nawet w odległym Wilanowie i Błoniu.

W obawie rozruchów organizowanych przez komunistów porządku w Warszawie strzegły oddziały wartownicze, niemal pułk żandarmerii wojskowej i policja, jak również Straż Obywatelska – z bronią lub bez – w sile kilkunastu tysięcy ludzi, starszych lub najmłodszych wiekiem. Zbudowano w Warszawie most pontonowy, a w Jabłonie i Górze Kalwarii stały w pogotowiu promy parowe. Mosty otrzymały oficerskie kontrole ruchu, wojskowe warty i żandarmów z karabinami maszynowymi.

Autor zadał sobie trud wyliczenia, jak daleko mit o naszej milionowej armii w r. 1920 odbiegał od rzeczywistości wojennej, tj. jaką liczbą żołnierzy dysponował Naczelny Wódz na polu walki. W tym celu przyjął jako podstawę kalkulacji ogólny stan liczebny wojska polskiego, który na dzień 1 maja 1920 r. wynosił około 750 tysięcy, z których około 350 tysięcy było oddanych do dyspozycji Naczelnego Wodza, tj. wedle ówczesnego określenia, znajdowały się „w polu”. Pozostałe około 400 tysięcy żołnierzy stanowiły „wojska krajowe” podlegające kompetencji ministra spraw wojskowych i dowódców „okręgów generalnych”.

„Wojska krajowe” stanowiły zaplecze i bazę, czasem też rezerwy na czarną godzinę, zaś „wojska w polu” były właściwym narzędziem zbrojnym.

Wedle wyceny Skaradzińskiego z wyżej wymienionej liczby 350 tysięcy żołnierzy znajdujących się w dyspozycji Naczelnego Wodza mniej więcej połowa – około 176 tysięcy – to byli żołnierze walczący w pierwszej linii: „bagnety”, tj. piechurzy, „szable”, tj. kawalerzyści oraz pozostali żołnierze biorący udział w walce, a więc artylerzyści, łącznościowcy, aparat dowodzenia. Pozostała połowa żołnierzy znajdujących się w dyspozycji Naczelnego Wodza, tj. około 174 tysięcy stanowiła obsługę żołnierzy walczących. (Tu dygresja recen-zenta: Oczywiście po stronie rosyjskiej sytuacja była podobna. Wspomagała walczące armie również ogromna liczba żołnierzy służb zaopatrzenia. Gdy wojska walczące poniosły klęskę, to poszczególne walczące bataliony, szwadrony czy kompanie, choć rozproszone, wkrótce częściowo skupiały się wokół swych dowódców ...i kuchen polowych, podczas gdy żołnie-

rze „tyłów”, niezorganizowani w jednostki walczące, najłatwiej ulegali panice i masowo trafiali do niewoli. Opierając swe oceny na dziesiątkach tysięcy wziętych do niewoli jeńców, przeważnie ze służb tyłowych, nasze sztaby przekonane o zniszczeniu nieprzyjacielskich dywizji, po paru tygodniach ze zdziwieniem stwierdzały, że figurowały one nadal w nieprzyjacielskim *ordre de bataille*, i że znów – choć może mniej ochoczo – podejmowały walkę. Tak było po „zdobyciu” Kijowa i powtórzyło się nad Niemnem, kiedy zaskoczył nasze atakujące oddziały niespodziewanie mocny opór stawiany przez dywizje 3. i 15. armii rosyjskich, które się wycofały znad Wisły i Wkry. Koniec dygresji autora.)

Skaradziński przedstawia czytelnikowi główne operacje wojny 1920 r. Zaczyna od zdobycia Mozyrza i Kalenkowicz przez poleską grupę wojska pod dowództwem gen. Sikorskiego w marcu 1920 r. Celem tej operacji było przecięcie linii kolejowej łączącej Kijów – przez Korosteń, Kalenkowicze i Olszę z frontem północnym, co miało duże znaczenie dla przygotowywanej właśnie „wyprawy kijowskiej”. (Trudno zrozumieć dlaczego w opisie działań wojennych 1920 roku autor pominął kampanię łotewską w styczniu tegoż roku?) Dużo miejsca poświęcił autor „marszowi” na Kijów, jak się wyraził i słusznie, bo „zdobycia” Kijowa w rzeczywistości nie było.

O ile idzie o wyprawę kijowską, to autor albo w ogóle nie wskazuje błędów popełnionych przez Naczelne Dowództwo, albo czyni to nie dość jasno. Tymczasem były one następujące:

Zlikwidowanie w przeddzień wyprawy dowództwa frontu południowego, a po zajęciu Kijowa naszej 2. Armii; gdy wkrótce potem Rosjanie rozpoczęli ofensywę, okazało się koniecznym znów zorganizować dowództwo frontu oraz z powrotem odtworzyć 2. armię. W ogniu walki stanowiło to dodatkowe utrudnienie.

W wyprawie kijowskiej nie zastosowano manewru na dużą skalę: mocnego uderzenia również z kierunku Polesia, w celu odcięcia od Dniepru i zniszczenia obu armii sowieckich znajdujących się na prawobrzeżnej Ukrainie.

Niepotrzebna, przeszło tygodniowa zwłoka z zajęciem

Kijowa umożliwiała Rosjanom wyewakuować za Dniepr tysiące żołnierzy z wycofujących się armii oraz bogate zapasy wojenne, co im pozwoliło szybko zreorganizować swe dywizje.

Po zajęciu przez wojska polskie Kijowa nie ugrupowano wojsk na południu od niego tj. na kierunku, z którego nadciągała Konna Armia. Co gorzej, Śmigły zaangażował część swych sił po drugiej stronie Dniepru na przeciw Kijowa, co było bardzo dogodne dla Rosjan, bo wiązało tam polskie wojska zamiast je ugrupować na południu na spotkanie Konnej Armii.

Autor przedstawił zabawne epizody związane z zajęciem Kijowa, m.in. jak przed piechotą oczekującą na sygnał do natarcia na miasto, którego nikt nie zamierzał bronić, pierwszy wkroczył a raczej wjechał tramwajem do śródmieścia patrol szwoleżerów. Następują wstrząsające opisy walk naszych wojsk z kawalerią Budionnego, gdy ta przerwała front i wyszła na nasze tyły. Ponieważ Skaradziński nie pisał swej książki „dla pokrzepienia serc”, więc przedstawił poważne błędy naszych dowódców na szczeblach frontu i armii (którzy oddzieleni kilkudziesięcioma kilometrami od pola bitwy nie mogli wydawać w porę niezbędnych rozkazów) oraz na szczeblach dowódców dywizji i brygad, którzy zamiast udzielać pomocy atakowanym sąsiednim oddziałom, sami nie atakowani „pracowicie umacniali własne pozycje”.

Autor wydaje się raczej łaskawym dla Śmigłego, nie zauważając, a w każdym razie nie podkreślając jego błędów w dowodzeniu, najprzód w Kijowie, następnie na Wołyniu, gdy został dowódcą południowego frontu. Nie zapomniał ich jednak Naczelnny Wódz: jeszcze cztery lata po wojnie w jego książce o wojnie 1920 r. znalazło się pod adresem Śmigłego zdanie, iż wycofał swe wojska z Kijowa, „jak gdyby omijając starannie możliwości zetknięcia się z armią Budionnego”, oraz drugie: „kilka prób zarządzonych przeze mnie by zgrupować uderzenie na armię Budonniego z paru stron (...) zawsze spełżyły na niczym z powodu jakiejś fatalnej niemożliwości zgrania kilku jednostek wojskowych dla wspólnie czynionego manewru”. A kto był odpowiedzialny za zgranie „jednostek wojskowych”, tj. dywizji? Oczywiście dowódca frontu.

Również łaskawym okazał się autor dla (ówczesnego)

pułkownika Rybaka, dowódcy grupy operacyjnej na Polesiu, który samowolnie zmieniając rozkaz Naczelnego Wodza dopuścił do klęski pod Malinem i niepotrzebnej choć bohaterkiej śmierci rotmistrza Stanisława Radziwiłła, adiutanta Marszałka, wówczas przydzielonego do 7. Brygady Kawalerii jako szef jej sztabu.

Z kolei następuje opis obu ofensyw Tuchaczewskiego na Białorusi, odwrotu naszych wojsk, przerwane na kilkanaście dni bitwą nad Bugiem i Narwią. Była to ważna bitwa, nie dość oceniana, a na pewno nie dość opisana przez naszych historyków. Ważna, bo tam wreszcie stawiliśmy – po raz pierwszy w czasie odwrotu od Dźwiny – poważny opór wojskom Tuchaczewskiego i zapewniliśmy Naczelnemu Dowództwu 8 czy 10 dni czasu, niezbędnego dla przegrupowania wojsk do bitwy warszawskiej.

Wiele uwagi poświęcił autor bitwie warszawskiej, m.in. chlubnym czynom jej żołnierzy, przede wszystkim kapitana Downar-Zapolskiego, który pod Radzyminem, gdy w pewnej chwili nasze oddziały ogarnięte paniką uciekały w popłochu, na czele dowodzonego, zresztą słabego, batalionu, powstrzymał rosyjskie natarcie i uratował sytuację, choć sam padł śmiertelnie ranny. Naszym dowódcą, przede wszystkim dowódcą 1. Armii, broniącej Warszawy, nie szczędzi słów krytycznych. Ugrupowanie dywizji tej armii na przedpolu stolicy uważa – i słusznie – za niewłaściwe. I tak na najbardziej zagrożonym kierunku Radzymina postawiono naszą najsłabszą dywizję 11., zaś najlepszą dywizję 1. Armii, 15. na bocznym kierunku, z dala od głównych walk. „Dowodzenie naszą główną siłą ogniową na warszawskim przedmościu stanowi temat żałosny, zgłębiania którego autor świadomie unika” – czytamy. Po czym autor ironizuje: W boju pod Wólką Radzywiłłską „Opatrzność Boska – która wobec całkowitej indolencji dowództwa naszej 1. Armii, 11. dywizji oraz 48. pp. przejęła pełną odpowiedzialność – i tak okazała się dla Polaków łaskawa”. Następnie – zdaniem autora – 1. Armia nazbyt jednostronnie nastawiona na obronę stolicy, „przegapiła” zasadniczą zmianę sytuacji po 16 sierpnia, gdy zagrożenie Warszawy minęło, powinna była przeszkodzić Rosjanom w zorganizowanym odwrocie, czego nie uczyniła,

choć „sił po temu nie brakowało”. Dostało się tu i najwyższym wodzom: zdaniem autora dowódca frontu, gen. Józef Haller, zbyt dużo czasu spędzał na rozjazdach w pobliżu frontu – efektywnych ale nie efektywnych – a za mało przy „pulpicie sterowniczym”, gen. Weygand nie potrafił ogarnąć całokształtu sytuacji oraz miał panikarskie skłonności, a Naczelnego Wodza zabrakło w tych decydujących dniach w Warszawie, „gdzie był bardzo potrzebny”.

Co się tyczy Bitwy Warszawskiej, to Skaradziński świadomie nie dyskutuje autorstwa planu tej bitwy (jak to z pasją czyniono przed 1939 r.), słusznie uważając, że to nie ma znaczenia, ponieważ przygotowanie planów bitew jest normalnym zadaniem sztabów.

Warto tu podkreślić, że Skaradziński nie zgadza się ze sformułowaną swego czasu przez Marszałka Piłsudskiego ostrą krytyką ugrupowania wojsk do bitwy warszawskiej, mianowicie, że było ono „absurdem” i „nonsensem”, ponieważ za dużo wojska przeznaczono dla obrony Warszawy, a za mało dla uderzenia z nad Wieprza. Dziś nie ulega wątpliwości, że ugrupowanie to było jak najbądźj prawdziwe.

W związku z opisem bitwy warszawskiej nasuwa się uwaga, że autor niesłusznie rozciąga ją w czasie do 25 sierpnia, tj. do chwili kiedy ostatnie wojska rosyjskie schroniły się za granicą Prus Wschodnich i za Niemnem. Bitwa warszawska trwała od 13 do 17 sierpnia, kiedy wojska rosyjskie rozpoczęły odwrót spod Warszawy. Następny okres bojów to był pościg za uchodzącym nieprzyjacielem, który trwał od 18 do 25 sierpnia. Regulaminy służby polowej wszystkich armii przewidują dwie odrębne fazy działań wojennych: bitwę i pościg. Dla oczywistych względów politycznych historycy i publicyści wliczyli niesłusznie fazę pościgu (którym dowodził Piłsudski) do bitwy warszawskiej.

Wydaje się, że dwa zgadnienia związane z najwyższym szczeblem dowodzenia, umknęły uwadze autora. Pierwsze to fakt, że w ciągu ostatnich kilkunastu dni poprzedzających bitwę warszawską dokonano na najwyższym szczeblu dowodzenia doniosłych zmian personalnych. Mianowano nowego szefa Sztabu Generalnego (Rozwadowskiego), nowego Ministra Spraw Wojskowych (Sosnkowskiego), nowego dowód-

cę frontu północnego (J. Hallera), nowych dowódców trzech armii tego najbardziej zagrożonego frontu (Latinika, Sikorskiego, Roję).

Dziś trudno jest sobie wyobrazić doniosłość tych zmian, które mogły przecież zdeorganizować na pewien czas dowodzenie, co na szczęście nie miało miejsca.

Co więcej, w tym decydującym okresie połowy sierpnia nastąpił kryzys na najwyższym szczeblu dowodzenia. A więc, uznając sytuację za beznadziejną, gen. Dowbór-Muśnicki odmówił przyjęcia dowództwa frontu południowego; na wniosek premiera Witosa pozbawiono dowództwa 2. Armii gen. Roję, który uznał wojnę za przegraną i domagał się usunięcia Piłsudskiego; wreszcie na wniosek szefa Sztabu Generalnego odwołano dowódcę frontu południowego, gen. Iwaszkiewicza (który zaproponował rezygnację z obrony Lwowa i wycofanie wojsk za San, jak zalecali Francuzi) i na jego miejsce wyznaczono gen. Lamezana-Salinsa.

Jak wiadomo, w przeddzień bitwy warszawskiej, 12 sierpnia, wyjeżdżając do Dęblina, Piłsudski wręczył premierowi Witosowi swą dymisję ze stanowiska Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza. „Motywacja tego kroku nie jest dla mnie przejrzysta” – napisał autor i snuje na ten temat różnorakie przypuszczenia. Zdaniem recenzenta być może istnieje jakiś związek między dymisją Piłsudskiego a propozycją rządów Wielkiej Brytanii i Francji z dnia 10 sierpnia, że dostarczą Polsce uzbrojenie dla 22 dywizji naszego wojska (tyle ich wtedy mieliśmy) pod warunkiem, że pozbawi się Piłsudskiego stanowiska Naczelnego Wodza i przekaże aliantom faktyczne dowodzenie armią polską. Zatem w chwili wyjazdu na front oddawał Piłsudski rządowi atuta swojej osoby.

Rozsądne stanowisko zajął autor w stosunku do znanej tezy lorda d'Abernona, że bitwa warszawska ocaliła Europę od bolszewickiej rewolucji. Polacy tę tezę przyjmują na ogół z zachwytem. Autor uważa ją za dyskusyjną. Teza jest oczywiście fałszywa. Ponieważ, po pierwsze, aby „ponieść żagiew rewolucji na zachód” – jak wołali bolszewiccy krzykarze – wojska rosyjskie powinny wkroczyć do Niemiec. Tymczasem władze rosyjskiej oficjalnie wtedy zakomunikowały, że ich wojska nie przekroczą granicy Niemiec. A po wtóre, gdyby próbowały je

przekroczyć to nie ulega wątpliwości, że armia niemiecka pobiłaby je na głowę. (Rewolucja komunistyczna w Niemczech już rok przedtem straciła poparcie społeczeństwa.)

Opis bitwy nad Wkrą zaopatrzył autor tytułem „Wielkie dni gen. Sikorskiego”. Nie bardzo rozumie, dlaczego powołano go na stanowisko dowódcy 5. Armii, utworzonej w pierwszej dekadzie sierpnia. Nie był zawodowym wojskowym ale samoukiem, o zacięciu głównie działacza politycznego, miał lat 39, poprzednio dowodził tylko dywizją i to w specjalnych warunkach na Polesiu, gdzie dopuścił do utraty, niemal bez obrony, twierdzy w Brześciu. Chyba lepszym kandydatem na stanowisko 5. Armii byłby, zdaniem autora, gen. Żeligowski, o bez porównania większym doświadczeniu, świetny dowódca. Sikorski przybył z Polesia do Warszawy 9 sierpnia a 4 dni potem dostał od nieco spanikowanego dowódcy frontu rozkaz uderzenia już nazajutrz ze swą – jeszcze nie zupełnie gotową do boju – armią na nieprzyjaciela (aby odciążyć zagrożoną Warszawę).

Skaradziński napisał: „Gen. Sikorski ani nie chciał, ani nie mógł bronić swego rejonu biernie; to bowiem skazywałoby go z góry na porażkę”. Choć przeciw swej słabej armii miał trzy armie, zaryzykował atak. Szczęście mu sprzyjało i zwyciężył. (Uwaga recenzenta: Być może, że Sikorski, jako inteligentny dowódca, zdał sobie sprawę, że nasi żołnierze, poważnie nie umiejący strzelać, wobec nieskuteczności własnego ognia słabo wytrzymywali walkę obronną i znacznie lepiej walczyli atakując). Książka Skaradzińskiego pokazuje nam nie tylko bohaterstwo naszego wojska jak i opłakane skutki częstego kierowania na front nie umiejących strzelać żołnierzy, którzy zbyt często ulegali panice na widok kroczących naprzód, bez strzału, rosyjskich tyralier.

Stosunkowo wiele uwagi poświęcił Skaradziński walkom nad dolną Wisłą, mniej znanym, bo przyćmionym doniosłością bitwy warszawskiej. Znajdujemy oczywiście opis obrony Płocka, za udział w której został przez Naczelnego Wodza osobiście odznaczony Krzyżem Walecznych 11-letni Tadzik Jeziorowski (w latach późniejszych kolega autora mniejszych słów w Lwowskim Korpusie Kadetów, który jako pilot myśliwski zginął we wrześniu 1939 r.). Niezwykły jest

obraz „bitwy morskiej” stoczonej na Wiśle koło Włocławka przez oddziały 10. kawaleryjskiej dywizji Gaj Chana z uzbrojonym statkiem flotylli wiślanej „Moniuszko”, konwojującym barki z... żywnością amerykańską. Gdy podziurawiony kulami statek osiadł na mieliźnie, załoga wymontowała zeń ciężką broń i, osiągnąwszy wpław „polski” brzeg, podjęła wymianę ognia na nowo. Poległ dowódca, podrucznik marynarki Pieszkowski (nieznanego imienia) i kapitan wodniak (nieznanego nazwiska i imienia). Bitwa niedobrze się zakończyła dla 10. dywizji czerwonej kawalerii, bo delektując się nad miarę zdobytymi delikatesami, dywizja leczyła brzuchy lub zażywała kąpieli wiślanej, gdy w tym czasie, w odległości setki kilometrów, ważyły się losy bitwy warszawskiej.

Ciekawe są uwagi autora o bitwie naszej dywizji jazdy z dwoma dywizjami Konnej Armii Budionnego pod Komorowem w dniu 30 sierpnia 1920 roku – tej „ostatniej bitwy kawalerii w historii świata, jak ją się określa. Bitwa ta w połączeniu z famą „konarmii” aż prosiła się – zdaniem autora – o mitotwórstwo, które też robiono z „kawaleryjskim iście rozmachem”. Ułańscy propagandziści (por. „Księga Jazdy Polskiej”) – pisze autor – prezentując rzetelną bojową robotę „gubili często poczucie przyzwoitości, monopolizując sobie zasługi i wyolbrzymiając rozmiary rosyjskiej klęski, bo przecież Budionny raz jeszcze wymknął się z osaczenia”.

Autor wspominał również w swej pracy o głośnym zagonie naszego korpusu kawalerii w ostatnich dniach wojny na Korosteń, ważny węzeł komunikacyjny na drodze do Kijowa, położony o setkę kilometrów za ówczesnym frontem. Jeśli wierzyć naszej oficjanej „Księdze Jazdy Polskiej” – pisze autor – to „chodziło o dalekie rozpoznanie i zdezorganizowanie tyłów, o wymuszenie na bolszewikach większej ustępliwości w toczących się już w Rydze rokowaniach pokojowych. Wielka bujda! W międzyczasie archiwa wojenne polskie i francuskie wykazały, że prawdziwym celem tego zagonu było odciągnięcie uwagi wojsk rosyjskich na Ukrainie i Polesiu od wkraczających tam wtedy oddziałów Petlury i Bałachowicza, które nie uznając Traktatu Ryskiego, postanowiły kontynuować wojnę z bolszewikami.

Na tym kończymy nasze uwagi na temat książki Bohdana Skaradzińskiego. Zawiera ona prawdziwą wiedzę na temat wojny polsko-rosyjskiej 1920 r. Zrywa z mitami i fałszywymi mitami, nie mówiąc już o bzdurach wypisanych na jej temat od lat kilkudziesięciu.

Daje prawdziwy obraz tej wojny. Polecamy czytelnikom jej lekturę.

Mieczysław PRUSZYŃSKI

Andrzej ŁODYŃSKI

KRONIKARZ KONINA

Kilkusetstronicowa opowieść o prowincjonalnym, przedwojennym miasteczku „gdzieś w Polsce” zrobiła światową karierę, trafiając na brytyjskie listy bestsellerów.

Od wczesnego dzieciństwa brytyjski dziennikarz i filmowiec Theo Richmond słyszał powtarzane niczym zaklęcie, tajemnicze słowo „Konin”. Ilekroć w domu jego rodziców zjawiali się krewni czy przyjaciele, tylekroć w zgiełku niezrozumiałych dźwięków potrafił wyłowić jeden; „Konin, Konin, Konin”. Z czasem dowiedział się, że jest to nazwa miasteczka w nieznanym mu kraju, z którego wywodzą się jego żydowscy przodkowie. Szukanie rozproszonych po świecie śladów tego dawnego Konina zajęło mu przeszło siedem lat i zaprowadziło w tak różne miejsca jak skup złomu w Dallas, stary warsztat metalurgiczny w Nebrasce czy nowoczesny kibutz pod Tel Awiwem. Rezultatem tych poszukiwań jest zdumiewająca kronika nieistniejącego już dziś świata.

Na krótko przed I wojną światową 20-letni Simcha Ryczke spakował cały skromny dobytek w jeden kufer i opuścił rodzinny *sztetl* w nadziei na lepsze życie. Osiedlił się

w londyńskim East Endzie, gdzie wkrótce ściągnął jego ziomek i przyszyły teść wraz z rodziną. Kiedy Theo przyszedł na świat, jego rodzice, Simcha i Berta, zdążyli już zmienić nazwisko z Ryczke na bardziej angielsko brzmiące Richmond i na tyle się ustabilizować, że mogli posłać syna na dobry uniwersytet.

Przez wiele lat Theo miał tylko mgliste pojęcie o konińskiej przeszłości rodziców i dziadków. Odebrał normalną angielską edukację, nie interesował się szczególnie tradycją ani religią. Pamięta, że jako dziecko wstydził się przed kolegami ubierającej się tradycyjnie na czarno i opłukującej się niemal wyłącznie jidysz babki, która mieszkała w tym samym domu. Rodzice nie chcieli zanudzać syna – skauta, studenta, angielskiego intelektualisty – wspomnieniami o własnym dzieciństwie. Konin wdarł się w jego życie dosyć niespodziewanie, kiedy któregoś dnia listonosz doręczył mu przesyłkę zawierającą opasły tom pod nazwą „Księga Pamiątkowa Konina”. Przypomniał sobie wówczas, że ojciec prosił go kiedyś o finansowe wsparcie dla tego projektu, będącego wspólnym dziełem rozrzuconych po świecie Koninian. Ale przez następne dwadzieścia lat księga spoczywała bezużytecznie na półce, gdyż jej właściciel nie znał języków – jidysz, hebrajskiego i polskiego – w których została napisana.

Theo był już po pięćdziesiątce, kiedy po śmierci obojga rodziców postanowił opanować jidysz, i zaczął zgłębiać odległą przeszłość. Był to już ostatni dzwonek, gdyż – jak mówi autor – liczba rozsianych po świecie mieszkańców konińskiego *sztetla*, którzy zdołali przeżyć zagładę, topniała dosłownie z miesiąca na miesiąc.

Z okrucich rozmów, wspomnień i wywiadów Theo Richmond składa obraz typowego polsko-żydowskiego miasteczka. Dowiadujemy się, gdzie był cmentarz a gdzie synagoga, którędy szło się do mykwy a którędy do chederu, gdzie handlowano garnkami a gdzie świeżą rybą, kto się z kim żenił i kto był czyim stryjem, kto się z kim procesował i o co, jak kiszono na zimę ogórki i jak wypiekano macę. Richmond jest przy tym nieustannie na tropie własnych krewnych i przodków, wciąga nas w rodzinne historie, na kanwie których dałoby się napisać niejedną powieść w stylu Singera czy Alejchema. Z czasem z tych luźnych fragmentów, niczym ze szczątków roztrzaskanego zwierciadła, wyłania się jednolita całość. W którymś momencie, nie wiadomo dokładnie jak, sami znajdujemy się w Koninie.

Cóż to musiała być za dziura! Z dała od szerokiego świata, od teatrów i kawiarni, kin i bibliotek. Leopold Infeld, znany fizyk, w późniejszym okresie współpracownik Einsteina, spędził w Koninie dwa ponure lata jako dyrektor świeckiego gimnazjum żydowskiego. Dwa lata katongi, które wspomina później ze zgrozą. Infeld zachował w pamięci obraz ulic bez chodników, gdzie wiosną i jesienią tonęło się w błocie, skarżył się na brak kanalizacji i brak dostępu do książek. A przecież Konin, jak zauważa Theo Richmond, miał w owym czasie zupełnie imponującą bibliotekę, pełną dzieł klasyki polskiej i obcej w kilku różnych językach. Jeden z jego rozmówców wspomina: „W porównaniu z tym, jak żyjemy dziś w Ameryce, klepaliśmy wówczas biedę, ale mimo to czułem się tam bardzo szczęśliwy”. Jednak dla ludzi takich jak Infeld Konin był przede wszystkim zapadłą prowincją, z której za wszelką ceną należało się wyrwać. (Jednym z tych, którym się to udało był niejaki Michael Goldwasser; wiele lat później jego sławny potomek, senator Barry Goldwater, miał powiedzieć, kiedy odmówiono mu członkostwa w ekskluzywnym klubie golfowym ze względu na „podejrzany” koniński rodowód: „Ponieważ jestem Żydem tylko po ojcu, to może pozwolicie mi przynajmniej rozgrywać połowę meczu”).

Żydzi zaczęli osiedlać się w okolicach Konina w czasach Kazimierza Wielkiego, uchodząc przed pogromami w zachodniej Europie (pogromy na wschodzie miały się zacząć później, co w drugiej połowie ubiegłego stulecia zapoczątkowało kolejny exodus, tym razem w odwrotnym kierunku). W roku 1883 w Koninie żyło około trzech i pół tysiąca Żydów. 52 procent ogółu mieszkańców. Później liczba ta zaczęła stopniowo spadać.

Polacy i Żydzi mieszkający przez kilkaset lat razem w jednym miejscu tworzyli dwa odrębne, z rzadka tylko przenikające się światy. Mało o sobie wiedzieli i jeszcze mniej chcieli wiedzieć. Pozostawali najczęściej wzajemnie nieufni i podejrzliwi. Żydzi, jako mniejszość, nigdy nie czuli się zbyt pewnie. Wybuchy jawnej wrogości zdarzały się nieoczekiwanie. W latach 30-tych endeckie bojówki coraz częściej pikietowały żydowskie sklepiki, wzywając do bojkotu towarów („Nie kupuj u Żyda”). Hitlerowski najazd okazał się dla obu narodów czasem najwyższej próby.

Konińska legenda głosi, że w pierwszych dniach wojny miasto uratowały przed zniszczeniem dzikie kaczkki. Kiedy

nadleciały niemieckie bombowce, w powietrze wzbic się miała ponoć chmara ptactwa, którą piloci wzięli za ogień przeciwlotniczy. Zrzucili więc bomby, gdzie popadło – na łąki nad Wartą – i szybko odlecieli. Jednakże już w kilka godzin po wkroczeniu do miasta Niemcy żołnierze wywlekali na ulicę modlących się w synagodze Żydów i rabowali żydowskie sklepy. A mimo to wciąż mało kto przeczuwał, co wkrótce nastąpi.

21 września 1939, na dwa dni przed Jom Kippur, koniński rabin Jakob Lipschitz zwołał naradę starszych gminy żydowskiej. Uradzono, że jeśli tylko w odpowiedni sposób wyłuszczy się sprawę Niemcom, to na pewno uszanują Świątynię, najważniejsze przecież żydowskie święto! Taka była miara ówczesnej naiwności. Na czele delegacji miał stanąć Leon Monczka, członek rady miejskiej i właściciel tartaku znający doskonale niemiecki. Przedstawiciele kahału udali się więc do Monczki, który spędził ostatnie dwa tygodnie próbując bezskutecznie wymknąć się z Konina. Brudny, głodny i nieprzytomny ze zmęczenia Monczka wysłuchał z niedowierzaniem ich prośby i miał tylko tyle siły, żeby mruknąć: „zaczekajmy do jutra”. Następnego dnia o piątej rano obudziło go walenie kolbami w drzwi. Wraz z piętnastoma zakładnikami polskimi i czternastoma żydowskimi Monczka znalazł się w budynku więzienia na Wodnej. Z tej grupy Niemcy wybrali dwie osoby, Polaka Aleksandra Kurowskiego i Żyda Mordechaja Słodkiego, którzy zostali pokazowo rozstrzelani na głównym rynku.

„Egzekucja Polaka i Chasyda – pisze Theo Richmond – była widocznym dla wszystkich symbolem wspólnego cierpienia. Chciałoby się powiedzieć, że zbliżyła do siebie oba narody, ale tak się nie stało. Obie strony skoncentrowały się na własnym losie. Żydzi czuli się bardziej zagrożeni, mając tylko nikłą nadzieję na wsparcie i ochronę ze strony swych chrześcijańskich sąsiadów. To prawda, zdarzały się akty odwagi i humanitaryzmu wobec Żydów, być może nie tak częste jak Polacy chcieliby dziś twierdzić, ale i nie tak rzadkie jak niektórzy ocaleni Żydzi gotowi są przyznać”. Być może trzeba było właśnie kogoś takiego jak autor „Konina”, kto z oddalenia, z angielskim dystansem, potrafiłby spojrzeć na jakże trudną i nabrzmiałą kwestię stosunków polsko-żydowskich podczas wojny bez wyraźnych stereotypów i uprzedzeń. Pod tym względem „Konin” różni się w tonie od „Shoah” Claude’a Lanzmanna, który – można było odnieść wrażenie

– szukał chwilami nazbyt gorliwie potwierdzenia dla z góry przyjętych tez (co nie znaczy, rzecz jasna, że jego kamera rejestrowała fałsz).

W roku 1945 nieliczni ocalali konińscy Żydzi wracali do swego *sztetla* po to tylko, by stwierdzić, że nie ma naprawdę do czego wracać. Witano ich rozmaicie, niekiedy z troską i współczuciem, częściej obojętnie. Wojna i zagłada – pisze Richmond – zmieniły niewiele we wzajemnych stosunkach Polaków i Żydów. Niektórzy jego rozmówcy wspominają, jak bali się wejść do własnych domów, w których zasiedlili się już nowi lokatorzy. I wtedy właśnie każdy objaw otwartej wrogości w rodzaju „dlaczego Hitler was całkiem nie wykończył?” wydawał im się już nie tylko bolesny, ale w jakiś monstrualny sposób absurdalny. Wkrótce po zakończeniu wojny w Koninie nie było już ani jednej żydowskiej rodziny.

Pod koniec lat 80-tych Theo Richmond przyjechał ze swą pierwszą wizytą do Konina. Nie znając ani słowa po polsku nie potrzebował mapy ani przewodnika, aby bez trudu poruszać się po mieście, które zdołał poznać lepiej niż rodzinny, londyński East End. Jedną z osób, które udało mu się wtedy odnaleźć, był mocno już wiekowy, jedyny żyjący świadek masakry ośmiu tysięcy Żydów w podkonińskich lasach (na rozebranych do naga gestapowscy wylewali gaszone wapno). Jego relacja, spisana tuż po wojnie w formie suchego, oficjalnego protokołu, to jeden z najbardziej wstrząsających dokumentów Holocaustu.

Można mieć nadzieję, że jakieś egzemplarze tej niezwyklej książki trafią także do Biblioteki Publicznej w Koninie, która – *nota bene* – mieści się dziś w odrestaurowanym budynku dawnej synagogi. Brytyjski autor wystawił miastu zdumiewający pomnik. Zdołał też wygrać wyścig z czasem, docierając do ostatnich żyjących świadków pogrzebanego na zawsze świata. Jeszcze chwila, a pozostaną już po nim tylko muzea, archiwa i dokumenty.

Andrzej ŁODYŃSKI

DOKUMENT Z LEITMOTIVEM

W Radio Wolna Europa pracowałem 30 lat. Z Autorem łączy mnie przyjaźń od samego początku, tj. od roku 1952, co sam potwierdza w druku. Ceniłem bardzo jego poczucie humoru, niezależność myślenia i cywilną odwagę. I przekorę, do której też chętnie się przyznaje. Przeto książkę Kazimierza Zamorskiego „Pod anteną Radia Wolna Europa” (wyd. WERS, Poznań 1995) czytałem łączywie.

Podstawowym kryterium w ocenie każdej książki jest pytanie czy „dobrze się ją czyta” i czy może ona zainteresować czytelnika nie zaangażowanego bezpośrednio w jej tematyce. W tym wypadku odpowiedzią jest dwukrotne „tak”. Zamorski pisze wartkim stylem, często drapieżnym, o rzeczach bardzo mało znanych, a interesujących. Na pewno nie nudzi. A że jego wspomnienia mają charakter bardzo osobisty, że widzi i ocenia ludzi oraz zdarzenia w większości przez pryzmat własnych doświadczeń i odczuć, że jego narracja naszpikowana jest humorem, często sarkazmem, tu i ówdzie złośliwością – cóż, do tego ma prawo. Meritum spraw chyba na tym nie cierpi, za to zyskuje na czytelności. Znam tylko niektóre z tych spraw – i to nie zawsze z pierwszej ręki. Pracowałem przy antenie (jak to może nazwałby Zamorski), a nie pod, z czego 12 lat na placówce w Paryżu. Więc staram się spojrzeć na książkę oczami czytelnika, a nie współświadka historii i przyjaciela Autora.

Po pierwsze bardzo interesująco przedstawił Zamorski kolejne etapy historii działu, którego był Szefem (Biuro Studiów i Analiz) oraz meandry i późniejszą degradację amerykańskiej linii politycznej Radia Wolna Europa. Jego stwierdzenia są w tym względzie autorytatywne. Niewątpliwy autentyzm materiału ma wagę historycznego dokumentu. A rozdziały poświęcone osobom i sprawom raczej luźno, często przypadkowo, związanym z głównym nurtem pracy Zamorskiego (i w ogóle z Radiem W.E.) – bywają wręcz rewelacyjne. Zamorski ujął mnie bardzo tym, że o swoich współpracownikach (później podwładnych) wyraża się tak ciepło,

nie szczedząc im pochwał za fachowość, sumiennosc i oddanie pracy.

Ma jednak Autor „anty-bohatera” swojej opowieści, żeby nie powiedziec najczarniejszego z czarnych charakterów, z którym musi zaciekle i do konca walczyć. Raz to jest jakby Dr Moriarty (diaboliczny antagonista Sherlocka Holmesa), to znów Al Capone, Mefisto, Wąż z rajskej jabłoni, monstrum Frankensteina, Smok wawelski – a w koncu Bazyliszek, który ma się zabiec własnym spojrzeniem odbitym w lustrze. Jest nim Jan Nowak (Jeziorański). Wprowadza go Zamorski w pierwszym zdaniu swojej książki, a rozstaje się z nim nieomal w ostatnim. Ten obsesyjny *leitmotiv* powraca tak często i w tak różnych kontekstach, że czytelnik może sobie czasem powiedziec „ileż można?”. Swoją drogą te dygresje są często autentyczne i dowcipne.

Jednak owa nie kończąca się wojna podjazdowa osiąga swe apogeum dzięki „rewelacjom” Andrzeja Czechowicza, „asa wywiadu” PRL-owskiego, który był wtyczką w Biurze Studiów i Analiz, opublikowanym w jego książeczce „Siedem trudnych lat” (wyd. MON, W-wa 1974). Nie tylko Zamorski uchwycił się tych rewelacji: Nowak miał już wówczas we własnym zespole wielu sobie niechętnych, jeśli nie wrogów. Nie wdając się w szczegóły na ogół już znane, trochę się dziwię, że Zamorski tej sprawie poświęca tyle uwagi. Co więcej, odwiedza Czechowicza w Warszawie, czyniąc zeń koronnego świadka w swojej z Nowakiem rozprawie. Czechowicz (który zresztą Zamorskiego próbował nieludzko ośmieszyć) moim zdaniem na takie wyróżnienie nie zasługuje. Ani dokumentacja przez niego dostarczona.

Polemika Zamorskiego z argumentacją Nowaka jest przeprowadzona logicznie, a z cytowanych dokumentów wystarczyłyby orzeczenie sądu w Kolonii, oddalające skargę Nowaka o zniesławienie i zarazem zawierające kwintesencję afery z Czechowiczem. W moim odczuciu ta cała rozgrywka niepotrzebnie obciąża książkę – zwłaszcza pod koniec – i nie jestem pewien czy osiągnie cel, który sobie autor postawił. Owszem, Zamorski przyznaje Nowakowi wiele zalet i osiągnięć w pracy radiowej, ale to tonie w lawinie nieprzejednanych krytyk i osobistych urazów. Szkoda. Bez tego balastu książka byłaby bardzo dobra. A tak jest tylko bardzo interesująca. Bardzo interesujący dokument. Dokument z *leitmotivem*.

Jacek K. MACHNIEWICZ

OPOWIADANIA KONSTANTEGO JELSKIEGO

Wydrukowane w 1898 roku w drukarni krakowskiego *Czasu* „Popularno-przyrodnicze opowiadania z pobytu w Gujanie francuskiej i po części w Peru” zasługują na ponowne wydanie. Należą one przecież do najważniejszych prac polskiego przyrodznawstwa. Napisane zostały z myślą o młodym czytelniku, pierwotnie przeznaczone były bowiem dla uczestniczek kursów Adriana Baranieckiego w Muzeum Przemysłowym. Opowiadania Jelskiego są znakomitą książką podróżniczą, którą jeszcze dzisiaj czyta się „jednym tchem”. Pracę nad opowiadaniem podjął Jelski już u schyłku swojego bogatego życia, śmierć nie pozwoliła mu na ich ukończenie. Książka Jelskiego należy do nielicznych jakże ważnych dokumentów historii przyrodniczej eksploracji francuskiej Gujany. To zresztą w tej właśnie pracy sformułowany został, najprawdopodobniej po raz pierwszy w historii tego kraju, postulat ochrony jego przyrody i ocena zagrożenia płynącego z nadmiernej eksploatacji zasobów naturalnych.

Opisy Jelskiego południowoamerykańskiej przyrody stanowią do dzisiaj interesujące źródło wiedzy o tym kontynencie. Wspomnienia pozwalają na ustalenie historii wielu europejskich kolekcji m.in. paryskiej, berlińskiej i wiedeńskiej oraz na przypomnienie odkryć fascynujących przyrodników ubiegłego stulecia, jak poszukiwania białego nietoperza czy opisy motyli pasożytujących w sierści leniwca. To wreszcie dzięki staraniom Jelskiego do warszawskiej oranżerii dotarły nie znane uprzednio w stolicy gatunki storczyków, wśród nich żywa wanilia.

Opowiadania Jelskiego są także cennym dokumentem życia w Gujanie. Jakże charakterystyczna jest np. wszechobecność karnej kolonii. W aptecce francuskiego szpitala, w której pracował Jelski w pierwszym okresie swojego pobytu w Ameryce Południowej, przygotowaniami prostszych lekarstw zajmowało się trzech pomocników zesłańców. Puszki niezbędne do transportu zdobytych okazów przyrodniczych przygotowywał Jelski dzięki pomocy zesłańca błacharza. Już

poprzednicy polskiego przyrodnika, francuscy badacze poszukiwali wśród zesłańców fałszerzy pieniędzy, których plastyczny talent gwarantował wysoką jakość i wierność przyrodniczych ilustracji. W opowiadaniach znajduje się wiele informacji na temat życia zesłańców, jak choćby refleksje dotyczące więźniów politycznych, towarzyszy Orsiniego, skazanych za przygotowanie zamachu na Napoleona III, czy też obserwacje rekinów gromadzących się i żerujących przy okazji codziennych „pogrzebów” zmarłych zesłańców. Jelski odnajdywał także pamiątki stosunkowo niedawnego niewolnictwa mieszkańców przywiezionych w dzieciństwie z Afryki czy nawet „ślady lingwistyczne”, jak nazwę palmy „Vaj”, nazywanej tak przez ludność kreolską ze względu na jej uprzednie przeznaczenie do produkcji batogów.

Wszędzie w trakcie swojej podróży poszukiwał „polskich śladów” i kontaktów z rodakami. Jeszcze przed wyjazdem do Ameryki Południowej, gdy w bliżej nie wyjaśnionych okolicznościach opuścił Imperium Rosyjskie, w Stambule znalazł pracę dzięki życzliwości Rustema Beya, czyli pana Wolskiego, współpracownika Ethmema Baszy, ministra w rządzie tureckim. Dla potrzeb rządu Imperium Otomańskiego prowadził badania geologiczne. Polscy przyjaciele pomogli dotrzeć Jelskiemu do Paryża, gdzie podjął pracę w jednym z licznych w owym czasie przedsiębiorstw zajmujących się handlem okazami przyrodniczymi, kierowanym przez wybitnego zoologa Deyrolla.

Baraniecki i Peliksza, polscy emigranci, przyczynili się do wyjazdu do Gujany udzielając zapomogi na ten cel. Dzięki uzyskanym w ten sposób funduszom, sprzedaży części zbiorów (głównie kolekcji entomologicznej z Turcji), i kredytom uzyskanym dzięki związkom z Deyrollem i Maison Verreaux oraz daleko posuniętej życzliwości francuskiej administracji wyjazd do Gujany mógł dojść do skutku. W późniejszym okresie badania Jelskiego, a także jego wyjazd w głąb kontynentu współfinansował Konstanty Branicki. Kłopoty finansowe ciągle zresztą trapiły polskiego podróżnika. Stąd kolejne posady: szpitalnego aptekarza, lekarza w głębi amerykańskiego kontynentu, nauczyciela botaniki i agromonii w Cayenne, jak i wynalazki mające zaradzić materialnym niedostatkom: nowe sposoby preparowania zwierząt, nauka wypychania ryb, pudełka entomologiczne, nowy sposób produkcji chińskiego tuszu czy próby wprowadzenia na środkowoeuropejski rynek nowych bakalii, jak suszone

banany peruwiańskie. Spotkania z rodakami urozmaicały podróż Jelskiego. Począwszy od pierwszych dni wyprawy na statku, od informacji o Polaku zwanym *le prince Lambert*, właścicielu posiadłości na Maderze, poprzez poszukiwania urzędników i więźniów polskiego pochodzenia w Gujanie i na Martynice, przyjaźń z polskimi inżynierami w Peru, aż po wizytę w „Botica de los Colebras” czyli w aptecce Krotochwila w Panamie, nazwanej tak ze względu na bogatą kolekcję węży, wszędzie poszukiwał Jelski kontaktu z Polakami.

Ponowne wydanie wspomnień z pobytu w Gujanie pozwoliłoby na przypomnienie i spopularyzowanie postaci polskiego przyrodnika i podróżnika docenionego przez specjalistów na całym świecie, ale coraz mniej znanego w swoim własnym kraju. Przyszłoroczna stuletnia rocznica śmierci Konstantego Jelskiego mogłaby stać się okazją dla pamiątkowej edycji „Opowiadań popularno-przyrodniczych”. Należy dodać, że opowiadania te nigdy nie doczekały się francuskiej edycji. Stosunkowo duże zainteresowanie, jakie wywołują obecnie prace dotyczące historii kolonii, jak i badania ciągle mało zbadanej przyrody gujańskiej pozwoliłyby na sprzedaż pracy Jelskiego na francuskim rynku czytelnictwym. Być może pracą Konstantego Jelskiego można by zainteresować realizatorów któregoś z licznych przecież polsko-francuskich programów współpracy naukowej czy kulturalnej.

Piotr DASZKIEWICZ

OKRUCHY HISTORII

Hanna ŚWIDERSKA

POLSKIE PERSONALIA

W listopadzie 1993 *Public Record Office* odtajniło ciekawy dokument *Foreign Office*: spis polskich osobistości z r. 1943, a w styczniu 1995 ten sam z uzupełnieniami na r. 1944. Tego rodzaju *who is who*, sporządzane przez brytyjskie ambasady, informowało centralę o zagranicznych prominentach, tych zwłaszcza z którymi mogła mieć do czynienia, co miało ułatwić podejmowanie decyzji – w tym wypadku w sprawach polskich w bardzo krytycznym okresie. Dlatego te dokumenty zasługują na uwagę nie tylko jako odbicie naszych ówczesnych reprezentantów w oczach Potężnego Alianta, ale też (nazbyt często) przez jałowość i nijakość opisu bardzo nawet ważnych osób, z którymi gospodarze stykali się niemal codziennie.

Podstawą dokumentu z r. 1943 (FO 371/34609: C 4372) jest spis nadesłany z Warszawy w czerwcu 1939 przez ambasadora Kennarda. W r. 1943 rozszerzył go i zaktualizował Frank Savery, który mówił po polsku, był urzędnikiem ambasady przy rządzie polskim i obracał się w „sferach towarzyskich” polskiego Londynu, co na bieżąco dostarczało mu plotek i informowało o potępieńczych swarach. Polskę Dwudziesto-

lecia dobrze znał, spędziwszy w niej większość tego okresu na placówce dyplomatycznej, a po wybuchu wojny towarzyszył Kennardowi do Francji (gdzie z bliska oglądał z niesmakiem polskie „łowy na czarownice”) i Londynu. W odróżnieniu od angielskich polityków ceniących sobie tych Polaków, których nazywali „rozsądnymi” (tj. podatnymi na sterowanie w kierunku sowieckim), Savery darzył gen. Sikorskiego wywodzącą się z okresu francuskiego i w pełni odwzajemnioną antypatią, której dał ujście opisując go w tym dokumencie, w części dotyczącej zarówno generała jak i innych osobistości.

Spis 1943 obejmuje 69 nazwisk, od Andersa do Zygelbojma, w tym osoby z oryginału 1939, które straciły znaczenie z wybuchem wojny. Oryginał wymieniał nie tylko polityków i wojskowych, ale też osoby z życia gospodarczego oraz związane z władzami lokalnymi i mniejszością ukraińską i żydowską, przy czym ich dobór jest dość przypadkowy. Aktualizacja z r. 1943 siłą rzeczy interesuje się tylko politykami i wojskowymi, choć często podaje informacje o wojennych losach „byłych osobistości”. Spis 1944 (FO 371/39523: C 6955) przynosi drobne uzupełnienia w opisach aktualnie działających prominentów i dorzuca dane o „ważnych Polakach” w USA i ZSSR jak Orlemański, Lange, Wasilewska i inni. Oba wydano jako tajne druki do użytku funkcyjnarzy *Foreign Office* mających do czynienia z Polakami.

Omówienia poszczególnych osób przeważnie obejmują bardzo krótkie *curricula vitae*, po których następują uwagi czy charakterystyka. Niniejszy wybór ciekawszych pozycji pochodzi z dokumentu 1943, z materiałem ze spisu 1939 i uzupełnieniami z 1944 w okrągłym nawiasie.

Spis 1943 ambasador przy rządzie polskim O'Malley 19 IV przesłał Edenowi, skąd trafił do Centralnego Departamentu FO. Tutaj jego kierownik Frank Roberts 13 V opatrzył go uwagą: „Jest on szczególnie użyteczny wobec sowieckich oskarżeń pod adresem różnych polskich polityków. Uważam, że cały ten opis jest zbyt pochlebny wobec przeciwników gen. Sikorskiego jak pp. Bielecki, Grabski, Koc i Matuszewski, oraz że zbyt pochopnie krytykuje gen. Sikorskiego”.

Choć wersja drukowana miała być ściśle do użytku wewnętrznego, koledzy Roberta W.D. Allen i G. Harrison uznali, że przed oddaniem do druku należy z tekstu o Śmigłym usunąć „sowiecki nóż w plecy” na rzecz „sowieckiej inwazji Polski”, co jest charakterystyczne dla tamtych czasów.



1. *Wł. Anders*. Przed r. 1939 „żył kosztownie i miał stajnię wyścigową... W Polsce miał reputację dobrego żołnierza liniowego, ale bez szerszej kultury intelektualnej i nawet bez większej wiedzy technicznej właściwej jego zawodowi”. Jako naczelny dowódca w ZSSR podpisał dość nieprzyjemny dokument [tak w oryginale], w którym deklarował nie tylko całkowite oddanie gen. Sikorskiemu, ale też gwałtownie napadał na wszystkich krytyków generała... Z doświadczenia zna bardzo słabo kraje na zachód od Polski i mówi tylko po polsku i rosyjsku. Są podstawy do podejrzeń, że żywi ambicje polityczne i być może marzy o odegraniu ważnej roli w Polsce po wojnie, szczególnie jeśli wróci na czele wojska”.

(„W pierwszej połowie 1943 gen. Anders wykazywał skłonność do krytykowania gen. Sikorskiego za to, że jego polityka jest zbyt uległa wobec Rosji, ale przed śmiercią gen. Sikorskiego w lipcu 1943 te rozdzwinki zostały zadowolająco zlikwidowane. Początkowo gen. Anders nastawiony był bardzo krytycznie wobec rządu p. Mikołajczyka, z pewnością dlatego, że w ogóle ma niskie zdanie o wszystkich politykach. Jest całkowicie lojalny wobec nowego naczelnego wodza gen. Sosnkowskiego, co pozwala utrzymać w należnych granicach jego nieufność wobec rządu”).

2. *Mirosław Arciszewski*: świetnie mówi po francusku, jest rozsądny, zrównoważony i na ogół idący na rękę. Szkoda że jego żona nie nadaje się na ambasadorkę, co prawdopodobnie przeszkodzi mu w karierze”. (Spis 1939). Z MSZ znalazł się w Rumunii, skąd zawezwano go do Londynu, znów do MSZ. Ale „skoro tylko objął obowiązki, stał się ofiarą jadowitych i całkowicie niezastużonych napaści ze strony polskiej Rady Narodowej, opartych na polskich dokumentach

odnalezionych i opublikowanych przez Niemców. Polski rząd uznał jednak ich bezpodstawność i kampania o usunięcie p. Arciszewskiego z rządowego stanowiska zawiodła”.

5. *J. Beck*: jego reputacja jako zdolnego i efektywnego ministra spraw zagranicznych stale rosła i jego konsekwentnie prowadzona polityka unikania kłopotliwych zobowiązań i utrzymania przyjaznych stosunków z wszystkimi sąsiadami Polski niewątpliwie przyczyniła się w dużym stopniu do podniesienia prestiżu jego kraju za granicą.

Pozycja p. Becka z konieczności zachwiała się po zajęciu przez Niemców Czechosłowacji i ostro krytykowano jego przesadną ufność w niemieckie zapewnienia. Ale zbliżenie z Wielką Brytanią i Francją, jego wybitne zdolności i brak oczywistego rywala spowodowały, że teraz znów mocno siedzi na swym bardzo trudnym stanowisku.

P. Beck na pewno darzy Wielką Brytanię specjalnym uznaniem. Kilka razy oficjalnie odwiedził Londyn... i często wyraża podziw dla tego, co tam widział (...). Jest przede wszystkim człowiekiem praktycznym, realistą i do pewnego stopnia oportunistą”. (Lista 1939).

11. *gen. Roman Górecki* „jest w Anglii od upadku Francji. Nie gra tutaj żadnej roli w życiu politycznym, ale, o ile wiadomo, jak dotąd nie jest molestowany przez reżym Sikorskiego. W każdym razie mieszka w Londynie, a nie na wyspie Bute”. („Wyspa Wężów”).

14. *dr Michał Grażyński*, eks-wojewoda śląski. Do Anglii przybył po upadku Francji. „Z początku był oczywiście wykłety przez rząd polski i jako oficer rezerwy musiał przebywać przez pewien czas na wyspie Bute. Później jednak zawarł honorowy pokój z rządem przy wydatnej pomocy gen. Kukiela. Pozwolono mu opuścić Bute i nawet zatrudniono jako wykładowcę spraw niemieckich na kursach dla polskich oficerów w Szkocji”.

16. *gen. J. Haller*: „człowiek o dużym uroku osobistym lecz małej inteligencji, który niestety pozwolił się ośmieszyć

przez przesadną adorację swych wielbicieli”. (Spis 1939).

Mianowany ministrem stanu przez rząd gen. Sikorskiego i wysłany do USA w nadziei, że jak w r. 1918 skłoni Polonię do służby w wojsku polskim, „niczego nie osiągnął i jedynym skutkiem jego wysiłków było wywołanie wrogości żydowskiej wobec rządu gen. Sikorskiego. Później został ministrem oświaty, ale w rzeczywistości niczego nie robi i jego ministerstwo, rzecz można, nie istnieje”.

23. *St. Kot* „przybył do Francji jesienią 1939 i natychmiast został powołany do rządu gdzie, mimo swych bardzo poważnych walorów intelektualnych, wywiera fatalny wpływ na polskie życie polityczne. Jest z natury mściwy i cierpi na nieuleczalną chętkę nadzorowania wszystkiego i wszystkich. Przez wieczne wtrącanie się w sprawy prywatne innych ludzi i niemożność zapomnienia o dawnych politycznych rozdzwiękach zdobył sobie w latach 1940-41 wśród wojska polskiego w Szkocji sławę najmniej popularnego członka rządu. W sierpniu 1941 mianowany polskim ambasadorem w ZSSR, na tym stanowisku też niczego nie osiągnął, brak mu dyplomatycznego przygotowania, a z usposobienia jest niecierpliwy i łatwo wpada w gniew. Prawdopodobnie żaden polski ambasador w Związku Sowieckim nie osiągnąłby stuprocentowego powodzenia, ale prof. Kot musi ponieść część winy za wzrastające napięcie między tymi dwoma państwami podczas dwunastu czy więcej miesięcy swego ambasadowania (...)”.

24. *Marian Zyndram-Kościałkowski*: „Wybitny członek dawnego reżymu, po upadku Polski musiał oczywiście wycofać się w cień jako oficer rezerwy. Przybył do Zjednoczonego Królestwa w czerwcu 1940 i odtąd zarobił sobie na specjalny antagonizm gen. Sikorskiego, który uważa go za jednego z przywódców opozycji i chciałby go internować lub deportować”.

25. *plk J. Kowalewski* „jest człowiekiem wyjątkowo niezależnym, inteligentnym i szczerym, rzadko ukrywa swe poglądy, nawet jeśli nie zgadzają się z reżymem. Zawsze przyjaźnie nastawiony do Wielkiej Brytanii i Francji”. (Spis 1939).

28. *gen. Marian Kukiel*: „inteligentny, bardzo dobrze wykształcony i nadzwyczaj uczciwy”.

31. *Juliusz Łukasiewicz*, eks-ambasador w Paryżu. Po przybyciu do Anglii „odegrał rolę w zaostrzeniu kryzysu rządowego, który wtedy wybuchł, przez napisanie listu do prez. Raczkiewicza, w którym nalegał, by użył swych uprawnień dla pozbycia się rządu gen. Sikorskiego. Kopię tego listu przesłał samemu gen. Sikorskiemu, który to czyn jest bardzo typowy dla jego osobistej uczciwości i braku savoir-vivre. Od tego czasu jest jeszcze bardziej niż przedtem jedną z głównych na emigracji *bêtes-noires* gen. Sikorskiego i nie jest przeoczeniem ze strony generała, że dotąd chodzi na swobodzie”.

35. *St. Mikołajczyk* „nie ma zbyt giętkiego mózgu i szybkiego refleksu, ale posiada sporą dozę rozsądku i, przy swych ograniczeniach, jasno myśli. Należy do konserwatywnego typu chłopa, jak p. Witos, i nie zdradza wrogości wobec zasobnego ziemiaństwa. Mówi płynnie po niemiecku i od przyjazdu do Anglii zdobył lepszą znajomość angielskiego niż ogromna większość jego lepiej wykształconych kolegów w rządzie”.

37. *gen. Izydor Modelski* „do maja 1926 osiągnął rangę pułkownika, ale zaraz po tym *coup d'Etat* przeniesiono go na połowę żołdu i w Polsce nie było o nim słyhać... aż do jesieni 1939, gdy ku ogólnemu zdumieniu gen. Sikorski mianował go drugim wiceministrem wojny. Nie zdradza specjalnych zalet intelektualnych i jest bardzo niepopularny wśród polskiego wojska w Szkocji, gdzie uważa się go za ‘żołnierzyka z pudełka’ i zgorzkniałego partyjniaka... Gdy jesienią 1942 gen. Sikorski zrzekł się funkcji ministra wojny i objął ją gen. Kukiel, gen. Modelski był bardzo zawiedziony i wdał się w intrygi przeciw nowemu szefowi. Odtąd mało o nim słyszano”.

46. *Wł. Raczkiewicz*: „ujmujący sposób bycia, zawsze wywiera doskonałe wrażenie na wszystkich stykających się z nim osobiście, Polakach i cudzoziemcach. Jego pozycja wśród

polskiej emigracji jest teraz (marzec 1943) prawdopodobnie o wiele mocniejsza niż 3 czy 2 lata temu. Są podstawy sądzić, że cieszy się większym poważaniem w Polsce niż klika [*clique*] gen. Sikorskiego skłonna byłaby przyznać”.

47. *Edward Raczyński*: „W listopadzie 1934 mianowany ambasadorem w Londynie. Inteligentny, taktowny i rzetelny, obdarzony dużym urokiem osobistym. Jego pierwsza żona, która zmarła kilka lat temu, była Angielką i on sam bardzo lubi Anglię”. (Spis 1939).

„Po zrzeczeniu się teki ministra spraw zagranicznych przez p. Zaleskiego latem 1941, hrabia Raczyński został mianowany na stanowisko pełniącego obowiązki ministra spraw zagranicznych. Następnie, żeby wzmocnić jego pozycję i dać mu prawo do udziału w posiedzeniach rządu, mianowany ministrem stanu”. (Po śmierci gen. Sikorskiego nie wszedł do rządu Mikołajczyka, ale jako ambasador „blisko i lojalnie współpracuje z pp. Mikołajczykiem i Romerem, swym następcą jako minister spraw zagranicznych”).

50. *gen. Ludomił Rayski*: prześladowany przez rząd gen. Sikorskiego we Francji, gdzie „został oddany pod sąd za niedbalstwo, wskutek którego nie utrzymał lotnictwa w odpowiednim stanie. Z tego zarzutu został uniewinniony, ale potem skazano go na więzienie za zdradę tajemnic państwowych”. Pracuje u Anglików jako pilot transportowy w Afryce i „władze brytyjskie chciały odznaczyć go za jego pracę, lecz gen. Sikorski zajął stanowisko, że nie zasługuje na takie wyróżnienie”.

52. *Wł. Sikorski*: we Francji „od początku okazał się trudny do współpracy. Prezydenta Rzeczypospolitej traktował z minimum kurtuzji i poświęcał tyle czasu obowiązkom naczelnego wodza (które na początku oznaczały odbudowę i reorganizację wojska polskiego), że p. Zaleskiemu, ministrowi spraw zagranicznych, było bardzo trudno skłonić go do poświęcenia należytej uwagi sprawom międzynarodowym. Pod niefortunnym wpływem prof. Kota rozwinął w sobie najwyższą pogardę dla na ogół kompetentnych i doświadczonych

urzędników MSZ oraz bardzo godne pożałowania upodobanie do nękania osób, do których wyobraził sobie jakieś pretensje – a to wszystko wbrew własnemu oświadczeniu, że teraz nie należy prac brudów, ale dopiero po wojnie, gdy cały naród polski orzeknie kto zawinił i w jakim stopniu (patrz wyżej pod Rayski, gen. L.) Najlepszy wpływ w okresie przed upadkiem Francji wywierał na niego p. Paderewski, którego darzył prawdziwym szacunkiem. Obok działalności politycznej, w której nie zawsze czuł się wygodnie, gen. Sikorski z pewnością wykonał bardzo dobrą robotę reorganizując polskie siły zbrojne. Niestety zanadto zaufał przywódcom francuskim, z którymi nawiązał przyjazne stosunki podczas swego długiego pobytu we Francji, i jest oczywiste, że ci go beznadziejnie kiwali, nawet w czerwcu 1940, co do sytuacji wojennej. Gdy 17 czerwca czy około tej daty przyjechał do Bordeaux z francuskiego sztabu w Vichy, nie miał pojęcia o beznadziejności sytuacji. Później stawiano mu poważne zarzuty, że dopuścił polskie wojsko do walki w różnych częściach Francji, skąd wycofanie go w momencie katastrofy było niemożliwe. Ale w trudnych dniach po upadku Francji gen. Sikorski okazał się dobrym Polakiem i wiernym aliantem. Nigdy nie zawahał się w lojalności wobec angielsko-polskiego przymierza i ledwo przybył do naszego kraju, od razu z podziwu godną wytrwałością wziął się do pracy nad odtworzeniem polskiego wojska po raz drugi. Z tego okresu (czerwiec-sierpień 1940) pochodzą napięte stosunki z prez. Raczkiewiczem, tu opisane pod Raczkiewicz. Przesadą byłoby twierdzić, że jest popularny wśród tutejszych Polaków – ze szkodą dla siebie nie ma on uroku osobistego ani przyjemnego obejścia, ale mówiąc ogólnie, pomimo obecnego napięcia w stosunkach polsko-sowieckich, co musi rzucać cień na premiera, który uparł się przy podpisaniu polsko-sowieckiej ugody z lipca 1941, jego pozycja wśród tutejszej polskiej emigracji jest pewnie mocniejsza teraz (marzec 1943) niż w czerwcu 1940”.

53. *F. Stawoj-Składkowski*: w maju 1936 został premierem i ministrem spraw wewnętrznych „za sprawą marszałka Śmigłego-Rydza, który chciał mieć swego człowieka na czele

rządu. Generał jest przede wszystkim żołnierzem i wykonanie rozkazów marszałka uważa za swój pierwszy obowiązek. Jako premier nie zdradza szczególnych zdolności politycznych i odznaczył się głównie usiłowaniami narzucenia urzędnikom państwowym czegoś w rodzaju wojskowej dyscypliny, ale zdobył ogólny szacunek swą prostotą i otwartością”. (Spis 1939).

„Jako premier oczywiście przybył z rządem do Rumunii (...). Gdy w Paryżu powstał rząd gen. Sikorskiego, znalazł się jak patriota i w imieniu swego rządu przekazał władzę nowemu oraz zachęcił urzędników państwowych do poparcia swego następcy... Przez Turcję uciekł do Palestyny, gdzie ofiarował polskiemu wojsku swe usługi jako lekarz. Dotąd (marzec 1943) jest w Palestynie, ale jako uchodźca cywilny”.

54. *Edward Śmigły-Rydz*: „Przeważająca rola wojska w powojennej Polsce przesądziła, że mianowanie go wojskowym następcą starego marszałka zmusi nowego inspektora generalnego do odgrywania ważnej roli również w sprawach politycznych (...). Wynoszenie go coraz wyżej osiągnęło logiczne zakończenie 10 listopada 1936, gdy otrzymał od prezydenta Rzeczypospolitej buławę marszałka Polski – godność, której nie osiągnął żaden Polak prócz Piłsudskiego.

Byłoby błędem uznać nowego marszałka za dyktatora w zwykłym znaczeniu tego słowa. To nie jego własne wysiłki i ambicje wyniosły go na to wysokie stanowisko, ale dwie zasady uznane przez obecnych politycznych przywódców Polski: że ich rządy byłyby zagrożone, gdyby nie udało się znaleźć jakiegoś popularnego manekina na miejsce starego marszałka, oraz że przyszłość kraju zależy od bliskiej współpracy z dowódcą wojskowym. Wygląda jednak, że ma on niewiele cech swego wielkiego poprzednika. Są to rządy dwoiste i w wielu dziedzinach równowaga między życzeniami marszałka i wolą prezydenta jest chwiejna. Jednakże wypadki w r. 1938 i 1939 podniosły prestiż marsz. Śmigłego-Rydz, bo względy wojskowe stały się w Polsce najważniejsze i szacunek narodu, niezależnie od wewnętrznych różnic politycznych, skupił się na naczelnym wodzu sił zbrojnych (...)” (Spis 1939).

Po sowieckim najeździe na Polskę wraz z rządem polskim wyjechał do Rumunii. Ludność polska w kraju i za granicą

uważa go za winnego w o wiele większym stopniu niż kogokolwiek z rządu i w ogóle którego bądź Polaka, za symbol nieprzygotowania kraju, i patrząc z boku trudno zrozumieć jak on mógł z tym żyć. Czas mógł przytępić to powszechne zdanie o nim, ale przez pierwsze dwa lata wojny ogromna większość Polaków miała go za kozła ofiarnego, którego należy ukarać jeśli sam nie ubiegnie wyroku narodu. W 1941 uciekł z obozu w Rumunii, w którym był internowany. Tyle wiadomo na pewno, a jego dalsze dzieje kryje tajemnica (...)”.

56. *gen. Kazimierz Sosnkowski* „jest bodajże jedynym polskim wyższym dowódcą, który z kampanii wrześniowej wyszedł ze zwiększoną reputacją. Bardzo dobrze poczynił sobie wobec Niemców w centralnej Galicji (...). Posiada te wszystkie zalety uroku osobistego i przystępności, których tak oczywiście brak gen. Sikorskiemu. Jako człowiek i żołnierz jest prawdopodobnie bardziej popularny w polskim wojsku niż naczelny wódz, ale wielu Polaków, którzy lubią go osobiście, widzi że cierpi on na paraliż silnej woli i stąd jest bardzo nieprawdopodobne czy kiedykolwiek stanąłby na czele czynnego ruchu rewolucyjnego [?] i nawet czy przyjąłby władzę ze źródła jak najbardziej zgodnego z konstytucją, gdyby to pociągało jakiegokolwiek ryzyko popadnięcia w konflikt w jakiejś wątpliwej sprawie”.

67. *August Zaleski* „minister spraw zagranicznych od czerwca 1926 do listopada 1932 (...). Jego polityka zagraniczna była tolerancyjna i całkowicie pokojowa (...). W sposobie bycia jest prosty i z rezerwą i nadzwyczaj przyjemny w zetknięciu się. Jego główną wadą jest notoryczna opieszałość” (Spis 1939).

„Gen. Sikorski mianował go ministrem spraw zagranicznych w rządzie, który stworzył w Paryżu we wrześniu 1939. Od samego początku jego stosunki z gen. Sikorskim nie były kordialne, za co winę ponosiły obie strony. Generał zdecydował być swym własnym ministrem i nie krył pogardy dla polskiej służby dyplomatycznej. P. Zaleski zamiast od początku sprzeciwiać się generałowi za każdym razem, co powinien był zrobić, przyjmował jego samowolne posunięcia z ponurą rezy-

gnacją, która uraziła generała choć nie robiła na nim żadnego wrażenia. Kryzys rządowy w czerwcu-lipcu 1940 (...) nie poprawił ich stosunków, ale p. Zaleski wytrwał w rządzie do lipca 1941, gdy podał się do dymisji po podpisaniu polsko-sowieckiej ugody (...)

69. *Szumł Zygelbojm* „jest członkiem Bundu czyli polsko-żydowskiej partii socjalistycznej, którą reprezentuje w drugiej Radzie Narodowej (...). Odegrał bardzo czynną rolę w obronie Warszawy we wrześniu 1939, gdzie współpracował z prezydentem miasta p. Starzyńskim w organizowaniu pomocy dla ludności cywilnej podczas oblężenia. Polacy ogólnie bardzo go lubią i uważają za dobrego patriotę. Płynnie mówi po angielsku i widać że ma dobre wykształcenie”.

Hanna ŚWIDERSKA

Tadeusz WYRWA

FRANCUZI I POLACY O ZWOLNIENIU GEN. SOSNKOWSKIEGO

Dnia 30 września 1944 roku prezydent Raczkiewicz zwolnił gen. Sosnkowskiego ze stanowiska Naczelnego Wodza. Pretekstem do udzielenia dymisji był rozkaz nr 19 z 1 września 1944, jaki wystosował Sosnkowski do żołnierzy Armii Krajowej. W rzeczywistości zwolnienia jego domagali się Sowieci, co też odpowiadało Mikołajczykowi, permanentnemu antagoniście politycznej linii, którą reprezentował Sosnkowski. Francuzi nie mieli zbyt dobrego w tym wszystkim rozeznania. Niewiele też zachowało się na ten temat dokumentacji i tym bardziej przeto warto zapoznać się z tą, jaka

znajduje się w archiwach francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Paryżu.

Propaganda sowiecka od dłuższego czasu umiejętnie przygotowywała opinię publiczną do usunięcia gen. Sosnkowskiego. Odzwierciedla się to również w postawie zajętej przez Francuzów. W telegramie z 19 września 1944 roku, wysłanym z Londynu do rządu francuskiego, Jacques-Emile Paris, *chargé d'affaires* donosił: „W ciągu ostatnich tygodni Polacy z Londynu popełnili wiele niezręczności. Oskarżając w rozkazie dziennym, mniej czy więcej otwarcie, Wielką Brytanię o nieudzielenie wystarczającej pomocy patriotom z Warszawy i opuszczenie Polski na rzecz Rosji, gen. Sosnkowski wyrządził dotkliwą krzywdę swojemu krajowi. Szczególnie zranił licznych brytyjskich wojskowych, którzy starają się, nie bez ryzyka, przyjść aktywnie Warszawie z pomocą. Zło wyrządzone deklaracją gen. Sosnkowskiego zostało częściowo naprawione dzięki uprzedniemu komunikatowi gen. Bora, który zawierał wyrazy hołdu za okazaną pomoc brytyjską”¹.

W sumie, pisze dalej *chargé d'affaires* „uważa się tutaj, że odejście gen. Sosnkowskiego narzuca się samo w sobie. Prasowy szef *Foreign Office* jest przekonany, że pozwoliłoby to na zaawansowanie rokowań polsko-rosyjskich. Dodaje on, że w obecnym stanie rzeczy, jeżeli rząd polski będzie nadal odmawiał zrobienia tego gestu, to faktem tym weźmie na siebie ciężką odpowiedzialność i narazi na szwank popularność Polski w opinii brytyjskiej”².

Ambasador Francji w Londynie René Massigli pisał do swojego rządu w telegramie z 25 września: „Ton w jakim dyplomatyczni korespondenci głównych dzienników komentują obecną fazę kryzysu polskiego jest odmienny od tego, jakiego używali jeszcze do niedawna. Teraz nie chodzi już o ‘nieprzejednanie rosyjskie’, lecz o ‘uporczywość polską’... Z lektury dzienników ogół społeczeństwa dojdzie do wniosku, jeżeli nastąpi głęboki kryzys, że tym razem odpowiedzialność nie

1. Chodzi zapewne o telegram gen. Bora, wysłany dnia 15 sierpnia 1944 do Sztabu NW w Londynie, po otrzymanym wówczas zrzucie. Treść tego telegramu była następująca: „Wysilek waszego lotnictwa umożliwił nam dalszą walkę. Walcząca Warszawa śle bohaterskim lotnikom słowa podziękii i uznania. Przed poległymi załogami chylimy czoła”.

2. *Archives du ministère des Affaires étrangères (AMAE) w Paryżu. Série: Europe, Pologne 1944-1949, Vol. 47 Différends entre les gouvernements de Londres et de Lublin*, str. 44.

spadnie już na Rosjan, ale na Polaków, których rząd brytyjski dotychczas wspierał. Trzeba również zanotować, że *Daily Worker* (dziennik komunistyczny – T.W.), uważając zapewne, że sprawa gen. Sosnkowskiego jest jasno przedstawiona opinii, nie trzusi się nawet więcej, żeby go atakować, i dyskutuje już nad wyborem jego ewentualnego następcy oraz kieruje teraz swoje krytyki przeciwko generałom Andersowi i Borowi”³.

W następnym z kolei telegramie, z 28 września, Massigli donosił: „Premier (Mikołajczyk) udał się dzisiaj rano o godz. 10 do Prezydenta RP. Mikołajczyk oświadczył Raczkiewiczowi, że wymaga szybkiej odpowiedzi na temat gen. Sosnkowskiego. Dodał on, że gdyby Naczelny Wódz nie został zwolniony z zajmowanego stanowiska, to odmówi dalszego prowadzenia rządu i poda się do dymisji. Prezydent RP nic nie powiedział odnośnie swoich intencji i nie dał żadnej obietnicy. Podczas rozmowy, która, wydaje się, była dość żywa, dał jedynie do zrozumienia, że jeżeli gen. Sosnkowski byłby zmuszony odejść, on odejdzie również. Dziennikarz brytyjski, który dostarczył te informacje jednemu z moich współpracowników, myśli, że równoczesne odejście p. Raczkiewicza i gen. Sosnkowskiego byłoby przypuszczalnie jednym z najlepszych środków wyjścia z obecnego impasu. Niemniej jednak dziennikarz ten sądzi, że wewnętrzny kryzys polski, jakiego jesteśmy obecnie świadkami w Londynie, będzie się przewlekał i że spór rosyjsko-polski zakończy się, w niedalekiej stonkowo przyszłości, tryumfem prawie kompletnym tezy sowieckiej”⁴. Tak też się stało i zwolnienie gen. Sosnkowskiego – nazajutrz po wysłaniu telegramu, o którym wyżej jest mowa – zapewniło Sowietom dalszy tryumf ich polityki.

Dla oficjalnych czynników francuskich dymisja Sosnkowskiego nie była zaskoczeniem i nie przywiązywali do niej większej wagi, śledzili natomiast rezultat wizyty Mikołajczyka w Moskwie. Tak w jednym jak i w drugim wypadku opierali się głównie bądź na raportach Rogera Garreau, reprezentanta Francji w Moskwie, będącego pod silnym wpływem propagandy sowieckiej, bądź też na artykułach i komunikatach prasy brytyjskiej coraz bardziej wrogiej rządowi polskiemu w Londynie, co udzielało się też prasie francuskiej⁵.

3. Tamże, str. 45-46.

4. Tamże, str. 53.

5. Zob. *Zeszyty Historyczne* nr 105, Paryż 1993, str. 230-231.

Ogromnie odczuwało się wówczas brak odpowiedniego serwisu prasowego i w ogóle właściwej dla cudzoziemców propagandy naszego rządu⁶.

Trudno się nawet dziwić, że Francuzi gubili się w tej całej sytuacji, do czego przyczyniali się również sami Polacy. Przykładem tego może być wypowiedź Tadeusza Romera, ministra spraw zagranicznych w rządzie Mikołajczyka. Romer towarzyszył Mikołajczykowi podczas jego wizyty w Moskwie w pierwszej dekadzie sierpnia 1944 roku. Po powrocie do Londynu Maurice Dejean, który z ramienia Tymczasowego Rządu Francji – z siedzibą, wtedy jeszcze w Algierze – sprawował z jego ramienia funkcję delegata przy rządach sojuszniczych w Londynie, złożył Romerowi wizytę 19 sierpnia. Trzy dni później Dejean wysłał do Algieru sprawozdanie z tej wizyty.

W sprawozdaniu tym Dejean pisał, że jak mu oświadczył Romer, „Stalin wyraźnie zaznaczył, że on absolutnie nie obstaje przy tym, aby Polska była komunistyczna... Jest zadowolony, że Mikołajczyk będzie szefem nowego rządu tymczasowego, jaki zostanie zainstalowany w Warszawie z chwilą jej oswobodzenia... Stalin podkreślił również, iż ważne jest według niego, żeby nowa Polska cieszyła się w dziedzinie polityki zewnętrznej rzeczywistą niezależnością... O osobie i postawie władcy Kremla polski minister spraw zagranicznych wyrażał się w słowach jak najbardziej pochwalnych. P. Romer powiedział, że pomimo ogromnych zwycięstw, jakie odniósł szef rządu sowieckiego, zachował on poczucie rzeczywistości i umiar i okazał się pod tym względem znacznie przewyższającym Mussoliniego i Hitlera. P. Romer nie uskarżał się na postawę Rosjan zajętą w sprawie Warszawy. Według niego powstanie było spontaniczne, bez skoordynowania z rządem sowieckim. Po marszu kilkuset kilometrów przez spustoszony kraj, rzeczą naturalną było, że Rosjanie zatrzymali się żeby zainstalować linie komunikacyjne i przybliżyć swoje bazy. P. Romerowi wyraźnie zależało na tym, żebym poinformował Algier o przychylnym wrażeniu, jakie wyniósł z Moskwy”. Dejean dodaje następnie od siebie: „Wyznaję, że optymizm p. Romera trochę mnie zdziwił”⁷, ale też i przyczynił się do ukazywania konfliktu polsko-sowieckiego w krzywym zupełnie zwierciadle.

W tym też duchu była informowana opinia publiczna i tak np., wkrótce po dymisji gen. Sosnkowskiego, jeden z

6. Zob. *Zeszyty Historyczne* nr 108, Paryż 1994, str. 94 i nast.

7. AMAE, *Série 1939-1945, Alger CFLN-GPRF*, str. 216-217.

organów prasy francuskiej, pisząc o wyjeździe dnia 12 października na konferencję do Moskwy Mikołajczyka, Romera i Stanisława Grabskiego, twierdził po prostu, że „konferencja moskiewska jest już konferencją pokoju”⁸, oczywiście stalowskiego, o czym Francuzi mogli jeszcze wtedy nie wiedzieć.



Zwolnienie gen. Sosnkowskiego stanowiło punkt zwrotny w polityce rządu polskiego w Londynie. Warto przeto przytoczyć kilka przynajmniej na ten temat wypowiedzi osób postronnych. Po pierwszej wizycie Mikołajczyka w Moskwie grono Polaków skierowało apel do prezydenta Raczkiewicza, w którym zwracano uwagę, że „fatalna polityka ugody względem Sowietów, trzechletnia polityka jednostronnych niczym nie równoważonych ustępstw z naszej strony znalazła ostatnio szczytowy wyraz w podróży premiera Mikołajczyka do Moskwy... Świat nie jest informowany o tym, że Sowietci rozbijają polską armię podziemną... Rząd Polski pomaga propagandzie rosyjskiej na terenie międzynarodowym, potwierdzając rzekome dążenie Sowietów do utworzenia silnej i niepodległej Polski”. Apel kończy się wezwaniem: „Panie Prezydencie, w rękach Pańskich jest jeszcze możliwość ocalenia Polski burzonej, płonącej i skrwawionej, a przecież nieugiętej, jak jej stolica. Pan, Panie Prezydencie, ponosi pełną odpowiedzialność za jej honor i przyszłość. Na Pana, panie Prezydencie, zwracają się oczy wszystkich Polaków”⁹.

Brochwicz Lewiński, znający osobiście prezydenta Raczkiewicza, pisał do niego w liście z 7 września 1944 roku: „Jest to ostatnia chwila, kiedy można jeszcze coś zrobić dla Polski... Wierzę w zapewnienie Pana Prezydenta, które mi Pan dał rok temu, że ma linię zakreśloną, której nie da przekroczyć... Ta linia została już przekroczona – ani kroku dalej. Naczelnny Wódz wydał swój mocny rozkaz, który ma serdeczny odzew u wszystkich Polaków tutaj i tak będzie w Kraju. Pan Prezy-

8. „*Le premier ministre du Gouvernement polonais part pour Moscou où il participera aux entretiens Churchill-Staline*” w: *Combat* z 12 października 1944, Paryż, str. 1.

9. Kopia tego Apelu, z ostatniej dekady sierpnia 1944 roku, bez dokładniejszej daty, na dwu stronach maszynopisu, bez nazwisk, znajduje się w Archiwach Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego (IPMS) w Londynie. Sygnatura: A.48 4/D3, dokument nr 40.

dent musi go podtrzymać. On nie może ustąpić – ustąpić mają inni bez względu na wszystko i koniec będzie dobry. Inaczej – klęska Polski”¹⁰.

Prezes Federacji Polskich Związków Ojczyzny, gen. Roman Górecki, w liście do prezydenta Raczkiewicza z dnia 27 września 1944 roku pisał: „Stalin żąda usunięcia generała Sosnkowskiego ze stanowiska Naczelnego Wodza. Konstytucja RP złożyła w Pańskie – Panie Prezydencie – ręce prawo mianowania i zwalniania Naczelnego Wodza. Nikt, absolutnie nikt nie może tego konstytucyjnego prawa Panu Prezydentowi odebrać. W obliczu Majestatu Rzeczypospolitej, który Pan reprezentuje, błagam Pana Prezydenta i zaklinam Go na krew żołnierską, w obronie Polski przelaną, by odmówił wykonania dyspozycji obcego czynnika... Panie Prezydencie! W czasie ostatniej u Pana bytności zwróciliśmy Pańską uwagę na niektóre analogie historyczne. Niech Pan Prezydent weźmie pod uwagę, że w swoim czasie Katarzyna również żądała dymisji Tadeusza Kościuszki... Historia zawsze się powtarza. Niech Pan, Panie Prezydencie, w poczuciu Swjej odpowiedzialności wobec Boga i historii nie powtórzy błędów Stanisława Augusta”¹¹.

Wiele innych prośb i żądań skierowanych do prezydenta Raczkiewicza nie wpłynęło na decyzję zwolnienia Sosnkowskiego. Na jego miejsce został mianowany gen. Bór-Komorowski i w depeszy do niego z 2 października 1944 r. prez. Raczkiewicz pisał: „Zmiana na tym stanowisku była polityczną koniecznością wewnętrzną i zewnętrzną, a przede wszystkim przez wzgląd na współpracę z aliantami anglosaskimi, od czego zależy dalszy przebieg naszej walki o niepodległość”¹², ze znanym wkrótce jałtańskim rezultatem. Dnia 5 października gen. Bór-Komorowski musiał odejść do niewoli. Polskie Siły Zbrojne zostały bez Naczelnego Wodza, co stanowiło początek ich likwidacji, zgodnie z sowieckim planem opanowania Polski.

Tadeusz WYRWA

10. Tamże, dokument nr 64.

11. IPMS, Sygnatura: A.48.Z.II 33, bez paginacji.

12. „Armia Krajowa w dokumentach”, tom IV, Studium Polski Podziemnej, Londyn 1977, str. 426.

Karolina LANCKOROŃSKA

SPOTKANIE NA UNIWERSYTECIE LWOWSKIM

(FRAGMENT „PAMIĘTNIKÓW WOJENNYCH”)*

„Już dość prędko mieliśmy się zetknąć po raz pierwszy z nowymi władzami na terenie własnym, na Uniwersytecie. Zaproszono na *meeting* 29 września profesorów, docentów, asystentów, studentów i woźnych do Collegium Maximum. Zebranie było bardzo liczne. Nad katedrą u góry wisiał portret Stalina, z profilu, kolorowy, rozmiarów olbrzymich. Takie rozmiary znane nam były dotąd jedynie z Bizancjum, a portret, który wisiał przed nami, świadczył o mentalności odciętej zupełnie już od klasycznych korzeni, z których wyrosła niegdyś kultura bizantyńska. Patrzyłam z przerażeniem na rysy i czoło, które odąd mieliśmy widzieć zawsze i wszędzie, czy na wystawach sklepowych, czy w restauracjach, czy na rogach ulic lub w tramwaju. Twarz owa wydawała mi się zasadniczo inna od twarzy naszych, które są odbiciem naszych uczuć i myśli. Jest to chyba istotą twarzy ludzi Zachodu, podczas gdy owe rysy, które miałam wówczas przed sobą, wydały się być tych uczuć i myśli nieprzepuszczalną zasłoną. Z tej twarzy, wówczas jeszcze dla nas niezwyklej, dziś tak znanej a zawsze równie obcej, dowiedzieliśmy się w sposób niezbity a przejmujący, że zapanowała nad nami mentalność absolutnie nam obca. Tymczasem weszli na salę Sowietci, rosyjski komendant Lwowa ze switą oraz człowiek wysoki o grubych, lecz niezwykle inteligentnych rysach, w bluzie bolszewickiej, którego komendant wyraźnie honoro-

* Moje „Pamiętniki wojenne”, pisane w latach 1945-1946, które mają być wydane po mojej śmierci, zaczynają się z wejściem bolszewików do Lwowa 22 września 1939 r. Po krótkim opisie dobrze już dziś znanych pierwszych kontaktów z przybyszami, następuje opis pierwszego spotkania tych dwóch światów na terenie Uniwersytetu Jana Kazimierza. Podaję fragment z opisem tego zdarzenia.

wał. Weszli na podium i zaprosili do siebie rektora Longchamps¹ z dziekanami. Przemówił pierwszy komendant, pięknym, jak mi się zdawało, językiem rosyjskim. Witając zebranych, oświadczył, że sam pragnął otworzyć pierwszy *meeting* w tym gmachu, który odtąd służyć będzie kształceniu nie panów, lecz ludu. Następnie oddał głos towarzyszowi Kornijczukowi², członkowi Akademii Kijowskiej.

Kornijczuk wstał, wyszedł powoli na katedrę i stamtąd zaczął mówić do nas powoli, głębokim, mocnym głosem. Mówił po ukraińsku, językiem Kijowszczyzny, odmiennym trochę od narzecza stron naszych. Mówił o wielkości i potędze prawdy i wiedzy, o tym, ile kultura polska wniosła do kultury świata, oddał hołd wielkości Mickiewicza w słowach wyjątkowo pięknych, mówił dalej z porywającą już wymową o sile i wartości nauki, która ludzkość jednoczy, o postępnictwie uniwersytetów, w szczególności Wszechnicy Lwowskiej, której zadaniem jest złączyć obie kultury, polską i ukraińską w jedną całość. Pomimo że nie rozumiałam każdego słowa i że niejeden zwrot mi uszedł, zawsze wspominać będę tę mowę jako jedną z najbardziej porywających, jakie w życiu słyszałam.

Gdy Kornijczuk skończył, zgłosiły się przyszłe asy komunistyczne Uniwersytetu – Ukraińcy, Żydzi i Polacy. Zaczęły się sypać demagogiczne frazesy. Gdy padło zdanie o wykluczeniu klas dawniej „uprzywilejowanych” z Uniwersytetu, zażądał głosu stary profesor Krzemieniewski, były rektor – uczestnik walk 1905 r., były więzień polityczny³. Gdy monumentalna jego postać ukazała się na estradzie, przyjęliśmy go żywiołowymi oklaskami. Krzemieniewski ostentacyjnie zwrócił się z ukłonem głowy do rektora i zaczął głośno i spokojnie: „Magnificencjo!”, spojrzawszy w stronę Kornijczuka: „Panie Akademiku!”, wreszcie zwrócił się do publiczności: „Panie i Panowie!” Niski dość wzrostem komendant miasta, pan życia i śmierci, którego mówca nie raczył w ogóle wymienić, poruszył się niespokojnie na krześle. „Szanowny przedmówca” (siedzący wśród publiczności adresat wyraźnie się skulił) „chce wykluczyć część społeczeństwa z dostępu na

1. Roman Józef Longchamps de Bérier (1883-1941), prawnik.

2. Ołeksandr Kornijczuk (1905-1972), ukraiński dramaturg, działacz polityczny, 1953-1954 wicepremier Ukraińskiej SSR.

3. Seweryn Józef Krzemieniewski (1871-1945), botanik, mikrobiolog.

Uniwersytet, a ja mu na to odpowiadam: Jeśli Nauka jest jedna, tak jak jest Prawda jedna, jeśli nie uznajemy różnic klasowych, to dla mnie wszyscy są równi, chłop, robotnik, inteligent i szlachcic. Ja będę kształcił chłopą, robotnika, inteligenta i szlachcica. Mnie nie obchodzi pochodzenie człowieka, który chce służyć Nauce i Prawdzie”. Na piskliwe reakcje przeciwników Krzemieniewski nie odpowiedział i zszedł z estrady wśród owacji całej niemal sali. Teraz komendant wstał, miał minę niepewną, jakby się coś nie wiodło, czego sam nie bardzo rozumiał i przeczytał nam depeszę zebranych do Stalina. Była ona ułożona w sposób ostrożny, niezbyt wiernopoddańczy, widocznie by nas zbyt nie urazić. „Kto jest za wysłaniem, niech podniesie rękę”. Na kilkaset obecnych podniosło się kilkanaście rąk. Komendant z ledwie dostrzegalnym uśmiechem zapytał powtórnie: „A kto jest przeciwny?” Oczywiście ani jedna ręka nie poszła w górę. Teraz z wyraźnym już uśmiechem oświadczył: „Wniosek o wystanie telegramu przyjęto jednomyślnie”.

Wyszliśmy z uczuciem niesmaku. Było już szaro. Pomimo wszystko byliśmy pod wrażeniem mowy Kornijczuka, pełni nadziei, że Uniwersytet Jana Kazimierza da się uratować, że będziemy mogli go bez uszczerbku uchronić do wiosny, jako *naufragio Patriae ereptum monumentum*. Później mieliśmy się dowiedzieć, że tego samego dnia o godzinie dziewiątej wieczorem ten sam Kornijczuk wygłosił drugą mowę, zapewne równie płomienną, tym razem na zebraniu ukraińskim, w której obiecał wykluczenie wszystkich elementów polskich z Uniwersytetu Lwowskiego.

A myśmy ciągle czekali. Mieliśmy wrażenie, że Przeznaczenie nas prowadzi w nieznaną, a byliśmy ciekawi niezmiernie. Muszę przyznać, że u mnie np. ta ciekawość historyka, przed którym nagle otwiera się możliwość zetknięcia się z jednym z głównych ruchów współczesnych, przeważała nade wszystko...”

Ta wielka ciekawość wyłączała wszelki niepokój o losy własne.

Karolina LANCKOROŃSKA

INTERWENCJA

Około 20 maja 1942 r. mój brat przebywający w Genewie odebrał o pierwszej w nocy telefon. Zgłosił się adwokat Żeromski, przebywający również w Genewie i powiedział, że przed chwilą słuchał radia ukraińskiego, które doniosło z wyrazami wielkiego zadowolenia, że Niemcy nareszcie zaarrestowali znaną polską nacionalistkę Karolinę Lanckorońską. Brat mój nie był zaskoczony, bo miałam niedawno okazję, by go zawiadomić, że koło mnie robi się ciepło. Zastanowił się czy może coś zrobić. Napisał pocztówkę do kuzynki-Niemki, która – niechętna hitleryzmowi – pracowała w Rzymie. Skreślił takie mniej więcej słowa: „Karla jest sparaliżowana. Poradź się lekarzy, jeśli masz możliwości”. Kuzynka nie myślała ani przez chwilę o kontaktach z własnymi rodakami. Nie była tam zresztą dobrze widziana. Poszła prosto do Stacji Naukowej Polskiej Akademii Umiejętności na Vicolo Doria 2, do dyrektora pana Józefa Michałowskiego, którego u mnie spotykała. Michałowski na wiadomość o moim aresztowaniu bez zastanowienia udał się do Palazzo Caetani na Botteghe Oscure, blisko polskiego kościoła św. Stanisława. Wiedział, że łączy mnie przyjaźń z panem tego domu, Roffredem Caetani, żonaty z Amerykanką Margheritą Chapin. Mieli dwoje dzieci – syna Camilla i córkę Lelię.

Był to jedyny dom spośród pałaców arystokracji rzymskiej, w którym bywałam. Różnił się zasadniczo od innych, raczej nudnych. U Caetanich spotykało się literatów, artystów, muzyków, przede wszystkim różnego rodzaju ciekawych ludzi z całego świata. Sam Roffredo był kompozytorem i pianistą. Margherita wydawała międzynarodowe i wielojęzyczne czasopismo literackie *Botteghe Oscure*.

Trzymali się z daleka od ówczesnej oficjalnej polityki włoskiej, od faszyzmu, który ich międzynarodowej kulturze i stosunkom zupełnie nie odpowiadał. Z królewską rodziną Sabaudów łączyły Caetaniego kontakty obecne oraz tradycja. Rodzina królewska oczywiście nie była entuzjastycznie nastawiona do panującej dyktatury. Szczególnie faszystom nie-

chętna Maria José, Belgijka, żona księcia Piemontu Umberta, następcy tronu, była dobrą skrzypaczką. Roffredo chętnie jej akompaniował na fortepianie.

Z wdzięcznością wspominam wiele wieczorów w tym domu i wiele wycieczek, bliższych i dalszych. Raz spędziliśmy we czwórkę – Roffredowie, młoda wówczas Lelia i ja – tydzień w nie znanych mi do tego czasu Włoszech Południowych. Jechaliśmy dwoma samochodami, drugi prowadziła Lelia. Nocowaliśmy nieraz w bardzo wówczas jeszcze prymitywnych niby-hotelach. Zwiedziliśmy wtedy Monte Sant'Angelo, niezmiernie stare miejsce kultu św. Michała Archanioła, sięgające czasów przednormańskich, a za Normanów rozbudowane jak Mont-Saint-Michel w Normandii. Kult ten wiązał się z bardzo dawnym lękiem przed Archaniołem Sądu Ostatecznego. Nad wejściem do grotty był napis „*Vere terribilis est locus iste*”.

Korzeniem tych niezwykle bliskich stosunków było pokrewieństwo, dość dalekie co prawda, bo sięgające XVII w. Roffredo często wspominał swoją polską „ćwiartkę” – „*mon quart polonais*”, jak się wyrażał – był bowiem wnukiem Polki, Kaliksty z Rzewuskich (1810-1842), pochodzącej z innej zupełnie linii Rzewuskich niż Ludwika, moja prababka. Kaliksta była córką Wacława Rzewuskiego, „Emira” czyli „Farysa”, podróżnika i orientalisty, później powstańca, którego wielobarwna postać natchnęła Mickiewicza („Farys”) i Słowackiego („Duma o Wacławie Rzewuskim”). Wcześniej przez matkę, Rozalię z Lubomirskich, przeznaczona Zygmunтови Krasieńskiemu, wyszła za mąż za Michelangela Caetani (1804-1882), z rodziny posiadającej rozległe dobra pod Rzymem, zakupione przez papieża Bonifacego VIII (†1308), pierwszego sławnego członka rodu. Kaliksta zmarła młodo, ale pozostawiła po sobie wdzięczną pamięć. Jedyne jej syn, Onorato, żonaty z Angielką, miał aż pięciu synów: Leone (1869-1935), Roffredo (1871-1961), Gelasio (1877-1934), Michelangelo i Livio. Ten ostatni zmarł młodo. Czterej pozostali byli zdolni, rośli i piękni. Włosi, a wraz z nimi wielu ludzi kultury europejskiej, gratulowali Onoratowi wspaniałego rozrostu prawdziwie wielkiego rodu.

Najstarszy z synów Onorata, Leone, był niezwykle zdolnym orientalistą (wyraźnie odezwał się w nim pradziadek „Emir”). Nie miał w życiu szczęścia, ożenił się z Vittorią Colonną i miał jednego syna. Gdy ten chłopiec dorastał do wieku szkolnego, okazał się nienormalny. Leone załamał się, mał-

żeństwo się rozpadło. Wyemigrował do Kanady, gdzie zmarł. Głową domu został drugi z kolei syn Onorata, Roffredo. Jego potomek Camillo był udany i piękny jak cała rodzina. Trzeci syn Onorata, Gelasio, nie ożenił się. Zostawił wielotomowe dzieło pod dumnym tytułem „Domus Caetana”. Najmłodszy dwaj bracia Roffreda też dziedziców nie mieli.

Widziałam ich wszystkich po raz ostatni przed II wojną, na wiosnę 1939 r.

Wojna zastała mnie we Lwowie. Stała 3 maja 1940 r. wydostałam się w ostatniej chwili przed aresztowaniem spod bolszewików pod Niemca. 12 maja 1942 zostałam w Stanisławowie zaaresztowana. Udział mój w AK nigdy nie został wykryty. Uwięziono i skazano mnie na śmierć jak bardzo wielu członków inteligencji polskiej w Stanisławowie. Gdy już byłam końca życia dość pewna, przyszli po mnie w nocy do celi zbiorowej. Wyprowadziło mnie trzech gestapowców. Droga do „podwórka rozstrzeliwań” była dość długa. Czułam duży, wewnętrzny spokój. Nagle, w chwili gdy się korytarze rozwidlały, spostrzegłam się, że idziemy w innym kierunku, a więc nie na śmierć. Teraz dopiero straciłam spokój wewnętrzny, bo nie mogłam zrozumieć, o co chodzi. Kręciliśmy się jeszcze przez chwilę po korytarzach, wreszcie wylądowałam ponownie w naszej celi zbiorowej. Polki mnie powitały, jakbym zmartwychwstała. Ja byłam bardzo niepewna, co będzie dalej, bo takiej przeprawy jeszcze nie widzieliśmy. Po dwóch godzinach, gdy już dniało, znowu przyszli. Znowu padło moje nazwisko. Tym razem z okrzykiem „Idziecie na wolność!” Uwierzyłam. Ponieważ oskarżenia nie było, jakaś interwencja – chociażby u Franka – nie była niemożliwa. W towarzystwie dwu gestapowców zostałam samochodem przewieziona do Lwowa, do więzienia na ulicę Łąckiego. Na drugi dzień rano zaprowadzono mnie do komisarza od polskich spraw politycznych. Ten mnie przyjął i – o dziwo! – kazał usiąść. Było to duże ułatwienie, bo po głodzie stanisławowskim nie bardzo trzymałam się na nogach. Z ust komisarza Waltera Kutschmanna padło pierwsze pytanie:

– Kogo Pani zna z królewskiej rodziny włoskiej?

Odpowiedziałam, zgodnie z prawdą, że nikogo z królewskiej rodziny włoskiej nie znam.

– No to Pani ma możnych przyjaciół we Włoszech!

Wysoka sylweta Roffreda stanęła mi przed oczami.

– Znam wielu Włochów – odpowiedziałam wymijająco.

Gdy po wojnie przyjechałam do Rzymu w lecie 1945 r., dowiedziałam się od ks. prałata Meysztowicza, że Camillo Caetani zginął w 1940 r. w wojnie albańskiej Mussoliniego. Żył więc już tylko jego ojciec, ostatni Caetani. Poszłam na Botteghe Oscure. Roffredowie i Lelia przyjęli mnie bardzo serdecznie. Okazało się, że księżna Piemontu, Maria José, na prośbę Roffreda zatelefonowała do Himmlera, polecając mu bezpieczeństwo mojej osoby. Dlatego nie zginęłam w Stanisławowie.

Fakt, że osoba do dziś żyjąca zawdzięcza swe życie „Emirowi” Rzewuskiemu, od którego nie pochodzi, wydaje się zbiegiem okoliczności – może wartym zanotowania.

Karolina LANCKOROŃSKA

Tadeusz DUBICKI, Andrzej SUCHCITZ

NIEZNANE LISTY MARSZAŁKA EDWARDA ŚMIGŁEGO-RYDZA Z RUMUNII

Zamieszkała w Londynie pani profesor Leontyna Herchenrederowa w czerwcu 1995 r. udostępniła autorom kilkanaście dokumentów, będących spuścizną po mjr. dypl. Karolu Krzewskim¹. Znalazły się one w jej posiadaniu w wyniku przejęcia dokumentów po Marianie Brodziszu (b. Naczelnik Biura Komunikacji Samochodowej PKP, uprzednio

1. Karol Krzewski (pierwotnie – Lilienfeld), ur. 22 lutego 1893 r. w Lublinie, syn Henryka i Justyny z Perców, członek POW; legionista z 1. pp. I. Brygady. W latach 1919-1923 w Oddziale II. Szt. Gen., absolwent Wyższej Szkoły Wojennej – mjr dypl. (1924 r.). W 1926 r. oficer do zleceń Szefa Sztabu Głównego, następnie oficer do zleceń wiceministra Spraw Wojskowych. Kolejno: d-ca baonu 1. pp. Leg., Szef Wydziału w Biurze Inspekcji GISZ (1929-1932), Szef Sztabu 10 dp. (IX 1932 – IX 1933), w l. 1933-1935 pracownik Instytutu Naukowo-Wojskowego. W marcu 1935 r. przeniesiony w stan spoczynku na własną prośbę. Odznaczony m.in. Krzyżem *Virtuti Militari*, 4-krotnie KW, Krzyżem Niepodległości, Polonia Restituta. Na podstawie: Zeszyt Ewidencyjny

Dowódca Samodzielnej Kolumny Samochodowej GISZ). Należy przyjąć, iż Marian Brodzisz przejął przynajmniej część spuścizny po mjr. Krzewskim, wśród której znalazły się rzeczony dokumenty, przekazane obecnie do zbiorów Archiwum Instytutu Polskiego im. gen. Sikorskiego w Londynie przez inż. Tadeusza Herchenredera².

Szczególną uwagę zwracają w tej kolekcji cztery nieznanne dotychczas listy marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza pisane odręcznie z miejsca internowania w Dragoslavele w Rumunii, a skierowane do mjr. Krzewskiego (trzy listy) oraz do Juliana Piaseckiego (b. wiceminister komunikacji). Tłem dla tej korespondencji jest oczywiście sam przymusowy pobyt w Rumunii i związane z tym problemy, zwłaszcza natury politycznej. Jak to

Karola Krzewskiego, Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. Kol. 509/1.

Pozostając w stanie spoczynku mjr Krzewski objął przewodnictwo Głównej Rady Programowej Polskiego Radia. Znany publicysta z zakresu wojskowości i literatury, szczególnie popularny jako „kapral Szczapa” z gawęd radiowych.

We wrześniu 1939 r. otrzymał przydział w Szt. Gł. (Wydział Propagandy). W Rumunii internowany w Călimănești, po ucieczce z obozu i nieprzyjęciu do WP, przebywał w Bukareszcie, jako eksponent polityczny ugrupowania marsz. Śmigłego. W Bukareszcie pozostawał do lutego 1941. Przez Sofię i Istanbuł dotarł w kwietniu 1941 do Hajfy. Do służby czynnej nie został przyjęty i pozostawał pod opieką Delegatury Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. W 1943 powołano go do służby czynnej z jednoczesnym przeniesieniem w stan nieczynny. Zmarł na raka gardła w Jerozolimie 29 kwietnia 1944 i tam pochowany na górze Syjonu na cmentarzu katolickim.

2. W archiwum Instytut Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego materiały zostały zdeponowane pod sygnaturą: Kol. 509 (zespół mjr. Karola Krzewskiego – Lilienfelda), opracowany przez mgr. Jana Tarczyńskiego.

T. 1: Dokumenty i opracowania mjr. Karola Krzewskiego, w tym: Zeszyt ewidencyjny (lista ewidencyjna) mjr. K. Krzewskiego (1943 r.); „O J. Piłsudskim rzeczy proste” – wspomnienia mjr. K. Krzewskiego (b.d.); „A Memo” – opr. mjr. K. Krzewskiego – adresowane do żołnierzy polskich w Palestynie, reprezentujących poglądy rządu przedwrześniowego (b.d.); Karta pocztowa od Marii Jabłońskiej-Krzewskiej z Warszawy do F. Wolskiego w Stambule (j. niemiecki) – pokwitowanie odbioru paczek („prezentów”) nr 83 i 84 (8 lipca 1944); Pismo PCK Oddział w Palestynie do Mariana Brodzisza w sprawie dokumentów zgonu i spadkowych mjr. K. Krzewskiego (28 kwietnia 1947).

T. 2: Listy marszałka do Karola Krzewskiego „Szczapy” i Juliana Piaseckiego.

T. 3: Dokumenty i opracowania Juliana Piaseckiego.

T. 4: Różne (1939-1945).

wynika z treści listów marszałek zamierzał powrócić do czynnego życia politycznego, oczywiście po powzięciu ucieczki, w którą, jak to wiemy i z innych źródeł, wciągnięci byli obaj adresaci listów. O roli w niej mjr. Krzewskiego wiemy już z innych źródeł, a zwłaszcza z relacji ppłk. dypl. Romualda Najsarka („Ucieczka marszałka Rydza-Śmigłego z miejsca internowania w Rumunii”, maszynopis, Budapeszt 1942), przywoływanej przez kilku autorów³. Wynika z niej, iż mjr. Krzewski, początkowo mocno zaangażowany w te działania – na tle nieporozumień czy niejasności finansowych – został odsunięty za wiedzą Marszałka od bezpośrednich czynności związanych z organizacją ucieczki. Doszło do tego w połowie 1940 r.

„Serdeczny Szczapo!

Dragoslavele 22/III 40

Już dawno zabierałem się napisać do Pana tym bardziej po ostatnim liście. Dziękuję. Wiem, że niewiele mi Was zostało – ale na te liczne serca nigdy nie liczyłem. Dlatego łatwiej mi jest znieść „wędrówkę ludów”.

Co do charakterów ludzkich również nie miałem złudzeń, nawet wtedy, gdy wam, coście mnie lepiej znali, wydawało się, że nie mam racji. Czytankowa, sztubacka prawda, że prawdziwa przyjaźń dopiero w biedzie daje się rozpoznać – jest jednak prawdą i to głęboką.

W tym okresie niewiarygodnej głupoty i złości tandetnego szachraja aranżowanym przez tzw. rząd, najbardziej mnie oburza nie to, co na przeszłość wypisują, ale to czym terażniejszości i przyszłości szkodzą. Przeszłości nie da się zakłamać i prędzej czy później musi okazać się we właściwym świetle. Natomiast to, co polskiej przyszłości zaszkodzi – oczerniając Polskę wobec świata – może być o wiele trudniejsze do odrobienia.

Bardzo żałuję, że nie mógł się Pan do mnie dostać.

Dziękuję Szczapo jeszcze raz serdecznie i cieszę się już nawet nie „jako dama serca”, że oto stać Pana na to, aby być wyjątkiem od reguły.

Uściski dłoni
Śmigły”

3. C. Leżeński, „Kwatera 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym”, t. 2, Lublin 1989; T. Dubicki, „Wojsko Polskie w Rumunii 1939-1941”, Warszawa 1994.

Dziękuję serdecznie za życzenia i list. Zostało mi Was kilku, którzy nie zwątpiliście, którzy nie chcecie iść po linii najmniejszego oporu, a chcecie iść drogą trudną i ciężką. Będziemy iść razem tą drogą. Ponieważ bardzo rzadko zdarzają się chwile, w których wśród takich ludzi jak my mówi się o sentymentach i o sercu, wykorzystuję tę chwilę, by za Pańskie uparte i mężne serce z całej duszy Panu podziękować. Głęboko czuję, kim Pan jest dla mnie.

Serdeczny uścisk dłoni

Śmigły”

„Drogi Panie Karolu!

7/VII 40

Śpieszę kilka słów napisać w sprawie wiadomości od Georges'a. Należy uważać, aby nie wpaść w śmieszny sytuację, I słusznie przystojny, młody nasz przyjaciel zażądał wyjaśnień. Georges ma bujną wyobraźnię i inteligencję skłoną do nagłych hipotez. Należy zdawać sobie sprawę, że w tym wypadku nie w mojej możliwości jest ani zagajanie, ani inicjowanie, ani proponowanie. Bo co mam proponować? Listy otrzymałem, są interesujące.

Zapraszam, życzę wszystkiego dobrego

Pierwszak”

21/VII 1940

„Panie Karolu! Intermezzo angielskie wydaje mi się bardzo fikcyjnym i jest to, jak już pisałem, bujna fantazja Niezbrz.[yckiego]⁴. Sądzę, że z tego nic nie wyjdzie, a ja nie mam też wcale zamiaru dziadować i być międzynarodowym

4. Jerzy Niezbrzycki (1902-1968). W latach 1930-1939 kierownik Referatu „W” (Wschód) Oddziału II Szt. Gł. We wrześniu 1939 r. wysłany przez marsz. Śmigłego ze specjalną misją do szefa wywiadu rumuńskiego gen. Moruzowa, w Rumunii do stycznia 1940 r. w ścisłym kontakcie z Marszałkiem, którego odwiedzał w Craiovej i Dragoslavele. W l. 1941-1942 wykładowca w Szkole Oficerów Wywiadu, później Stacja Zborna Oficerów w Rothesay. Autor książek pisanych pod pseudonimem Ryszard Wraga.

pieczeniarzem. Nie chciałbym, aby G.[eorges]⁵ wykazywał w stosunku do Anglików jakieś moje szastanie nogami, czy też śpiewał: ... pomoc dajcie mi Anglicy. „Anglicy”... Kwestia Francji: Nie chciałbym już teraz, z góry, zamykać się w formule emigracyjnej. Jeśli przyjdzie na to czas i konieczność – to tak. Ale nie w tej chwili. Jest to ostatnie wyjście. Na razie ciągle najbardziej mi odpowiada kierunek na Żwira⁶. O ile by coś bardzo konkretnego i zadawalającego mnie nie wyszło z Anglikami – więc, jak Pan widzi zresztą nie wierzę.

Kierunek na Żwira: nie mam żadnych wiadomości, co właściwie przygotowano, tak pod względem przejścia granic jak i poza granicami. Dlatego wszelkie zbyt bliskie terminy wydają mi się nierealne. Jak długo można, lepiej tu przeczekać. Bo w Kraju sytuacja w każdym razie nie jest jeszcze w ostatecznym stadium, które by wymagało natychmiastowej mojej obecności. Niestety nie mam żadnej wiadomości o sytuacji w Anglii pod względem wojny i atmosfery tam panującej poza oficjalnymi deklaracjami. A to jest element bardzo ważny. Bo ten element bardzo wpływa na zagadnienie rosyjskie, na pasywność lub aktywność Rosji. Jeśli Anglia skapituluje lub w bardzo dalekiej przyszłości wywali się, to Rosja będzie pasywna i będzie czekać na inicjatywę niemiecką w bliższej lub dalszej przyszłości. Rosja może wziąć inicjatywę

5. Z kontekstu listów z 7 i 21 lipca 1940 r. wynika, że „Georges” to ppt. Niezbrzycki.

6. Kierunek ucieczki podjęty w grudniu 1940 r. przez marszałka i towarzyszące mu osoby prowadził przez nadgraniczny Nadlac po stronie rumuńskiej i następnie na Węgry. Kierunek na Żwira przypuszczalnie oznaczał Węgry, jako pierwszy etap ucieczki do Kraju. Wiadomo było, że Marszałek jedynie brał pod uwagę powrót do Polski. Chociaż nie udało się autorom w pełni rozwiązać zagadki Żwira, to istnieje szereg poszlak wskazujących na teren węgierski. Płk dypl. Zygmunt Wenda, towarzysz Śmigłego-Rydza w Rumunii i na Węgrzech, napisał w swoich wspomnieniach pod datą 10 sierpnia 1940 o nawiązaniu kontaktu z bliżej nie określonym Żwirem. (Z. Wenda, „Z marszałkiew Śmigłym”, *Zeszyty Historyczne*, nr 100, Paryż 1992, s. 143). Wiadomo również, że na terenie Węgier przebywał niejaki Żwirski, związany m.in. z płk. dypl. Kazimierzem Głabiszem, którego nazwisko łączono z planami zorganizowania Legionu Polskiego, który by z Węgier i Rumunii wkroczył do Polski (Tadeusz Dubicki, Stanisław Rostworowski, „Sanatorzy kontra Sikorszczyzy”, Warszawa 1993, s. 128). Być może, że Świr (Żwir) to aluzja to niego. W 1939 był mjr Stanisław Żwirski, kawaler Orderu Virtuti Militari, czterokrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych za 1920 rok, dowódca II. batalionu 3. Pułku Piechoty Legionów. Być może to on.

tylko wtedy, gdy Niemcy już zaczną śmierdzieć padliną.

Na układanie się teraz z Niemcami czy Rosją nie ma żadnych realnych podstaw, pomijając już to, że nie wiadomo, czy z ich strony jest do tego ochota. Układać się z Rosją to być najzajutrz oszukany. Układać się z Niemcami: to Anglii rozwiązywać zupełnie ręce w jej zobowiązaniach w stosunku do Polski.

Sądzę, że opierając się na tej znajomości sytuacji, którą według dostępnych wiadomości można tu mieć, nie ma w tej chwili podstaw do jakiegokolwiek układania się. I najmniej ja się do tego nadaję. Byłoby niedobrze, gdyby Niezbrz.[ycki] zagalopował się.

Europę czeka jeszcze dużo kataklizmów i z bardzo ciężkimi przejściami trzeba się liczyć. Piszę w wielkich skrótach i nie wszystko – to tylko co konieczne.

Bez względu na moje kierunki trzeba tworzyć w Rumunii, na Węgrzech, Turcji, Bułgarii itd. nasze nieliczne placówki, które zawsze się przydadzą bez względu na obrót sprawy.

Kto chce wracać do kraju niech wraca. Trzeba być ostrożnym w dawaniu wracającym orientacji. Zasadnicza rzecz, że musimy mieć znowu Polskę i do tego ludzie muszą dążyć – ale ta Polska nie da się uzyskać z dnia na dzień, żadnym szachrajstwem ani układzikiem. Trzeba będzie jeszcze mocno przecierpieć i przejść niejedno nieszczęście i trzeba pracować, by naród potrafił przetrwać te nieszczęścia, a nie uwierzył w to, że Polskę można zbawić okrzykiem „Heil Hitler” albo „Niech żyje Wielki Stalin”. Hitler będzie zawsze bardziej faworyzował Ukrainę niż Polskę.

Koniecznym jest by się zobaczył, by gruntownie tę rzecz omówić. Ale głowię się nad tym, jak Pana tu doprowadzić, bo niestety Paszkowicza nie ma.

Serdeczny uścisk dłoni

Pierwszak⁷

7. We wspomnieniach płk. Wendy jest wzmianka pod datą 22 lipca 1940 o zabranii tego listu do Szczapy przez ppłk. Romualda Najsarka jadącego do Bukaresztu. (Z. Wenda, „Z Marszałkiem Śmigłym”, s. 183). Odnośnie pierwszego ustępu listu Marszałka z 21 lipca dotyczącego kpt. Jerzego Niezbrzyckiego patrz zapis Wendy z 7 lipca 1940, w którym pisze „Ryszard [Wraga=Niezbrzycki – red.] proponuje rozmowy z jego obecnymi gospodarzami (Anglikami), choć ja nie wiem i nie rozumiem, jak on sobie to wyobraża, bo przecież Pan [Marszałek Śmigły-Rydz – red.] nie ma możliwości, przeprowadzenia tych rozmów, a poza tym wcale nie uważam za słuszne, aby inicjatywa miała wyjść od Pana (*op.cit.*, s. 178).

LISTY DO REDAKCJI

15 lipca 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Interesujący artykuł Z.S. Siemaszki „Brytyjczycy zaangażowani w sprawy polskie” (*Zeszyty Historyczne*, nr 112), pozwalam sobie dopełnić dokumentem przechowywanym w archiwum Instytutu Polskiego im. gen. Sikorskiego w Londynie – sygn. A. 9 VI 1/10. Poświadcza on zaangażowanie Brytyjczyków w sprawy polskie, w tym przypadku poprzez Akcję Kontynentalną.

Tadeusz DUBICKI

„L.dz. 472/43

24.02.1943

Do Pana Ministra Obrony Narodowej

Proszę Pana Ministra o przedstawienie Naczelnemu Wodzowi wniosku o odznaczeniu niżej wymienionych oficerów angielskich współpracujących ściśle z podległym mi biurem Akcji Kontynentalnej. (Związani z Polską jeszcze za czasów przedwojennych, a następnie za czasów kampanii wrześniowej, ostatnio jako łącznicy między biurem gen. Gubbinsa a biurem AK/Akcji Kontynentalnej – T.D.).

1. Ronald Mazell, kapitan, major czasu wojny Intelligence Corps, urodz. w Northampton, Anglia 1901 r. Przed wojną zamieszkiwał w Polsce jako przedstawiciel towarzystw okrętowych – od 1929-1931 w Warszawie, od 1931-1939 w Gdyni. Członek Polskiego Związku Maklerów Okrętowych od 1931 do 1939 r. Od 1936 do 1939 urzędujący wicekonsul Wlk. Brytanii w Gdyni.

Przebieg służby wojskowej: powołany do służby czynnej w

Armii Brytyjskiej 25 sierpnia 1939 r., przydzielony został do misji gen. Carton de Viart, najpierw jako por. potem jako kpt. pełnił służbę w misji aż do ewakuacji do Rumunii – do 17 września 1939 r. Przydzielony następnie w kwietniu 1940 na teren krajów bałkańskich w specjalnej misji z polecenia gen. Gubbinsa utrzymywał kontakt na tym terenie z emisariuszami polskimi. W lutym (listopadzie – T.D.) wrócił do Wlk. Brytanii, gdzie pełnił służbę – do chwili obecnej w biurze gen. Gubbinsa, przejmąwszy funkcje oficera łącznikowego z biurem AK i innymi instytucjami polskimi. Mjr Hazell na tym stanowisku w różnych momentach, dzięki taktowi i wielkiej przyjaźni dla Polski, przyczynił się do zacieśnienia współpracy między biurem gen. Gubbinsa a biurem AK, oddając tym samym na swym stanowisku poważne usługi, zarówno w sprawie wspólnego zwycięstwa, jak i sprawie Polski.

2. Richard Truszkowski, kapitan, major czasu wojny Intelligence Corps, urodz. w Londynie 27 sierpnia 1897 r., syn Hieronima, polskiego rewolucjonisty – emigranta. Przed wojną pracował w przemyśle chemicznym w Anglii, St. Zjednoczonych i Polsce. Zajmował też stanowisko asystenta na Wydz. Medycznym Uniwersytetu Warszawskiego (wykładał biologię – T.D.).

Przebieg służby wojskowej: zmobilizowany do st. czynnej w Armii Bryt. w sierpniu 1939, przydzielony do bryt. misji wojskowej, która opuściła Polskę we wrześniu 1939 r. Następnie przydzielony do misji nr 4 przy Armii Polskiej we Francji, którą opuścił po upadku Francji. Po przybyciu do Anglii był oficerem łącznikowym przy armii polskiej w Szkocji od czerwca do grudnia 1940 r. Przydzielony z kolei do biura gen. Gubbinsa w grudniu 1940 r. jako łącznik z rządem polskim w Londynie, które to stanowisko piastował do grudnia 1940 r. (właściwie – 1941 r. – T.D.). Wysłany do Rosji w misji, gdzie utrzymywał łączność z instytucjami polskimi do kwietnia 1942 r.

Następnie przebywał na Bliskim Wschodzie do października 1942 r. gdzie również utrzymywał kontakt z czynnikami polskimi. W październiku 1942 r. powrócił do biura Gubbinsa.

Mjr Truszkowski w momencie powstania biura AK, kiedy pełnił rolę łącznika między władzami angielskimi a polskimi, oddał poważne usługi sprawie organizacji biura AK. W czasie pobytu na Bliskim Wschodzie dał wyraz swej specjalnej przyjaźni dla spr. pol., będąc b. pomocnym w przeprowadzeniu zadań wykonanych na tym terenie przez AK i służby łączności z Krajem.

Stanisław MIKOŁAJCZYK

SPIS TREŚCI

Andrzej Paczkowski: <i>Aparat Bezpieczeństwa w latach odwilży: casus polski</i>	3
Grzegorz Mazur: <i>Agonia Armii Krajowej 1944-1945</i>	34
Krzysztof Tarka: <i>Spór o Wilno. Ze stosunków polskolitewskich w latach drugiej wojny światowej</i> . .	60
Edward Kossoy: <i>Ziarno i plewy</i>	84
Andrzej Misiuk: <i>Sojusze wywiadowcze II Rzeczypospolitej w latach 1918-1939</i>	110

DOKUMENTY

Jan Szymański: <i>Wojenne losy inteligencji polskiej</i> . .	130
<i>Zjednoczona Organizacja Partyzancka w Wilnie (Z.P.O.)</i>	148

WSPOMNIENIA

Camilla Mondral: <i>... złego początku</i>	162
Marek Rudzki: <i>Winiетки okupacyjne</i>	175

RECENZJE

Mieczysław Pruszyński: <i>Bohdan Skaradziński o wojnie 1920</i>	185
Andrzej Łodyński: <i>Kronika Konina</i>	199
Jacek K. Machniewicz: <i>Dokument z leitmotivem</i>	204
Piotr Daszkiewicz: <i>Opowiadania Konstantego Jelskiego</i>	206

OKRUCHY HISTORII

Hanna Świdorska: <i>Polskie personalia</i>	209
Tadeusz Wyrwa: <i>Francuzi i Polacy o zwolnieniu gen. Sosnkowskiego</i>	219
Karolina Lanckorońska: <i>Spotkanie na Uniwersytecie Lwowskim</i>	225
Karolina Lanckorońska: <i>Interwencja</i>	228
Tadeusz Dubicki, Andrzej Suchcitz: <i>Nieznane listy Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza z Rumunii</i>	231

LISTY DO REDAKCJI

Tadeusz Dubicki: <i>Uzupełnienie do artykułu Z.S. Siemaszki (Zeszyty Historyczne Nr 112) – Dokument pióra Stanisława Mikołajczyka</i>	237
---	-----



ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 11 DÉCEMBRE 1995
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 4^e trim. 1995
N° d'imprimeur : 5042

F 90